

PROFESOR BRONISŁAWA GEREMKA
BRONISŁAW
GEREMEK
ROZMOWY
POLSKIE
1988-2008

**BRONISŁAW
GEREMEK
ROZMOWY
POLSKIE
1988-2008**

**BRONISŁAW
GEREMEK
ROZMOWY
POLSKIE
1988-2008**

**wybór, wstęp i opracowanie
Jacek Gładzowski**

Kraków

Publikacja współfinansowana ze środków programu Erasmus+

Publikacja odzwierciedla jedynie stanowisko ich autora
i Komisja Europejska nie ponosi odpowiedzialności
za umieszczoną w nich zawartość merytoryczną.



© Copyright for this edition by Fundacja Centrum
im. prof. Bronisława Geremka and Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2015

ISBN 97883-242-2655-9
TAiWPN UNIVERSITAS

Opracowanie redakcyjne
Wanda Lohman

Projekt okładki i stron tytułowych
Ewa Gray



College of Europe
Collège d'Europe



www.universitas.com.pl

OBSZARY DZIAŁANIA



Dokumentacja spuścizny Bronisława Geremka

W siedzibie Fundacji znajduje się ogólnodostępna czytelnia zawierająca prywatny księgozbiór oraz archiwum Profesora. Na miejscu można zapoznać się z publikacjami prasowymi, wystąpieniami, nagraniami radiowymi i telewizyjnymi.

Fundacja przygotowuje do publikacji prace Profesora, jak również ważne teksty z dziedziny nauk społecznych w ramach serii wydawniczej *Biblioteka im. prof. Bronisława Geremka*.

W czytelni odbywają się otwarte seminaria wybitnych polskich intelektualistów.

Polityka zagraniczna

Co roku na jesieni Fundacja organizuje międzynarodową konferencję dedykowaną Bronisławowi Geremkowi, której celem jest stworzenie stałego forum debaty wybitnych analityków na tematy dotyczące przyszłości Europy i jej polityki zagranicznej.

W ciągu roku odbywają się otwarte dyskusje na Uniwersytecie Warszawskim poświęcone zagadnieniom europejskim, prawom człowieka, polityce międzynarodowej oraz dyskursowi publicznemu.

Edukacja

Projektem „Przez współczesność do historii – warsztaty historyczne im. prof. Bronisława Geremka” Fundacja wspiera zdolnych uczniów warszawskich szkół gimnazjalnych i licealnych zainteresowanych szeroko pojętą tematyką historii współczesnej.

Do młodzieży ogólnopolskiej oraz nauczycieli skierowany jest projekt „Polska w XX wieku” – weekendowe zjazdy poświęcone tematyce współczesnej Polski.

Studenci kierunków humanistycznych mogą korzystać ze Stypendiów im. prof. Bronisława Geremka.



Brugge

College of Europe
Collège d'Europe



Natolin

Kolegium Europejskie (College of Europe), które powstało w 1949 r. w Brugii (Belgia) z inicjatywy Kongresu Haskiego należy do najdłużej działających instytucji edukacyjnych prowadzących program jednorocznych, podyplomowych studiów europejskich.

Od samego początku działalność Kolegium Europejskiego była odpowiedzią na wielkie wyzwania jakie przed narodami i państwami Starego Kontynentu stawia proces integracji europejskiej. Przemiany historyczne w krajach Europy Środkowej i Wschodniej w ostatniej dekadzie XX wieku umożliwiły państwom z tej części kontynentu nawiązanie ścisłej współpracy ze Wspólnotami Europejskimi. Kolegium Europejskie było jedną z pierwszych instytucji europejskich, które szybko odnalazły się w nowej sytuacji politycznej, gospodarczej i społecznej.

W 1992 r. College of Europe na zaproszenie Rządu Rzeczypospolitej Polskiej utworzył w Polsce nowy kampus. Była to pierwsza tego rodzaju europejska instytucja edukacyjna w Europie Środkowo-Wschodniej. Nowy program nauczania Kolegium Europejskiego opracowany został w oparciu o 50-letnie doświadczenie działalności College of Europe, uwzględniał jednak proces rozszerzenia Unii Europejskiej na kraje, które przez te same 50 lat pozbawione były doświadczenia państwa prawa, systemu demokratycznego, samorządności i gospodarki rynkowej.

Natoliński kampus Kolegium Europejskiego należy dziś do najważniejszych instytucji rozwijających badania naukowe dotyczące Unii Europejskiej, zwłaszcza w zakresie tzw. stosunków zewnętrznych UE oraz Europejskiej Polityki Sąsiedztwa (EPS). Doświadczenie w tej właśnie dziedzinie umożliwiło inaugurację działalności Katedry Europejskiej Polityki Sąsiedztwa w roku akademickim 2011/2012. Warto podkreślić, że dzięki specjalnemu programowi stypendialnemu Komisji Europejskiej spośród 120 studentów 33 reprezentuje dziś kraje korzystające z EPS, wśród nich znaleźli się przedstawiciele takich państw jak Armenia, Algieria, Białoruś, Egipt, Gruzja, Maroko, Mołdawia, Tunezja, Turcja i Ukraina.

Prowadzony w Natolinie program europejskich badań interdyscyplinarnych umożliwia studentom Kolegium zapoznanie się z procesem integracji europejskiej w sposób wykraczający poza poszczególne dyscypliny naukowe takie jak prawo, ekonomia czy nauki społeczno-polityczne. Studia w Natolinie to znakomita okazja do zdobycia unikatowej wiedzy i doświadczenia, przydatnych w przyszłej pracy w instytucjach administracji publicznej (krajowej i międzynarodowej), ale też w działalności w organizacjach pozarządowych i w sektorze prywatnym.

Od roku 2011 natoliński kampus Kolegium Europejskiego prowadzi Katedrę Cywilizacji Europejskiej, utworzoną przez Parlament Europejski dla uczczenia pamięci profesora Bronisława Geremka, wieloletniego wykładowcy w College of Europe.

Spis treści

Jacek Głazewski, Wstęp. Bronisław Geremek i etyka zaangażowania politycznego	11
---	----

I. Preludium

Pakt bez dogadywania się Z Bronisławem Geremkiem rozmawia Paweł Hofer [Helena Łuczywo]	33
--	----

II. Za klubowymi drzwiami

Najpierw reformy, potem rząd Z Bronisławem Geremkiem rozmawia Eugeniusz Smolar, dyrektor Sekcji Polskiej Serwisu Światowego BBC	41
---	----

Tworzymy ramy układu politycznego Z Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, rozmawia Dorota Ciepiewska	43
---	----

Zmiana układu Z prof. Bronisławem Geremkiem, szefem OKP, rozmawia Elżbieta Sadowska	48
---	----

Zamknąć ten rozdział Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, rozmawia Ewa Czaczkowska	59
--	----

Kontrakt był potrzebny Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, rozmawia Mieczysław Starkowski	63
Ostatni dyżur Z posłem ziemi suwalskiej, prof. Bronisławem Geremkiem, rozmawia Grażyna Miklaszewicz	72

III. O nową konstytucję

Nowa konstytucja – pierwsze podejście Z Bronisławem Geremkiem rozmawia Maciej Urbaniak	81
Konstytucja jest sprawą wszystkich Polaków. Czas na publiczną debatę Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Komisji Konstytucyjnej Sejmu RP, rozmawia Maciej Urbaniak	84
Mam poczucie satysfakcji Z Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym sejmowej Komisji konstytucyjnej oraz Klubu Parlamentarnego Unia Demokratyczna, rozmawiają Mariusz Janicki i Stanisław Podemski	87
Jaka będzie konstytucja III Rzeczypospolitej Z Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym sejmowej Komisji Konstytucyjnej, rozmawia Katarzyna Kolenda	96
Coś za coś, czyli sztuka kompromisu Z Bronisławem Geremkiem rozmawia Eliza Olczyk	98

IV. Demokracja po polsku

„Solidarność” była pierwszą szansą, teraz szansą staje się Polska Z Bronisławem Geremkiem rozmawia Robert Kamiński	105
Saper czy uczeń czarnoksiężnika? Z prof. Bronisławem Geremkiem rozmawiają Ewa Grzybowska-Łukaszek i Anna Raczyńska	109
Polityczne zwanie. Z Bronisławem Geremkiem (UD) rozmawia Małgorzata Subotić	113

O koalicji, lustracji, „małej konstytucji”...	
Z Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Klubu Parlamentarnego UD, rozmawia Katarzyna Kolenda	121
Sejm po roku	
Z prof. Bronisławem Geremkiem rozmawia Urszula Zyzik-Hauszylid	125
Zakaz zawracania	
Z prof. Bronisławem Geremkiem, członkiem prezydium Unii Demokratycznej, rozmawiają Piotr Gabryel, Bogusław Mazur, Marek Zieleniewski	129

V. Od Unii Demokratycznej do Unii Wolności

Tron dla arbitra	
Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Klubu Parlamentarnego Unii Demokratycznej, rozmawia Bogusław Mazur	137
Dyktatura pod nadzorem	
Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Klubu Parlamentarnego Unii Demokratycznej, rozmawiają Bogusław Mazur i Katarzyna Nazarewicz	142
Racje i niebo	
Z prof. Bronisławem Geremkiem, szefem Klubu Parlamentarnego Unii Demokratycznej, rozmawia Ewa Milewicz	148
Unia nadaje się do spisku jak chomąto do krowy	
Z Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Klubu Parlamentarnego Unii Demokratycznej, rozmawia Piotr Adamowicz	156
Dolina łez	
Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Klubu Parlamentarnego Unia Demokratyczna, rozmawia Anna Szymańska	161
Zatrute jabłko demokracji	
Z prof. Bronisławem Geremkiem rozmawia Elżbieta Karasiewicz	167

VI. Polska racja stanu

- Duch Jałty
Z prof. Bronisławem Geremkiem,
przewodniczącym sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych,
rozmawia Anna Szymańska 173
- Niwelowanie barier
Z prof. Bronisławem Geremkiem,
przewodniczącym sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych,
rozmawia Jan Forowicz 178
- Interes państwa i narodu
Z prof. Bronisławem Geremkiem rozmawia Jerzy Tepli 183
- Historia nie może przekreślić przyszłości
Z prof. Bronisławem Geremkiem,
przewodniczącym sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych,
rozmawia Krzysztof Mazur 188
- Znaki intencji
Z prof. Bronisławem Geremkiem,
przewodniczącym sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych,
rozmawia Jarosław Giziński 196

VII. W stronę Europy i NATO

- Na lewo od Europy
Z prof. Bronisławem Geremkiem rozmawia Jacek Pałasiński 205
- Wrota Europy
Z prof. Bronisławem Geremkiem,
przewodniczącym sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych,
rozmawiają Jarosław Giziński i Roman Strzemiecki 210
- Chcemy mocnej Unii
Z prof. Bronisławem Geremkiem, szefem Komisji
Spraw Zagranicznych, rozmawia Edward Krzemień 216

Kto udźwignie ten ciężar? Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, przewodniczącym Klubu Parlamentarnego Unii Wolności, rozmawia Andrzej Łapkiewicz	219
Na progu Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, przewodniczącym Klubu Parlamentarnego Unii Wolności, rozmawia Marek Burczyk	223
Euro-Polacy Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych i Klubu Parlamentarnego Unii Wolności, rozmawiają Maria Graczyk i Zofia Stachura	228
VIII. Z teki szefa MSZ	
List z Brukseli Z prof. Bronisławem Geremkiem, ministrem spraw zagranicznych, rozmawia Piotr Cywiński	237
Włosi Północy Z Bronisławem Geremkiem, ministrem spraw zagranicznych, rozmawia Anna T. Kowalewska	243
Rzeczpospolita europejska Z prof. Bronisławem Geremkiem, ministrem spraw zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej, rozmawiają Piotr Gabriel, Jarosław Giziński, Henryk Suchar	245
Eksport sukcesów Z prof. Bronisławem Geremkiem, ministrem spraw zagranicznych RP i przewodniczącym OBWE, rozmawia Juliusz Urbanowicz	253
Obejście twierdzy Z ministrem spraw zagranicznych, Bronisławem Geremkiem, rozmawia Katarzyna Montgomery	259

IX. Gorzki bilans

W rękach kapryśnej damy Z Bronisławem Geremkiem rozmawiają Artur Domosławski i Piotr Pacewicz	269
Nowe imperium zła Z prof. Bronisławem Geremkiem rozmawia Włodzimierz Kalicki	282
Francja rozczarowana Europą Z Bronisławem Geremkiem rozmawia Robert Sołtyk	295
Unia musi być dla ludzi Z Bronisławem Geremkiem rozmawia Marcin Bosacki	298
Nasza chata już nie z kraja Z Bronisławem Geremkiem rozmawia Konrad Niklewicz	313
Postradziecki głos Putina Z Bronisławem Geremkiem rozmawia Marcin Wojciechowski	315
Musiałem być nieposłuszny Z Bronisławem Geremkiem rozmawiają Piotr Pacewicz i Marcin Wojciechowski	317
Traktat nie jest martwy Z Bronisławem Geremkiem rozmawia Dominika Wielowiejska	327
Nota bibliograficzna	329
Indeks nazwisk	335

Jacek Głazewski

Wstęp

Bronisław Geremek i etyka zaangażowania politycznego

Na początku lat siedemdziesiątych XX wieku spora część uczestników wydarzeń marcowych ciągle odczuwała bolesne skutki swojej społecznej i politycznej aktywności. Czas był wyjątkowo ponury, do emigracji zmuszono kilkanaście tysięcy obywateli polskich pochodzenia żydowskiego, wciąż toczyły się procesy, w których zapadały surowe wyroki, władza komunistyczna sprawnie łamała życiorysy, przekreślała kariery i odbierała nadzieję. Jak zaznaczał Andrzej Friszke:

Nad niedawnymi zdarzeniami wkrótce zapadła kurtyna milczenia. Nie wspominało o nich w prasie, radio, telewizji, w książkach, filmach. Uwaga całego systemu propagandy skoncentrowana była na kreowaniu pozytywnego obrazu współczesności i przyszłości, przy jednoczesnym wypieraniu ze świadomości wszelkich przykrych doświadczeń niedawno minionej historii. Jej przypomnianie (...) było

traktowane jako przejaw działań opozycyjnych, czyli – wedle wykładni władz – antysocjalistycznych i antypaństwowych¹.

Życie codzienne w epoce późnego Gomułki i wczesnego Gierka naznaczone było poczuciem permanentnego ideologicznego osaczenia, odarcia z godności, przy jednoczesnej złudnej propagandzie sukcesu². Ta schizofreniczna karuzela skłaniała część środowisk do stopniowej konsolidacji i koordynacji działań. Z „inkubatorów opozycji”³ z wolna zaczęły się wykluwać zalążki przyszłej opozycji demokratycznej. Zgniłe powietrze cynizmu – jak notuje w swych dziennikach Artur Międzyrzeczki⁴ – było stopniowo rozrzedzane dzięki poczuciu więzi, bliskości i wewnętrznej solidarności społecznej. Na trwałe skutki owego procesu trzeba będzie jeszcze poczekać, na razie formułowano pierwsze prognozy, ustalano priorytety i kodyfikowano „style politycznego myślenia”. Bardzo szybko ujawnił się też wspólny element łączący programy rozproszonych środowisk opozycyjnych – był nim rodzaj imperatywu moralnego: rozpatrywania w praktyce działań społecznych czynnika etycznego. Wspominał o tym Jacek Kuroń w fundamentalnym tekście, który został opublikowany w paryskiej „Kulturze” jesienią 1974 r.⁵ Ów charakterystyczny, wysoki moralny ton wybrzmiewał dość wyraźnie zarówno w oficjalnych

¹ A. Friszke, *Czas KOR-u. Jacek Kuroń a geneza Solidarności*, Kraków 2011, s. 8.

² Por. A. Dudek, *Dekada złudzeń*, w: idem, *PRL bez makijażu*, Kraków 2008, s. 115–120.

³ Por. J. Kuroń, J. Żakowski, *PRL dla początkujących*, Wrocław 1999, s. 179–186.

⁴ Por. A. Międzyrzeczki, *Z dzienników i wspomnień*, Warszawa 1999, s. 70.

⁵ Por. J. Kuroń, *Opozycja polityczna w Polsce*, „Kultura” 1974, nr 11 (326), s. 3–21.

dokumentach, manifestach, deklaracjach, jak i w powieściach, esejach, listach, sztukach teatralnych. Stał się nieodłącznym elementem pejzażu duchowego Europy Środkowo-Wschodniej na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Moralność znalazła swoje trwałe miejsce w retoryce i argumentach dysydenckich⁶.

Wiosną 1972 roku ukazał się kolejny numer poczytnego magazynu historycznego „Mówią Wieki”. Wśród opublikowanych w nim szkiców znalazło się studium *Średniowieczni kontestatorzy* autorstwa Bronisława Geremka, czterdziestoletniego mediewisty z Instytutu Historii PAN. Mimo stosunkowo młodego wieku badacz ten cieszył się w środowisku naukowym dość dużym autorytetem, nie tylko jako znawca historii średniowiecznej Francji, ale także jako organizator życia naukowego i kulturalnego, m.in. założyciel i dyrektor Instytutu Kultury Polskiej w Paryżu⁷, gdzie przez wiele lat przebywał, zbierając materiały do swojej rozprawy habilitacyjnej⁸.

⁶ Por. V. Havel, *Siła bezsilnych*, tłum. A. Holland, w: idem, *Siła bezsilnych i inne eseje*, oprac. A.S. Jagodziński, Warszawa 2011, s. 108–109.

⁷ Por. *List Bronisława Geremka do Witolda Kuli z dn. 10 grudnia 1962 roku*, w: M. Kula, *Mimo wszystko bliżej Paryża niż Moskwy. Książka o Francji, PRL i o nas, historykach*, Warszawa 2010, s. 592.

⁸ Por. R. Vetter, *Bronisław Geremek. Der Stratege der polnischen Revolution*, Berlin 2014, s. 92–93. Stopień naukowy doktora habilitowanego nauk humanistycznych w zakresie historii Bronisław Geremek uzyskał uchwałą Rady Naukowej Instytutu Historii PAN z dnia 12 marca 1970 r. „na podstawie oceny ogólnego dorobku naukowego i przedłożonej rozprawy habilitacyjnej pod tytułem *Ludzie marginesu w średniowiecznym Paryżu*”. Dyplom habilitacyjny znajduje się w zbiorach archiwalnych Fundacji Centrum im. prof. Bronisława Geremka.

Wspomniany artykuł dotyczył wprawdzie tumultów studenckich w XV-wiecznym Paryżu, jednak pewne jego fragmenty można było odnieść – na prawach analogii – do nie tak dawnych wypadków, które toczyły się na ulicach większych polskich miast akademickich, przede wszystkim jednak Warszawy:

Młodzież rozpierzchnęła się, próbowała szukać schronienia w pobliskich oberżach, domach prywatnych, w kościele. (...) Wyciągano z domów i oberż tych, którzy się tam schronili, obstawiono rogi ulic i bramy, by odciąć drogę ucieczki. Jednocześnie rozpuszczono po mieście plotki, że studenci atakują rezydencję prefekta, że napadli na pachołków miejskich, że szykują się do siania nowych niepokołów. (...) Genezy tej zaciekłości polowania na studentów dopatrywać się można po prostu w naturalnym wyładowaniu uczuć agresji, które odnajduje się we wszystkich spontanicznych działaniach tłumu. Trudno jednak nie dostrzec głębszych przyczyn paryskich zajść 1453 r. W ich przebiegu znalazł bowiem wyraz zasadniczy antagonizm między uniwersytetem i miastem. Podstaw jego szukać trzeba w obcości młodzieży uniwersyteckiej wobec środowiska miejskiego⁹.

Trudno dziś stwierdzić, ilu czytelników popularnego historycznego magazynu skłonnych było czytać owe fragmenty w kontekście współczesnej sobie sytuacji politycznej. Siła lektury „pomiędzy wierszami” – tak charakterystyczna dla życia kulturalnego w warunkach systemu totalitarnej opresji – umieszczała szkic w przestrzeni publicystycznej. Tak postrzegane, musiały to być jednak uwagi dyskretne, w jakimś sensie marginalne, ale typowe dla późniejszej postawy autora

⁹ B. Geremek, *Średniowieczni kontestatorzy*, „Mówią Wieki” 1972, nr 4 (172), s. 22–23. Zgodę na druk numeru podpisano 7 marca 1972 roku.

– uwzględniały bowiem zasadniczą diagnozę społeczną¹⁰ oraz odwoływały się do pogłębionego doświadczenia historycznego.

Polityczne powołanie ujawniło się w biografii Geremka wcześniej, bezpośrednio po wojnie i miało charakter ściśle intelektualny. Kiedy w 1948 roku – po kilku latach spędzonych na prowincji po ucieczce z koszmaru warszawskiego getta – przyszedł historyk wrócił do Warszawy, zaczął się dla niego okres bardzo intensywnych lektur¹¹. To książki ukształtowały jego ówczesny światopogląd – wśród czytanych prac znalazły się zarówno dzieła o proweniencji marksistowskiej, jak i studia francuskich personalistów oraz egzystencjalistów. „Filozofia zaangażowania” jako cecha rozpoznawcza społecznej postawy myślicieli ze szkoły egzystencjalnej¹² nie pozostawiła go obojętnym, ale i w jakimś sensie doprowadziła do podjęcia decyzji o wstąpieniu do partii. Przy czym – jak sam zaznaczał po latach – „polityka mnie nie interesowała, nie chciałem wcale robić kariery politycznej”¹³. Można się zatem domyślić, że instytucjonalne uczestnictwo w powojennej rzeczywistości stanowiło dla Geremka, tak jak dla wielu intelektualistów z jego generacji, którzy przetrwali apokalipsę okupacji, formę odrealizowania wojennej traumy, a zarazem nieco naiwnie oraz idealistycznie pojmowaną szansę na spełnienie marzeń o ludzkiej wolności, równości i braterstwie¹⁴. W istocie jednak studia na

¹⁰ „Dopiero wiek XIX odkrył, że środkiem usmierzenia nastrojów rewoltującej młodzieży jest usuwanie z uniwersytetu najlepszych jego mistrzów”, *ibidem*, s. 24.

¹¹ Por. *L'historien et le Politique. Entretien avec Bronisław Geremek recueillis par Juan Carlos Vidal*, traduit de l'espagnol par Nicolas Véron, Montricher 1999, s. 79.

¹² Por. W. Szydłowska, *Camus*, Warszawa 2002, s. 78.

¹³ *L'historien et le Politique*, s. 80.

¹⁴ Por. M. Pinque, *Bronisław Geremek: portrait du visionnaire en politique*, w: *Mélanges offerts à Bronisław Geremek. Par ses Collègues, Ad-*

Uniwersytecie Warszawskim, odkrycie średniowiecza, a potem szkoły historycznej „Annales”, którą ucieleśniali Marc Bloch, Lucien Febvre i Fernand Braudel, czy też spotkania, seminaria i dyskusje z Marianem Małowistem, Tadeuszem Manteufflem, Aleksandrem Gieysztozem¹⁵, były dla Geremka o wiele ważniejsze. Z jakiego powodu? Otóż pierwotnie młody historyk pragnął zająć się dziejami współczesnymi, przede wszystkim stuleciem XX. Jednak w warunkach Polski lat 50. nie było to możliwe bez doktrynalnego kompromisu¹⁶. Podjął więc decyzję strategiczną: stał się mediewistą, którego warsztatowa formacja była połączeniem najlepszych cech francuskiej i polskiej szkoły historycznej¹⁷. Przywiązanie do kanonu wartości elementarnych – uczciwości intelektualnej, dyscypliny wewnętrznej, odwagi cywilnej, odpowiedzialności za słowo¹⁸ – skłoniło młodego badacza do przeorientowania uniwersyteckiej ścieżki.

Naturalnie bezpośrednio po zakończeniu studiów Bronisław Geremek – od 1950 roku członek PZPR – zaczął pokonywać poszczególne szczeble akademickiej kariery, znaczone kolejnymi książkami i artykułami naukowymi. W 1954 roku rozpoczął pracę w Instytucie Historii PAN, gdzie przez kilkadziesiąt lat kierował Pracownią Kultury Średniowiecza¹⁹.

mirateurs et Amis de Pologne et de France, red. J. Cortès, H.W. Żaliński, Cracovie 2010, s. 58.

¹⁵ Por. R. Vetter, *Bronisław Geremek*, s. 50.

¹⁶ Por. A. Friszke, *Bronisława Geremka droga do wolnej Polski*, „Więź” 2008, nr 9, s. 116.

¹⁷ Por. *L'historien et le Politique*, s. 24–25.

¹⁸ Wskazane wartości składały się na wzorzec idealnego demokracj, skreślony niegdyś przez Marię Ossowską. Por. M. Ossowska, *Wzór demokracji. Cnoty i wartości*, Lublin 1992, s. 18–23.

¹⁹ Por. M. Kunicki-Goldfinger, *Bronisław Geremek*, hasło w: *Opozycja w PRL. Słownik biograficzny, 1956–89*, red. J. Skórzyński, P. Sowiński, M. Strasz, Warszawa 2000, t. 1, s. 95.

W latach 1962–1965 wykładał na Sorbonie, ale nie był to przecież jego pierwszy pobyt w stolicy Francji. Można bez żadnej przesady powiedzieć, że właśnie wówczas – na przełomie lat 50. i 60. ubiegłego wieku – Geremek zadomowił się w środowisku francuskich historyków, nawiązał nie tylko koleżeńskie, ale również przyjacielskie relacje, które owocować będą przez następne lata, również w pozanaukowym kontekście²⁰. Jak wspomina Jacques Le Goff, którym Geremek opiekował się w trakcie jego pierwszej wizyty w Polsce, młody polski intelektualista wykazał się niebywałym zaufaniem wobec francuskiego gościa i zwierzył się z własnych przemyśleń na temat nietrwałości popaździernikowych przemian politycznych w kraju: „Geremek – idealista, który został komunistą – czuł się zdradzony, sfrustrowany, szarpany złością i niepokojem”²¹.

Co ciekawe, także obszar badawczy, jaki wyznaczył sobie Bronisław Geremek, wiązać można z pewnymi uwarunkowaniami etycznymi²². Przedmiotem jego dociekań stały się grupy

²⁰ Por. M. Aymard, *Geremek et La France*, w: *Mélanges offerts à Bronisław Geremek*, s. 145.

²¹ J. Le Goff, *Z Hanką*, tłum. A. Fadlallah, Warszawa 2011, s. 15.

²² W jednym z przemówień nad grobem tragicznie zmarłego uczonego również wybrzmiała podobna opinia: „Wśród niezliczonych zalet tej bogatej osobowości, znakomitych dokonań naukowych, niecodziennych talentów i osiągnięć politycznych i dyplomatycznych, dwie wartości wyznaczają Jego drogę życiową: troska o wykluczonych i troska o zniewolonych. Wiedział, że wykluczenie i zniewolenie unicestwiają godność ludzką; że degradują człowieczeństwo. (...) Sięgając po tę tematykę, kierował się przekonaniem, że u źródeł apelu o miłosierdzie znajduje się poczucie wspólnoty ludzi, zaś historia społeczeństw ludzkich jest procesem (...) stałego przełamywania egoizmu i rozszerzania się poczucia solidarności”. A. Michnik, *Bronku, tego nie robi się przyjaciółom!*, „Gazeta Wyborcza” 2008, nr 170 z dn. 22 lipca, s. 2.

społecznie upośledzone: wykluczone i marginalne. Począwszy od pracy doktorskiej, która została poświęcona najemnym robotnikom w średniowiecznym Paryżu, poprzez fundamentalne studium habilitacyjne, skończywszy zaś na tzw. książce profesorskiej – opublikowanej w gorącym okresie 1989 roku²³. Jak sam zaznaczał po wielu latach:

Mamy pełne prawo postrzegać ludzi wykluczonych czy ludzi marginesu jako zbiorowość podobną do innych, choć usytuowaną poniżej hierarchii. Ekskluzja zakłada istnienie pewnej delimitacji społeczeństwa. Społeczeństwo odróżnia się od wspólnoty brakiem ograniczonych więzi wewnętrznych, brakiem spójności. Studia nad ekskluzją i społeczną marginesowością prowadzą więc do ustalenia pewnych zasad organizacji i życia społecznego, struktur globalnych, przy pomocy których społeczeństwo wyraża swój stosunek do innych, do obcych. Społeczeństwa można klasyfikować według tego czy potępiają, czy też akceptują odmienność. Można wręcz powiedzieć, że mamy prawo je oceniać wedle tych, których one wykluczają²⁴.

²³ Por. B. Geremek, *Najemna siła robocza w rzemiośle Paryża XIII–XV w.*, Warszawa 1962, idem, *Ludzie marginesu w średniowiecznym Paryżu, XIV–XV wiek*, Wrocław 1971, idem, *Świat „opery żebraczej”. Obraz włóczęgów i nędzarzy w literaturach europejskich XV–XVII wieku*, Warszawa 1989.

²⁴ Idem, *Historyk w świecie polityki. Wykład inauguracyjny w Katedrze Międzynarodowej Collège de France, 8 stycznia 1993 r.*, tłum. H. Zaremska, „Gazeta Wyborcza” 1993, nr 7 (1086) z dn. 9–10 stycznia 1993, s. 8. W innym miejscu uczony zaznaczał: „Przybywam w 1956 roku do Paryża i, oszołomiony wszelkimi możliwościami lektur, najpierw idę do Biblioteki Narodowej. (...) Postanowiłem zająć się biedakami Paryża. Dlaczego biedakami? Z dwóch powodów: po pierwsze, ideologiczna i polityczna predylekcja młodego marksisty i komunisty, a po wtóre, ponieważ historyk próbuje dotrzeć tam, gdzie istnieją „białe plamy”, gdzie znajduje się nie zbadany jeszcze obszar epistemologiczny”. G. Duby, B. Geremek,

Bronisław Geremek wiedziony moralną intuicją oraz rozczarowany siermiężnymi realiami komunistycznej utopii stopniowo wycofywał się z aktywności instytucjonalno-organizacyjnej. Punktem zwrotnym jego przemiany okazała się inwazja wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. W proteście wobec tego aktu agresji złożył legitymację partyjną, co bez wątpienia naraziło go na szykany, w tym – szczególnie bolesne dla mediewisty – ograniczenie kontaktów z zagranicznymi środowiskami akademickimi.

Po wielu latach od tamtych wydarzeń autor *Litości i szubienicy* opatrzył przedmową polski przekład biografii Ludwika Rajchmana, polskiego bakteriologa, współzałożyciela Funduszu Narodów Zjednoczonych na rzecz Dzieci (UNICEF). Charakterystyka światopoglądu słynnego działacza organizacji międzynarodowych jest właściwie autocharakterystyką samego Geremka – śladem refleksji nad własną drogą życiową oraz ideową:

(...) był przywiązany do liberalnych wartości europejskich, które łączył z wrażliwością społeczną, charakterystyczną dla polskiej inteligencji, ale dzielił też z całym swoim pokoleniem wielkie rozczarowania XX wieku. Czy dzielił z nim również wielkie ideologiczne złudzenia? Z lektury tej książki wyłania się raczej człowiek paradoksalnie łączący idealizm z pragmatyzmem, obcy ideologicznym namietnościom, unikający politykierstwa i głoszący pewną wyższość kwestii humanitarnych, które pozwalają odkryć na nowo sens zaangażowania politycznego²⁵.

Wspólne pasje. Rozmowę przeprowadził Philippe Sainteny, tłum. E.T. Sadowska, Warszawa 1995, s. 17.

²⁵ Idem, *Przedmowa*, w: M.A. Balińska, *Ludwik Rajchman. Życie w służbie ludzkości*, tłum. M. Braunstein, M. Krasicki, Warszawa 2012, s. 12.

Sens, który mógł być ponownie uchwycony dzięki gestowi odmowy, tak znamiennej dla postawy dysydentów i rewizjonistów, którzy potrafili zrozumieć, że komunizm – nawet w odmianie akcentującej elementy socjalistyczne – jest już tylko ślepą uliczką²⁶.

Pewnego rodzaju bierność polityczna²⁷ nie oznaczała jednak całkowitego wyłączenia z obiegu działań opozycyjnych wobec systemu. Wręcz przeciwnie, odrzucenie przynależności partyjnej, ciężącej od wielu lat, przyczyniło się do intensyfikacji zaangażowania Geremka w inicjatywy, w których dostrzegał szczególny rodzaj szansy na budowę zrębów społeczeństwa obywatelskiego. Chodziło tu głównie o aktywność natury dydaktycznej i włączenie się w praktykę Uniwersytetu Latającego oraz Towarzystwa Kursów Naukowych²⁸. Jak sam zaznaczał:

Kontakty z młodzieżą, studentami, ich pytania, niepokoje? Tak, to był element, który mnie skłonił do pełnego uczestnictwa w inicjatywie „Latającego Uniwersytetu” i Towarzystwie Kursów Naukowych. Miałem coraz bardziej świadomość, że istnieje jakaś presja tych pokoleń wchodzących do życia społecznego, które jakby oczekują rad, jak żyć, jak funkcjonować. Inicjatywa „Uniwersytetu Latającego” i TKN-u wychodziła naprzeciw takim oczekiwaniom dlatego, że stwarzała nadzieję na formowanie kultury politycznej młodego pokolenia²⁹.

²⁶ Por. J. Jedlicki, *Geremek na gruzach socjalizmu*, w: *Bronisław Geremek. Ojciec polskiego liberalizmu*, red. P. Luty, Łódź [b.r.], s. 41–44.

²⁷ Por. A. Garlicki, *Rycerze Okrągłego Stołu*, Warszawa 2004, s. 119.

²⁸ Por. *Towarzystwo Kursów Naukowych*, hasło w: D. Cecuda, *Leksykon opozycji politycznej, 1976–1989*, s. 115–117. Bronisław Geremek był sygnatariuszem deklaracji założycielskiej, a potem również członkiem Rady Programowej TKN. Por. M. Kunicki-Goldfinger, s. 95–96 oraz M. Pinque, *Bronisław Geremek*, s. 68.

²⁹ B. Geremek, *Eksperci w Gdańsku. Wspomnienia o Sierpniu '80*, „Widnokrąg” 1986, nr 3–4, s. 53.

Uczony podpisał także wiele oświadczeń oraz apeli politycznych, m.in. tzw. „list siedmiu” z grudnia 1975 roku (wraz z Krystyną Kersten, Edwardem Lipińskim, Janem Strzeleckim)³⁰ czy też list w obronie aresztowanych członków i współpracowników KOR³¹. Kiedy w 1977 roku Bronisław Geremek rozmawiał w Waszyngtonie z Jerzym Wiatrem, zadeklarował, że w razie użycia przez władze siły wobec opozycji, natychmiast wróci do kraju i zaangażuje się w pomoc³². I choć nie były to zatrudnienia o charakterze ściśle politycznym, spotkały się ze zdecydowaną reakcją władz – do tego stopnia, że przyjaciele Geremka we Francji zaczęli oficjalnie protestować w ambasadzie PRL w Paryżu³³.

Manifestowanie postawy opozycyjnej wiązało się w świadomości badacza z powinnością, która wynikała z tradycji polskiej inteligencji, ale także ze sferą indywidualnego doświadczenia³⁴. Ogromne znaczenie miał tu naturalnie – wspomniany już wcześniej – czynnik etyczny. Konsekwentne stosowanie owych zasad, które nie było i nie mogło być nakierowane na jakikolwiek wynik polityczny, doprowadziło w efekcie do zaskakujących rezultatów. W jednym z wywiadów Bronisław Geremek podkreślał:

³⁰ Por. M. Grochowska, *Strzelecki. Śladem nadziei*, Warszawa 2014, s. 473.

³¹ Por. M. Kunicki-Goldfinger, *Bronisław Geremek*, s. 95.

³² Por. A. Michnik, J. Tischner, J. Żakowski, *Między Panem a Plebanem*, Kraków 1998, s. 356.

³³ Por. M. Kula, *Mimo wszystko bliżej*, s. 324.

³⁴ Por. *Między Wschodem i Zachodem, Ameryką i Europą. Z Bronisławem Geremkiem rozmawiają Andrzej Jonas, Magdalena Sowińska i Witold Żygulski*, „The Warsaw Voice” 2000, nr 9 (592) z dn. 1 marca [dodatek specjalny], s. 20.

Rola intelektualisty sprowadza się do krytycznego uczestnictwa w życiu publicznym, krytycznej analizy polityki i formułowania jej projektów czy też idei politycznych. Dlatego powołaniem intelektualisty nie jest czynny udział w polityce. Jednak zasada ta obowiązuje w normalnych, demokratycznych państwach. Natomiast systemy totalitarne, w których na pierwszym miejscu staje problem moralnych wyborów, popychają ludzi ku życiu publicznemu. I wtedy, niejako naturalnie, intelektualista trafia w sam środek sceny politycznej³⁵.

Takim momentem było dla Geremka przekroczenie bramy Stoczni Gdańskiej i przemiana z reprezentanta warszawskiej inteligencji, która udzieliła poparcia strajkującym robotnikom, w doradcę i członka Komisji Ekspertów MKS. To w masowym ruchu robotniczym dostrzegł on szansę na odzyskanie przez społeczeństwo utraconego poczucia godności, ujawniającej się w świadomym odrzuceniu przemocy jako narzędzia rewolucyjnej zmiany³⁶. Od tej chwili badacz środowisk najemnych robotników w średniowiecznym Paryżu przeistoczył się w jednego z najbardziej aktywnych i twórczych działaczy niezależnego ruchu związkowego. Odegrał kluczową rolę we wszystkich wydarzeniach politycznych, które rozegrały się w Polsce po podpisaniu Porozumień Sierpniowych: był najbliższym doradcą Lecha Wałęsy, przewodniczył radzie programowej Ośrodka Prac Społeczno-Zawodowych przy Krajowej Komisji Porozumiewawczej, był jednym z autorów programu politycznego NSZZ „Solidarność”, a także delegatem na I Zjazd związku³⁷. Można bez większej przesady po-

³⁵ *Profesor to nie obelga. Z prof. Bronisławem Geremkiem rozmawiają Andrzej Brzezicki i Jarosław Makowski*, „Tygodnik Powszechny” 2003, nr 35 (2825) z dn. 31 sierpnia, s. 5.

³⁶ Por. *L'historien et le Politique*, s. 98.

³⁷ Por. J. Skórzyński, *Bronisław Geremek i realizm wartości*, „Liberté!” [2008], nr II, s. 86.

wiedzieć, że – wskutek nowych i zupełnie nieprzewidywalnych obowiązków – nigdy nie powrócił już do dawnego, akademickiego rytmu życia. Kilka lat później wspominał na łamach podziemnej prasy:

Wychodziliśmy potwornie zmęczeni. Wychodziliśmy ze stoczni około szóstej po południu. Miałem pełne poczucie satysfakcji, natomiast radości – nie... Miałem poczucie, że zaczęło się coś potwornie trudnego... strasznie trudnego... Jak to będzie możliwe! (...) Taki anegdotyczny fakt – miałem ze sobą korektę książki, która ukazać się miała we Francji, i którą powinienem był zrobić do końca sierpnia. Pomyślałem, jadąc do Gdańska, że gdzieś będę miał możliwość te kilkaset stron przejrzeć... Oczywiście, do 31 sierpnia nic z tego nie wyszło. Nie mogłem spać w nocy po podpisaniu porozumienia. O czwartej nad ranem, następnego dnia, pomyślałem: skoro nie śpię, to może lepiej zrobić coś pozytywnego. Próbując więc wrócić do normalnego życia, zacząłem robić korektę książki i nie byłem w stanie. I napisałem tej nocy tekst, który potem wyszedł w formie pierwszego druku MKS-u, mianowicie: *Jak zakładać związki zawodowe*³⁸.

A przecież był to zaledwie początek. Dotychczasowe doświadczenie zawodowe Geremka, jego zdolność analitycznego myślenia, umiejętność precyzyjnego kształtowania wypowiedzi, a ponadto wiedza, erudycja, międzynarodowe kontakty i znajomość języków obcych sprawiły, że błyskawicznie – a dla wielu aktorów ówczesnej sceny politycznej – w sposób zaskakujący przedzierzgnął się w niezwykle utalentowanego polityka³⁹. Upodobanie do obserwowania zjawisk mających w życiu społecznym i publicznym konkretne przyczyny i przynoszących określone skutki, a więc warsztatowe umiejętności

³⁸ B. Geremek, *Eksperci w Gdańsku. Wspomnienia o Sierpniu '80*, „Widnokrąg” 1986, nr 3–4, s. 69.

³⁹ Por. A. Garlicki, *Rycerze Okrągłego Stołu*, s. 120.

historyka, okazały się w tym wypadku fundamentalne, choć zarazem nie przysporzyły przyjaciół, ale za to pomnożyły przeciwników i wrogów. Bronisław Geremek dość szybko, bodaj od momentu tzw. porozumienia warszawskiego, znalazł się pod ostrzałem radykalnego skrzydła „Solidarności”, które podejrzewało go o ciążenie w stronę obozu władzy. Wyważona i racjonalna postawa intelektualisty nie mogła przypaść do gustu wszystkim. Jednak bez względu na rozbieżność ocen nie ulega żadnej wątpliwości, że wpływ myśli politycznej Geremka, a także jego wizji instytucjonalnych i organizacyjnych rozwiązań był na tyle znaczący, że ukształtował zasadniczą strategię polityczną „Solidarności”. Istota rzeczy nie polegała jednak na jakiejś technokratycznej grze interesów:

W mojej biografii politycznej zawsze będzie brakowało jednego – upodobania do sprawowania władzy; nie mam go zupełnie. Ale upodobanie do angażowania się – tak, w innym przypadku już bym nie uczestniczył w życiu politycznym, zwłaszcza teraz, gdy mogę wybierać. Mam natomiast poczucie, że spełniam swą powinność⁴⁰.

Podstawą stylu uprawiania polityki przez Bronisława Geremka było przekonanie o logice wyboru fundamentalnych wartości – wyboru podyktowanego racją odpowiedzialnie podjętej refleksji, która z kolei obejmuje długie pasma skutków działań politycznych a nie ich krótkotrwałe i koniunkturalne odpowiedniki. Istotą takiego podejścia byłoby chyba istnienie pewnej wizji politycznej, stanowiącej praktyczne umocowanie owych wartości w realnym świecie. Umiejętność przełożenia dalekosiężnych planów na działania strategiczne czy też taktyczne prowadzące do ich urzeczywistnienia wymagałyby jednak rozważań, choć zarazem konsekwencji i przekonania w siłę

⁴⁰ G. Duby, B. Geremek, s. 36–37.

porozumienia, która tonizuje różnice światopoglądowe w imię wyższych interesów wspólnoty, społeczeństwa i państwa. Wspólne dobro jako funkcja międzyludzkiej więzi kształtuje się zaś dzięki regułom „zapewniającym możliwość dokonania wyboru”⁴¹.

Bronisław Geremek wielokrotnie wracał do tych kwestii w szeregu szkiców czy wystąpień prezentowanych na forum polskim i międzynarodowym. Odwoływał się przy tym do klasyków europejskiej myśli politycznej, ale także do własnego zawodowego doświadczenia:

Natomiast z zawodu, powołania i upodobania jestem historykiem i staram się wprowadzić do polityki coś z historii. Stawiam pytania o przyczyny i skutki. Nie pojmuję polityki w kategoriach cyklu wyborczego. Myślę o niej tak jak przyszły obserwator, historyk, który wie, jak to w historii bywało. Ale wierzę, że w polityce powinny obowiązywać pewne zasady etyczne, racje moralne i lojalność. Brak lojalności oznacza, że nie ma możliwości porozumienia, kompromisu i kontraktu⁴².

Zarazem odrzucał politykę pojmowaną jako czysta gra interesów i zmyślna *techné*, prowadząca do zdobycia i utrzymania władzy, choć dobrze się czuł w rozmowach gabinetowych i kularowych. Jak twierdzą świadkowie jego inicjatyw politycznych, „lubił w sposób dyskretny trzymać wodze w ręku i nie każdą kwestię poddawał rozpatrywaniu na forum”⁴³. O tym, jak skutecznie potrafił wykorzystać choćby powierzony mu man-

⁴¹ R.A. Dahl, *Demokracja i jej krytycy*, tłum. S. Amsterdamski, Warszawa 2012, s. 435.

⁴² *W rytmie fajki. Z prof. Bronisławem Geremkiem rozmawia Kazimierz Targosz*, „Przekrój” 2001, nr 5 (2902) z dn. 5 lutego, s. 16.

⁴³ H. Wujec, *Intelektualista, który się nie bał*, w: *Bronisław Geremek. Ojciec polskiego liberalizmu*, s. 163.

dat moderatora opozycyjnych dyskusji, zaświadczyają stenogramy obrad Komitetu Obywatelskiego – wymóg dyscypliny czasowej wobec autorów poszczególnych wystąpień był przez niego egzekwowany z żelazną konsekwencją⁴⁴. Doskonale opanował polityczny warsztat i jego podstawowy walor, a więc skuteczność⁴⁵, ale nie znosił demagogii – pustosłowią podszytego wyrachowaną kalkulacją wyborczą, zwłaszcza jeśli wykorzystywało ono odruchy zbiorowej hysterii. W tej kwestii Geremek zgadzał się z przekonaniem Istvána Bibó⁴⁶, sam zaś stwierdzał:

W demokracjach świata daje się zauważyć osłabienie pewnej moralności politycznej, mianowicie tej, która sprzeciwia się używaniu niskiej demagogii, odwołującej się do najniższych instynktów; zaiste osłabła moralność odrzucająca to, co u schyłku poprzedniego wieku i na progu naszego określano jako psychologię tłumu. Dzisiaj utalentowani demagodzy używają wyświechtanych i niebezpiecznych sloganów bez wstydu i bez żadnych sprzeciwów. Podkreślam, że jest to zjawisko powszechne. Wiem jednak, że najpierw i zwłaszcza dotyczy ono Europy postkomunistycznej⁴⁷.

⁴⁴ Por. *Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Lechu Wałęsie. Stenogramy posiedzeń, 7 listopada 1987 – 18 grudnia 1988 – 23 kwietnia 1989*, oprac. M. Strasz, Warszawa 2006, *passim*. Na jednym ze spotkań Adam Michnik rozpoczął swoje wystąpienie następującą żartobliwą uwagą: „Ja tutaj liczę na protekcję, że pan przewodniczący [Wałęsa] się wstawi do pana Geremka, bo ja się jąkam, więc może mi te półtorej minuty dłużej dorzuci” (ibidem, s. 147).

⁴⁵ Por. *Retoryka*, hasło w: „Profesor to nie obelga”. *Alfabet Bronisława Geremka*, wybór, układ i oprac. J. Głażewski, słowo wstępne H. Samsonowicz, Kraków 2013, s. 99–100.

⁴⁶ Por. I. Bibó, *Przyczyny i dzieje niemieckiej hysterii politycznej*, w: idem, *Eseje polityczne*, tłum. i oprac. J. Snopek, Kraków 2012, s. 112–113.

⁴⁷ G. Duby, B. Geremek, s. 147.

Szczepionką na nieufność wobec działań politycznych – jedną z najbardziej niepokojących cech współczesnego świata – byłyby odbudowa formuły społecznego autorytetu. Ów proces rozpoczyna się jednak zawsze w horyzoncie manifestowania postaw etycznych. Wiarygodność jest tu funkcją rzeczywistego zaangażowania jako służby i społecznej powinności. To one stały się główną przyczyną moralnego autorytetu, jaki zyskały środowiska inteligenckie w czasach solidarnościowej rewolty, co z kolei przełożyło się na potencjał negocjacyjny opozycji przy Okrągłym Stole: władze komunistyczne doskonale zdawały sobie sprawę z symbolicznej siły niektórych politycznych gestów⁴⁸. Nie były jednak w stanie przewidzieć do końca ich konsekwencji⁴⁹.

⁴⁸ „Ekipa rządząca (...) ostrożnie zaczęła jednak sondować główny ośrodek obozu solidarnościowego. Tak należy interpretować fakt, że miesięcznik PRON „Konfrontacje” poprosił o wywiad Bronisława Geremka, jeszcze niedawno nazywanego przez propagandę czołowym przedstawicielem „solidarnościowej ekstremy”. W wywiadzie tym Geremek przedstawił koncepcję paku antykrzysowego i podziału życia publicznego na dwie sfery: kluczowych decyzji politycznych dotyczących polityki państwa, zastrzeżoną dla PZPR, oraz działalności związkowej i stowarzyszeniowej, w której obowiązywałaby zasada pluralizmu”. A. Hall, *Osobista historia III Rzeczypospolitej*, Warszawa 2011, s. 26.

⁴⁹ „Bez żadnej polskiej megalomanii, której nigdy nie ulegam, jestem przekonany, że to właśnie polski proces Okrągłego Stołu rozpoczął nieodwracalny upadek imperium radzieckiego. Wszystkie poprzednie ruchy opozycyjne, dysydenckie były ruchami moralnego oporu pozbawionymi jakiegokolwiek politycznej nadziei. W Polsce po raz pierwszy umowa dotyczyła procesu politycznego, który do tej pory był elementem monopolu partii komunistycznej”. *Nadzieja nazywa się Europa. Z Bronisławem Geremkiem rozmawiają Adam Krzemiński i Günter Hofmann*, „Gazeta Wyborcza” 2009, nr 161 z dn. 11 lipca, s. 18.

We współczesnej polityce racje moralne bywają postrzegane jako maska, niezbędny element wyborczego kostiumu. Etyczny idealizm sprowadza się dziś często do formuły utopijnego marzenia, skazując go z góry na klęskę w pragmatycznym środowisku ponowoczesności. Trudno o bardziej wyrazistą bezmyślność, ponieważ to właśnie uważna analiza współczesnej sytuacji prowadzi do wniosku, że właściwie pojęta polityka „jeszcze nigdy nie była tak potrzebna jak obecnie, kiedy przyszły na nią ciężkie czasy i jej możliwości budowania mostów poważnie się skurczyły”⁵⁰.

Kultura polityczna wytwarza się wskutek długotrwałego oddziaływania na świadomość społeczną, poprzez kształtowanie postaw aprobatywnych wobec aktywności i zaangażowania na rzecz wspólnoty oraz poszanowania praw i wolności przeciwnika, który nie musi koniecznie być uznany za wroga – wzajemna pogarda jest jak wirus niszczący dane zapisane na twardym dysku dziejów naszej rodzimej tolerancji⁵¹. Tym bardziej że jakość kultury politycznej zależna jest od dynamiki granic wolności, zarówno indywidualnej, jak i zbiorowej⁵². Być może elementem kluczowym w tym procesie – choć stwier-

⁵⁰ Z. Bauman, K. Tester, *O pożytkach z wątpliwości. Rozmowy z Zygmuntem Baumanem*, tłum. E. Krasieńska, Warszawa 2003, s. 166.

⁵¹ Por. „W życiu publicznym trzeba umieć bronić fundamentalnych wartości, być przywiązany do własnych racji, ale też rozumieć – a także akceptować – racje innych. Trzeba mieć umiejętność godzenia i budowy uczciwego kompromisu”. B. Geremek, *Dlaczego warto głosować na Unię Wolności*, „Gazeta Wyborcza” 1997, nr 196 z dn. 23 sierpnia, s. 11.

⁵² Por. J. Jedlicki, *Jaka będzie wasza demokracja? (Odpowiedź na ankietę na temat kultury politycznej)*, w: idem, *Żle urodzeni czyli o doświadczeniu historycznym. „Scripta” i „postscripta”*, Londyn–Warszawa 1993, s. 155.

dzenie brzmi szalenie banalnie – jest edukacja obywatelska. Jak zaznaczał Bronisław Geremek:

Opór moralny, chociaż zdaje się niczym nie zagrażać systemom opartym na przemocy zbrojnej i politycznej, funkcjonuje jak ziarno piasku w trybach maszyny. Idea społeczeństwa obywatelskiego, a więc zbiorowości ludzi, która sama się organizuje – nawet jeżeli świadomie ogranicza się do sfery niepolitycznej, do edukacji, do wymiany informacji i opinii czy do ochrony elementarnych interesów grupowych – idea taka miała ogromny potencjał antytotitalarny⁵³.

W warunkach demokratycznych ów potencjał nie ulega znaczącym przewartościowaniom, ale przeciwnie „stwarza możliwość przewyciężenia sprzeczności między państwem a społeczeństwem i zaangażowania się obywatela w życie publiczne. Tylko takie warunki dają bezpieczeństwo demokracji”⁵⁴.

Bronisław Geremek nie był politykiem anachronicznym, w swych działaniach starał się po prostu odnosić do kanonu myśli politycznej, dla której impulsem była perspektywa moralna. Wydaje się również, że w jakimś sensie współtworzył ów kanon. Niemal rok po wyborach czerwcowych zaznaczał: „(...) mnie nie interesuje polityka pozbawiona imperatywów etycznych. Co więcej, nie potrafiłbym się odnaleźć w polityce pojmowanej jedynie jako czysta gra”⁵⁵.

⁵³ B. Geremek, *Spółczesność obywatelska i współczesność*, w: *Europa i społeczeństwo obywatelskie. Rozmowy w Castel Gandolfo*, red. K. Michalski, Kraków 1994, s. 238–239.

⁵⁴ Ibidem, s. 249.

⁵⁵ *Kontrakt był potrzebny. Rozmowa z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego*, „Współnota” 1990, nr 10 z dn. 19 maja, s. 3.

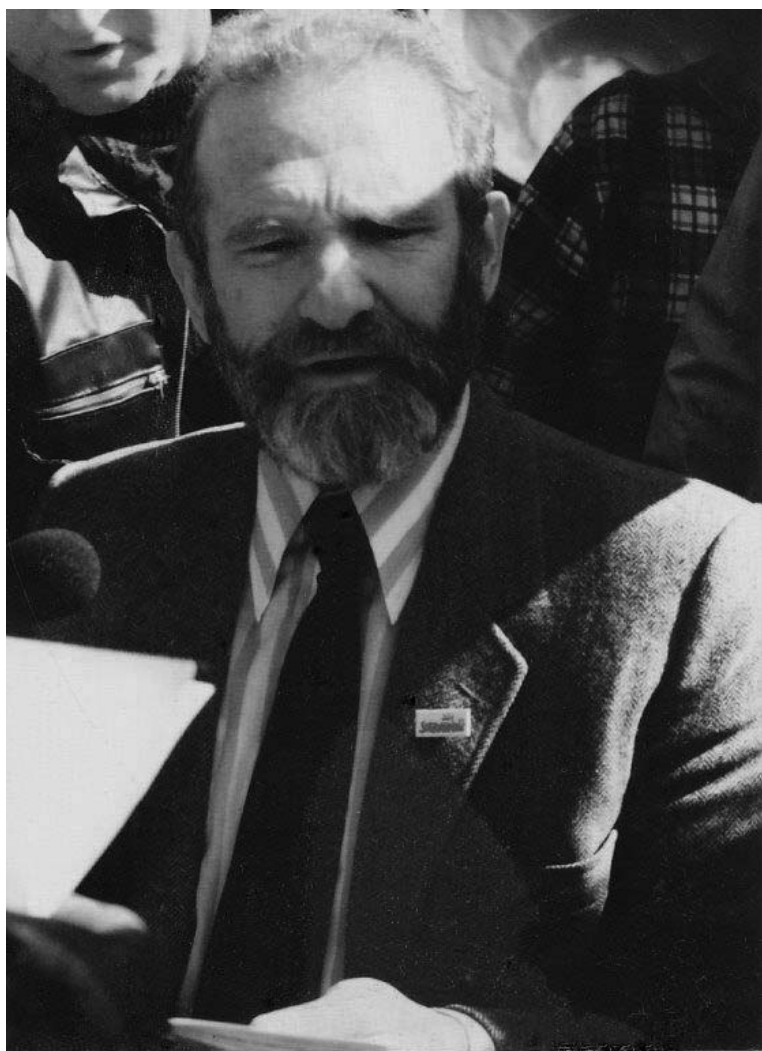
O potrzebie permanentnej aktualizacji tego modelu – zwłaszcza w kontekście degradacji polskiej klasy politycznej – nie trzeba chyba nikogo przekonywać.

* * *

Niniejsza książka zawiera wywiady, których Bronisław Geremek udzielił w okresie swej działalności publicznej i politycznej w latach 1988–2008. Spośród ponad stu rozmów wybranych zostało blisko pięćdziesiąt, tworzących spójną panoramę aktywności posła, szefa klubu parlamentarnego, ministra spraw zagranicznych, europarlamentarzysty. Bronisław Geremek traktował wywiady prasowe jako formę prowadzenia polityki informacyjnej – starał się spokojnie wyjaśniać decyzje, ważyć racje. Chętnie rozmawiał zarówno z dziennikarzami wysokonakładowych gazet i dzienników, jak i tytułów lokalnych, o zdecydowanie mniejszym zasięgu.

Wszystkie źródła drukowane, z których zaczerpnięto wywiady składające się na książkę, pochodzą ze zbiorów Fundacji Centrum im. Profesora Bronisława Geremka.

I Preludium



„Uważam (...), że trzeba myśleć w tradycji realizmu „Solidarności”, to znaczy określać pole możliwych zmian na przecięciu społecznych aspiracji i systemowych wymogów związanych z sytuacją geopolityczną”.

Pakt bez dogadywania się

Z Bronisławem Geremekiem rozmawia Paweł Hofer
[Helena Łuczywo]

Paweł Hofer: Już kilka miesięcy temu, kiedy mówił pan o pakcie anty kryzysowym w wywiadzie dla „Konfrontacji”, ten pomysł był krytykowany i za ugodowość, i za brak realizmu. Teraz wydaje się jeszcze bardziej nie na czasie.

Bronisław Geremek: Zacząłbym od ogólnego stwierdzenia. Pogarsza się sytuacja ludzi, materialna, ekologiczna, wszelka inna i to z dużym przyspieszeniem. Brak nadziei, perspektyw. Wybór jest w moim przekonaniu taki: albo trzeba ten ustroj obalić, albo spróbować sprawić, aby coś się zmieniło w jego ramach. Obalenie ustroju także mieści się w kategoriach politycznego myślenia, jeśli jest taka możliwość. Ale ja jej nie widzę. Uważam, że nie wytworzył się dostateczny potencjał zmian. I dlatego twierdzę, że trzeba zrobić wszystko, co można, ale na zasadzie realizacji kompromisu. Pakt anty kryzysowy nie jest moim pomysłem, wyrasta z doświadczenia programowego „Solidarności”. To było przecież końcowe sformułowanie zjazdu w Oliwii. I ten pomysł wraca w 1987 roku w sytuacji, w której jest zakręt i obie strony myślą, co dalej. Ważne jest, aby władza przy każdym nowym formułowaniu polityki wiedziała, że ma możliwość takiego właśnie układu. Sądzę, że jest to pojęcie aktualne. A jednocześnie staje się coraz bardziej zużyte.

Władza wielokrotnie przejmowała słowo i czyniąc je przedmiotem propagandy zużywała jego treść.

Zużyty jest cały układ między władzą a społeczeństwem. Obecna ekipa jest zresztą niezdolna do porozumienia, kompromisu. Wczoraj na sesji Polskiego Towarzystwa Socjologicznego mówił o tym nawet płk. Kwiatkowski.

Przyjmijmy za zasadę myślenia, że nie warto wchodzić w sprawę zmian personalnych. Dlatego nie myślę o tym, czy się zmieni ekipa, zadaję sobie przede wszystkim pytanie, czy możliwa jest zmiana polityki. Jest zasadnicza konieczność takiej zmiany. A jednocześnie władza pozostaje zablokowana w swoich frustracjach – podstawowy problem uznania podmiotowości partnerów społecznych jest dla niej nadal nie do przekroczenia.

Nie jest jednak jasne, do czego „Solidarność” teraz zmierza, na co liczy. Oczywiście żądanie legalizacji związku jest dziś niewystarczające. I – jak się wydaje – osoby, które mają wpływ na program „Solidarność” świadomie utrzymuje tę niejasność.

Przywrócenie „Solidarność” w moim przekonaniu w ogóle nie jest postulatem, to nie jest program, „Solidarność” jest i ktokolwiek chce myśleć w kategoriach porozumienia, musi być tego świadomy. Porozumienie zawiera się z niezależnymi podmiotami i „Solidarność” jest takim podmiotem. Uznanie jej to problem politycznej woli porozumienia.

Gdy używamy pojęcia pluralizm, brzmi ono znowu jak słowo-wytrych. Ale odpowiada ono postulowanej sytuacji gospodarczej i społecznej. Nie ma natomiast jasności programowej w sprawie systemu politycznego, roli jednej partii. Sadzę, że dojrzał moment, by „Solidarność” sformułowała program mechanizmów demokratyzacji, które uznajemy za niezbędne. Przy czym nie do nas należy określenie granic realizacji tych mechanizmów.

Na ostatniej naradzie samorządów powiedziano jasno: demokratyczne wybory do sejmu.

Rady, które z tym wystąpiły, to nieliczna grupa, niemająca możliwości zmiany sytuacji. Wolne wybory są w moim przekonaniu iluzją. Gdy mówimy, że trzeba dokonać zasadniczych zmian w życiu publicznym, oznacza to nie tylko postawienie na szczeblu przedsiębiorstwa problemu własności, nie tylko eliminację systemu nomenklatury z gospodarki, nauki, oświaty, zdrowia, ale także wprowadzenie struktur kontrolnych. W 1981 roku proponowaliśmy Społeczną Radę Gospodarki Narodowej. Chcieliśmy, żeby istniało ciało niezależne, które formułowałoby program gospodarczy i uwiarygodniało go, które nie miałoby żadnej władzy wykonawczej, ale miało dostęp do źródeł informacji i do opinii publicznej. Myślę, że to jest w tej chwili propozycja realna i ważna. Póki istnieje polityczny układ pojałtański, nie ma możliwości innych wyborów. Gdyby był tylko taki wybór: albo pełna wolność polityczna, albo realny socjalizm w obecnym kształcie, to polityczna debata nie miałaby dziś sensu. Trzeba umieć wytworzyć kontrolę społeczną, reprezentację, w której społeczeństwo cywilne wypowiada się poza układem przedstawicielskim. Po doświadczeniu z wyborami do rad narodowych – jak można się spodziewać, że nagle władza komunistyczna da nam wolne wybory do sejmu?

Pan powiedział, że to nie my powinniśmy nakreślać granice demokracji systemu, a cały czas pan je nakreśla. Robi to wrazenie oferty skierowanej do władz, a nie do członków „Solidarności”.

Listę rzeczy, których mi brak w życiu publicznym, to ja mam. Uważam jednak, że trzeba myśleć w tradycji realizmu „Solidarności”, to znaczy określać pole możliwych zmian na przecięciu społecznych aspiracji i systemowych wymogów związanych z sytuacją geopolityczną. Mówiąc o pakcie antykrzysowym to właśnie miałem na myśli. Użyłem słowa „pakt” – w ślad za Ryszardem Reiffem – dlatego, że w znaczeniu tego pojęcia nie ma elementu dogadywania się. Nie, to jest układ między stronami o sprzecznych interesach.

Na ile to, o czym pan mówi, zmieniło się po ostatnich strajkach?

Wszystko po strajkach się zmieniło. Był to moment prawdy, ujawnił się realny stan wszystkich sił w kraju i tylko ci, którzy potrafią wyciągnąć krytyczne wnioski, będą mieli rację w następnej próbie. Co wydaje mi się negatywnym bilansem strajków? To, że po obu stronach łatwo o usztywnienie na pozycjach nieskierowanych w przyszłość. Po stronie władzy – umocnienie się w przekonaniu o sile jej represji. Po stronie „Solidarności” – umocnienie się w sferze symbolicznej. Samo wyjście robotników ze Stoczni jest wspaniałą sceną, która wchodzi do *legendarium* „Solidarności”.

Czy istnieje możliwość, aby obie strony pojmowały inaczej te wydarzenia? Jest pewien znak nienajgorszy ze strony władz – nie dmie w trąby zwycięstwa. Ale czy potrafi zrozumieć, że ta fala strajkowa była zapowiedzią następnej, większej i że spieszenie trzeba dokonać wyborów zasadniczych? Widzę tylko jeden wybór, który Polsce coś przynosi: zmiany w sferze życia politycznego dostatecznie jasne, żeby wystartował proces zaufania.

Główną sprawą dla „Solidarności” jest rozziw między radykalizującymi się postawami młodego pokolenia robotników, studentów, inteligencji a językiem porozumienia, którego używamy. Ta rozbieżność może przybrać charakter dramatyczny. „Solidarność” może utracić kontakt z grupami, których wola będzie w najbliższych latach decydująca.

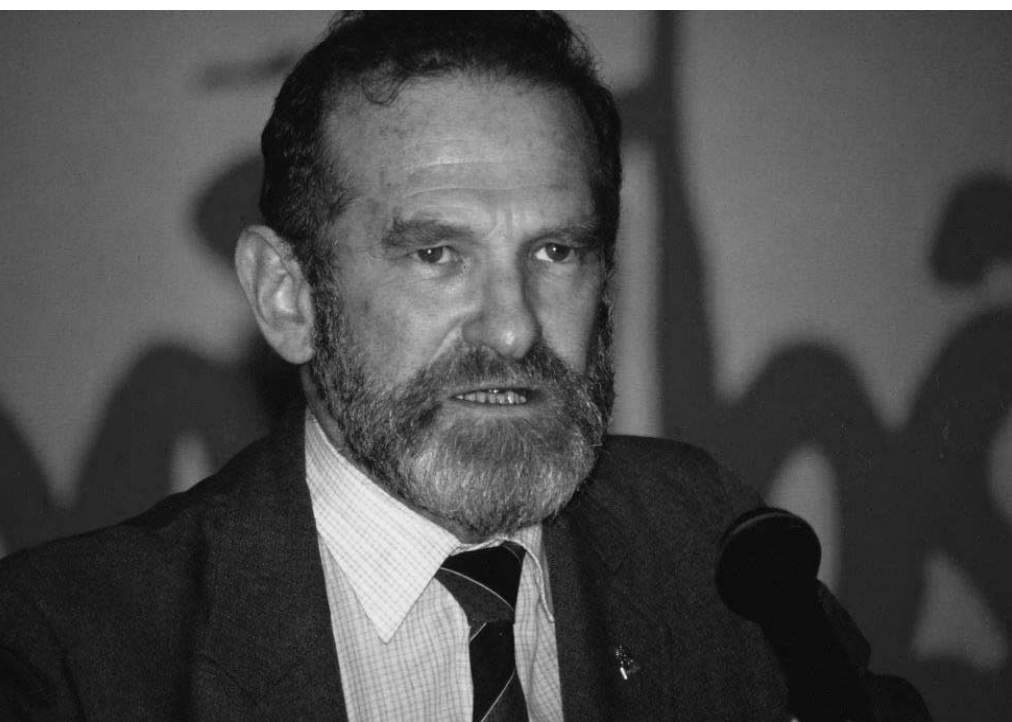
Czy obawia się pan, że wiosna „Solidarności” okaże się początkiem jej końca?

„Solidarność” przez 7 lat ustawiła bardzo wysoko poprzeczkę swoich wymagań i żądań, i nie osiągnęła nic. Są inne ruchy, małe, bez znaczenia, które ustawiły poprzeczkę tak, że zrealizowały swoje cele. A jednocześnie w momencie ostrego konfliktu, nie ma innych propozycji generalnych i nagle pada: Nie ma wolności, bez „Solidarności”. I tylko z „Solidarnością” utożsamiają się ludzie, którzy niewiele wiedzą o „Solidarności”, nigdy nie mieli w rękę ani jednej broszury „podziemnej”, a z działaczy Związku znają

tylko Lecha Wałęsę. To, co było stale słabością „Solidarności”, trwanie w symbolicznej i legendarnej niezłomności, sprawdziło się pozytywnie. Ale trzeba patrzeć w przyszłość. Następuje w tej chwili zwanie między sklerozą „Solidarności” a nowymi oczekiwaniami. Zobaczymy, jaki będzie rezultat. W tej chwili prawie wszystko zależy od ludzi, którzy uformowali się w „Solidarności” w okresie 1980–1981, w małej mierze od ludzi, którzy weszli do struktur w okresie stanu wojennego, natomiast dla reszty nie ma miejsca. To się musi zmienić.

II

Za klubowymi drzwiami



„Konstytucja powinna tworzyć ramy funkcjonowania państwa, w których realizują się prawa obywatelskie. (...) musi zakreślać ramy prawa dla chwili obecnej i dla przyszłości”.

Najpierw reformy, potem rząd

Z Bronisławem Geremekiem rozmawia
Eugeniusz Smolar, dyrektor Sekcji Polskiej Serwisu
Światowego BBC

Eugeniusz Smolar: W Warszawie mówi się, jakoby była rozpatrywana możliwość utworzenia rządu przez „Solidarność”.

Bronisław Geremek: „Solidarność” jest gotowa do podjęcia odpowiedzialności i byłaby także gotowa do uformowania rządu, jednak wymaga to przecież bardziej demokratycznego otoczenia. Wygraliśmy wybory i jest to moment zasłużonego triumfu. Ale w ślad za tym powinno iść nie formowanie rządu, tylko przekształcanie systemu politycznego, życia publicznego, społecznego i gospodarki.

Czy to nie koliduje z nastrojem optymizmu czy nawet radykalizmu wynikającym z tak niesłuchanego wyniku wyborów?

Tak, ale przecież ustrojów nie zmienia się przez wybory czy umowy polityczne. Ustroje zmienia się albo rewolucją, albo powolną, konsekwentną ewolucją. My opowiedzieliśmy się za tą drugą drogą. I w tej chwili główny nasz problem, to jak zrobić, by tę ewolucję uczynić rzeczywiście nieodwracalną. Przede wszystkim trzeba uratować gospodarkę, bo to znaczy ratować własny kraj. Ale nie ma mowy o tym, byśmy rzeczywiście mogli obronić poziom życia ludzi i gospodarkę, nie rozbijając zasady nomenklatury.

A więc raczej parlamentarna kontrola nad poczynaniami obecnych władz niż bezpośrednie zaangażowanie się w prace rządowe?

Sądzę, że ta ekipa „Solidarności” w Sejmie i Senacie będzie w stanie wpływać w sposób rzeczowy na formułowanie tej polityki.

Rozmawiamy w Londynie. Jest pan już po kilku ważnych spotkaniach, choć przed rozmową z premier Thatcher. Jaka jest wstępna reakcja władz brytyjskich po pańskiej prezentacji sytuacji w Polsce? Ze strony wszystkich sił politycznych w Wielkiej Brytanii spotykam się z niezwykle sympatią dla „Solidarności”. Rezultaty wyborów i nowa sytuacja polityczna w Polsce zwiększyły zainteresowanie dla naszego kraju. Zasadnicze znaczenie ma oczywiście kwestia ekonomiczna.

Jak rozumiem zamierza pan zapoznać swych brytyjskich rozmówców z tzw. propozycją pomocy gospodarczej dla Polski.

„Solidarność” dysponuje w tej chwili dokumentarni roboczymi, które nie uzyskały jeszcze potwierdzenia w instancjach czy środowiskach fachowych naszego związku. Zarysowują pewien kierunek: chodzi o gospodarczą pomoc dla reform, a nie o kredyty dla rządu. Bo jeśli się wspiera reformy, to znaczy nie wspiera się starych struktur rządu i gospodarowania.

Tworzymy ramy układu politycznego

Z Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym
Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, rozmawia
Dorota Ciepielewska

Dorota Ciepielewska: Przewodniczy pan gremium zupełnie odmiennemu od pozostałych, a także od dotychczasowych klubów w Sejmie?

Bronisław Geremek: Istotnie, OKP jest szczególnym klubem parlamentarnym, choćby dlatego, że obecnie nie ma prawnych podstaw do tego, by istniał. Obowiązujące regulaminy bowiem przewidują, że kluby są emanacją partii politycznych, OKP zaś nie jest emanacją żadnej partii. Jest natomiast przedstawicielem sił politycznych, które odniosły zwycięstwo w wyborach czerwcowych – grupuje 260 posłów i senatorów wybranych z list „Solidarności”.

O jego jedności wszakże decyduje nie tylko wybór z jednej listy, ale także związek z podstawowymi wartościami ruchu „Solidarność”: przekonanie o tym, że w życiu politycznym, gospodarczym i społecznym przywrócone musi być poszanowanie dla elementarnych wartości uznawanych za podstawowe w tradycji europejskiej i polskiej, a mianowicie dla wolności, praw człowieka, niepodległości narodowej, godności ludzkiej oraz dla ładu gospodarczego opartego na normalnych zasadach funkcjonujących

w gospodarce europejskiej. W ten sposób klub skupia się wokół programu sformułowanego w maju przed wyborami i realizowanego obecnie w nowym układzie politycznym.

Program ten powstał w innej rzeczywistości. To, co zdarzyło się od tamtej pory niewątpliwie spowoduje w nim zmiany.

Zmiany, jakie następują, nie dotyczą przedmiotu programu, ale czasu jego realizacji. Ostatnie miesiące przeniosły w Polsce ogromne przyspieszenie historii – możliwe staje się szybsze osiągnięcie tego, co rozkładaliśmy w okresie przedwyborczym na długie miesiące, a nawet lata.

W tej biegnącej historii osiągnięciem naszej reprezentacji parlamentarnej jest fakt, że Polska przechodzi do demokracji i sensownego ładu gospodarczego bez destabilizacji politycznej. Było to dążeniem „Solidarności” zarówno w okresie jej legalnego istnienia, jak i w ciągu lat nielegalnej walki o prawo do życia. I to się nam do tej pory udaje osiągnąć.

Myszę, że więcej rąk przestawiało ten pociąg na nowy tor. Wasza reprezentacja parlamentarna czyniła to jednak wyjątkowo skutecznie i zgodnie. A przecież nie da się zaprzeczyć, że macie w klubie grono indywidualności absolutnie niepokornych. Jak rządzić takimi ludźmi?

Nie usiłuję rządzić tym zespołem, chcę współorganizować jego działanie parlamentarne i polityczne. To trudne zadanie, ale jednocześnie mam satysfakcję, że właśnie jest to grono niepokornych, zmieniających również zasady funkcjonowania reprezentacji parlamentarnej, układy między członkami klubu a kierownictwem przez nich wybranym. Bilans tego działania wydaje mi się pozytywny, ponieważ w tych niezwykle trudnych, pierwszych miesiącach nowego parlamentu, mimo wielu różnic interesów, zdań, opinii, klub konsekwentnie realizował swoją politykę. W żadnej z zasadniczych spraw nie było takich podziałów czy konfliktów, które uniemożliwiłyby działanie. Sądzę, że można to traktować

jako dobrą zapowiedź na przyszłość, choć nie chcemy być sztucznie jednolitym zespołem ludzi głosujących na rozkaz.

Taka jednolitość jest niemożliwa także ze względu na różnorodność orientacji reprezentowanych w OKP. Spróbujmy je przybliżyć.

Główne orientacje są w parlamencie polskim dwie: ta, która wspiera dotychczasowy system rządu – w układzie monopartyjnym i na zasadzie monopolu oraz ta, która odrzuca tę zasadę. Ten podział jest aktualny, zmieniło się bowiem wiele w układzie centralnych organów władzy, zbyt mało natomiast w sposobie rządu krajem. To sprawia, że nadal różnice poglądów politycznych i interesów schodzą na drugi plan.

W OKP reprezentowane są odmienne interesy ludności wsi i miast, prywatnych przedsiębiorców i robotników. Są przedstawiciele opcji liberalno-gospodarczej i samorządowej. Do tej pory nie było między nimi konfliktów. Być może pojawią się one wtedy, kiedy trzeba będzie wybierać strategie gospodarcze i działania polityczne.

Czy różnorodność ta znalazła wyraz w tendencji do tworzenia struktur wewnętrznych w klubie?

Owszem, organizują się takie grupy na zasadzie wspólnoty interesów. Proponowano także wyodrębnienie grona posłów i senatorów zainteresowanych problemami samorządu pracowniczego, to jednak sprawa przyszłości.

Od czasu kiedy siły, które reprezentuje OKP, weszły w koalicję z partiami ze starego sojuszu, współpraca klubów nabrała nowych cech.

Z natury rzeczy częstsze są kontakty między przewodniczącymi tych trzech klubów, organizuje się wspólne zebrania prezydiów. Uzgadniamy inicjatywy legislacyjne, informujemy się wzajemnie o podejmowanych działaniach i określamy sposób poparcia dla rządu.

Do tej pory mamy także bezkonfliktowe stosunki z największym klubem sejmowym – Klubem PZPR, z którym w sprawach wy-

magających wspólnej decyzji (np. podział stanowisk przewodniczących komisji sejmowych) dochodziliśmy do porozumienia bez większych trudności. Obserwujemy też – co jest ważne i pozytywne – wytwarzanie się jakby podziałów poziomych, tzn. że opcja reformatorska w gospodarce czy polityce znajduje poparcie we wszystkich klubach.

Co pańskim zdaniem OKP wprowadził do pracy parlamentu?

Myślę, że przede wszystkim OKP wprowadził parlament do polskiego życia politycznego, a teraz dąży do wytworzenia mu stałego miejsca. Jest to problem modelu funkcjonowania państwa, w którym Sejm i Senat powinny być forum debat o kierunkach dokonujących się zmian, ośrodkiem kontroli działań władzy wykonawczej i tworzenia ustawowych, prawnych ram przyszłościowego układu politycznego.

Podjęliśmy prace nad niezbędną, natychmiastową nowelizacją obowiązującej konstytucji; wraz z innymi klubami rozpoczniemy pisanie nowej. Konieczne jest też nowe prawo gospodarcze na miarę programu reform kreślonego przez rząd.

Tak wyglądałyby owe przyszłościowe ramy prawne. Co natomiast należałoby uznać za najpilniejsze?

W najbliższych dniach ustalimy kalendarz naszych działań ustawodawczych. Powiem jednak, że w planach klubu znalazły się wszystkie te sprawy, które podjęliśmy już teraz. Prace legislacyjne są długotrwałe, wymagają i wiedzy ekspertów, i aktywności posłów oraz senatorów. W tej chwili uważamy za najpilniejsze przygotowanie reformy samorządu terytorialnego i – jak powiedziałem – prawa gospodarczego. Sądzę, że rezultaty uzyskamy już w ciągu najbliższych 4 miesięcy.

Zabiegacie o współpracę naukowców, chociaż jeśli spojrzeć na skład klubu, to okaże się, że z 24 profesorów – członków OKP – można by utworzyć niezły zespół ekspertów.

Powołaliśmy w OKP komisje problemowe, skupiające posłów i senatorów będących członkami odpowiednich komisji Sejmu i Senatu. Próbuje się zaangażować do tych prac przedstawicieli szeroko pojmowanego środowiska akademickiego. Tak np. zespół ekspertów ekonomicznych przygotował plan przebudowy gospodarki, zespół ekspertów socjologicznych dokonuje analizy sytuacji społecznej w kraju, specjaliści zaś z zakresu psychologii społecznej oceniają działania podejmowane przez rząd i parlament.

Taki potencjał intelektualny plus fakt, że wielu członków OKP znalazło się w obecnym rządzie lub objęło wysokie stanowiska w administracji państwowej, stwarza sporą siłę. Czy nie ma w tym pokusy, by powoli stać się samodzielnym ośrodkiem władzy?

Zaledwie kilku członków OKP znalazło się w rządzie, który jest rezultatem układu koalicyjnego. Nie sądzę, by OKP stał się ośrodkiem władzy, jest natomiast obecnie potężnym przedstawicielstwem. Potężnym przez to, że ma mocne poparcie społeczne. Jest to sytuacja siły i słabości. Mamy bowiem poczucie, że nawet nie uczestnicząc szeroko we władzy wykonawczej, ale będąc siłą sprawczą tego porządku, bierzemy – w odczuciu opinii publicznej – odpowiedzialność za kraj. I będziemy z tego rozliczeni.

To właśnie sprawia, że postanowiliśmy także w stosunku do rządu sformowanego na podstawie naszej decyzji i naszego programu stosować te same kryteria kontroli, krytycznej uwagi i rozliczenia. Możemy i powinniśmy być wobec niego społecznym głosem, który będzie wspierał jego reformatorskie poczynania i krytykował, gdy rozmijać się on będzie z oczekiwaniami społeczeństwa. Chcemy także, korzystając z zaufania, jakim nas obdarzono, przekonywać opinię publiczną do polityki rządu i parlamentu. Czy to jest znak władzy? Sądzę, że nie. Jest to przede wszystkim siła odpowiedzialności. Tę klub nasz ma.

Zmiana układu

Z prof. Bronisławem Geremkiem, szefem OKP,
rozmawia Elżbieta Sadowska

Elżbieta Sadowska: Od naszej ostatniej rozmowy (w marcu bieżącego roku) wiele się w Polsce zmieniło. Przede wszystkim „Solidarność” przejęła władzę. I cóż, panie profesorze, skończyły się żarty?

Bronisław Geremek: Przede wszystkim zmieniło się to, że nie rozmawiamy u mnie w domu, ale w gmachu Sejmu i rozmawia pani nie z prywatną, bezrobotną osobą, lecz z przewodniczącym Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. „Solidarność” nie przejęła władzy, nastąpiła jedynie zmiana władzy. To znaczy z pewnym przyspieszeniem nastąpił proces rozpadania się politycznego monopolu jednej partii. Ów proces przyspieszonego rozpadu dokonuje się na zasadzie koalicyjnej umowy trzech parlamentarnych ugrupowań politycznych, które podjęły decyzję o uformowaniu rządu. Ten rząd nosi charakter przejściowy, tak jak przejściowy charakter nosi układ polityczny, zapoczątkowany w czerwcu. Ani wybory nie były demokratyczne, ani też rząd, który został powołany, nie jest rządem sformowanym swobodnie i zgodnie z wolą wyborców. Jest rządem mieszanym, którego skład wynika z połączenia politycznego realizmu i świadomości tego, że Polska wkracza na drogę demokratycznych przeobrażeń oraz z poczucia, że wola narodu została w sposób jednoznaczny

wyrażona w wyborach czerwcowych. Jest to rząd obdarzony zaufaniem społecznym. I można powiedzieć, że wszystko dopiero przed nami.

Zgoda, „Solidarność” nie przejęła władzy w pełnym tego słowa znaczeniu, ale przecież miała jej nie brać w ogóle i jedynie sprawować kontrolę. Co więc skłoniło ją do tego – bądź co bądź – ryzykownego kroku?

Uparcie powtarzam: „Solidarność” nie sprawuje władzy. Jej przedstawiciele obecni są w rządzie. Jeśli spojrzy pani na skład gabinetu, uderzające jest przede wszystkim to, iż znaczna część stanowisk obsadzona jest na podstawie dotychczas jeszcze zapisanej w Konstytucji „przewodniej roli PZPR”. Faktem o zasadniczym znaczeniu jest jedynie to, że przedstawiciel „Solidarności” uformował rząd. No, ale powiedzmy, iż rzeczywiście nastąpiło przyspieszenie procesu politycznego i w związku z tym – zmiana stanowiska „Solidarności”. Dlaczego? Otóż dlatego, że rozpad gospodarki okazał się tak galopujący – także w wyniku ostatnich miesięcy sprawowania władzy przez dotychczasowy układ polityczny – że wystąpiła groźba destabilizacji kraju. Jeżeli w całym naszym ewolucyjnym planie zmian uważaliśmy, że wynika on z potrzeby zapewnienia owej stabilności, to właśnie sytuacja gospodarcza a nie polityczna okazała się głównym niebezpieczeństwem. Trzeba było zatem tę odpowiedzialność wziąć już teraz, wiedząc że jest to ogromne ryzyko. Głównie dlatego, że bilans w tej chwili jest negatywny, kasa państwa jest pusta, gospodarcze struktury rządu są nadal te same, pozostała też nomenklatura. Kapitał moralny „Solidarności” zostaje zaangażowany w proces wysoce niepewny i będzie się zużywał. Innego jednak wyjścia nie było.

Pewien wysoki funkcjonariusz partii miał powiedzieć tak: gospodarka polska jest w stanie śmierci klinicznej, dobrze, że jej grabarzem będzie „Solidarność” a nie my. I co pan na to? „Solidarnościową” opozycję wpuszczono w maliny?

Przypuszczam, że takie są zamierzenia niektórych ludzi, zwłaszcza tych, którzy byli współgrabarzami wolności Polski. Sądzę natomiast, że „Solidarność” jest siłą, która ma więcej szans na to, aby polską gospodarkę wyprowadzić ze stanu kryzysu, w jakim się znalazła. Z bardzo prostego powodu: dysponuje nadal największym zaufaniem społecznym. Czy jest nadzieja na ocalenie polskiej gospodarki? Jest, bo musi być.

Ale jakim kosztem?

To nie jest problem kosztów. Można rachunek wystawiać tym, którzy dotąd Polską rządzili. I co z tego? Nie mamy innego kraju na zamianę. To jest nasz kraj, trzeba go wyprowadzić ze stanu, w jakim się znalazł, a to mogą zrobić tylko Polacy. Nie ma co liczyć na to, że pomoc zagraniczna uleczy nam gospodarkę, może to być jedynie czynnik sprawczy całej tej operacji. Chociaż wydaje mi się, że w tej chwili istnieje perspektywa pomocy zachodniej na skalę niespotykaną w powojennej historii Polski. Ale jest to pomoc, której rezultat zależy od tego, czego sami Polacy potrafią dokonać. Koszty społeczne reform będą – i na pewno będą duże – ale proszę również spojrzeć, jak ogromny jest zapal ofiarności: emeryci, robotnicy, nawet więźniowie chcą przyjść z pomocą i nieustannie ją deklarują. To taki poryw polskiej woli życia. Stwarza on, w moim przekonaniu, ogromną szansę. I gdy myślę o tym, że Finowie po ostatniej wojnie dosłownie wykupywali swoją wolność, wierzę, że również Polacy będą w stanie sami ją odbudować.

Rzeczywiście, dają się dziś zauważyć zachowania pełne ofiarności, ale przecież miodowy miesiąc nowego rządu szybko się skończy, a nawet już – jak twierdzą niektórzy – granica cierpliwości społecznej została przekroczona. Czy nie obawia się pan utraty popularności nowego gabinetu i co za tym idzie – „Solidarności”?

Chyba nie. Polacy chcą przede wszystkim, aby mówić im prawdę, aby mieli dokładne rozeznanie, jaka jest sytuacja i co w niej można zmienić, chcą mieć pewność, że program, który w tej chwili rea-

lizuje rząd, będzie owocował. Czy autorytet „Solidarności” będzie się zużywał? Na pewno, ale na razie jest on duży. Myślę, iż głównym problemem jest w tej chwili to, w jaki sposób rząd potrafi nawiązać kontakt z opinią publiczną i czy będzie on lepszy niż do tej pory. Kontakt, w którym każda decyzja odbierana będzie jako fragment planu wychodzenia z kryzysu. Jeżeli tak się stanie, nie tracę wiary, że układ, w który weszliśmy, da pozytywny bilans. Zdaję sobie oczywiście sprawę z tego, że w sytuacji, w jakiej znajduje się dziś kraj, gdy pada ze strony rządu konkretny program przemian gospodarczych – głębokich, szybkich, radykalnych – dochodzi także do głosu konkurs demagogii. Na publicznym rynku znajduje on łatwą pożywkę. Nie ma w tej chwili większego niebezpieczeństwa dla Polski niż ta właśnie demagogia.

Powróćmy do kwestii, którą pan zaledwie poruszył, a mianowicie: nomenklatury. Jednym z argumentów, za pomocą którego broniła się „Solidarność” przeciwko współrządzeniu, było właśnie jej istnienie. Tymczasem rząd się zmienił, nomenklatura została – na co liczy nowa ekipa?

Nowa ekipa musi liczyć na to, że ze strony tego ogromnego świata nomenklatury przeważać będzie refleks posłuszeństwa. I myślę, że to się sprawdza. Natomiast największe niebezpieczeństwo postrzegam nie w istnieniu nomenklatury, lecz w jej rutynie. Posłuszna wobec nowej władzy, nie będzie sabotować jej działań, jednakże rutyna funkcjonowania sprawia, że nowe posunięcia rządu przybierają tę samą postać, co działania rządów poprzednich. Oto przykład z ostatnich dni. Podwyżka cen paliw, nieargumentowana i będąca spadkiem decyzji minionej ekipy, zrealizowana zostanie w ten sposób, że obejmuje wyłącznie rolników indywidualnych, a nie obejmuje gospodarstw państwowych, co jest przecież naruszeniem konstytucyjnej zasady równości praw. Nie stało się to ze złej woli, lecz na mocy rutyny systemowej. Tu tkwi największe niebezpieczeństwo i mam nadzieję, iż rząd na tego typu rutynowe decyzje nomenklatury reagować będzie z

ostrością, aby dać sygnał, że nie wystarczy posłuszeństwo wobec nowej władzy, tylko że konieczne jest nowe myślenie i nowy styl działania.

Ba, nowe myślenie! Tylko tyle i aż tyle. To przecież nie stanie się z dnia na dzień.

Tak, ale praktyka polityczna wskazuje, że gdy „polecą głowy” za uprawianie takiej właśnie rutyny, posłuszna reszta zrozumie, że trzeba inaczej i mam nadzieję, że górę wezmą kompetencje, fachowość i pragmatyzm.

Premier zapowiada jednak, że czystek nie będzie i polowań na czarownice również, a więc te prawie milion stanowisk kierowniczych ma pozostać w rękach PZPR?

Czystek nie powinno być, bo to jest praktyka starego systemu, natomiast musi być stosowane kryterium kompetencji. Sądzę, że w ramach tego miliona stanowisk ogromną część stanowią ludzie kompetentni, którzy potrafią działać skutecznie, a reszta musi przestać sprawować swoje funkcje. Ale nie na podstawie czystki, tylko na mocy egzaminu, który przeprowadzi życie. Ono będzie ich sprawdzało i eliminowało. To sprawa niezwykle ważna. Jeśli ktokolwiek sądzi, że ewolucyjny proces demokratyzacji uchroni cały ten świat, w którym polityczne priorytety skrywały brak wiedzy i fachowości, to się myli. Takiej możliwości nie ma. W przeciwnym razie oznaczać będzie, że cały proces wszczęty przy Okrągłym Stole i potwierdzony w wyborach spali na panewce.

Okrągły Stół wydaje się już dzisiaj prehistorią...

Jest historycznym wydarzeniem, a kto nie rozumie impetu, jaki ostatnim wydarzeniom ten „stół” nadał, ten nie rozumie historii Polski ostatnich lat.

Ten impet był rzeczywiście ogromny. Prof. Orzechowski powiedział niedawno w wywiadzie dla naszego pisma: „Sytuacja wszystkich nas przerosła”. Czy i pan podpisałby się pod tym?

Myszę, że każdy powinien mówić za siebie i nie podpisuję się pod tym stwierdzeniem.

Panie profesorze, sytuacja polityczna wygląda mniej więcej tak: opozycja przejęła władzę, ale tylko częściowo, co więcej, podzieliła się nią z naprędce zwerbowanymi sojusznikami ZSL i SD, a nawet ze swoim głównym antagonistą – PZPR. W wyniku tych zabiegów powstał twór zwany „wielką koalicją”. Tylko czym ona ma być i jaką odgrywać rolę? Opozycji wobec rządu czy siły prorządowej, skoro powstała z inicjatywy „Solidarności”, a obecny gabinet jest jej emanacją?

Rząd premiera Mazowieckiego jest rządem politycznego realizmu, który powstał na mocy ugody między „Solidarnością” a ZSL i SD. W parlamencie są różne grupy i różne siły polityczne, które reagują na działania rządu zgodnie ze swoimi założeniami programowymi, a niezależnie od układów koalicji rządowej. Występujemy w układzie konkurencyjnym wobec PZPR. Mówię: konkurencyjnym, a nie w układzie wrogości. Mamy bowiem nadzieję, iż wokół jednej sprawy, a mianowicie wokół sprawy reformy, nastąpi zjednoczenie wszystkich sił. Istnieje możliwość, że w PZPR, tak jak stało się to w ZSL i SD, pojawią się podziały poprzeczne. Że siły reformatorskie wezmą górę nad dotychczasowym stylem myślenia i rządzenia lub też zorganizują się oddzielnie. Parlament w ogóle – mimo że jeszcze nie pochodzi w całości z wolnych wyborów – stał się miejscem o ogromnej wadze politycznej. Po raz pierwszy w skali Polski powojennej jest to znów parlament, ale także w skali układu europejskiego można mówić o pewnej jego odrębności. Myszę, że ten bardzo szczególny system, w którym nie partie polityczne, albo nie tylko partie polityczne, są siłami działającymi na publicznej scenie, sprawia, że polityka dzieje się tutaj, w tym gmachu przy ulicy Wiejskiej. Tutaj powstają układy koalicyjne, tutaj rysują się istotne podziały i przedziały, tutaj następują przegrupowania. Jeśli spojrzeć na klub PZPR, można powiedzieć, że właśnie on jest siłą sprawczą zmian wewnątrz partii do tej pory rządzącej. Sprawa ta ma znaczenie nie tylko dla

niej samej, ale i dla kraju. Jednym z elementów programu zmian ewolucyjnych było stworzenie szansy przeobrażeń wewnętrznych dla PZPR. Przyspieszenie procesu przemian tę szansę w dużym stopniu zmniejszyło. Rzecz pojmuję w kategoriach pragmatycznych: partia osłabiona, partia w kryzysie, szukająca swej tożsamości i mająca poczucie swojej klęski, jest jednocześnie siłą, która dysponuje środkami przemocy. Co więcej, nawet w obecnym układzie jest ich monopolistą. Jest to zatem istotne zagrożenie. Dlatego do wysiłków proreformatorskich, spełnianych przez klub PZPR w ramach swojej partii, przywiązuję dużą wagę. Zobaczmy, co z tego wyjdzie i jaki będzie rezultat.

Pytałam pana jednak o to, jak rozumieć funkcję koalicji w Sejmie, w którym nie ma opozycji?

To rzeczywiście bardzo trudna sytuacja. Powiem pani, że jest dla Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego najtrudniejsza. Jest to wielkie zgrupowanie ludzi, którzy weszli do Sejmu jako opozycja i po to, aby być opozycją. Byliśmy i jesteśmy opozycją wobec systemu, który panował w Polsce do tej pory.

A wobec rządu?

A wobec rządu nie. Udzieliliśmy i udzielamy mu pewnego kredytu zaufania.

Nie tylko wy, bo i pozostali koalicjanci ofiarowali temu rządowi coś w rodzaju, jak to nazywa prof. Janowski, dotychczasowy szef klubu SD – „miłości na kredyt”.

Uważny czytelnik „Trybuny Ludu” tej miłości nie dostrzega, ale zostawmy to na boku. Tak właśnie jest. Ale z naszej strony, gdy mówię „kredyt zaufania”, podkreślam także słowo „kredyt”. Oznacza to, że trzeba tutaj było zawierzyć i wystawić weksle. Będziemy jednak je sprawdzać. Uważamy, że jest to również w interesie rządu, aby spotykał się ze strony głównej siły parlamentarnej, która go wspiera, z krytyczną analizą swojej działalności. I będzie się spotykał z oporem, z protestem, jeżeli działania te

klub uzna za odchodzące od programu, na mocy którego rząd uzyskał inwestyturę.

Będzie to opozycja wobec samych siebie? PZPR próbowała już kiedyś tego chwytu, z wiadomym skutkiem.

Proszę spojrzeć na ostatnie tygodnie. Jesteśmy kąśliwi wobec rządu, czasem formułujemy odmienne zdania...

... liczą się jednak efekty, nie słowa. Na przykład ostatnia debata w sprawie budżetu?

Tak, w tej niezwykle krytycznej decyzji udzieliliśmy poparcia rządowi. Z zaciśniętymi zębami zgodziliśmy się na to, aby wyprodukować półtora biliona pustych pieniędzy. Nie jest to zgodne z naszym programem. Uczyniliśmy to tylko dlatego, że w gruncie rzeczy jest to remanent po starej ekipie, która zostawiła pustą kasę i trzeba nowej ekipie rządowej dać szansę. Ale powtarzam: uczyniliśmy to z zaciśniętymi zębami. W interesie rządu, ale przecież i w interesie kraju leży, aby przedstawicielstwo parlamentarne mówiło głosem polskiego społeczeństwa, aby wyrażało niezadowolenie wtedy, kiedy niezadowolenie to jest uzasadnione. Natomiast do tej pory, jak sądzę, nasza reprezentacja poselska ustrzegła się w swoich decyzjach i programach od społecznej demagogii. Nie z tych pozycji będziemy krytykować rząd. Oczekujemy polityki radykalnej, energicznej, mądrej, która będzie Polskę wyprowadzała z kryzysu. Tej polityce udzielamy jednoznacznego poparcia.

Jednakże każda niekontrolowana władza ulega wcześniej czy później demoralizacji.

Jeżeli jest niekontrolowana. Zapewniam panią, że ona będzie kontrolowana.

A gdyby PZPR spełniła swoje wcześniejsze groźby i przeszła do opozycji?

Bariera śmieszności zostałaaby przekroczona. Opozycja, która ma armię, policję...

... niech więc ją odda.

Jeśli PZPR będzie rzeczywiście chciała przejść do opozycji, myślę, że nikt jej w tym nie będzie przeszkadzał. Ale to oznacza konsekwentne oddanie tego, co ma i co sobie wzięła sama.

A teraz pytanie do szefa klubu poselskiego. Jak kształtują się relacje pomiędzy OKP – KKW – rządem? Skąd naprawdę płyną wytyczne? Myślę, że relacje te jeszcze nie ułożyły się w sposób właściwy. Zwłaszcza że nie ma tutaj żadnych wzorów, do których można byłoby się odwołać. W naszym zapleczu nie ma partii politycznej, sami podejmujemy decyzje. Mamy uprzywilejowane stosunki z KKW NSZZ „Solidarność” i nie oczekujemy żadnych dyrektyw...

... a w sprawie wyboru premiera?

W tej sprawie OKP prowadzi negocjacje z pozostałymi klubami parlamentarnymi. Od rozmowy z klubem ZSL rozpoczął się proces nieakceptacji premiera z PZPR. Inicjatywa wyszła z OKP i ZSL, ale uzyskaliśmy dla niej również poparcie części posłów SD i części posłów PZPR. Jednakże nocą, przed głosowaniem na gen. Kiszczaka, klub ZSL wycofał się z tej decyzji, zmajoryzowany przez swoje ówczesne kierownictwo partyjne. Potem to się zmieniło, rola Lecha Wałęsy w zmianie tej decyzji była zasadnicza, co można uznać za pewien fakt strukturalny. Klub ma bowiem poczucie swojego związku z liderem „Solidarności” i pamięta, że jest to nie tylko związek z osobą, ale i z pewnym zespołem fundamentalnych wartości, które reprezentuje on w polskim życiu publicznym. Nie jest więc tak, aby OKP oczekiwał od kogokolwiek dyrektyw, nie jest też tak, aby chciał je komukolwiek dawać. Musi natomiast wytworzyć się pewna dynamiczna, wzajemna relacja pomiędzy nim a rządem, wynikająca z poczucia odpowiedzialności za wytworzony układ polityczny. Także układ ze związkiem zawodowym, miejskim i wiejskim, będzie zachowywał charakter priorytetowy, ale nie może być i nie będzie miał charakteru posłuszeństwa.

Jak więc rozumieć słowa Wałęsy, które skierował do posłów OKP: „Powziąłem za was decyzję, wykazałem inicjatywę, której wam zabrakło i ja wybrałem wam premiera”?

To są dodatkowe elementy uroku postaci Lecha Wałęsy.

Zmieńmy więc temat. Jak w ogóle ocenia pan obecną strukturę władzy w Polsce. Ktoś porównał ją do swoistego przekładańca: u góry Urząd Prezydencki, w środku wielobarwny i zróżnicowany Sejm, następnie Senat oraz rząd, u dołu – tracąca wpływ i rozpadająca się PZPR.

Ja bym powiedział tak: jeśli chodzi o proces u góry, to mamy do czynienia z powolną demokratyzacją, w której biorą udział wszystkie organa państwa. Podkreślam: wszystkie, co oznacza, że w ciągu tego pierwszego okresu współistnienia Urząd Prezydencki i prezydent odgrywają również rolę lojalnego partnera tego układu. Natomiast w sukurs temu procesowi, jeżeli ma on trwać i być owocny, musi przyjść demokratyzacja oddolna. Ta, która obali sposób funkcjonowania władzy lokalnej. I dlatego uważam, że wybory do samorządu terenowego są podstawowym elementem kalendarza zmian politycznych w Polsce.

To jednak musi potrwać, a co teraz? Podziela pan obawy, że centrum decyzyjne przenieść się może gdzie indziej, na przykład do Belwederu?

W chwili obecnej praktyka tego pierwszego okresu nie potwierdza tych obaw. Nie sądzę, aby mogły się one zrealizować w obecnym układzie politycznym. Jeśli zaś chodzi o proces demokratyzacji od dołu, jest to rzeczywiście problem czasu, ale bardzo krótkiego. Uważam, że należy wszczać go już z początkiem przyszłego roku.

Krótko mówiąc, jest to pytanie o to, kto dzisiaj rządzi Polską i ile władzy ma „Solidarność”?

Odpowiadam więc następująco: Polską zaczynają rządzić Polacy. Istnieje natomiast wielka przerwa w demokratycznej tradycji władzy i tej przerwy nie da się przekreślić w ciągu kilku tygodni.

To wymaga przebudowy mentalności, rozwoju kultury politycznej i głębokich przemian w strukturze i w sposobie funkcjonowania władzy. Proszę pomyśleć, ile się dokonało przez sto dni, które mamy za sobą od wyborów?

Zamknąć ten rozdział

Z prof. Bronisławem Geremekiem, przewodniczącym
Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, rozmawia
Ewa Czaczkowska

Ewa Czaczkowska: Jutro, 9 listopada, odwiedzi nasz kraj kanclerz federalny RFN, Helmut Kohl. Jakie nadzieje wiąże pan z tą wizytą?
Bronisław Geremek: Wizyta kanclerza Kohla dochodzi do skutku po długim okresie oczekiwań i po bardzo powolnych, trudnych negocjacjach między rządem polskim a rządem RFN. Negocjacje te dotyczyły zarówno relacji politycznych między rządem polskim a rządem Republiki Federalnej, jak i stosunków gospodarczych. Szkoda, że wizyta nie odbyła się wcześniej, w 50. rocznicę wybuchu II wojny światowej. Tym samym stracona została historyczna okazja o symbolicznej wymowie. Wraz z tragicznym wspomnieniem mogliśmy zamknąć pewien rozdział w stosunkach polsko-niemieckich. Leżało to w interesie obu krajów. Tak się jednak nie stało.

Jednym z zasadniczych utrudnień w kontaktach Polski z RFN jest kwestia naszej granicy zachodniej. Każdy głos, który rozlega się w Republice Federalnej, a który podważa jednoznaczną trwałość tej granicy, źle służy stosunkom polsko-niemieckim i źle służy Europie. Niestety, w ostatnich miesiącach takie głosy ponownie się pojawiły. Mam nadzieję, że przyjazd kanclerza Kohla do

Polski stanie się okazją do jednoznacznego zdefiniowania stanowiska władz RFN i podkreślenia, że trwałość granic nie jest przez nikogo podawana w wątpliwość. Stworzyłyby to taki klimat, w którym dla społeczeństwa polskiego jasnym stałoby się, że ze strony niemieckiej nie istnieją dla polskiego interesu narodowego i państwa żadne elementy zagrożenia.

Wizyta kanclerza Kohla stanowi znak, że i w rozmowach gospodarczych między obu rządami nastąpił niezbędny postęp i że istnieje możliwość zarówno szerokiej działalności inwestycyjnej ze strony niemieckich środowisk gospodarczych, jak też ułatwień dotyczących polskiego zadłużenia, a w szczególności kredytu Jumbo z lat 70. Natomiast gwarancje kredytowe pozwolą na rzeczywiste zaangażowanie się kapitałów niemieckich w polskiej gospodarce.

I wreszcie, jeśli stosunki polityczne zostaną oparte na właściwej podstawie, jeżeli gospodarcze będą rozwijać się szeroko, to rozszerzona być może także wymiana kulturalna. Dotyczy to zarówno wymiany placówek kulturalnych, jak i wymiany ludzi, książek, dzieł sztuki. Wizyta kanclerza Kohla może zatem stanowić istotny moment w stosunkach między Polską a Republiką Federalną, a ponadto dobrze służyć procesowi reform, jaki w Polsce w tej chwili się dokonuje.

Jedną z kwestii spornych w naszych stosunkach była sprawa mniejszości niemieckiej w Polsce. Rozbieżności stanowisk na ten temat niejednokrotnie blokowały postępy rozmów normalizacyjnych. **Problem ten jest i dzisiaj przedmiotem kontrowersji.**

Myszę, że w chwili obecnej sprawa mniejszości niemieckiej w Polsce nie będzie traktowana przez RFN jako przedmiot politycznej gry, ale że potraktuje się ją w sposób realistyczny. Wszyscy ludzie, którzy mają poczucie przynależności do kultury niemieckiej, powinni mieć pełne prawo stowarzyszania się, uczestnictwa w kulturze, prawo do języka. W tej chwili, niezależnie od wizyty kanclerza Kohla, sprawa ta została postawiona w sposób prawid-

łowy. Jest to wewnętrzny problem Polski, który zostanie rozwiązany w ramach nowej polityki rządu polskiego wobec mniejszości narodowych.

Duże nadzieje wiążemy dzisiaj z zaangażowaniem kapitału zachodniemieckiego w Polsce. Czy jednak rozmiary tego kapitału nie staną się zagrożeniem dla interesów polskiej gospodarki narodowej? Gospodarka polska znajduje się w tej chwili nie w stanie koniunkturalnego kryzysu, ale głębokiego upadku. Tak więc w chwili obecnej Polacy muszą zaakceptować takie rozwiązania, które mogą być ryzykowne, także z punktu widzenia polskiego interesu państwowego. Bowiem najgłębszym zagrożeniem dla Polski jest ruina gospodarcza. I po to, żeby ją przezwyciężyć, jesteśmy zmuszeni zwracać się o pomoc kredytową, o pomoc specjalistów, o pomoc we wspólnych przedsięwzięciach typu *joint venture*. Nie sądzę, aby tego typu pomoc była sprzeczna z polskimi interesami państwowymi. Rząd polski prowadzi politykę, która służy interesom Polski i potrafi tych interesów bronić. Natomiast głównym pytaniem, które sobie w tej sytuacji stawialiśmy, jest właśnie to: czy koszty odbudowy gospodarki i koszty reform gospodarczych, i wydobywania kraju z ruiny gospodarczej, do której doprowadziły go dotychczasowe rządy, spaść muszą w całej pełni na polskich robotników? I właśnie tylko taka polityka, w której Polska uzyskuje pomoc Zachodu, może złagodzić ciężar wyrzeczeń, jakich wymaga od społeczeństwa program reform. Więcej nawet, uważam, że socjalne zabezpieczenie interesów pracowników zależy od rozszerzenia zaangażowania krajów zachodnich. I żadnych zagrożeń dla interesów polskich, żadnego niebezpieczeństwa wyprzedazy Polski w tej chwili nie dostrzegam.

Przez wszystkie powojenne lata młodych Polaków wychowywano w przekonaniu, że zjednoczenie Niemiec zagraża interesom Polski, jest sprzeczne z polską racją stanu. Tymczasem pan, wypowiadając się za zjednoczeniem, zdecydowanie przeciwstawia się tej tezie.

Powiedziałem i powtarzam, że prawem Niemców jest decydowanie o swoim losie. I jeżeli tylko proces zbliżania się państw niemieckich do siebie dokonywać się będzie tak jak tego oczekuje Europa – a więc, że nie wytworzy się zagrożenie dla żadnego z sąsiadów Niemiec, ani też dla pokoju w Europie – to nie będzie to sprzeczne z niczymi interesami, ani też z polską racją stanu. Przy czym jest to na pewno długotrwały proces polityczny... Jak długi – nie wiemy. Zależy to od procesów zachodzących w obu państwach niemieckich, ale także od stanowiska czterech mocarstw i od woli Europy. Odrzucam tym samym taką filozofię polityczną, która prowadziła do przekonania, że zjednoczenie Niemiec dokonywać się będzie przeciwko Polsce i wbrew jej interesom. Uważam, że szkodą dla Polski była oficjalna propaganda, strasząca bez przerwy niebezpieczeństwem niemieckim. Sądzę, że to historyczne wspomnienie doświadczeń XX wieku – losy układu z Rapallo i układu Ribbentrop-Mołotow – zmuszają do refleksji, że przyszłość Europy zależy od tego, czy będzie ona zbudowana wokół sprawiedliwego ładu, w którym poszanowane będą prawa jednostek, grup ludzi i narodów.

Kontrakt był potrzebny

Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym
Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, rozmawia
Mieczysław Starkowski

Mieczysław Starkowski: Panie profesorze, niedawno przebywał pan w Stanach Zjednoczonych, gdzie był pan podejmowany między innymi przez prezydenta George'a Busha. Dzisiaj (2 maja) będzie pan rozmawiał z prezydentem Republiki Federalnej Niemiec, Richardem von Weizsaeckerem. Spotyka się pan też z wieloma innymi osobistościami odwiedzającymi nasz kraj; uczestniczy w pracach kilku komisji sejmowych; jest pan zapraszany na dziesiątki rozmaitych imprez. Czy przy tym nawale zajęć zdążył pan już poznać kandydatów na radnych w swoim okręgu wyborczym?

Bronisław Geremek: Niestety, nie. Nie zdążyłem jeszcze poznać żadnego kandydata. Znane mi są działania komitetu obywatelskiego w mojej dzielnicy, ale – przyznając ze wstydem – nie znam nawet nazwisk kandydatów. W najbliższym czasie postaram się jednak nadrobić zaległości.

Jestem w złożonej sytuacji. Zostałem wybrany posłem odległej ziemi suwalskiej. Dlatego tam będę też brał udział w kampanii wyborczej. Choć wyborcą jestem tu, w Warszawie. I będę wyborcą skrupulatnym.

Czego oczekuje pan po przyszłych radnych?

No cóż, na usta ciśnie się banał. Lecz nic nowego nie wymyślę. Chciałbym, by byli ludźmi uczciwymi i kompetentnymi. Żeby nie byli wielkimi politykami. Sądzę, że kampania wyborcza do samorządu terytorialnego powinna być skoncentrowana na rozbudzaniu inicjatyw indywidualnych lub grupowych, ale zawsze osadzonych w realiach codziennego życia. I mam poczucie satysfakcji, że ta kampania nie jest nadmiernie „spolityzowana”. A jednocześnie dręczy mnie pewien niepokój, że społeczeństwo nie zainteresowało się dostatecznie samorządem. Kampania wyborcza jest nadal ospała, mało dynamiczna...

Jakie są nastroje na Suwalszczyźnie?

Dwa tygodnie temu byłem w Piszcu. Regularnie odwiedzam swoich wyborców. Staramy się (posłowie i senatorowie), by w każdym tygodniu odbywało się spotkanie w terenie. W programie „Solidarności” w ubiegłorocznych wyborach parlamentarnych samorząd terytorialny był jednym z zasadniczych punktów. A właśnie zobowiązania trzeba traktować poważnie!

W ubiegłym roku głosowaliśmy na „Solidarność”. Cel był jasny, zrozumiały dla każdego: pokonanie komuny. Odnieśliśmy bravurowe zwycięstwo. Lecz kontrakt zawarty przy Okrągłym Stole zapewnił też mandaty ludziom, którzy dzisiaj nie reprezentują już nikogo prócz siebie.

Tak to prawda. Można powiedzieć, że Sejm jest przedstawicielem narodu wybranym w 35 procentach. Ale – moim zdaniem – historyczna rola Okrągłego Stołu polegała na umożliwieniu stopniowej demokratyzacji kraju w warunkach stabilizacji. Dzięki temu obrady te stały się przełomowym wydarzeniem, któremu czas nie odbiera znaczenia.

Poza tym, niezależnie od grzechu pierworodnego, jaki popełniono przy „tworzeniu” Sejmu, działa on demokratycznie. I mimo pewnego zawodu, odczuwanego jeśli czasami nie udaje nam się

przeforsować niektórych projektów, muszę przyznać, że jesteśmy uczestnikami prawdziwej politycznej gry, w której występują różne programy i rozmaite opinie.

Demokracja wymaga pluralizmu. Wyobraźmy sobie, że przy Okrągłym Stole nie było kontraktu dotyczącego uczestnictwa sił, które później zeszyły ze sceny politycznej. Skład Sejmu byłby z pewnością identyczny jak Senatu. Zabrakłoby pluralizmu, co – jak już powiedziałem – nie służy demokracji. Taki jest paradoks polskiej sytuacji.

Okres rządów jednej partii dokonał nie tylko zniekształceń i deprawacji instytucji publicznych, ale także ludzkich umysłów. Zniszczył kulturę polityczną, budowaną przez dziesięciolecia. Żeby wszystko odrestaurować, trzeba czasu. Dlatego uważam, że bez względu na polityczny rodowód posłów obecny Sejm dobrze służy państwu polskiemu.

Sprawa jest jednak znacznie bardziej skomplikowana. Również w łonie OKP widać wyraźnie pluralizm, a nawet rozdźwięk. Mówi się, że naszym kandydatom miejsca w poselskich ławach zapewniły zdjęcia z Wałęsą. Później drużyna Lecha się rozpadła. Powstały różne grupy interesów. Podziały są rozmaite i – jak to zwykle bywa – umowne, mało precyzyjne. Lecz wielu Polaków ogromnie dziś niepokoi rosnąca rola lewicy w OKP!

Faktycznie, OKP jest obecnie pluralistyczny. Istnieje przecież sześć kół poselskich, grupujących ludzi różnych poglądów. A przede wszystkim dlatego, że w wielkich debatach dotyczących kierunków rozwoju państwa prezentowane są różne stanowiska. I to jest nieuchronne. Ten ruch był, jest i powinien pozostać pluralistyczny, jeśli oczywiście utrzyma się w nowej rzeczywistości politycznej.

Natomiast w pytaniu zawarte jest pewne fałszywe założenie. Czy lewica ma wpływ na OKP? Jest to jeden ze stereotypów uformowanych przez niektóre środowiska graczy politycznych i nie odpowiada on prawdzie. Bo co to znaczy – opcja lewicowa?

Oznacza ona konkretne wybory programowe. Obywatelski Klub Parlamentarny jest zaś oparciem dla skrajnie liberalnej reformy gospodarczej. A taka reforma nie mieści się w żadnej lewicowej opcji. Dalej, weźmy zmiany w życiu publicznym. OKP reprezentuje wszystkie klasyczne wartości, które się wiążą z poglądami centrum.

Można więc wybrać kwestię sprawiedliwości społecznej i powiedzieć, że do konstytucji została wprowadzona przez lewicę. Ale nie jest ona „własnością” lewicy. Występuje między innymi w społecznej nauce Kościoła.

Wspomniany stereotyp jest elementem gry politycznej, która w tej chwili się zaostrza, bo siłą pozostaje OKP, a blisko setka partii politycznych nie zdołała uzyskać większego znaczenia. Ich działacze sięgają zatem do argumentów, które trzeba traktować właśnie jako element walki politycznej przeciwko naszemu klubowi.

Czasem sytuacja wygląda jednak paradoksalnie. Ponieważ przywódcy OKP nie chcą być posądzeni o odwet na swoich przeciwnikach politycznych, ustępują komunistom na każdym kroku. Niedawno Sejm pozostawił podwyższone emerytury ludziom, którzy doprowadzili kraj do ruiny. Społeczeństwo odebrało to jako policzek!

Mówiąc o stosunku OKP do partii komunistycznej, nie można zapominać, że to właśnie nasz klub doprowadził nie tylko do odsunięcia jej od władzy, ale do zniknięcia ze sceny politycznej. Znaczenia tego zjawiska nie sposób przecenić, zwłaszcza gdy się porówna sytuację Polski z innymi krajami Europy Wschodniej. Społeczne oburzenie budzą stare przywileje partii i ich dygnitarzy. W tej kwestii chodzi nie tylko o unikanie rewanzu. Idzie o ustalenie cywilizowanych zasad życia publicznego zgodnie z tym, co sami głosimy. Przede wszystkim zgodnie z podstawową regułą, którą wprowadziliśmy do konstytucji: Polska jest państwem prawa. Z tego wynikają rozmaite konsekwencje. Podejmując zatem jakąkolwiek inicjatywę ustawodawczą, musimy się kierować zasadami prawa.

Jeśli chodzi o majątek byłej PZPR i innych partii, organizacji społecznych, posłowie OKP mają poczucie braku satysfakcji. Zwłaszcza związanych ze skutecznością własnych działań. Sądzę, że rząd liczył na większą wyobraźnię polityczną i rozsądek sukcesorów partii komunistycznej. Nie znalazł; stąd opieszałość w decyzjach, co jest tak krytycznie oceniane przez opinię publiczną. Natomiast wydaje mi się, że już niedługo rezultat będzie widoczny. Nikomu nie będzie wolno korzystać z przywilejów, które byłyby sprzeczne z prawem. A majątek byłych partii politycznych zostanie zwrócony prawowitym właścicielom. Wówczas okaże się, że klub osiągnął w Sejmie to, co powinien był załatwić, czyli wypełnił swoje zobowiązania wobec społeczeństwa.

Panie profesorze, jest pan historykiem interesującym się średniowieczem. Daje to jednak, jak sam pan kiedyś powiedział, poczucie braku bezpośredniej użyteczności. Czy był jedyny powód zajęcia się polityką?

To dosyć skomplikowana sprawa. Polityką interesowałem się zawsze. Tyle że długo po prostu obserwowałem scenę polityczną. Nie sądziłem, że zostanę w politykę bezpośrednio uwikłany. Moje aktywne zaangażowanie stało się dziełem przypadku.

Badanie średniowiecza skłania do zajęcia się długimi okresami (dekadami, a nawet stuleciami). Z tego punktu widzenia bieżące wydarzenia wydają się jakby ziarnkiem piasku. Dostrzega się naprawdę ważne procesy: przemiany cywilizacji, zmiany formacji społecznych i tym podobne. Stąd ogromna rozbieżność między moimi zainteresowaniami historycznymi a obecnym zaangażowaniem w życie publicznym.

Jeszcze rok temu był pan głównie historykiem, traktującym doradztwo Lechowi Wałęsie jako społeczną służbę. Dziś to już przeszłość. Został pan jednak zawodowym politykiem.

Rok temu byłem historykiem z zawodu, ale bez stałego zatrudnienia. W 1985 roku zostałem pozbawiony pracy w Polskiej Aka-

demii Nauk. Kiedy później studenci Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego pytali mnie, czy jestem politykiem, odpowiadałem: „nie, nie jestem”. Moja obecność w życiu publicznym wynikała jedynie z pewnego pojmowania służby obywatelskiej. Dziś odpowiadam: „tak, jestem politykiem”. I chociaż znów mam etat w PAN, większość czasu pochłania mi polityka.

Awansował pan zresztą błyskawicznie w ciągu minionego roku. Poseł na Sejm, przewodniczący sejmowej komisji spraw zagranicznych, a przede wszystkim przewodniczący Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego – najpotężniejszej siły w parlamencie. Jest pan jedną z czołowych osobistości naszego życia politycznego. W tak zwanej „kawiarni” trwają zażarte dyskusje, na którym miejscu plasuje się pan w tym rankingu. Na ogół nie spada pan jednak poniżej piątej pozycji...

Nigdy nie interesowały mnie rankingi ustalane w politycznych „kawiarniach”. Natomiast największą satysfakcją – moją satysfakcją życiową – była rola, jaką odgrywałem w „Solidarności” – zarówno legalnej, jak i podziemnej. Nie wynikała ona z ambicji uczestnictwa we władzy. W ubiegłym roku, przed wyborami parlamentarnymi, niemal do ostatniej chwili byłem zdecydowany nie kandydować. Nie widziałem siebie jako działacza politycznego, jako mówcy i tak dalej... A potem okazało się, że gdy trzeba, potrafię sobie dać radę.

Może to zabrzmieć banalnie albo nieszczerze, ale nie realizuję swoich aspiracji politycznych. A co mówi o mnie „kawiarnia” – często mnie dziwi, czasem irytuje, lecz nie traktuję tego poważnie.

Czy podziela pan pogląd ministra Krzysztofa Skubiszewskiego o nadrzędności etyki w polityce zagranicznej? Do tej pory zwykło się ją uważać za dziedzinę opanowaną przez bezwzględnych cyników. Minister Skubiszewski wyraził pewną prawdę, dotyczącą nie tylko polityki zagranicznej. Zasada ta ma ogromne znaczenie w polityce w ogóle. Jej właśnie dotyczył jeden z wielkich sporów ideowych okresu pierwszej „Solidarności”.

Pewien przywódca strony komunistycznej — powołując się na znakomitego niemieckiego socjologa Maxa Webera — mówił, że trzeba uwolnić sferę polityki od etyki. Ma to być bowiem, według niego, pozorowanie gry politycznej i nie służy dobrze życiu publicznemu. Natomiast mnie nie interesuje polityka pozbawiona imperatywów etycznych. Co więcej, nie potrafiłbym się odnaleźć w polityce pojmowanej jedynie jako czysta gra.

Minister Skubiszewski w sposób znakomity realizuje to, co jest posłaniem solidarnościowego rządu Tadeusza Mazowieckiego. Przywraca właściwą rangę pewnym wartościom moralnym. Moim zdaniem nie ma dziedziny w życiu publicznym, która temu nie podlega. Nawet armia i policja. I jeśli w ostatnich miesiącach dokonaliśmy zmian w obu tych instytucjach, to nie dlatego, by „wydobyć” je spod wszechwładzy partii komunistycznej, ale by podporządkować je tym samym imperatywom etycznym, co całe państwo.

W końcu kwietnia na posiedzenia plenarnym Sejmu, poświęconym głównie polityce zagranicznej, podkreślił pan, że realizowana przez obecny rząd jest zwykłą modyfikacją poprzedniej. Czy zechciałby pan przytoczyć argumenty przemawiające za tą tezą?

Polityka zagraniczna Rzeczypospolitej Polskiej stała się polityką suwerennego państwa. Co oznacza, że decyzje o kierunkach polskiej polityki zagranicznej nie zapadają w Moskwie ani na posiedzeniach Paktu Warszawskiego. W dziejach polskiej dyplomacji były takie momenty, gdy formowała się niezależna polityka zagraniczna (taką próbą był na przykład Plan Rapackiego).

Nie zdarzyło się jednak, by polska delegacja głosowała inaczej niż radziecka. A jeśli zdarzyło się, był to wyjątek potwierdzający regułę. W tej chwili zasada jest zupełnie odmienna. Nastąpiła likwidacja stosunków wasalnych z imperium radzieckim.

Drugi element to orientacja europejska. Czyli zmierzanie do ponownego wprowadzenia Polski w krąg wspólnoty europejskiej, która do tej pory była pojmowana jako wspólnota zachodnia.

I wreszcie, chcemy budować dobre sąsiedztwo z Rosją i Niemcami. Nowe relacje z Rosją muszą być oparte na prawdzie i rzetelnym pojmowaniu interesów obu partnerów. Dążenie zaś do dobrych stosunków z Niemcami oznacza pełne poszanowanie wymogów polskiej racji stanu, ale także budowę – według słów ministra Skubiszewskiego – wspólnoty interesów.

Do niedawna w samej filozofii polskiej polityki zagranicznej tkwiło instrumentalne traktowanie niemieckiego zagrożenia.

Jest to zresztą jedno z nielicznych osiągnięć komunistycznej propagandy. Wielu Polaków wierzy w groźbę zbrojnej napaści Niemiec na Polskę.

Zagrożenie niemieckie istnieje. Ale jest to zagrożenie i dla Polaków, i dla Niemców. Nazwałbym je lekcją historii XX wieku. Trzeba więc szukać – jeśli chcemy powrócić do Europy – takiego ułożenia stosunków, po którym nie będzie się już straszyć dzieci złym Niemcem. W tym sensie można mówić, że polityka zagraniczna rządu Tadeusza Mazowieckiego różni się całkowicie od realizowanej poprzednio.

Również w końcu kwietnia minister Skubiszewski przesłał zainteresowanym projekt traktatu pokojowego z Niemcami. Co pan sądzi o tym dokumencie?

Nie znam jego tekstu. Nie dotarł on jeszcze do sejmowej komisji spraw zagranicznych. Jestem wszakże przekonany, że sama idea polsko-niemieckiego traktatu pokojowego jest ideą dobrą. Jest szansą na jednoznaczne zagwarantowanie naszej granicy zachodniej. Z wypowiedzi ministra spraw zagranicznych RFN, Hansa Dietricha Genschera, można wnioskować, że po stronie niemieckiej koncepcja ta powinna znaleźć zrozumienie i akceptację.

W tych dniach zostało powołane do życia Niemieckie Towarzystwo Dobrego Sąsiedztwa z Polską. Nazwa jest przydługa, domyślam się jednak, że organizatorom chodziło o precyzyjne zaprezentowanie

celów Towarzystwa. Czy zgodzi się pan ze mną, że należy utworzyć siostrzane Polskie Towarzystwa Dobrego Sąsiedztwa z Niemcami?

Nie mam pewności, czy wspomniane Towarzystwa są w stanie doprowadzić do tego, co kryje się w ich nazwie. Choć sama idea jest oczywiście piękna i potrzebna. Polska jest traktowana w Niemczech bardzo poważnie. Dlatego, że dla Niemiec Polska jest problemem. I podobnie Niemcy są problemem dla Polski.

Kiedy kanclerz Konrad Adenauer mówił po wojnie o trzech wielkich zadaniach stojących przed Niemcami, miał na myśli konieczność pojednania z Francuzami, Żydami i Polakami.

W pojednaniu z Francuzami osiągnięto sukces. Zrobiono sporo, by porozumieć się z Żydami. Jeżeli chodzi o Polaków, wszystko jest jeszcze przed nami. Ale oba kraje mają poczucie wagi i znaczenia stosunków dwustronnych. Jeśli spojrzeć na przykład na wymianę ludzi (mimo wielkich istniejących trudności), na wymianę kulturalną, a także gospodarczą, jest ona już znacząca.

Co naturalnie nie znaczy, że współpraca nie mogłaby się rozwijać jeszcze pomyślniej. Przeciwnie, czeka nas ogromny wysiłek, jeśli chcemy pokonać wzajemne uprzedzenia. Pan, jak już wspominaliśmy, pracuje bardzo ciężko. Czy znajdzie pan zatem czas, by – po raz pierwszy od dziesięciu lat – pożegłować po Mazurach?

Już kilkakrotnie proponowali to moi wyborcy. Zawsze serdecznie dziękuję za pamięć, ale na razie nie nadszedł jeszcze czas wypowiedzenia.

Ostatni dyżur

Z posłem ziemi suwalskiej, prof. Bronisławem Geremkiem, rozmawia Grażyna Miklaszewicz

Grażyna Miklaszewicz: dziś pełni pan swój ostatni dyżur poselski w Suwałkach. Czym były dwa lata posłowania dla historyka i naukowca, którego dotychczasowe związki z polityką były raczej gabinetowe?

Bronisław Geremek: Dla mnie było to doświadczenie zupełnie nowe, szczególnie uprawianie zawodu polityka, do którego nie miałem ani przygotowania, ani chęci. Sprawily to czasy, ów burzliwy rok 1989, rok kampanii wyborczej, kiedy przyszło nam stawać przed ludźmi na spotkaniach masowych. Każdy z nas startujący w wyborach miał pełną świadomość zadań, które trzeba wypełnić. Mnie przyszło kandydować z Suwalszczyzny. Zdawałem sobie sprawę, że to teren niezwykle trudny. Przypomnę choćby taki epizod. W maju 1989 roku dziennikarze z pewnego pezetperowskiego tytułu przeprowadzali ze mną wywiad. Już na koniec, z nieukrywana satysfakcją przestrzegali: „Pan chyba nie wie, jakie jest Suwalskie. To najgorsze i najtrudniejsze województwo w skali całego kraju. Nie ma pan absolutnie żadnych szans”. Odpowiedziałem wówczas tylko jednym słowem: „Zobaczymy”.

I co pan zobaczył?

Przede wszystkim znalazłem tu ludzi. Odważnych, energicznych, całkowicie oddanych sprawie, jaką wówczas była kampania wyborcza. Startowaliśmy wspólnie – zdawało się – z punktu zerowego. Opowiadali mi koledzy suwalczanie o różnych przypadkach. Bywało, przyjeżdżali na wieś, aby rozlepić plakaty wyborcze, a ludzie ze strachu zamykali okiennice.

Pamiętam również jeden z pierwszych wieców tuż na początku kampanii. Mieliśmy przed sobą zaledwie kilku rozmówców, z których co najmniej połowę stanowili agenci SB. I nagle, jakby znienacka, pojawiły się wokół nas tłumy ludzi. Ciasny kordon powiększał się z minuty na minutę. Przeważało poczucie wyzwolenia, pierzchnął strach. Ludzie wyzbyli się obezwładniającego lęku. Taki był moment startowy mojej kariery politycznej w województwie suwalskim.

Miał pan wiele przedwyborczych spotkań, mnie szczególnie utkwił w pamięci wiec w Studzienicznej. W kościele odpust, przed kościołem kolorowe kramy, piwo leje się strumieniami, a trochę z boku wasza estradka wyborcza. Przysnam, wątpiłam, że wytrzymacie konkurencję. Pomimo rewelacyjnego Stanisława Tyma i jego politycznych, zaprawionych dobrym humorem kupletów.

Tak, doskonale pamiętam ten wiec. Z jakże ogromnym trudem nawiązywał się kontakt między nami a publicznością. Zmiany w reagowaniu następowały w trakcie spotkania. Ludzie nie bali się klaskać i zadawać pytań, choć przecież to nie my, a oni tylko wiedzieli, ilu agentów SB kryje się za drzewami.

To dzięki ludziom z Mazur i Suwalszczyzny „Solidarność” osiągnęła tak ogromny sukces, nieporównywalny, który przekreślał wszystkie twierdzenia, obawy, a nawet skryte pogroźki drugiej strony.

Panie profesorze, od tamtego czasu minęły dwa lata. Jaki jest bilans pańskich dokonań?

Postawiłbym tu dwa pytania: o bilans dla Polski i dla posła z województwa suwalskiego. W naszym kraju dokonała się ogromna zmiana ustrojowa. W ciągu pierwszego roku, dokonana z sukcesem zarówno w sferze politycznej, jak i gospodarczej. I potem rok drugi, niezwykle trudny, w którym okazało się, że reformy strukturalne wymagają znacznie więcej czasu, a także więcej kosztów społecznych, niż można to sobie wcześniej wyobrazić. Stąd zniechęcenie ludzi, zniecierpliwienie, narastająca frustracja.

Nawet poczucie zagrożenia?

Raczej braku bezpieczeństwa w sensie bezpieczeństwa publicznego, a zwłaszcza socjalnego. Województwo suwalskie może być przykładem, gdzie najjaskrawiej wystąpiły takie zjawiska jak nieefektywność funkcjonowania przedsiębiorstw państwowych, trudności w rolnictwie, wreszcie rosnące w ogromnym tempie bezrobocie.

Jako poseł muszę dziś stwierdzić, że Suwalskie pozostało w strefie „B” Polski, tzn. w strefie mniejszego dynamizmu, gdzie zapóźnienia gospodarcze rysują się znacznie mocniej niż szanse gospodarki rynkowej.

Ale przecież jako poseł wielokrotnie poruszał pan problemy Suwalskiego w parlamencie. O pomoc do pana zwracały się zakłady pracy, pisali zwykli ludzie, którzy nie mogli poradzić sobie z własnymi sprawami.

Tak, to prawda. W mojej sejmowej kancelarii piętrzyły się stopy korespondencji. Wiele spraw udało się załatwić „od ręki”. Chodziło o pomoc dla społeczności lokalnych, dla szkół, byłem też bardzo zaangażowany w ratowanie „Krajobrazów”. Natomiast w głównej kwestii, czyli ratowania gospodarki, mam poczucie braku satysfakcji. Odnosiłem tu – niestety – więcej porażek niż sukcesów. Podam przykład. Udało mi się zainteresować Suwalszczyzną Francuzów. Dużo się wówczas mówiło o specjalnie powstałej fundacji Francja-Polska. Uzyskałem zgodę, że województwo su-

walskie będzie jednym z pilotowanych przedsięwzięć. Chodziło o diagnozę gospodarki lokalnej. Trzeba przyznać, że ekipy francuskie potraktowały rzecz bardzo serio. Rozpoznano teren, przygotowano raport o możliwościach zagospodarowania województwa, rozwoju turystyki, pobudzenia przemysłu spożywczego, rozwoju infrastruktury bankowej. Słowem, powstał dokument, który bez specjalnych modyfikacji można było realizować.

I pewnie nikt się nie palił do zawijania rękawów?

Zdumiewające, ale tak. A przecież partnerzy zagraniczni byli, możliwości inwestycyjne i kredytowe również. Rezultaty – jak do tej pory – bardzo nikłe.

Jedynym usprawiedliwieniem dla takich postaw może być psychologiczny spadek starego systemu, ciągłe oczekiwanie, że ktoś coś da. Że państwo poda konkretne rozwiązanie, zaopatrzy w pieniądze, a wreszcie, że jakoś tam będzie.

Słyszałam o częstych wizytach Francuzów i Belgów w Węgorzewie. Czy to skutek raportu, o którym mówimy?

Oczywiście. Węgorzewo to niezwykle urokliwe, ślicznie położone miasteczko. Niestety, w ogóle nieprzygotowane do turystyki. Ekipy francuskie zadały sobie tyle trudu, że opracowały kilka wariantów turystyki, które przystawałyby do warunków w różnych miejscach województwa suwalskiego. Preferowali jednak typ turystyki średniej, przystosowanej do potrzeb i kieszeni przeciętnego turysty.

Zagraniczni kontrahenci przeprowadzili mnóstwo rozmów w Węgorzewie. Mieli bardzo konkretne plany. Z tego co wiem, skutki były znikome lub żadne. Zawiodła inicjatywa lokalna, brak chęci i energii.

Mandat poselski zobowiązuje jednak do bliskiego kontaktu z wyborcami. Nie wystarczy pokazywać się w Sejmie czy odpisywać na listy. Niektórzy twierdzą, że zbyt rzadko pokazywał się pan wśród własnego elektoratu.

Rozumiem ludzi, bo sam czuję z tego powodu niedosyt. Warszawa jest zbyt daleko od Suwałk, a całe województwo szalenie rozległe.

Nie można jednak powiedzieć, że nie spotykałem się z wyborcami, moje dyżury poselskie ze względu na ilość chętnych do rozmowy zwykle przedłużały się o kilka godzin.

Dziś – twierdząc to bez przesady – właśnie spotkania to jedno z najważniejszych doświadczeń. Moją rolą było tłumaczenie polityki rządu, a jest to rola często niewdzięczna, bo poseł nie zawsze utożsamia się z nią tak zupełnie. Co więcej, w Sejmie byłem zawsze krytycznym obserwatorem polityki rządu.

Czy przypomina pan sobie jakieś szczególnie trudne konfrontacje z wyborcami?

Tak, ostro dostało mi się w Rynie i Gołdapi. Rolnicy wypunktowali listę swoich krzywd, strzelając w Rynie bez litości. W Gołdapi natomiast chodziło o tamtejsze rozwarstwienie polityczne i wzajemne animozje, i tam też atakowano mnie niezgorzej. Chcę jednak podkreślić, że po żadnym spotkaniu z wyborcami nie miałem poczucia niezadowolenia czy goryczy.

Wróć jeszcze do wiecu w Studzienicznej. Obiecywał pan wówczas – jako przyszły poseł i historyk – zainteresować się głębiej straszliwą sowiecką zbrodnią, jaką była obława w 1945 roku na Suwalszczyźnie. Nie chodziło chyba tylko o chwyt wyborczy?

Zanim zostałem posłem i politykiem, przede wszystkim byłem historykiem. Wstyd to mówić, ale życie moje związałem już na zawsze z zawodem historyka. Dlatego dobrze wiem, jak trudno odkryć prawdę. Kiedy deklarowałem wyjaśnienie zbrodni, tu w Suwałkach działał już komitet do spraw poszukiwań ofiar obławy na czele z Piotrem Bajerem. Komitet wykonał ogrom pracy – zebrał nazwiska pomordowanych, spowodował odkrycie zbiorowych mogił pod Gibami. Ślad wprawdzie okazał się błędny, pochowano tam Niemców, ale przecież dla żmudnej pracy poszukiwacza prawdy liczy się każde doświadczenie.

Przyznam, miałem nadzieję, że uzyskamy znacznie więcej danych. Naciskaliśmy na prokuraturę, organy ścigania, próbowaliśmy wyrzucić presję na MSW. Do tej pory rezultaty są znikome.

Znaczy to, że strona sowiecka nadal milczy?

Nie, ale za każdym razem przysyłają odpowiedzi wykrętne, absolutnie pozbawione treści.

Powiem jednak coś, czego jeszcze nigdy publicznie nie mówiłem. Otóż nawiązałem kontakt z moskiewskim środowiskiem dysydenckim i poprosiłem o zbadanie sprawy. Pierwsza odpowiedź była bardzo obiecująca, ponieważ dane, które uzyskali po tamtej stronie, pokrywały się z tym, co my wiemy o obławie. Jeszcze jednak nie byli w stanie trafić na więcej szczegółów, choć są naprawdę wyspecjalizowani w tropieniu działalności KGB. W ostatnim liście napisali, że wszystko teraz jest kwestią przypadku. Można trafić na ślad zarówno w ciągu tygodnia, jak też czekać latami. W każdym razie sprawy ofiar obławy nie zarzuciłem i jako historyk mam ciągle nadzieję na jej wyjaśnienie. Rozmawiałem wczoraj z delegacją parlamentarną Rosji. Pytałem, jak jest z dostępem do archiwów KGB. Odpowiedzieli, że coraz bardziej swobodny, ale przeraża ocean zgromadzonego tam materiału.

Obecnie ubiega się pan o mandat poselski z Warszawy. Czy doświadczenia suwalskie pomogą w dalszej pracy parlamentarnej?

Jestem człowiekiem miasta. W Warszawie się wychowałem, z Warszawą jestem związany na zawsze. Jeżeli nie od tego, skąd zostałem wybrany, o województwie suwalskim będę pamiętał zawsze.

III

○ nową konstytucję



„Gdy mówimy „obywatel”, najczęściej mamy na myśli zwrot grzecznościowy, a przecież obywatel to człowiek świadomie uczestniczący w życiu publicznym”.

Nowa konstytucja – pierwsze podejście

Z Bronisławem Geremekiem rozmawia Maciej Urbaniak

Maciej Urbaniak: Jak podsumowałby pan profesor dzisiejszą dyskusję? [6 lutego 1990 roku odbyło się pierwsze posiedzenie Sejmowej Komisji Konstytucyjnej z udziałem ekspertów – przyp. J.G.].

Bronisław Geremek: Po pierwszych spotkaniach poświęconych organizacji i metodzie naszej pracy przystąpiliśmy do meritum. Dzisiejsza dyskusja określiła model ustawy zasadniczej, jaką powinien uchwalić parlament obecnej kadencji. W tym modelu konstytucja powinna stać się zbiorem klarownych norm prawnych nadających się do bezpośredniego stosowania, nie zaś zbiorem najsłuszniejszych nawet deklaracji intencji ustrojodawcy.

Precyzyjne zapisy wymagają długiego i żmudnego przygotowania, kiedy przewiduje pan zakończenie prac?

Konstytucja powinna być uchwalona tak szybko jak szybko napisana może zostać ustawa zasadnicza na miarę potrzeb i polskich aspiracji. Datą graniczną, nieprzekraczalną, jest jednak 3 maja 1991 roku. Ale myślę, że wypełnilibyśmy ducha Ustawy Majowej, gdyby Sejm i Senat wywiązały się z tego zadania wcześniej.

Jak zapewnić tak szybkie tempo?

W ramach komisji powołane zostały trzy zespoły, które opracują propozycje rozwiązań – każdy w swoim zakresie działania. Pierwszy zajmie się ustrojem politycznym oraz systemem i podstawowymi zasadami działania organów państwa. Domeną drugiego jest ustrój gospodarczy i społeczny, a więc sformułowanie zasad prawa gospodarczego, funkcjonowania własności oraz zasad stowarzyszania się i organizowania obywateli. Wreszcie zespół trzeci opracuje normy dotyczące wolności i praw obywateli. Ale to nie wszystko. Już za dwa tygodnie odbędzie się następne posiedzenie plenarne komisji, na którym zaproponowany zostanie szkielec przyszłej konstytucji. Na tym posiedzeniu zamierzamy również sformułować główne pytania, z którymi zwrócimy się do opinii publicznej. Jak zapowiedziałem dzisiaj, założenia konstytucji chcemy poddać pod szeroką dyskusję społeczną, a zapewne staną się one również przedmiotem referendum.

Kiedy to może nastąpić?

Najlepszym rozwiązaniem byłoby przeprowadzenie referendum łącznie z wyborami do samorządu terytorialnego, ale nie wiem czy zdążymy.

Własną Komisję Konstytucyjną powołał również Senat...

Zgodnie z obowiązującym prawem zmiana ustawy zasadniczej jest domeną Sejmu, a Senat zachowuje w stosunku do niej wszystkie uprawnienia, jakie ma w procesie legislacyjnym. Będę dążył do tego, by projekt był opracowany w pełnej współpracy z Senatem.

Grudniowa nowelizacja jest w swych rozwiązaniach generalnych oceniana pozytywnie. W jej wyniku jednak obecna konstytucja jest aktem wyjątkowo niespójnym. Czy przewiduje się więc jeszcze jakieś korekty?

Sądzę, że przy okazji zmian dotyczących samorządu terytorialnego warto by skorygować kilka zasadniczych niespójności,

zwłaszcza tych, które mogą mieć negatywny wpływ na procesy zachodzące w Polsce. Tej konstytucji jednak poprawić się już nie da i dlatego trzeba ją szybko zastąpić nową.

Konstytucja jest sprawą wszystkich Polaków. Czas na publiczną debatę

Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym
Komisji Konstytucyjnej Sejmu RP, rozmawia
Maciej Urbaniak

Maciej Urbaniak: Jaka jest pańska wizja kalendarza politycznego Polski przełomu 1990/1991 roku? Jak plasują się w nim prace nad nową konstytucją?

Bronisław Geremek: Polski kalendarz polityczny powinien utrwaląć wielką szansę naszego kraju: połączenie ogromnej dynamiki zmian w państwie i gospodarce ze stabilizacją społeczną. W jego ramach znajduje się skrócenie o połowę kadencji parlamentu i wybory wczesną wiosną przyszłego roku. Do tego czasu powinna być gotowa nowa konstytucja.

Wielu odmawia jednak obecnemu Sejmowi – jako niereprezentatywnemu – prawa do uchwalenia nowej ustawy zasadniczej.

Myślę, że jest to element rozgrywki politycznej. Ci sami ludzie, którzy odmawiają parlamentowi tego prawa, równocześnie nie widzą przeszkód, by wybrał on nowego prezydenta. Nie dostrzegają również, że znacznie poważniejsze następstwa dla procesu przemian niż nowa konstytucja, mają uchwalone już przez ten

właśnie parlament ustawy o samorządzie terytorialnym, czy znajdującej się w toku prac legislacyjnych ustawy o prywatyzacji.

Ten parlament ma nie tylko prawo, ale i obowiązek podjąć próbę uchwalenia dobrej konstytucji. Przrzekliśmy wyborcom, my – ludzie z listy „Solidarności”, że uczynimy go konstytuanta, bo mieliśmy poczucie, że system komunistyczny odchodzi w przeszłość i tę kartę trzeba zamknąć.

Sądzę przy tym, że kluczowe decyzje powinno podjąć Zgromadzenie Narodowe, a nie wyłącznie Sejm. Opowiadam nie za szybką nowelizacją art. 106 Konstytucji RP, dotyczącego trybu zmian ustawy zasadniczej, tak by obie izby włączone były w proces legislacji konstytucyjnej na równych prawach.

Konstytucja uchwalona przez Zgromadzenie Narodowe mogłaby zostać legitymizowana w ogólnonarodowym referendum. Ale głównym czynnikiem legitymizacji będzie przecież jej treść, która nie może być przedmiotem żadnego kompromisu.

Co to znaczy?

Parlament w swym obecnym składzie mógłby odmówić uchwalenia demokratycznej konstytucji. Jeżeli jednak ją uchwali, treść nowej ustawy zasadniczej nie może być wyrazem istniejącego jedynie na Wiejskiej układu sił politycznych. Nowa konstytucja odzwierciedlać musi podstawowe wartości, które określały i nadal określają program „Solidarności”.

Na jakim etapie znajdują się obecnie prace komisji sejmowej? Kiedy należy się spodziewać pierwszych ustaleń?

Komisja powołała trzy zespoły robocze. Pierwszy, kierowany przez prof. Janusza Trzcńskiego, opracowuje problematykę ustroju politycznego państwa, funkcjonowania systemu władzy. Drugi, na czele z prof. Andrzejem Zawiślakiem, zajmuje się zagadnieniami ustroju społeczno-gospodarczego. Domeną trzeciego, pracującego pod kierunkiem dr Hanny Suchockiej, są prawa i wolności obywatelskie.

Pierwsze ustalenia już są. W wielu kwestiach przygotowano propozycje zapisów konstytucyjnych.

Przed nami jednak trud rozstrzygnięcia zagadnień budzących największe kontrowersje. Dotyczą one zwłaszcza kształtu i sposobów organizacji organów państwa. Jaki ma być zakres kompetencji prezydenta? Czy w Polsce obowiązywać będzie ma system rządów prezydenckich czy parlamentarno-gabinetowych? Jakie powinny być relacje między dwiema izbami parlamentu? To pytania, przed którymi dziś stoimy.

Czy prawo odpowiedzenia na nie, ukształtowania na nowo ustroju Rzeczypospolitej rezerwuje sobie wyłącznie sejmowa komisja?

Oczywiście, nie! Potrzebna jest dziś szeroka, publiczna debata o konstytucji. By mogła ona mieć miejsce, trzeba przede wszystkim doprowadzić do świadomości społecznej poczucie doniosłości wyborów, przed jakimi staną legislatorzy. Przekonać obywateli, że poprawa ich codziennego życia zależy również od tego, jakie będziemy mieli prawa, a zwłaszcza – jaką będziemy mieli konstytucję. Przedstawić trzeba niezbędne informacje, zaprezentować różne stanowiska: naukowców, ekspertów, posłów, senatorów. Wówczas argumenty, nie – jak dotychczas – emocje kształtować będą opinię publiczną. Dlatego tak ogromne znaczenie przywiązuje do rozpoczęcia cyklicznego publikowania materiałów komisji na łamach „Rzeczypospolitej”.

Prasa, radio i telewizja niewiele miejsca poświęcały dotąd sprawom nowej konstytucji. To się musi zmienić. Konstytucja jest bowiem sprawą nas wszystkich i każdy powinien mieć możliwość publicznej wypowiedzi.

Powtarzam: najwyższy już czas na publiczną debatę.

Mam poczucie satysfakcji

Z Bronisławem Geremekiem, przewodniczącym sejmowej Komisji Konstytucyjnej oraz Klubu Parlamentarnego Unia Demokratyczna, rozmawiają Mariusz Janicki i Stanisław Podemski

Mariusz Janicki, Stanisław Podemski: 200-lecie Konstytucji Majowej mieliśmy uczcić uchwaleniem nowej ustawy zasadniczej. Rozumiemy, że termin 2 maja jest już nieaktualny, to jasne. Ale czy w tym roku konstytucja ma szansę być uchwalona?

Bronisław Geremek: Odpowiedź w tej chwili jest bardzo trudna. Naruszona została logika zmian politycznych. W tej logice mieściło się uchwalenie konstytucji, nowe wybory parlamentarne, wybór prezydenta – w takiej właśnie kolejności. Była to logika możliwa do realizacji do końca tego półrocza. Filozofia „przyspieszenia” zmieniła tę logikę i naruszyła porządek. Z konieczności nastąpiły pewne opóźnienia. Prawo obecnego parlamentu do uchwalenia nowej konstytucji jest przez wiele grup kontestowane. Ja także mam takie poczucie, że konstytucja wymaga pełnej legitymizacji; parlament z kontraktu politycznego takiej legitymizacji dać nie może. Od samego początku mówiłem, że nowa konstytucja powinna uzyskać akceptację przez referendum. Uważam, że istnieje taka możliwość, iż obecny parlament opra-

cuje konstytucję, podda ją referendum zatwierdzającemu, analogicznie jak po frankizmie w Hiszpanii, i wówczas ogłosi ją nowy parlament jako obowiązującą. To jest ważne, gdyż dla wszystkich państw niebezpieczne są sytuacje prowizoriów konstytucyjnych. Polska potrzebuje jasnego modelu, w jakim funkcjonować ma obywatel i władza.

A jeżeli wybory odbędą się w terminie wiosennym?

To wówczas nie ma takiej możliwości. Wtedy prace nad nową konstytucją podejmie nowy Sejm lub zleci to zadanie jakiemuś innemu ciału. Jeżeli wybory odbędą się jesienią, jest możliwe inne rozwiązanie. Można wybrać specjalne zgromadzenie – Konstytuantę, które pełniłoby normalne funkcje parlamentu, oprócz tego przygotowało konstytucję. Wybrano by to zgromadzenie na okres krótszy. Ale Komisja Konstytucyjna kończy zlecone jej przez Sejm zadanie: projekt nowej konstytucji jest już na ukończeniu.

Czy pan się nie boi, że referendum nad gotowym projektem konstytucji może być dla polskiego społeczeństwa czymś niezmiernie trudnym: przy czytaniu, zrozumieniu i akcie świadomego wyboru? Ta wątpliwość dręczy. Co prawda Francuzi robili to w 1946 roku, ale to społeczeństwo nasycone jest polityką, ma inną tradycję. Czy w Polsce to by się udało?

Rozumiem pański sceptycyzm. Mówiąc szczerze, podzielam go. Ale może właśnie to by było Polsce potrzebne dla upowszechnienia wiedzy o konstytucji. Odzew na sprawy konstytucji wykazują małe grupy polityczne, wąskie elity. Niezwykle trudno jest uzyskać szeroką reakcję społeczną. Próbowaliśmy występować z apelami, podejmować debaty – nie znajdują one właściwego echa. Konstytucja działa jak słowo święte, symboliczne, okolicznościowe. Bardzo trudno jest uczynić ją przedmiotem realnego zainteresowania. Z tego wynika wniosek: spróbować uczynić taką edukację konstytucyjną przedmiotem przygotowań do kampanii wyborczej. Zagrożenie, iż elementy konstytucji staną się obiek-

tem przetargów politycznych w trakcie kampanii, nie wydaje mi się duże. Będzie naturalnie presja, aby podstawą tejże kampanii były kwestie życia gospodarczego.

Przejdźmy do ordynacji wyborczej. Pojawiła się konkurencyjna propozycja prezydencka. Czy moglibyśmy przedstawić tutaj konfrontację tego projektu z ordynacją przygotowywaną przez Sejm? Dla każdego myślącego człowieka w Polsce istnieje następujący problem: ma powstać Sejm, który będzie reprezentacją rzeczywistych sił politycznych, a jednocześnie taką, która pozwoli na koalicyjność władzy, bo chyba na to jesteśmy skazani. Jak pod tym względem obie te ordynacje wyglądają? Czy wreszcie majowy termin wyborów jest realny? Znajdujemy się tutaj pomiędzy Scyllą a Charybdą. Scylla to ogromne rozdrobnienie parlamentu, które nie stworzyłoby możliwości powołania stabilnego rządu. Charybda to fakt, że ogromne spektrum polityczne – wyrażające się w liczbie stu czterdziestu partii zarejestrowanych, stu pięćdziesięciu partii istniejących – nie znalazłoby odbicia w parlamencie, a wtedy istniałaby tendencja przenoszenia życia politycznego na ulicę. I jedno, i drugie jest groźne. Podzielałem panów sceptycyzm w stosunku do politycznego monopolu partii, gdyż uważam, że jeszcze nie wytworzyły się partie polityczne, istnieją niejasności programów, społeczeństwo wykazuje wiele nieufności wobec wszelkich partii – dlatego właśnie broniliśmy prawa organizacji społecznych do wysuwania kandydatów. Tyle tylko, że wszystkie grupy, które decydują się na udział w wyborach, muszą być poddane temu samemu prawu, to znaczy, że uczestniczą one w politycznej kampanii i deklarują się jako siły *stricte* polityczne. To może być Liga Kobiet, związki zawodowe, stowarzyszenia i grupy ludzi.

Z dwu zaproponowanych ordynacji jedna jest rezultatem długiej pracy i kompromisów. Punktem wyjścia mojego stanowiska była ordynacja proporcjonalno-większościowa, która nie znalazła uznania w Sejmie, gdzie przyjęto za podstawę ordynację proporcjonalną i polecono Komisji Konstytucyjnej prace nad tym właś-

nie projektem. Rezultat obecny: 115 mandatów ma być przedmiotem wyboru w okręgach jednomandatowych, czyli będzie to wybór konkretnych osób, natomiast pozostałe 345 mają być rozdzielane pomiędzy regionalne listy.

Istnieje jeszcze tendencja w Komisji Konstytucyjnej, aby obligatoryjny był wybór ludzi na poszczególnych listach, co byłoby na mój gust nadmierną personalizacją wyborów. Ale jest to zbieżne z oczekiwaniami społecznymi i jest pewną kontynuacją wyborów samorządowych. Karta wyborcza musiałaby być w takim przypadku bardzo duża. Może rozwiązaniem będzie fakultatywność; można wskazać osoby, ale nie musi się, a głos zachowuje ważność.

Czy propozycja prezydencka wnosi tu coś istotnego?

Propozycja prezydencka: połowa mandatów w jednomandatowych okręgach, a druga połowa jest rozdzielona zgodnie z wolą partii politycznych, tzn. proporcjonalnie do wyników wyborów, lecz dopiero przy rozdziale mandatów w skali całego kraju, co daje znacznie większą rolę partiom politycznym, a zwłaszcza ich centralnym aparatom. Który z tych dwóch projektów jest lepszy trudno przewidzieć. Ten pierwszy jest wynikiem kompromisu, drugi – wyraźnym wzmocnieniem partii politycznych. Co prawda nie ma systemu demokratycznego bez partii, ale nie można też przyspieszać procesów społecznych, nie można przymuszać społeczeństwa do natychmiastowej akceptacji tychże partii. Nie wiem czy zasada *de facto* list krajowych znajdzie uznanie parlamentu. Jeżeli zaś chodzi o termin, proszę pamiętać, że Sejm może wszystko, obojętnie jakim kosztem, ale może ustalić taki termin, jaki chce.

Panie profesorze, powróćmy do konstytucji. Wciąż nie ma jasności, co do pewnych elementów konstytucji, takich jak Senat, uprawnienia prezydenta – co dzisiaj nabiera wymiaru politycznego, wreszcie prawa socjalne. Co jest już dziś przesądzone w tych kwestiach?

W projekcie konstytucji mamy państwo demokracji parlamentarnej, w którym parlament pełni funkcje legislacyjne oraz kon-

trolne. Rząd jest mocny i dość stabilny, ponieważ wprowadzone jest tzw. konstruktywne wotum nieufności, stosowane w praktyce politycznej RFN. Wprowadzone są także pewne zasady kontroli, odpowiedzialności finansowej za zgłaszane inicjatywy legislacyjne. Sejm zatem będzie się musiał zatroszczyć o środki dla rządu na realizację swych pomysłów ustawodawczych. Nie grozi to sejmokracją, a jednocześnie stawia rząd pod mocną kontrolą parlamentu.

Przyjęliśmy, że wybór prezydenta w powszechnych wyborach znajduje aprobatę społeczną. Daje ona prezydentowi niezwykle mocną pozycję w państwie. Jest on bowiem wybrany z największą legitymizacją. Uznaliśmy, że prezydent nie jest szefem władzy wykonawczej, lecz wielkim arbitrem, strażnikiem konstytucji, którego kompetencje naczelne dotyczą bezpieczeństwa państwa, zewnętrznego i wewnętrznego.

Teraz Senat. Istnieje tu dość paradoksalna sytuacja, iż Senat, który był podarkiem partii komunistycznej w zamian za funkcję prezydenta, jest w tej chwili jednym z elementów demokratycznej wyobraźni o przyszłości kraju. Komisja Konstytucyjna chce wprowadzić jakąś zasadę różnicującą obie izby. Albo Senat powinien być przedstawicielstwem samorządu terytorialnego, z reprezentantami mniejszości narodowych (które mają utrudniony dostęp do izby niższej), albo uznać Senat za ciało korporacyjne, gdzie byliby przedstawiciele delegowani przez środowiska, takie jak związki zawodowe, związki pracodawców, samorządy, uniwersytety. Sejmowi przedstawimy wariantowe rozwiązania. Senat jest skłonny utrzymać dzisiejszą sytuację.

Ale czy Senat w ogóle jest potrzebny?

Po półtorarocznym okresie działalności mogę stwierdzić, że Senat dobrze służy ulepszaniu procesu legislacyjnego. Bardzo często nasze ustawy wracały z Senatu poprawione. Można osiągnąć to na pewno inną drogą. I takie próby były podejmowane przy formułowaniu nowego regulaminu Sejmu. Niemniej druga izba

powinna być miejscem refleksji o państwie, bez uwikłania w polityczną codzienność.

Czy zna pan jakieś przykłady ze świata takiej właśnie izby?

Nie jest to łatwe, gdyż ani przykład włoski, ani francuski w takim kierunku nie prowadzą. Próbowaliśmy znaleźć polskie rozwiązanie. Gdyby Senat zajmował się tymi wielkimi problemami, inicjatywami ustrojodawczymi... Ale praktyka pokazała, że Senat podejmował zarówno sprawy znaczące, jak i bardzo szczegółowe. Zacierała się tu różnica pomiędzy obiema izbami. Tu trzeba znaleźć nowe rozwiązanie.

Marszałek Andrzej Stelmachowski stwierdził niedawno, po wizycie prezydenta Wałęsy, że Senat powinien pozostać w dotychczasowej postaci i składzie personalnym, gdyż został wybrany całkowicie demokratycznie. Jak to się ma do nowej ordynacji wyborczej?

Ja tylko mogę powiedzieć, jak to się ma do obowiązującej konstytucji. Otóż konstytucja wyklucza taką możliwość. Można ją oczywiście zmienić, ale trudno przypuszczać, by Sejm uchwalił taki przywilej dla Senatu.

Czy to prawda, że Sejm jest bardzo „antysenacki”?

Myślę, że ten antagonizm istnieje we wszystkich parlamentach dwuizbowych. W każdej instytucji wytwarza się „duch imperialistyczny”, rozszerzający. Myślę, że nasz Senat chciałby mieć uprawnienia senatu amerykańskiego, a Sejm – Bundestagu. Ale nie należy przesadnie oceniać występujących od czasu do czasu konfliktów.

Wspomnieliśmy jeszcze o sprawach socjalnych w nowej konstytucji. Uważamy, że konstytucja powinna być formułowana w języku jurystycznym. Powinny tam padać zdania, które mają sens prawny – gwarantują uprawnienia i określają obowiązki. Gdybyśmy stwierdzili, że obywatele mają prawo do pracy, odpoczynku i do radości – a są konstytucje, które to stwierdzają – to pojawi się

problem spełnienia tych zobowiązań. Język prawa natomiast stwierdza tylko rzeczy konkretne. Powstał pewien spór pomiędzy liberałami a etatystami, niemniej uznaliśmy, że państwo ma elementarne zobowiązania wobec obywateli, dotyczące zwłaszcza spraw zdrowia i życia rodzinnego. Państwo musi gwarantować możliwość egzystencji, co oznacza np. zasiłek dla bezrobotnych.

Chcielibyśmy poruszyć kwestię delikatną. Czy nie sądzi pan, że ten nowy parlament będzie gorszy pod względem personalnym, że stare elity zostaną wyparte przez drugi garnitur, ludzi mniejszego kalibru, wyniesionych przez chwilowe, aktualne układy polityczne? Wiemy, że nie możemy dezawuować wolnych wyborów, ale coś w tym chyba jest.

Ja te obawy rozumiem. Nie wiem czy ten nowy sejm będzie lepszy od obecnego. Ale nie ma innej drogi – demokracji można uczyć się tylko przez demokrację. Najważniejsze, aby Sejm był silnie umocowany w społeczeństwie, gdyż idą ciężkie miesiące i lata. Wśród „solidarnościowych” parlamentarzystów były trzy osoby z doświadczeniem poselskim. Reszta to amatorzy. Dzisiaj mogą powiedzieć, iż są różni ludzie w parlamencie, jak w każdej zbiorowości; ale wyłoniło się dostatecznie wiele osób rozumiejących prawo i jego związku z życiem. Jeśli sprawdziło się to w przypadku 35 proc. składu wyłonionego w wolnych wyborach, to przyjmuję, że tak samo będzie przy 100 proc.

Jak pan odpowiada na zarzuty wobec Komisji Konstytucyjnej dotyczące opóźniania wyborów, np. Zdzisława Najdera czy Jarosława Kaczyńskiego?

Zarzuty opóźniania prac Komisji Konstytucyjnej pozostawiam po prostu bez repliki. Urbanowi też nie odpowiadałem. Nie są one prawdziwe i wysuwający je wiedzą dobrze o tym.

Czy można ocenić już dzisiaj szanse wyborcze ugrupowań politycznych?

Szanse poszczególnych ugrupowań politycznych w przyszłych wyborach trudno teraz ocenić, ponieważ krajobraz polityczny bardzo szybko się zmienia. Najbliższe miesiące będą miały kluczowe znaczenie, bo opinia publiczna uzyska możliwość oceny poszczególnych ugrupowań nie tylko przez ich nazwę i ich liderów, ale także przez ich programy. Szanse UD w tym kontekście wydają mi się dobre. W każdym razie nie należy prognozować przyszłych wyborów jako swoistej kalki wyborów prezydenckich – będą to inne wybory.

Jest pan również przewodniczącym Klubu Parlamentarnego Unia Demokratyczna. Właśnie „Unia”, a nie „Unii”. Czy mógłby pan skomentować te subtelnosci gramatyczne?

Chciałbym wyraźnie oddzielić moje dwie funkcje. Moja rola przewodniczącego Komisji Konstytucyjnej to rola organizatora prac i mediatora. Jako członek Klubu jestem przedstawicielem określonej orientacji politycznej. Przy czym nasz Klub nie jest klubem partyjnym.

Trudno o tym przekonać obserwatorów.

Mamy nadzieję, że sytuacja stanie się w końcu klarowna. Jeżeli wybory będą niedługo, ROAD, Unia Demokratyczna i FPD staną do nich w koalicji. Jeżeli później – nastąpi zjednoczenie.

Wierzy pan, że ono nastąpi?

Tak sądzę. Wtedy sytuacja będzie łatwiejsza. Teraz forma „unia”, a nie „unii” jest znacząca, wskazuje na pewną potencjalność, zawieszenie. Na tym nam zależało.

Mówi pan często o moralności. To się podoba, kiedy politycy poruszają ten temat. Jak zatem ocenia pan ludzi, którzy nie tak dawno gorąco popierali Tadeusza Mazowieckiego, a teraz go opuścili? Czy podlegają ocenie moralnej, czy tylko politycznej?

Uważam, że polityką rządzą pragmatyczne decyzje. Ja osobiście bardzo cenię ludzi lojalnych i wobec siebie stawiam ten wymóg,

ale nie traktowałbym tego jako elementu wartościującego zachowania polityczne. Jestem historykiem i wiem jaka jest proza życia politycznego. Wiem, że powinno być w nim jak najmniej fanatyzmu i kaznodziejstwa. To ostatnie podkreślam, gdyż sam jestem często postrzegany jako kaznodzieja.

Nie chcieliśmy tego mówić, ale chyba trochę tak jest.

Wiem o tym i mam przez to poczucie skrępowania, gdy mówię o moralności polityków. Nie mogę dotychczas nikogo przekonać o tym, że dla mnie polityka jako gra naprawdę nie istnieje. Liczą się wartości fundamentalne. Jeżeli coś próbuję w polityce robić, to dlatego, aby nie była ona wyłącznie grą o władzę. A stąd już bardzo blisko do moralizatorstwa, zgadzam się.

Panie profesorze, trudno sobie już dzisiaj wyobrazić życie polityczne bez pana. Wydaje się, że musi pan czemuś przewodniczyć, zabierać publicznie głos, być kimś. Jak zatem widzi pan swe istnienie polityczne po wyborach? Czemu będzie pan przewodniczył?

W roli przewodniczącego jestem podobno niezły. Przewodniczę wielu różnym instytucjom, najgorzej samemu sobie. Przynależałem w przeddzień poprzednich wyborów, że po nich nie stanę do najbliższych... Jeżeli teraz powiem, że stanę do najbliższych, a potem przekonam siebie, że nie powinienem, to będę miał poczucie niekonsekwencji. Dlatego postanowiłem uznać tę kwestię za wciąż otwartą.

Kiedyś powiedział pan, że popełnia błędy, ale jest „pożyteczny”. Jak pan rozumie ową „pożyteczność”?

Mam poczucie satysfakcji, że potrafiłem w trudnych sytuacjach pozostać wierny ideom i ruchowi, z którym się związałem. Potrafiłem jednocześnie wytwarzać płaszczyznę dialogu i kompromisu. Myślę, że każdy polityk powinien to czynić.

Jaka będzie konstytucja III Rzeczypospolitej

Z Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym
sejmowej Komisji Konstytucyjnej, rozmawia
Katarzyna Kolenda

Katarzyna Kolenda: Jakie są efekty dwuletnich prac Sejmowej Komisji Konstytucyjnej?

Bronisław Geremek: Komisja otrzymała od Sejmu zadanie przygotowania projektu nowej konstytucji i zadanie to wykonała w końcu ubiegłego roku. Kampania prezydencka, a potem zleczone przez Sejm zadanie przygotowania nowego prawa wyborczego sprawiło, że sprawa konstytucji uległa oddaleniu. Niemniej zadanie zostało wykonane. W projekcie ustawy zasadniczej główne miejsce zajmują gwarancje praw człowieka i obywatela oraz określenie takiego modelu państwa, który te prawa respektuje. Konstytucja powinna tworzyć ramy funkcjonowania państwa, w których realizują się prawa obywatelskie. Musi być aktem wyobraźni, nie aktem poetyckiego wyznania wiary, pisany na polityczne zamówienie, konstytucja musi zakreślać ramy prawa dla chwili obecnej i dla przyszłości. Dokumentem szczególnie charakterystycznym jest konstytucja Stanów Zjednoczonych, uchwalona przed dwustu laty. Jest szczególnym doświadczeniem trwałości – funkcjonuje bowiem do dziś. Pisana była z wyobraźnią i nadal stanowi ogólną ramę bez szczegółowości.

Jaki model przyszłego ustroju RP wyłania się z projektu opracowanego przez komisję?

W konstytucji próbujemy określić model funkcjonowania państwa jako państwa mocnej władzy we wszystkich dziedzinach. Przyjęliśmy więc, że prezydent jest gwarantem porządku konstytucyjnego i arbitrem wielkich konfliktów społecznych, wybranym w powszechnych wyborach, a zatem dysponującym najszerszą legitymacją społeczną. Przyjęliśmy też zasadę mocnego rządu z premierem, którego uprawnienia określa w naukach politycznych formuła kanclerska. A więc mocny rząd, mocny premier. Następnie – parlament o pełnych uprawnieniach ustawodawczych i szerokim zakresie kontroli nad władzą wykonawczą, czyli działaniami rządu. I wreszcie pełna niezależność aparatu sądowniczego, pełna niezawisłość sądów i sędziów, jako element filozofii myślenia o państwie.

Projekt konstytucji jest więc gotowy. Czy obecny Sejm zechce ją uchwalić?

Konstytucja zostanie Sejmowi przedstawiona. Sądzę, że obecny parlament nie powinien jej uchwalać, zależy to jednak od suwerennej decyzji Sejmu. Jako przewodniczący Komisji Konstytucyjnej jestem zobowiązany przedłożyć sprawozdanie i projekt konstytucji, a także przedłożyć Sejmowi wszystkie możliwe rozwiązania. Myślę wszakże, że konstytucji nie można uchwalać w atmosferze konfliktów politycznych. Nie powinna ona być instrumentalizowana w sporach politycznych, powinna zaś mieć maksimum legitymizacji społecznej. Tych warunków chwila obecna nie spełnia. Dlatego sądzę, że nową konstytucję uchwali nowy Sejm, pochodzący z wolnych wyborów.

Coś za coś, czyli sztuka kompromisu

Z Bronisławem Geremkiem rozmawia Eliza Olczyk

Eliza Olczyk: Punktem wyjścia do opracowania małej konstytucji był projekt ustawy konstytucyjnej, opracowany przez Unię Demokratyczną. Jakie intencje przyświecały twórcom tego dokumentu, gdy zawyrokowali o tym, że w Polsce powinien obowiązywać system parlamentarno-prezydencki?

Bronisław Geremek: Zgłosiliśmy projekt małej konstytucji w przekonaniu, że potrzebne są szybkie decyzje ustrojowe, które usunęłyby z życia politycznego konstytucję z 1952 roku oraz naprawiły niejasności istniejące w funkcjonowaniu władz państwa. Uważaliśmy, że można uniknąć blokowania się mechanizmów decyzyjnych w państwie, wytwarzając taką sytuację, w której poszczególne wielkie organy władzy uzyskają mocne, jasno rozgraniczone uprawnienia.

Zrezygnowaliśmy z wyróżnienia jednej władzy na rzecz wprowadzenia klasycznej zasady konstytucyjnej równowagi i kontroli. Sądzę, że dzięki tej ustawie stworzyliśmy układ, w którym prezydent, wybrany przez cały naród, dysponuje ważkimi uprawnieniami. Parlament sprawuje w pełni swoje funkcje: legislacyjną oraz kontroli nad rządem. Rząd, wreszcie, uzyskuje szersze uprawnienia. Gdy się jednak chce wszystkich zadowolić, często nie zadowala się nikogo.

Sprzeczne zarzuty pod adresem ustawy wykazują, że tak właśnie było i w tym przypadku.

Dokładnie oddaje to obecną sytuację. Powiada się, że uszczuplone zostały uprawnienia parlamentu. Krytyka „parlamentokracji” skłoniła nas do tego, by zrezygnować ze sformułowania, że Sejm jest najwyższym organem państwa. Jego funkcje legislacyjne zostały jednak w pełni utrzymane.

Funkcje kontroli nad rządem w niektórych dziedzinach nawet zwiększyliśmy.

Powiada się, że uprawnienia rządu są słabo określone. Daliśmy jednak Sejmowi niezwykle istotne prawo przyznawania rządowi dekretów z mocą ustaw i jeżeli rząd zechce z tego skorzystać, to uprawnienia jego będą wysokie.

Uznaliśmy, że władza prezydenta powinna być jasno określona. Wprowadziliśmy więc zasadę, że prezydent jest najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych i zdanie jego jest istotne przy powoływaniu ministra obrony narodowej. Prezydent mianuje też szefa Sztabu Generalnego. Sądzymy, że w ten sposób osłabiliśmy możliwość sporów kompetencyjnych, dotyczących obrony narodowej. Wprowadziliśmy także zasadę kontroli nad działaniami prezydenta. Przepis konstytucyjny o kontrasygnacie ma w Polsce tradycje od czasów Konstytucji 3 Maja, lecz do tej pory nie było formuły realizacyjnej.

Obecna ustawa konstytucyjna może nie w pełni odpowiada intencjom Unii Demokratycznej, ale wprowadza do układu między ośrodkami władzy więcej jasności i precyzji. Powinna zatem dobrane służyć funkcjonowaniu państwa.

Wśród wielu zarzutów pod adresem ustawy był i ten, że rząd otrzymał największe uprawnienia, które w efekcie mogą doprowadzić nawet do obniżenia znaczenia Sejmu.

Jest to zarzut niepoważny, zapomina się bowiem o tym, jak zasadniczą, a czasami nadmierną rolę w stosunku do funkcjonowania rządu ma parlament. Nie tylko udziela wotum zaufania premierowi i rządowi, ale także odwołuje poszczególnych ministrów.

Nowy regulamin Sejmu przewiduje, że poseł w każdym momencie może domagać się od rządu natychmiastowej odpowiedzi na zadane pytanie. Zwyczaj brytyjski na przykład jest całkowicie odmienny – raz w tygodniu jest pół godziny premiera, który w tym czasie dyskutuje z przywódcą opozycji. Nie do pomyslenia jest natomiast, aby ktokolwiek mógł wzywać na salę egzaminacyjną każdego z ministrów, dodając, że odpowiedź ma być natychmiastowa.

Jeżeliby rząd uzyskał prawo do wydawania dekretów z mocą ustawy, to przecież jest z tego rozliczany przez Sejm, który może każdy z tych aktów prawnych uchylić, wydając odpowiednią ustawę. Co więcej, myślę, że każdy rząd będzie się bardzo zastanawiał, zanim wystąpi do Sejmu o takie uprawnienia. Zwiększenie kompetencji oznacza bowiem jednocześnie zwiększenie odpowiedzialności i to w obliczu presji społecznej. Proszę pomyśleć o obecnej sytuacji strajkowej, o niezadowoleniu chłopskim. Jeżeli rząd zechciałby całość tych spraw wziąć na siebie, dla Sejmu byłoby to niezwykle ułatwienie.

Jak to się stało, że mimo ogromnych kontrowersji wokół ustawy została ona uchwalona i to większością dwóch trzecich głosów?

Pierwsze półrocze tego roku przekonało nas, że niejasność przepisów konstytucyjnych może prowadzić do kryzysu państwa. Uchwalenie tej ustawy jest zatem wynikiem pewnej świadomości krytycznego stanu państwa oraz woli kompromisu w łonie prawie wszystkich ugrupowań.

Przyjęcie w konstytucji przepisu, że wybory mają być proporcjonalne, nie odpowiada ani mojemu klubowi, ani inicjatorom tej ustawy, ani nawet – moim zdaniem – potrzebom państwa. Zgodziliśmy się jednak na proporcjonalne prawo wyborcze, bo wiedzieliśmy, że w innym wypadku dwa duże ugrupowania w Sejmie nie udzieliłyby poparcia małej konstytucji to nie byłoby większości dwóch trzecich. Coś za coś...

Czy liczy się pan z możliwością, że mała konstytucja, zweryfikowana przez praktykę, zostanie w przyszłości zmieniona?

Ustawa konstytucyjna nie jest znakomita. Rzecz w tym, że jest lepsza niż stan dotychczasowy. Jestem przekonany, że istnieje możliwość uchwalenia w krótkim terminie pełnej konstytucji, w której mogą być zawarte doświadczenia z funkcjonowania przez ten czas małej konstytucji. Są parlamenty, które z zasady co pewien czas przeglądają konstytucję od strony jej funkcjonowania. Życzyłbym nam tego samego.

Mam nadzieję, że uchwalenie ustawy konstytucyjnej takiej, jaka ona jest – niedoskonałego aktu kompromisu – będzie jednak przyjęte pozytywnie, i ze strony opinii publicznej, i ze strony tych instytucji, która teraz mają się w tej kwestii wypowiedzieć – Senat i prezydenta.

IV
Demokracja po polsku



„(...) Unia Wolności określa się jako partia centrum, a więc taka, która odrzuca radykalne opcje i opowiada się za działaniem na rzecz państwa jako dobra wspólnego”.

„Solidarność” była pierwszą szansą, teraz szansą staje się Polska

Z Bronisławem Geremekiem rozmawia
Robert Kamiński

Robert Kamiński: Sytuacja polityczna w Polsce nadal jest gorąca i wielu ludzi zadaje pytanie czy rząd Mazowieckiego wywróci się, czy nie?
Bronisław Geremek: Ten rząd może się wywrócić, ponieważ jego podstawa polityczna jest krucha. Wiele zależy od zachowania się partnerów koalicyjnych w parlamencie, czyli dawnego ZSL i SD. Istotą jednak „kruchości” rządu jest niemożliwość natychmiastowego dania społeczeństwu tego, czego ono oczekuje. Może trudno to sobie wyobrazić, ale rząd Tadeusza Mazowieckiego zastał, po poprzedniej ekipie, pusty skarb państwa i niewyobrażalnie zdewastowaną gospodarkę...

No i trochę długów do spłacenia...

Ogromny garb długu! Jedno i drugie ma znaczenie. Trudno jest rządzić nie mając pieniędzy, a garb długu zamyka perspektywę, zamyka horyzont. Jeśli mielibyśmy spłacać go w całości, zaciąży to na pokoleniach Polaków. Mimo to są już pierwsze efekty. Udało się uzdrowić pieniądź, zatrzymano inflację. Ale najważniejsze dla rządu jest zaufanie społeczne. Bez niego nie można przeprowadzić trudnej, gwałtownej i szybkiej zmiany ekonomicznej. No,

a teraz właśnie pierwszy strajk, pierwszy wielki strajk i poważny kryzys. Można go potraktować jako zapowiedź fali strajków, przecież nie tylko kolejarzom powodzi się źle. I przez pewien czas nie będzie lepiej. Jeśli zatem społeczeństwo nie da kredytu zaufania, rząd Mazowieckiego się wywróci. Ale ja uważam, że rząd ma ten największy z możliwych kapitałów i sondaże potwierdzają moją opinię. Sądzę, że z tego pierwszego kryzysu uda się nam wyjść i że będzie to lekcja dla wszystkich. Że po tym strajku – wobec którego rząd nie może ustąpić – nie będzie następnych.

Jeśli każdy następny rząd miałby mniejszy kredyt zaufania, dlaczego zdaje się tego nie rozumieć część posłów OKP, rozbijając klub od środka? Mówi się przecież, że OKP rozpada się.

Gdy mówię o diagnozie, staram się mówić prawdę, odkładam na bok pobożne życzenia. OKP jest stale postrzegany w tej właśnie perspektywie rozpadu. Ileż razy wrócono mu koniec, a przecież roczny bilans istnienia jest naprawdę wielki. Mimo to postanowiliśmy wystąpić o skrócenie kadencji parlamentu do połowy, żeby przed 3 maja 1991 roku odbyły się nowe wybory, żeby był nowy rząd i nowy prezydent. Oznacza to jednak, że już w tej chwili zaczyna się rysować kampania wyborcza do parlamentu i u niektórych polityków – w łonie OKP i poza nim – górę wzięły ambicje personalne, egoizmy grupowe przeważały nad troską o interes zbiorowy. Poczekajmy jednak spokojnie na rezultaty tych poczynań. Dotychczas żadna z grup tworzących wewnątrz OKP i poza nim jakieś podkluby, nie wyrzeka się przynależności do Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. Dlaczego? Ponieważ cieszy się on społecznym zaufaniem. Społeczeństwo zdaje sobie sprawę, iż nadal jeszcze tkwimy w dziedzictwie systemu komunistycznego. Można je zniszczyć, wytrzebić jedynie idąc razem. Drugim elementem jest świadomość, że przyszłość polskiej demokracji zależy od gospodarki. Ażeby mogła być ona radykalnie i szybko zmieniona, wymagany jest trwały i stabilny rząd. To chyba najważniejszy element podtrzymujący jedność OKP.

Wspomniał pan o szykującej się kampanii wyborczej do parlamentu, a także o nowych wyborach prezydenckich. Czy w związku z tym można przewidzieć następne ruchy Wałęsy?

Lech Wałęsa był, jest i pozostanie liderem narodowym o ogromnym prestiżu i autorytecie. To, co się stało w naszym kraju, jest przecież związane z imieniem Wałęsy. O tym, czy jednak będzie prezydentem, zadecydują demokratyczne wybory. Ich wynik zależy od tego, jak Polacy wyobrażają sobie przyszłość ustrojową kraju i jakie miejsce postrzegają dla prezydenta. Niezależnie jednak od tego mam nadzieję, że „Solidarność” jest spoiwem, które łączy nie tylko OKP, nie tylko rząd Mazowieckiego, ale że łączy i Wałęsę, i Mazowieckiego przyjaźnią i solidarnością. Dlatego sądzę, że się odnajdziemy razem, tak jak trzeba.

Wybory samorządowe zamknęły komunistyczną formację ustrojową Polski. Jak pan widzi tę nową perspektywę Polski samorządnej? To jest pytanie! Powiada się, że trudno prognozować przyszłość, bezpieczniej analizować przeszłość. Nie ulega wątpliwości, że teraz zachodzą najważniejsze przemiany ustrojowe, ponieważ sama zmiana rządu nie była jeszcze taką zmianą ustrojową. To, co się dzieje teraz, dotyczy dziesiątków, setek tysięcy ludzi. Dzięki tym wyborom powinno powstać pole do działań, w których mogą odnaleźć się obywatele. Gdy mówimy „obywatel”, najczęściej mamy na myśli zwrot grzecznościowy, a przecież obywatel to człowiek świadomie uczestniczący w życiu publicznym. W czym dotychczas człowiek mógł uczestniczyć? „Solidarność” była jego pierwszą szansą, teraz taką szansą staje się Polska. Wybory samorządowe powinny rozbudzić świadomość, trudną świadomość odpowiedzialności za kraj. Trudną, ponieważ w gospodarce osiągnęliśmy jeszcze niewiele, jedynie umocnienie pieniądza. Przed nami bezrobocie, restrukturyzacja, zmiana całego systemu funkcjonowania życia gospodarczego. Czekają nas ciężkie chwile, miesiące, a może i lata. Sądzę jednak, że koniec tego roku przyniesie zmiany wystarczające, by pokazać, jaką drogą idziemy, jaki

jest nasz program. I przypuszczam, że w roku 1991 Polacy zobaczą, że mają nie tylko rząd godny zaufania, ale że mają Polskę, w której daje się żyć.

Chce pan przez to powiedzieć, że warto było postawić na „Solidarność”?

Warto było postawić na „Solidarność”!

Saper czy uczeń czarnoksiężnika?

Z prof. Bronisławem Geremkiem rozmawiają
Ewa Grzybowska-Łukaszek i Anna Raczyńska

Ewa Grzybowska-Łukaszek, Anna Raczyńska: Panie profesorze czy mógłby pan skomentować polską kolejność przemian demokratycznych? Jest ona przecież inna niż w krajach o ustalonej w tym względzie tradycji.

Bronisław Geremek: Gdyby brać pod uwagę wymogi logiki, to rzeczywiście należałoby ustalić najpierw konstytucyjny model państwa, potem dokonać wyborów do parlamentu itd. Jest inaczej, bowiem jesteśmy w okresie przejścia do demokracji. Należy zatem wypełnić te zadania, które podsuwa rzeczywistość. Wymagają one stabilizacji instytucji politycznych, stąd konieczność tak szybkiego usunięcia paradoksów pozostawionych przez polityczny kontrakt z 1989 roku. Mieliśmy ustalony kalendarz zmian politycznych, on ulegał jednak przemianom w miarę, jak zmieniała się sytuacja w Europie, w bloku wschodnim, w Polsce. Stąd najważniejsze dziś są demokratyczne wybory prezydenta, a później parlamentu.

Jest pan gorącym zwolennikiem Tadeusza Mazowieckiego. Jaka rolę widzi pan na polskiej scenie politycznej dla Lecha Wałęsy?

Przyszłość Polski zależy od wytworzenia sieci porozumień społecznych. Takich, w których partnerami będą pracownicy i praco-

dawcy. Nie znam nikogo innego, kto potrafiłby to zadanie wypełnić lepiej niż Lech Wałęsa. W tej chwili jednak siła „Solidarności” jako związku zawodowego spada, liczba jego członków również. Związek nie jest w stanie odzyskać nawet jednej piątej członków z 1981 roku. I to jest wielki problem. Polska potrzebuje takiej reprezentacji interesów pracowniczych, jaką gwarantowała przed laty „Solidarność”. A jeśli się jest Wałęsą, to nie musi się mieć innego stanowiska.

W czasie ubiegłorocznego wyboru prezydenta powiedział pan, że jedynym kandydatem parlamentarzystów „solidarnościowych” jest Lech Wałęsa. Co zatem spowodowało, że zmienił pan opinię?

Każde stanowisko jest określone konkretną sytuacją. Wówczas Lecha Wałęsę nie interesowały stanowiska: prezydenta, premiera ani parlamentarzysty... Odrzucił, chociaż zależało nam na tym, aby władzy nie sprawowali sami komuniści. Minął rok. Lech Wałęsa w tym czasie jakby zatracił swe cechy, które uważałem za podstawowe w jego działaniu politycznym. Wyolbrzymiły się natomiast tendencje autorytarne, które bardzo odpowiadają obecnej trudnej i skomplikowanej sytuacji społecznej. Część społeczeństwa uważa, że sposobem na polskie problemy jest silna władza, która zrobi szybko i sprawnie porządek. Jedynym zaś sposobem jest prawo i państwo prawa. Jestem przekonany, że strażnikiem państwa prawa będzie Tadeusz Mazowiecki. Nie jestem przekonany, że byłby nim Lech Wałęsa.

Kto pańskim zdaniem jest odpowiedzialny za niski stan świadomości społecznej. Hasła populistyczne trafiają na podatny grunt, a część społeczeństwa czeka na silną władzę?

Odpowiem banalnie, że jest to dziedzictwo komunistyczne. Tłumione przez dziesięciolecia uczucia narodowe, społeczne reakcje, blokada świadomości narodowej – wszystko to nagromadziło się w psychologii społecznej i w niej pozostaje. A w powszechnym przekonaniu zarazem oczekuje się, że zostanie naprawione na-

tychmiast to, co psuto w czasie prawie półwiecza. We wszystkich narodach istnieją takie pokłady świadomości, do których można się odwołać, ale do których odpowiedzialny polityk nigdy odwoływać się nie powinien. Powstaje bowiem sytuacja ucznia czarnoksiężnika, bo polityk rozpętuje siły, nad którymi zapanować nie jest w stanie. Niektórzy powiadają, że kampanie wyborcze rządzą się swoimi prawami. My jednak tego prawa nie mamy. Idziemy do demokracji po bardzo wąskim pasie, po polu minowym i jesteśmy w sytuacji sapera, któremu nie wolno się pomylić!

Czy wobec tego mógłby pan sformułować przestrogi dla Polski?

Użyłem metafory pola minowego i nie bez powodu. Okazuje się bowiem, że Polacy – jeden z najodważniejszych narodów – boją się. I są to lęki realne, bo z jednej strony powstają zjednoczone potężne gospodarczo Niemcy, z drugiej zaś rozpada się imperium radzieckie. I nikt nie jest w stanie przewidzieć politycznych i gospodarczych skutków tego rozpadu. Może powstać groźny proces wędrowki ludów, jakich historia od tysiącleci nie znała. To niepewności geopolityczne. Ale są też niepewności gospodarcze. Historia zna przejścia od dyktatury do demokracji, nie zna natomiast przejścia od takiego dziwoląga, jakim była gospodarka centralnie zarządzana, do gospodarki rynkowej. Rodzą się więc pytania nie tylko o koszty tego przejścia, ale czy jest ono w ogóle możliwe. Niestety, na to pytanie nie ma uczciwej odpowiedzi. Te niewiadome wyzwalają u 65 proc. pracujących lęk przed bezrobociem. Ten strach jest groźniejszy od samego zjawiska bezrobocia... I kiedy pojawiają się grupy sfrustrowanych polityków, którzy próbują na społecznych frustracjach budować własne kariery – to jest to przestroga dla Polski. Ciemne siły rozbudzić łatwo. Łatwo też wskazywać ofiarnego kozła, którego można obarczyć winą za to, że nie jest dobrze, że nie są spełniane nadzieje. Narody jednak zawsze są odpowiedzialne za swoją przyszłość. Wybór obecny jest wyborem o bardzo daleko idących konsekwencjach

dla przyszłości naszego kraju. Świadomość – i szans, i zagrożenie musi być jasna dla każdego.

W cywilizowanych krajach rolę porządkującą na scenie politycznej odgrywają partie. W jakim kierunku powinny pójść – pańskim zdaniem – nasze poszukiwania formuły nowoczesnej partii politycznej? To bardzo trudne pytanie, ponieważ dziś możliwe są różne scenariusze. Dzięki zmianom w konstytucji, partie polityczne zyskały prawo istnienia i funkcjonowania. Nie zyskały natomiast masowego, społecznego poparcia. Być może przyczyną tego jest kompromitacja partii komunistycznej lub kryzys partii politycznych w całej Europie. Mogą u nas wytworzyć się organizacje polityczne nowego typu – takie jak ROAD i Centrum – pluralistyczne wewnętrznie, o słabszej dyscyplinie i organizacji, za to występujące z programem. Mało przypominają one partie typu europejskiego, natomiast bardzo fenomen partii typu amerykańskiego. W jakim kierunku zmierza ewolucja – nie wiemy.

Jak wobec tego widzi pan przyszłość Polski?

Uważam, że dokonaliśmy już tak wiele, że musi się udać i reszta. Zagrożenia jednak są i występują ostrzej niż kiedykolwiek. Ujawnił się podział, który wyrasta z mentalności politycznej, kształtowanej przez komunizm. Wystawia on polską szansę na wielkie niebezpieczeństwo. Trzeba jednak mieć poczucie, że w każdym momencie życia publicznego obowiązuje kodeks moralny, a ja dostrzegam niebezpieczeństwo przekraczania tego kodeksu. To oddala nas od standardu życia publicznego i Europy. Jeżeli pojawi się „brudna woda” w politycznych debatach i konfliktach, rozbudzone zostaną roszczenia i aspiracje, których zaspokoić nie można, to cały ten kruchy proces budowy polskiej demokracji i sensownej gospodarki może być zatrzymany.

Polityczne zwanie

Z Bronisławem Geremekiem (UD) rozmawia
Małgorzata Subotić

Małgorzata Subotić: Czy zaczął pan już budować razem z ministrem Wachowskim partię prezydencką?

Bronisław Geremek: Jest pani czytelniczką gazet, które specjalizują się w pisaniu nieprawdy.

Czy jest pan w dobrych kontaktach z ministrem Wachowskim?

Cenię prezydenta Lecha Wałęsę. Mam bardzo dobre kontakty zarówno z samym prezydentem, jak i ze wszystkimi jego współpracownikami, włączając ministra Wachowskiego.

Kilka miesięcy temu, po wyborach parlamentarnych, prezydent powierzył panu misję stworzenia rządu. Wielu obserwatorów uważało wówczas, że Lech Wałęsa od początku był przeświadczony o nieuchronnym fiasku tej misji. Czy tak rzeczywiście było?

Możemy już rozmawiać o tej sprawie jak o kwestii historycznej. Od samego początku byłem przekonany, że propozycja prezydenta była uczciwa i istniała możliwość sformowania rządu.

A dlaczego tak się nie stało?

Nie uzyskałem tego, co traktowałem jako warunek niezbędny przy formowaniu rządu: zgody partnerów na jednolity program, zwłaszcza gospodarczy. Arytmetyczną większość mogłem uzyskać. PC udzieliło odpowiedzi negatywnej, a niejasną dał Kongres Liberalno-Demokratyczny.

Gdy podejmowałem rozmowy, nie znałem jednego elementu. Nie wiedziałem jak głęboki konflikt jest między przywódcami PC a prezydentem. Był to prawdopodobnie główny element, który nie pozwolił mi utworzyć takiego obozu, w którym byłyby i Unia, i Kongres, i Porozumienie. Teraz, w maju, jest znacznie lepszy grunt ku takiemu programowemu porozumieniu niż w listopadzie ubiegłego roku. Ugrupowania polityczne, w kilka miesięcy po kampanii wyborczej zdały sobie sprawę, że kompromis jest niezbędny.

A jak ocenia pan sytuację polityczną w Polsce?

Sytuacja z wolna się wyjaśnia. Pogłębia się niewydolność rządu Jana Olszewskiego, który okazał się niezdolny do wytworzenia programowej podstawy w parlamencie. Koalicja trzech (UD, KLD, PPG) przedstawiła swoje intencje. Wskazała na konieczność uchwalenia małej konstytucji i nowej ordynacji wyborczej. Wezwała do tworzenia rządowej alternatywy.

W Sejmie znajdują się zgłoszone przez Unię projekty małej konstytucji i ordynacji wyborczej. Chcielibyśmy, podobnie jak nasi sojusznicy z koalicji trzech, aby zostały uchwalone do końca czerwca. Ograniczone zmiany ustrojowe są Polsce niezbędne.

Jako przewodniczący Sejmowej Komisji Konstytucyjnej w Sejmie poprzedniej kadencji, wie pan chyba najlepiej, że o „koniczności” jak najpilniejszego przyjęcia nowych rozwiązań ustrojowych mówi się od dawna i niewiele z tego wynika. Czy w tej chwili są jakieś argumenty za tym, by sądzić, że coś się jednak zmieni?

Jest tylko jeden argument: dramatyczna niewydolność państwa, związana z brakiem jasnych reguł prawnych funkcjonowania

władzy. Obserwując tryb prac Komisji Nadzwyczajnej z niepokojem dostrzegam jednak rosnące „polityczne zwarcie”, które może uniemożliwić uchwalenie małej konstytucji. Wymaga ona przecież większości dwóch trzecich. A to, co miesiąc temu wydawało się jak najbardziej możliwe, teraz – sądząc po deklaracjach wielu ugrupowań parlamentarnych – staje pod znakiem zapytania.

Czy jest więc pan za jak najszybszą zmianą rządu, ale dopiero po przyjęciu małej konstytucji?

Mówię o tym, co Unia uważa za najbardziej korzystny scenariusz.

Jednocześnie widzi pan poważne trudności, jakie zapewne uniemożliwią przyjęcie małej konstytucji. Kwadratura koła?

Być może szanse na rozsądny kompromis w sprawie małej konstytucji się nie potwierdzą, potwierdzą się natomiast w odniesieniu do nowej ordynacji wyborczej. Ale wówczas i tak – ponieważ ponowne wybory nie są kwestią najbliższego czasu – główną sprawą jest zmiana rządu. Pojawia się pytanie: jak miałyby się ta zmiana dokonać?

Jedni uważają, że największym problemem jest znalezienie możliwego do zaakceptowania kandydata na premiera. Inni najpoważniejszą trudność widzą w porozumieniu się potencjalnych koalicjantów nowego rządu. A jakie jest pana zdanie?

Osoba premiera jest oczywiście ważna, ale najistotniejszy jest sposób zmiany rządu. Za właściwy uważam taki, jaki proponujemy w małej konstytucji: konstruktywne wotum nieufności. Mimo że zasada ta nie jest zapisana w konstytucji, może zostać zastosowana. Wystarczy, by w parlamencie uformowała się koalicja, która będzie dysponowała większością głosów i żeby taka koalicja uzyskała uczestnictwo w swojej decyzji prezydenta. Wtedy wszystko stałoby się jasne. A zatem są dwa główne pytania: czy istnieje możliwość powstania takiej koalicji i czy jest możliwe uczestnictwo w niej prezydenta. Koalicja trzech zwróciła się do innych ugrupowań o rozpoczęcie dialogu.

Jakie są efekty tej oferty koalicji trzech?

Na razie o skuteczności naszej inicjatywy świadczy to, że wszystkie inne ugrupowania na gwałt tworzą własne koalicje. Słyszemy o koalicji Porozumienia Ludowego z ZChN, aliansie Porozumienia Centrum i PSL „S” oraz o sojuszu PSL i ZChN.

Czy jest jakiś powód takiego mnożenia się różnych politycznych aliansów?

W parlamencie jest powszechna świadomość tego, że dni rządu Jana Olszewskiego są policzone, ponieważ utracił on i możliwość rządzenia, i podstawę kontynuacji misji. Są zatem podejmowane próby utworzenia nowej koalicji, a każde z tych ugrupowań chce odgrywać rolę organizującą. Jaki będzie rezultat tych zabiegów – zobaczymy.

Czyli problem sprowadza się do tego, kto będzie inicjatorem nowego układu?

Kwestią podstawową jest wokół jakiego programu wytworzy się nowa koalicja, a nie wokół jakiego ugrupowania. Koalicja, która pozwoliła na uformowanie rządu Jana Olszewskiego, w ogóle nie zajmowała się programem swoich działań. I mamy tego efekty. Negatywne doświadczenie gabinetu Olszewskiego – stracone pięć miesięcy – wynika właśnie z tego grzechu pierworodnego. Dlatego trzeba się umówić co do programu i wokół tego programu może skupić się koalicja.

A kto mógłby taką umowę zawrzeć?

Istnieje szansa na wejście w koalicję z ugrupowaniami, które opowiedzą się za europejskim modelem państwa, gospodarki i społeczeństwa. W tym sformułowaniu widzę możliwość dialogu z PC i ugrupowaniami chłopskimi.

Z PSL także?

Również z PSL. Co więcej, bez PSL arytmetyka parlamentarna się nie sprawdza. Argumentem na „nie” jest natomiast dotychcza-

sowa praktyka funkcjonowania PSL, które było nie tylko ugrupowaniem blokującym, ale także zachowującym się nieracjonalnie. Co innego zapowiadało, co innego realizowało. Klub Parlamentarny głosował inaczej, niż zapowiadał jego przewodniczący, partia ogłaszała deklaracje, posłowie zachowywali się akurat przeciwnie.

W kularach parlamentu postępowanie PSL określa się jako „obrotowe”.

Nie potrafię z całą pewnością odpowiedzieć na pytanie czy zamiast tego nieco złośliwego określenia o „obrotowym” zachowaniu, można znaleźć w PSL poważnego partnera. Trzeba jednak próbować. Także z innymi ugrupowaniami. Koalicja trzech stoi przed wyborem: rozmowy z PSL lub z ZChN. ZChN jest podstawą obecnego rządu. Byłoby paradoksem, gdyby nowa koalicja z udziałem opozycyjnej trójki formowała się z ugrupowaniem, które jest niemal jedyną podstawą istniejącego rządu. Ale rozmowy są otwarte.

Mijają tygodnie, jeśli nie miesiące, a ja niezmiennie słyszę od polityków z Unii, że „sytuacja jest dramatyczna” i trzeba formować nowy rząd. I co?

Jest to istotny zarzut. Partia polityczna, która nie potrafi zrobić szybko tego, co zamierza, nie spełnia swojej powinności. Ale ten zarzut dotyczy wszystkich partii wyrażających niezadowolenie z obecnego stanu. I nie przypominam sobie ugrupowania, które deklarowałyby takie zadowolenie, z wyjątkiem premiera, rządu i jego członków.

Ale są ugrupowania, które wyrażają niezadowolenie z tego, co robi rząd i jednocześnie zapowiadają, że nie zamierzają wychodzić z rządowej koalicji?

Znam tylko jedno takie ugrupowanie: ZChN. Głosi, że nie wyjdzie z rządu i jednocześnie mówi o obsadzie stanowisk w nowym

gabinecie. Jestem za tym, by usunąć paranoję ze sceny politycznej. Trzeba ją unormalnić, czyli doprowadzić do decyzji.

A stanowisko Porozumienia Centrum?

Nie znam bardziej opozycyjnych wypowiedzi wobec rządu niż wypowiedzi lidera PC.

Czy PC jest dziś najbliższym ugrupowaniem koalicji trzech?

W ostatnich wypowiedziach lidera PC, Jarosława Kaczyńskiego, znalazły się dwie tezy istotne dla dalszego rozwoju sceny politycznej. U poprzedniego herolda antyprezydenckiej filozofii pojawiło się stwierdzenie, że bez prezydenta nie można tworzyć nowego układu politycznego i że dialog polityczny musi prowadzić do nowego przegrupowania, w którym wszystkie grupy polityczne mogą znaleźć swoje miejsce – w zależności od programowej konstrukcji.

A jaka miałyby być rola prezydenta w tworzeniu nowego układu rządowego?

Jest to w moim przekonaniu pytanie o kluczowym znaczeniu. Gdyby przeszła mała konstytucja, prezydent uzyskałby istotne uprawnienia do powoływania nowego rządu. Jeśli tak się nie stanie, to prezydent pozostaje w obecnym układzie konstytucyjnym jedynym organem państwa, mogącym zaproponować nowego premiera, a zatem dać szansę istnienia nowej koalicji. Prezydent powinien więc uczestniczyć we wszystkich rozwiązaniach pozytywnych.

A czy będzie uczestniczyć?

W interesie prezydenta jest uzyskanie realnego wpływu na podejmowanie decyzji politycznych. Ma on szerokie uprawnienia, natomiast nie ma żadnego instrumentarium do ich realizacji. Kilka spraw konfliktowych między prezydentem a rządem wykazało to dobitnie. Lech Wałęsa jest więc zainteresowany nowymi rozwiązaniami, dającymi rząd dysponujący większością parlamentarną.

W innym przypadku przed prezydentem staje możliwość rozwiązania parlamentu i uzyskania w ten sposób wpływu na władzę. Nie sądzę, by prezydent taką decyzję chciał podjąć.

Dlaczego?

Musiałby mieć ku temu konstytucyjne powody i przekonanie, że w nowej kampanii wyborczej będzie dysponował własną partią. Nie uważam, by prezydent myślał o stworzeniu własnej partii. Doświadczenia z budowy ugrupowania prezydenckiego, które nazywało się Porozumienie Centrum, raczej do tego zniechęcają.

Cały czas mówimy o diagnozie, w pana ocenie bardzo negatywnej. Używamy „czasu przeszłego niedokonanego”, że trzeba będzie rozmawiać, próbować porozumieć się z innymi siłami, przyjmując małą konstytucję itp. Ale jaka jest terapia i sposób jej poprowadzenia?

Recepta brzmi: nowy rząd utworzony wokół programu, z podjętymi zobowiązaniami realizacji takiego programu.

Ale sam pan mówił, że inicjatorów nowego układu jest wielu. Czy da się pogodzić te różne inicjatywy? Może pałeczkę powinien przejąć prezydent?

Upieram się przy parlamentarnym mechanizmie powołania nowego rządu, bo uważam, że dla przyszłości polskiej demokracji jest to rozwiązanie najlepsze. W tej chwili Unia wraz z Kongresem Liberalno-Demokratycznym i Polskim Programem Gospodarczym wystąpiła z inicjatywą i jest w tej inicjatywie najmocniejsza. To sprawia, że wszyscy inni próbują wzmocnić swoją cenę przetargową. Jest to fakt pozytywny, bo wskazujący na to, że rośnie świadomość konieczności tych negocjacji. To, co teraz obserwujemy na scenie politycznej, jest najpoważniejszym przygotowaniem do zawiązania nowej koalicji rządowej.

Kiedy mogłoby nastąpić powołanie nowej koalicji rządowej?

Najważniejsze jest w tej chwili uchwalenie nowego budżetu. Nie może być tak, że kończy się pierwsze półrocze, a państwo nie ma

zatwierdzonego budżetu. Nie należy też wytwarzać sytuacji, dla których byłoby zagrożone dalsze istnienie parlamentu.

Uważa więc pan, że do uchwalenia budżetu nie będzie zmian gabinetu?

To zależy także od rządu. Wydaje się, że ten rząd ma słabe zdolności rządzenia, ale ma silną wolę pozostania przy władzy.

O koalicji, lustracji, „małej konstytucji” ...

Z Bronisławem Geremekiem, przewodniczącym Klubu Parlamentarnego UD, rozmawia Katarzyna Kolenda

Katarzyna Kolenda: Czy w Unii Demokratycznej mamy do czynienia z rozłamem?

Bronisław Geremek: Nie. Nie ma rozłamu w Klubie UD, natomiast istnieje pytanie: co dalej? Kilku kolegów z Frakcji Prawicy Demokratycznej (grupa Aleksandra Halla) zapowiedziało wystąpienie z klubu. Tej decyzji nie towarzyszą jednak żadne motywacje ideologiczne. Wynika ona z ambicji i planów politycznych członków frakcji. Oczekujemy na dalszy rozwój wydarzeń.

W najbliższym czasie odbędzie się ogólnopolskie zebranie Rady Unii, które zdecyduje nie tylko o miejscu frakcji w strukturze partii, ale też podejmie decyzje zapewniające sprawne funkcjonowanie kierowniczych instancji UD.

Premier Hanna Suchocka powiedziała na jednym ze spotkań w klubie, że niektórzy ministrowie w jej rządzie zachowują się tak, jakby bronili interesów strajkujących załóg...

Problem rządu koalicyjnego polega na wytworzeniu jedności działania. Konstytucyjne funkcjonowanie rządu jest bardzo słabo

określone, uprawnienia premiera w stosunku do ministrów nie mają ustawowych gwarancji. Zatem rząd, kierując się odpowiedzialnością za losy państwa, musi wytworzyć zasadę działania zbiorowego. Ta zaś, przyznaje, kształtuje się z trudnością.

Trzeba pamiętać, że rząd Suchockiej już w chwili powstania stanął przed ostrym wyzwaniem ze strony ruchu strajkowego. Rząd koalicyjny, który myśli w kategoriach partykularnych interesów partyjnych, ma oczywiście trudności w odpowiedzi na żądania strajkujących załóg. Myślę jednak, że gabinet Suchockiej sprawdził się w tej próbie. W obliczu strajków rząd musi przyjąć założenie, że skoro są, to są ku nim podstawy, a zatem trzeba rozmawiać. Ale też rząd musi rządzić i nie wolno mu ustępować pod przemocą. Ustąpienie wobec roszczeń jednej grupy oznacza bowiem, że podejmuje decyzje krzywdzące inne grupy.

Mówi się, że miejscem „docierania się” koalicji są także półprywatne, poufne spotkania przewodniczących klubów parlamentarnych największych ugrupowań tworzących koalicję, czyli pana i Stefana Niesiołowskiego z ZChN...

Koalicja „siedmiu” jest nieograniczona, co oznacza, że nie ma współpracy w parlamencie, nie ma jedności przy głosowaniach w trudnych dla nas sprawach jak aborcja czy lustracja. Rząd dociera się w naturalny sposób, czyli wewnątrz gabinetu.

A w kwestiach gospodarczych?

Kontakty między przewodniczącymi największych klubów służą właśnie uzgadnianiu takich stanowisk. Chcę podkreślić, że nadal funkcjonuje „trójka”: koalicja Unii, Kongresu Liberalno-Demokratycznego i Polskiego Programu Gospodarczego – w jej ramach istnieje zbieżność programowa w kwestiach gospodarczych. Swoje stanowisko może więc przeprowadzać w parlamencie i przekonywać do niego pozostałych koalicjantów.

A w jakich sprawach dogaduje się pan z Niesiołowskim?

Nie było tych rozmów wiele. Ich przedmiotem były przede wszystkim sprawy dotyczące pracy Sejmu, w tym porządku dziennego posiedzeń czy zmian personalnych w sejmowych komisjach.

Czy także zmian w resortach, na szczeblach ministrów i wiceministrów?

Nie, taki kanał porozumienia nie istnieje. To już jest wewnętrzną sprawą rządu.

Czy rozmawiacie też panowie o uniknięciu pewnych konfliktów przy okazji szczególnie drażliwych debat sejmowych? Myślę o ustawie o aborcji czy o projektach ustaw lustracyjnych...

Różnice zdań między nami są w tych kwestiach nieuchronne, ale nasze spotkania mogą służyć minimalizowaniu konfliktów.

Przyznam, że nie jest dla mnie jasne stanowisko Unii Demokratycznej w sprawie lustracji. W sobotniej debacie żądaliście odrzucenia projektów zgłoszonych przez ZChN, Porozumienie Centrum, „Solidarność” i Senat, które zawierają także elementy dekomunizacyjne. Projekty KLD i KPN – ograniczone jedynie do lustracji – chcieliście skierować do komisji sejmowej.

Unia jest za dekomunizacją, ale taką, która pozwoli na konstytucyjne odrzucenie komunistycznej mentalności i instytucji. Chcemy też, by za popełnione przestępstwa i naruszanie prawa stosowana była jednakowa miara dla wszystkich. Natomiast zdecydowanie opowiadamy się przeciwko naruszeniu praw człowieka i międzynarodowych konwencji, podpisanych przez Polskę oraz przeciw łamaniu zasad państwa prawa.

Projekty KLD i KPN mogą być podstawą takiego określenia zasad lustracyjnych, które nie naruszają filozofii państwa prawa. Pozostałe projekty, w naszym przekonaniu, tej możliwości nie dają i zdecydowanie byliśmy za ich odrzuceniem. Do komisji trafiły jednak wszystkie projekty, gdyż w głosowaniu zastosowano zasa-

dę niezgodnego z tradycją demokracji łącznego głosowania nad całym pakietem. W moim przekonaniu była to manipulacja, za którą opowiedziała się jednak większość sejmowa. Ale mamy przed sobą jeszcze dwa czytania i mam nadzieję, że nie zostaną podjęte decyzje naruszające zasady zwykłej ludzkiej przyzwoitości oraz zasady państwa prawa.

Co jest dla utrzymania tych zasad najważniejsze?

Wprowadzenie instancji odwoławczej, by nie pojawiła się sytuacja pełnej arbitralności w toku prac komisji lustracyjnych.

Szef Urzędu Rady Ministrów, Jan Rokita, powiedział przedwczoraj w Suwałkach, że rząd utrzyma się przez trzy lata. Czy podziela pan ten optymizm, biorąc pod uwagę konflikty w Unii, groźbę rozpadu ZChN?

Powinienem odpowiedzieć, że nie jestem wróżką. Takie pytanie jednak zawsze korci polityka. Sądzę, że rząd Hanny Suchockiej utrzyma się jeszcze przez rok, może półtora. Zwłaszcza jeśli uda nam się stworzyć ramy funkcjonowania państwa, czyli wprowadzić „małą Konstytucję”. Jeśli nie, obawiam się, że jedynym rozwiązaniem pozwalającym kontynuować demokrację będą nowe wybory parlamentarne. Alternatywą jest także dążenie do prezydenckiej demonstracji siły albo do rządu ponadpartyjnego. Żadne z tych rozwiązań nie jest dobre dla Polski.

W sprawie przyjęcia „małej Konstytucji” chcę się zwrócić do wszystkich klubów wchodzących w skład koalicji rządowej o współpracę w celu zdobycia większości 2/3 głosów dla przeprowadzenia tej ustawy. Będę rozmawiał także z Polskim Stronnictwem Ludowym, z którym – pomimo problemów związanych z formowaniem rządu Waldemara Pawlaka – nadal zachowujemy stosunki i prowadzimy rozmowy.

Uważam, że po przyjęciu „małej konstytucji” przez parlament, podpisze ją też prezydent.

Sejm po roku

Z prof. Bronisławem Geremkiem
rozmawia Urszula Zyzik-Hauszyld

Urszula Zyzik-Hauszyld: Jak pan ocenia ten Sejm po roku jego działalności?

Bronisław Geremek: Dokonując takiego bilansu trzeba zapomnieć o własnych rozterkach i frustracjach posła i pokusić się o bilans obiektywny. Sejm i Senat są niepopularne. Więcej nawet, tendencja niechęci do instytucji parlamentarnych jest wyraźnie wzrastająca. Mam przekonanie, że w tym uczestniczą też środki masowego przekazu. To one są konstruktorem niechęci do parlamentu. Dlatego chciałbym powiedzieć, że w ciągu tego roku pracy parlament wykazał – w kluczowych momentach swego istnienia, w głównych dziedzinach swojej działalności – znaczną siłę i dojrzałość. Przede wszystkim ponad 200 aktów prawnych będących bilansem tego roku, niezależnie od dobrej jakości prawnej, świadczą o dobrej pracy tego Sejmu. Wbrew rozpowszechnionym mniemaniom, głównym elementem tej legislacji są sprawy gospodarcze i sprawy realnego życia obywateli. Sejm – wola wyborców – powstał jako twór niezwykle sfragmentaryzowany (ponad 20 ugrupowań politycznych); w toku tego roku dokonały się różne procesy raczej nie łączenia, a jeszcze nowych podziałów.

Mimo to Sejm był zdolny wyłonić rząd na zasadzie umowy koalicyjnej. Był następnie zdolny do odwołania rządu i powołania nowego. Sądzę, że jest to fakt dobrze świadczący o istnieniu pewnej polskiej tradycji parlamentarnej – docierania się opinii i głosów. W tak zróżnicowanym spektrum politycznym jest to niezwykle trudną sztuką, ale taka była tradycja starego polskiego parlamentaryzmu. Ona się czasem odnawia i odradza również w tym Sejmie. To trzeba docenić! Trzeba wreszcie docenić i to, że niezależnie od burz, które przechodzą przez trybunę sejmową, będących głównie potyczkami retorycznymi, wytworzył się w parlamencie pewien klimat współpracy w sprawach o szczególnym znaczeniu i umiejętności współpracy.

To jakby bilans generalny, gdyby używać terminologii ekonomicznej. Jakie są pańskie osobiste odczucia jako posła, nie tylko tej kadencji?

Jako poseł mam często poczucie rozgoryczenia, że w sali sejmowej dokonuje się marnowanie czasu instytucji i marnowanie czasu ludzi. Te potyczki retoryczne zabierają tyle czasu, że one jakby tworzą model życia sejmowego. I także obraz parlamentu. Niektóre ugrupowania wydają się w tym celować. I można na to odpowiedzieć w dwojaki sposób. Po pierwsze, jest to Sejm tak niedojrzały, tak zróżnicowany, że trzeba go jak najszybciej zmienić. A zatem nowe wybory. Należę do ugrupowania, które w nowych wyborach bardzo wiele by zyskało, ale uważam, że ponieważ nic nie wskazuje na to, że w kwestiach zasadniczych wybory – nawet pod rządami nowej ordynacji wyborczej zmieniłyby coś – byłby to luksus, za który płacilibyśmy bardzo wysoką cenę. Cenę rozpełtania społecznych nastrojów, oczekiwań, które zwykle towarzyszą wyborczej demagogii... To także problem mechanizmów instytucjonalnych. Jeżeli jest niedobrze, a tak oceniam sytuację, to uważam, że zasadniczą wadą jest regulamin sejmowy. Jest on fatalny. Uchwalony przez ten Sejm, stworzył najgorsze z moż-

liwych ramy prawne funkcjonowania Sejmu i powinien zostać zmieniony. Równie krytycznie oceniam pracę Prezydium Sejmu.

Być może wybory byłyby luksusem, ale dzisiejszy Sejm nie ma zbyt wiele wspólnego z tym sprzed roku. Zmieniły się nie tylko ugrupowania parlamentarne, ale też powstały nowe partie polityczne. Część wyborców może czuć się oszukana. Posłowie, na których głosowali, dziś reprezentują inne partie, inne programy?

Podzielam pani przekonanie, że jest w tym coś nienormalnego. Kiedy zdaje się sprawę swoim wyborcom, to także trzeba zdać sprawę z wierności wobec programu, na który uzyskało się pewien weksel, pewien kredyt zaufania. Ale takie są prawa polityki. Nie przywiązywałbym nadmiernego znaczenia do tego, jeżeli posłowie i senatorowie zdołają swoim wyborcom pokazać rzeczywiste bilans osiągnięć.

Stwierdził pan, że nowa ordynacja wyborcza nie zmieniłaby zbyt obrazu sali sejmowej. Jednak 5-procentowy próg ograniczyłby dostęp do Sejmu małym partiom.

Jestem zwolennikiem ordynacji większościowej. Uważam, że tylko taka dałaby polityczną stabilizację. I mam świadomość, że nie ma ona szans. Dlatego popierałem projekt ordynacji mieszanej, ale tego również nie udało się przeprowadzić podczas prac komisji przygotowującej projekt nowego prawa wyborczego. Pozostaje jedynie to minimum: próg 5 proc. Przy jego zastosowaniu rachunki symulacyjne pokazują, że nie będzie dwudziestu kilku partii, a 7-9 ugrupowań. Nie jest problemem liczba ugrupowań, tylko charakter ich programów. W tej chwili koalicja będąca podstawą rządu nie może być określona jako koalicja partii reformatorskich o pełnej wspólnocie programowej. I to jest jej główna słabość. W przyszłym Sejmie otrzymujemy obraz podobny w tym sensie, że znowu koalicja partii proreformatorskich nie miałaby sama pełnej większości 50 proc. Czyli znowu musiałaby się zwrócić albo do ZChN, albo do KPN, albo do PSL lub do SLD

o poparcie. Zatem rezultat byłby bardzo zbliżony, by nie powiedzieć taki sam, jak obecnie.

Chciałabym jeszcze powrócić do opinii, jaką Sejm ma w społeczeństwie, a ma nienajlepszą. Powiedział pan, że to „zasługa” dziennikarzy. Sądzę jednak, że nie tylko. *Pamiętnik* Anastazji P. też nie poprawił wizji Sejmu...

Pamiętnik Anastazji P. uważam za margines bez znaczenia. Ale np. informacja o tym, że tylko czterech posłów odpowiedziało na zaproszenie na koncert „Tolerancja” – to co innego. Proszę spojrzeć, jaki w tym stwierdzeniu jest ładunek destrukcji autorytetu parlamentu. Przecież w parlamencie ugrupowania, które idee tego koncertu popierają, stanowią ogromną większość. Tu dostrzegam istotę sprawy i dlatego obwiniam środki przekazu za wytworzenie tego negatywnego obrazu Sejmu. A sprawę pani Anastazji P. uważam za bez znaczenia. Znaczenie ma, z jednej strony, obraz, jaki tworzą środki przekazu, a z drugiej strony, jaki sami posłowie dają, czyli to, co się dzieje w sali obrad, a co oceniam krytycznie. Początki posiedzeń, debaty nad porządkiem dziennym są kompromitacją Sejmu.

Stwierdził pan, że negatywny obraz Sejmu tworzy prasa, która żywi się sensacyjkami i tanimi skandalami, ale to przecież posłowie tworzą tę „pożywkę” dziennikarską. Chociażby oświadczenia pana wicemarszałka Kerna w sprawie tego niepoważnego pamiętnika, propozycja posła Bartoszcze powołania „specjalnej komisji” itd., itp. To nic innego jak udział posłów w tworzeniu obrazu Sejmu...

Nie mogę odpowiedzieć inaczej niż przyznając pani rację.

Zakaz zawracania

Z prof. Bronisławem Geremkiem, członkiem prezydium Unii Demokratycznej, rozmawiają Piotr Gabryel, Bogusław Mazur, Marek Zieleniewski

Piotr Gabryel, Bogusław Mazur, Marek Zieleniewski: Założmy, że spełni się ostatnia przedwyborcza prognoza CBOS, według której zwycięskim ugrupowaniem okaże się SLD. Prezydent powierza misję sformowania rządu kandydatowi Sojuszu, ten zaś zwraca się do Unii Demokratycznej z propozycją współtworzenia nowego gabinetu. Jaką otrzyma odpowiedź?

Bronisław Geremek: Odpowiedź Unii byłaby odmowna.

Odmowna bezwarunkowo?

Tak.

„Zobaczymy. Od czasu, kiedy Unia weszła do koalicji z ZChN, wszystko jest możliwe” – stwierdził Józef Oleksy, wiceprzewodniczący SdRP.

Istotnie, prawie wszystko jest możliwe. Pan Oleksy stwierdził również, że SLD nie będzie zakładnikiem swojego elektoratu. Obawiam się jednak, że w wyniku stylu prowadzonej kampanii wyborczej, która eksploatuje frustracje społeczne i chęć rewanżu, Sojusz takim zakładnikiem się stanie, co niekorzystnie zmieni charakter tego ugrupowania.

Swego czasu, aby ratować stabilizację w państwie, UD prowadziła rozmowy nad stworzeniem rządu z KPN i została współkoalicjantem ZChN. Dlaczego wyklucza pan możliwość rozmów z SLD? Istotnie, koalicja z ZChN wydawała się nieprawdopodobna, jednak znalazła się polityczna wola kompromisu w sprawach gospodarczych. Unia jest otwarta na wszelkie rozmowy.

Tylko po co, jeżeli z góry przesądza pan ich wynik?

Unia jest partią pragmatyczną, zatem istnieje możliwość prowadzenia rozmów zmierzających do utworzenia koalicji ze wszystkimi partiami prawicy i lewicy. Powiedzmy jednak, że są pewne kryteria progowe: poszanowania zasad demokracji, strategii gospodarczej i niezbędnej polityki społecznej. Natomiast kształt koalicji rządowej będzie zależał od woli wyborców i jeżeli w wyniku wyborów dominującą siłą w rządzie będzie SLD, to Unia będzie głosować przeciwko takiemu rządowi. Mówię to w imieniu Unii.

Czy w Polsce może się powtórzyć scenariusz litewski?

Do powtórzenia takiego scenariusza brakuje jednego, ale ważnego elementu. Na Litwie partia komunistyczna zdobyła się na odwagę przeciwstawienia się radzieckiemu imperium i opowiedzenia się po stronie litewskich interesów narodowych. W Polsce takiej partii nie ma.

Według Aleksandra Smolara, „demokracja parlamentarna może się wkrótce okazać niedostępnym dla nas luksusem”.

Mam nadzieję, że to publicystyczne stwierdzenie nie odpowiada prawdzie. Natomiast istnieje zagrożenie rozpoczęcia bardzo trudnej procedury tworzenia nowego gabinetu i na tym tle konfliktów w parlamencie oraz między nim a Belwederem. Jest to tym większe niebezpieczeństwo, że formowanie koalicji lewicowej odbywałoby się nie na zasadzie pragmatycznej, lecz ideologicznej. Rezultatem ewentualnego sukcesu SLD byłoby, paradoksalnie, powstanie silnego frontu antykomunistycznego.

Jeżeli mowa o konfliktach – jaką rolę powinien w nich odgrywać prezydent?

W moim pojmowaniu urzędu prezydenta, który jest wybrany w powszechnych wyborach i ma najszerszy elektorat, uprawnienia głowy państwa są niezwykle szerokie, ale nie oznaczają amerykańskiego modelu sprawowania władzy wykonawczej. Bezpośrednie zaangażowanie prezydenta w codzienną rutynę władzy wykonawczej zmniejsza możliwość jego działania jako arbitra w sytuacjach konfliktowych.

Tymczasem prezydent zapowiada, że przyszedłemu kandydatowi na premiera przedstawi propozycję realizacji programu „300 milionów”. Czy kandydat Unii na premiera, Hanna Suchocka, przyjmie taki program?

Propozycja „300 milionów kredytu dla każdego” wydaje mi się propozycją niemającą większego znaczenia. Podstawowe problemy, o które prezydent pyta w swym liście rozesłanym do partii, dotyczą budżetu, kwestii własności państwowej, zakresu finansowania nauki i opieki społecznej. To właśnie są istotne problemy ustrojowe. Premier Hanna Suchocka już u progu swojego urzędowania podkreśliła, że dobrą współpracę z prezydentem uważa za jeden z ważniejszych warunków pomyślności swojej misji. Trzeba zatem dążyć do zbliżenia stanowisk w tych kwestiach.

Doradca prezydenta, Andrzej Olechowski, twierdzi, że program „300 milionów” jest rdzeniem programu BBWR. Jeżeli Unia neguje sensowność tego programu, to jak wyglądają perspektywy waszej współpracy z BBWR?

Andrzej Olechowski mówi różne rzeczy. Ja wolę się oprzeć na jego stwierdzeniu, że możliwe jest tworzenie koalicji między takimi partiami, które za punkt wyjścia uznają prezydencką Kartę Zasad Gospodarczych.

Jeżeli sytuacja w nowym parlamencie uniemożliwi powstanie nowej koalicji, być może prezydent będzie jednak zmuszony do podjęcia

działań bardziej stanowczych. Tymczasem w Polsce wzrasta poziom akceptacji dla rządów „silnej ręki”.

Nie sądzę, aby zagrożeniem dla demokracji był Belweder. W słowach prezydenta często dostrzegałem zapowiedzi działań nie-demokratycznych, ale w czynach zauważyłem raczej działania na rzecz podtrzymania demokracji. Znacznie większym zagrożeniem jest prawdopodobieństwo przeniesienia polityki na ulicę. Znaczna liczba partii, które nie zdobędą swojej reprezentacji w parlamencie, będzie się starała – aby nie zniknąć ze sceny politycznej – skierować populistyczne nastroje przeciwko parlamentowi.

Czy styl, w jakim niektóre ugrupowania prowadzą kampanię wyborczą, nie wyznacza kierunku, w którym może pójść cała opozycja parlamentarna?

Muszę, niestety, zgodzić się z opinią, że partie, które w obecnej chwili schodzą ze sceny politycznej, czynią to w złym stylu. Często uważam, że wobec krytyki trzeba stosować powiedzenie: „Psy szczekają, karawana jedzie dalej”. Obawiam się, iż są to „wściekłe psy”. Audycje emitowane w czasie kampanii wyborczej stanowią najgorszą zapowiedź dla pozaparlamentarnego funkcjonowania takich grup społecznych.

Mamy więc taki scenariusz: skłócony parlament, brak rządu albo rząd lewicowy, który nie radzi sobie z problemami gospodarczymi, anarchia na ulicach. Czy nie stanowi to naturalnej pokusy dla prezydenta, aby „wystrzelić ostatni nabój”?

Panowie zmuszacie mnie do rozpatrywania wyłącznie czarnych scenariuszy. Jako naukowiec jestem zobowiązany zachować sceptycyzm, jednak jako polityk muszę być optymistą i zakładać możliwość realizacji scenariusza pozytywnego.

A jaki jest scenariusz pozytywny?

Unia Demokratyczna wygrywa wybory, wraz z ugrupowaniami proreformatorskimi tworzy rząd i kontynuuje reformy gospodarcze.

Naprawdę wierzy pan, że w nowym Sejmie będzie możliwe utworzenie takiej koalicji, którą można „postawić” pod znakiem „zakaz zawracania”?

Najgorszym znakiem drogowym dla polityki jest znak „droga bez wyjścia”. Unia unika takich znaków. I, oczywiście, wierzę w możliwość powstania koalicji proreformatorskiej.

Zdaniem Jacka Merkla, jednego z liderów KLD, „w 1989 roku komuniści mogli stawać na głowie, a „Solidarność” nie wychodzić z domu – wynik wyborów i tak był przesądzony; teraz jest odwrotnie – ludzi ciągnie do socjalizmu i nie ma na to rady”. Czy po czterech latach lekcji kapitalizmu ludzi rzeczywiście „ciągnie do socjalizmu”? Nie podzielam tego przekonania i nie uważam, że nasze społeczeństwo naznaczone jest w jakiś szczególny sposób mentalnością lewicową. Natomiast trzeba dokonać analizy, dlaczego te grupy polityczne, które w ostatnich latach określiły kierunek rządzenia, nie zdołały podtrzymać szerokiego poparcia społecznego. Moim zdaniem, została przerwana łączność między rządzącymi a rządzonymi, gdyż więź, której wyznacznikiem było odrzucenie komunizmu, okazała się niewystarczająca. Nie potrafiłszy przekonać społeczeństwa do racji polityki gospodarczej, prowadzonej od 1989 roku. Przy czym, jest rzeczą naturalną, że społeczeństwo oczekuje od państwa spełniania funkcji opiekuńczych. Tylko że w warunkach polskiej gospodarki państwo opiekuńcze może się przerodzić, ze wszystkimi negatywnymi konsekwencjami, w państwo nadopiekuńcze.

W jakim stopniu ewentualny rząd lewicowy byłby zdolny do rozregulowania zbudowanego w ciągu czterech lat mechanizmu gospodarczego?

W ustabilizowanych gospodarczo demokracjach zachodnich różnice między rywalami politycznymi często są niewielkie. Niekiedy zmiana ekipy rządzącej oznacza jedynie niewielkie przesunięcie akcentów w polityce gospodarczej. W Polsce gospodarka wolno-

rynkowa dopiero się rodzi, więc możliwości jej rozregulowania są znacznie większe. Prawdziwość tej tezy mogą udowodnić rządy koalicji złożonej na przykład z SLD, PSL i UP.

A może takie doświadczenie jest potrzebne, może to będzie skuteczną kuracją, pozwalającą skończyć z mitami szybkiego i bezbolesnego wyjścia z kryzysu?

Cóż z tego, że operacja się uda, jeśli pacjent prawie umrze? Mówię „prawie”, bo narody nie umierają. Proszę zauważyć, że Polska stoi przed wyjątkową szansą. Istnieją wszelkie dane, aby uważać, iż gospodarka wychodzi z zapaści. Rosja nie sprzeciwia się przyjęciu Polski do NATO – to też jest nasza szansa. Nie miejmy złudzeń: Stany Zjednoczone kierują się w swej polityce własnym interesem i jeżeli Rosja sprzeciwiłaby się naszej integracji z Paktem Północnoatlantyckim, to Polska do Paktu nie zostanie przyjęta. Wreszcie, Europa Zachodnia wychodzi z recesji, co stwarza nadzieję, że Polska zdoła „podpiąć się” do tej ogromnej gospodarczej lokomotywy. Powiedzieć, że byłoby szkoda, aby Polska z tych szans nie skorzystała, to powiedzieć za mało.

V

Od Unii Demokratycznej
do Unii Wolności



„Jedyną rozsądną i dobrze służącą Polsce linią jest uczestnictwo w integracji z państwami Europy”.

Tron dla arbitra

Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym
Klubu Parlamentarnego Unii Demokratycznej,
rozmawia Bogusław Mazur

Bogusław Mazur: Reformy gospodarcze uderzają w materialne interesy większości społeczeństwa. Czy nie istnieje więc potrzeba utworzenia na tyle silnego ośrodka władzy, aby mógł się on przeciwstawić antyreformatorskim nastrojom większości?

Bronisław Geremek: Jest to pytanie przewrotne. Silna władza to nie władza „silnej ręki”, lecz „silnej głowy”. Znajdujemy się w okresie przejściowym, w którym poza takimi instytucjami demokratycznymi jak parlament powinny także działać instytucje społecznego arbitrażu. Za najpoważniejszą z nich uważam Urząd Prezydenta. Może on odgrywać rolę wielkiego arbitra, jednak pod warunkiem, że nie będzie ponosił bezpośredniej odpowiedzialności za władzę wykonawczą.

Jest też polskie doświadczenie porozumień społecznych, w których rozmawiają ze sobą podmioty życia społecznego – przedstawiciele związków zawodowych, pracodawców i władzy.

Nie ma innej drogi, jak ta, w której społeczeństwo akceptuje koszty reform. Zgodzi się ono jednak na ofiary tylko wtedy, gdy uzyska pewność, że nie zostaną one zmarnowane.

Ale to idealizm, bo czy jakiegokolwiek nowe kontrakty mogą być lekarstwem na frustrację społeczną? Czy prezydent nie powinien dysponować takimi uprawnieniami, aby móc przeciwstawiać się groźbie załamania reform?

A czy siła prezydenta polega jedynie na możliwości podejmowania przez niego decyzji, czy też na tym, aby te decyzje były akceptowane przez społeczeństwo? Wybór jest między społeczną akceptacją dla decyzji a ich narzuceniem siłą. Natomiast dylemat, które instytucje mogą podejmować decyzje, jest drugorzędny. Problem nie polega na tym, czy decyzje podejmuje prezydent, czy dwudziestu ministrów, lecz na tym, w jakim stopniu są one akceptowane. I dlatego też od dawna głoszę, że wybory do parlamentu powinny się odbyć jak najszybciej. Demokratycznie wybrany parlament będzie na politycznej arenie partnerem, posiadającym pełną społeczną legitymację. Będzie więc miał też szansę na uzyskanie społecznego zaufania.

Jeżeli jednak prezydent uzyska szersze uprawnienia wykonawcze, to zakres jego odpowiedzialności za sytuację, przeciwko której ludzie się rewoltują, wzrośnie niepomierne. Wówczas szansa odwołania się do prezydenta jako arbitra, staje się znikoma.

Coraz powszechniej jednak się uważa, że powstanie ośrodka silnej władzy jest niezbędną gwarancją przeprowadzenia reform gospodarczych.

Przy pomocy jakich środków takie centrum władzy miałyby działać? Bo jeżeli przy pomocy środków prawnych i demokratycznych, to jest ono zbędne, gdyż instytucje posługujące się takimi środkami już istnieją. Jeżeli natomiast miałyby stosować środki niedemokratyczne, to pytam: gdzie są te środki? Gdzie jest armia, która zdecydowałaby się powtórzyć operację z 13 grudnia 1981 roku i gdzie jest policja gotowa w takiej operacji uczestniczyć? Mam wrażenie, że ci, którzy głoszą potrzebę przygotowania się do rewolty społecznej, sami taką sytuację kreują.

Jest jeszcze jeden bardzo istotny element. Otóż, warto pamiętać, że Europie zależy w takim samym stopniu na Polsce budującej bez utopijnych mirażów zdrową, opartą na prywatnej własności środków produkcji gospodarkę rynkową, jak i na Polsce demokratycznej. Odwołanie się do niedemokratycznych środków, zerwanie z koncepcją państwa prawa wykluczy Polskę z uczestnictwa we Wspólnocie Europejskiej.

Nie widzę groźby dyktatury i nie sądzę, aby groził nam rozpad struktur państwa. Groźbę widzę w pojawianiu się sił politycznych, które interes własny, interes grupowy, przedkładają ponad interes państwa.

Pański tok rozumowania jest bardzo jasny, tylko że jest bardziej prawdopodobne, iż Lech Wałęsa jednak nie przyjmie roli arbitra i będzie starał się uzyskać przypadające władzy wykonawczej uprawnienia. Czy nie byłoby właściwe, aby w tej sytuacji Unia Demokratyczna wysunęła własną koncepcję silnej prezydentury?

Lech Wałęsa rzeczywiście na razie nie odrywa roli arbitra. Jednak nie tylko w Polsce jest znana sytuacja, w której wybrany w powszechnych wyborach prezydent nie akceptuje braku własnych uprawnień wykonawczych.

Natomiast w Unii Demokratycznej występuje dość szeroko reprezentowany pogląd, że najlepszym rozwiązaniem ustrojowym dla Polski jest taka formuła silnej prezydentury, jaka istnieje w modelu francuskim. Nie należę do zwolenników tej koncepcji, ale w środowisku Unii jest ona obecna. W moim przekonaniu możemy i powinniśmy tworzyć własny model systemu sprawowania władzy.

Tak czy inaczej, Unia jest w tych sprawach bierna. A to oznacza, że Porozumienie Centrum będzie miało decydujący wpływ na ukształtowanie przyszłego systemu władzy. Trwanie w sprzeciwie wobec systemu prezydenckiego oznacza oddanie inicjatywy politycznym konkurentom. Świadczy to o braku skuteczności podejmowanych działań.

Stawia pan diagnozę, z którą zupełnie się nie zgadzam. Porozumienie Centrum nie znalazło społecznej akceptacji dla swojej propozycji zastosowania filozofii „przyspieszenia”, a zatem metod agresywnych i naruszających porządek prawny. Unia Demokratyczna, która startowała w warunkach przegranej swojego kandydata i zamknięcia w środowiskach inteligenckich, zyskała w tej chwili najszersze poparcie. Natomiast PC, które zaczęło od eksploatacji społecznej frustracji, raczej się marginalizuje. Oznacza to, że społeczeństwo jest bardzo zmęczone, chce spokoju, kontynuacji zmian oraz pewności, że poniesione ofiary nie pójdą na marne. I to wszystko właśnie jakoś znajduje w Unii Demokratycznej.

Jednak – z drugiej strony – Unia jest w stałym konflikcie z prezydentem.

Nie należy obecnej sytuacji rozpatrywać w kategoriach konfliktu z okresu kampanii wyborczej czy konfliktu sejm – prezydent. Układ sił na arenie politycznej będzie wyznaczać sytuacja materialna ludzi oraz stopień akceptacji dla dokonywanych przemian. Wybory będą wypadkową tych właśnie czynników i dlatego przypuszczam, że stanowisko prezydenta będzie ulegało zmianie. Już od kilku tygodni daje się zauważyć, że w jego polityce przeważa poczucie konieczności stabilizacji.

Jednak obóz Tadeusza Mazowieckiego popełnił błąd, odrzucając wysuniętą po wyborach prezydenckich propozycję współpracy.

A dlaczegoż to sądzi pan, że została ona odrzucona? Nie została odrzucona, choć na razie nic z niej nie wyszło. Ja bardzo lubię być w zgodzie z prezydentem, kiedy ma on rację. I nigdy nie będę w zgodzie z prezydentem, kiedy nie ma on racji. Pan natomiast za bardzo personalizuje sytuację, tymczasem w polityce rzecz musi iść o zasady i programy. Nie można przyjmować dworskiej polityki układów personalnych. Bo właśnie w polityce dworskiej mieści się zwyczaj przemieszczania pionków na szachownicy władzy,

podczas gdy w polityce demokratycznego państwa muszą występować koalicje oparte na jasnych zasadach programowych, które powinny być zrozumiałe dla opinii publicznej.

Wybór drogi w dużej mierze zależy od prezydenta, od tego, czy będzie chciał on odgrywać rolę arbitra. Padają głosy, zwłaszcza z Porozumienia Centrum, że prezydent amerykański też jest stronnicy politycznie. Ci, którzy tak mówią, chcą w ten sposób wyrzucić presję na prezydenta Wałęsę, aby udzielił im wsparcia politycznego. Tymczasem sytuacja w Polsce jest diametralnie różna od sytuacji w Stanach Zjednoczonych. U nas mamy do czynienia wręcz z „nadpluralizmem politycznym”. Jakie sygnały dotrą do społeczeństwa, gdy 180 partii, które twierdzą, że istnieją, rozpocznie kampanię wyborczą? Czy właśnie w tej sytuacji instytucja społecznego arbitrażu nie jest wręcz niezbędna?

Powracając do pańskiego pytania – będą wybory. Wykażą one siłę poszczególnych ugrupowań. To stanie się podstawą do tworzenia przyszłych koalicji. Dostrzegam więc w pełni możliwości współpracy, która nie zależy jednak tylko od dobrej czy złej woli poszczególnych osób, ale przede wszystkim od realnych układów na scenie politycznej.

Dyktatura pod nadzorem

Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym
Klubu Parlamentarnego Unii Demokratycznej,
rozmawiają Bogusław Mazur i Katarzyna Nazarewicz

Bogusław Mazur, Katarzyna Nazarewicz: Czy zgodzi się pan ze stwierdzeniem, że Unia Demokratyczna przegrała końcówkę ubiegłorocznego etapu walki politycznej?

Bronisław Geremek: Nie zgodzę się, jeżeli pytanie ma dotyczyć spraw mniej ważnych, a za takie uważam kwestie obsady stanowisk w parlamencie. Natomiast zgodzę się, jeśli będziemy rozważać bilans wyborów. Unia wybory przegrała.

Czego Unia oczekiwała po wyborach?

Spełnienia prognoz, które zapowiadały dwukrotnie większe poparcie elektoratu. Porażkę poniosły zresztą wszystkie ugrupowania postsolidarnościowe.

Co było przyczyną porażki?

Zużycie się społecznego poparcia dla reform. Unia jest partią o opcji proreformatorskiej, a w tej chwili reformy budzą społeczny niepokój.

Głównym gwarantem kontynuacji reform wydaje się w tej chwili Lech Wałęsa. Czy Unia byłaby gotowa poprzeć prezydencki projekt

„małej konstytucji”, która wyposażałaby go w uprawnienia pozwalające chronić reformy?

Wokół tego projektu narosło wiele nieporozumień. Powiada się, że gdyby Unia udzieliła poparcia inicjatywie prezydenta, to tym samym przeszłaby do obozu prezydenckiego. Tymczasem „mała konstytucja” była naszą inicjatywą, którą próbowaliśmy – bezskutecznie – przeforsować w poprzednim parlamencie. Obecna propozycja prezydenta uzyskała więc w swej intencji poparcie Unii; mamy jednak nadzieję, że jej treść prawna ulegnie w znacznej mierze zmianie.

Czy sprawę „małej konstytucji” należy łączyć z wycofaniem się pana z formowania rządu?

Nie wiązałbym tych dwóch spraw. Zrezygnowałem z misji tworzenia rządu, gdyż uważałem, że nie wystarczy posiadanie arytmetycznej większości w Sejmie. Bardziej istotne jest wypracowanie pewnego pakietu programowego dla tworzącej rząd koalicji. Ponieważ okazało się to niemożliwe, zrezygnowałem z formowania rządu, który nie potrafiłby przeforsować w parlamencie polityki antyinflacyjnej.

W czasie pana próby utworzenia rządu ujawniła się nowa panorama sojuszy. Do jakich ugrupowań jest gotowa zbliżyć się Unia? Czy prawdą jest, że zawrzecie sojusz z Lewicą Demokratyczną?

Na razie z SLD dogadywała się właśnie „piątka” – tak się działo w sprawie obsady stanowisk w komisjach sejmowych. Różnica między nami i koalicją „pięciu” polegała na tym, że my mówimy o programie, zaś „piątka”, a obecnie „czwórka”, o rozdziale stanowisk. Sądzę, że przed premierem Olszewskim dopiero teraz „zaczęły się schody” – nie wystarczy przecież ustalić skład personalny rządu. Najważniejsza jest akceptacja podstaw programu gospodarczego. Należy też pamiętać, że sama „piątka” powstała z inicjatywy prezydenta jako obóz polityczny mający zmarginalizować Unię i zepchnąć ją do sojuszu z Lewicą Demokratyczną. My jednak nie

wejdziemy z SLD w jakąkolwiek koalicję. Uznajemy, co prawda, że wszystkie grupy polityczne w parlamencie zdobyły swe mandaty w demokratycznych wyborach, jednak dopóki nie zostanie jednoznacznie wyjaśniona afera „moskiewskich pieniędzy”, dopóty miejsce SLD w życiu publicznym jest problematyczne. Gdy to się stanie, staniemy wobec nowej jakościowo sytuacji.

A czy nie sądzi pan, że po opuszczeniu „piątki” przez liberałów najbliższym sojusznikiem Unii stanie się Kongres Liberalno-Demokratyczny?

Kongres Liberalno-Demokratyczny i Unię Demokratyczną łączy – niezależnie od różnic – pragmatyzm polityczny i priorytetowe traktowanie spraw gospodarczych. Najbliższe dni pokażą, czy można budować takie alianse.

Czy w sytuacji, gdy trudno oczekiwać poprawy kondycji ekonomicznej społeczeństwa, nie byłoby jednak wskazane rozszerzenie prerogatyw prezydenta?

Zwiększenie uprawnień prezydenta jest potrzebne, jednak nie pod postacią bezpośredniego uczestnictwa we władzy wykonawczej. Prezydent powinien odgrywać rolę arbitra, gdyż tylko wtedy będzie w stanie zapanować nad ostrymi konfliktami społecznymi. Jeżeli zaś skupi w swoich rękach pełnię władzy wykonawczej, roli arbitra nie odegra.

W opinii publicznej prezydent już teraz ponosi odpowiedzialność za wyniki reform. Czy nie stąd właśnie bierze się jego dążenie do uzyskania realnego wpływu na prace rządu?

„Mała konstytucja”, której przyjęcie proponowaliśmy w poprzednim parlamencie, dawała prezydentowi szerokie uprawnienia. Nie ma jednak innej drogi do demokracji niż sama demokracja. I dlatego jestem przeciwny nadmiernemu rozszerzeniu uprawnień jednej z trzech wielkich instytucji publicznych. Oczywiście, wiem, że są gospodarki rynkowe bez demokracji, ale nie ma de-

mokracji bez gospodarki rynkowej. I dlatego uważam, że problemem politycznym numer jeden są właśnie sprawy gospodarcze.

Czy Polska nie powinna zbudować gospodarki rynkowej w systemie rządów autorytarnych, które po jakimś czasie winny ustąpić miejsca rządowi demokratycznym?

W ciągu kilkunastu lat dyktatury gospodarka w Chile została wyprowadzona z zapaści, po czym okazało się, że system polityczny jest już niewydolny i musi ulec demokratyzacji. Czy więc przejście etapów dyktatura – gospodarka rynkowa – demokracja jest właściwym rozwiązaniem? Moja odpowiedź sięga do praktyki ostatnich dwóch lat: oto w Polsce została zastosowana bolesna terapia szokowa. I w warunkach demokratycznych społeczeństwo zaakceptowało ogromne wyrzeczenia. Jeżeli więc droga przemian jest aż tak bolesna, to pozostaje jedno: oprzeć się na zaufaniu i społeczeństwie obywatelskim.

Společne zaufanie uległo wyczerpaniu. Co dalej?

Albo można wziąć społeczeństwo „za pysk”, albo z nim rozmawiać i odbudowywać zaufanie. Opowiadał się z całą mocą za tą drugą opcją. Mówiono o mnie, że po wyborach prezydenckich obraziłem się na społeczeństwo. Tymczasem właśnie ja z uporem mówię, że na społeczeństwo nie należy się nigdy obrażać. Mamy nadal szansę, która zostanie wykorzystana, jeżeli przedstawimy realny program gospodarczy i cel, jaki chcemy osiągać.

Czy tego pan oczekuje od rządu Olszewskiego?

Jestem przekonany, że rząd uformowany przez Porozumienie Centrum i premiera Olszewskiego znajdzie się wkrótce pod takim naporem materii spraw gospodarczych, iż będzie zmuszony do kontynuacji tej samej polityki gospodarczej, jaką prowadziły obydwie poprzednie rządy. Najważniejsze jest, po pierwsze, żeby złotówka pozostała mocna i wymienialna. Po drugie, by przestano traktować gospodarkę państwową jak piąte koło u wozu i dano szansę tym przedsiębiorstwom państwowym, które po-

trafią utrzymać lub odzyskać zdolność kredytową. Po trzecie, by podtrzymując to, co w gospodarce państwowej jest efektywne, przyspieszono proces prywatyzacji. Po czwarte, by zaferować ła-twiejszy – zwłaszcza w rolnictwie – dostęp do kredytów.

Kontynuacja linii obecnych reform może jednak wzbudzić falę protestu, wobec której staniemy przed alternatywą rządów autorytarnych lub anarchii.

Jako polityk muszę powiedzieć, że z taką hipotezą po prostu się nie zgadzam. Jako historyk przyznaję, że jest ona prawdopodobna i że możliwe jest wprowadzenie rządów autorytarnych, które zapewnią płynne przejście do gospodarki rynkowej. Jeżeli jednak tak jest, to rola polityków nie polega na przyspieszeniu tego procesu, lecz na robieniu wszystkiego, aby nie dopuścić do dyktatury. Politycy powinni starać się wykorzystać do końca możliwości systemu demokratycznego.

Gdzie konkretnie tkwią te możliwości?

Jak to było możliwe, aby w półtora miesiąca po wyborach Sejm jeszcze nie pracował? Do tej pory mamy kłótnie wokół spraw personalnych, tymczasem na uchwalenie czeka prawo skarbowe, które wprowadzi system podatkowy z europejskim układem podatku od wartości dodanej. Należy też jasno określić system celny oraz wprowadzić w życie prawo bankowe. To wszystko możemy ciągle zmieniać w ramach instytucji demokratycznych. W tych także ramach powinniśmy uchwalić pełnomocnictwa dla rządu, dające mu w wyznaczonych dziedzinach i pod nadzorem parlamentu prawo wydawania dekretów z mocą ustawy. Dzięki takiej półautorytarnej formie rządów uchronimy Polskę przed rządami autorytarnymi.

Czy w ostateczności będzie pan skłonny – dla ochrony reform – poprzeć rządy autokratyczne?

W takiej sytuacji doszedłbym do wniosku, że poniosłem porażkę. A ludzie, którzy ponieśli porażkę, nie powinni na niej czegokolwiek budować.

Racje i niebo

Z prof. Bronisławem Geremkiem, szefem Klubu
Parlamentarnego Unii Demokratycznej, rozmawia
Ewa Milewicz

Ewa Milewicz: Część polityków pana partii poczuła się urażona tytułem naszego wywiadu z Władysławem Frasyniukiem *Kto się boi księdza proboszcza?*, w którym Frasyniuk mówi, że jesteśmy na drodze do państwa wyznaniowego. Proszę więc nam wyjaśnić: boją się politycy, i to nie tylko pana partii, proboszcza czy nie?

Bronisław Geremek: Politycy z „solidarnościowych ugrupowań”, które obaliły komunizm, nie mają powodu bać się Kościoła. Przez długi czas Kościół był nie tylko miejscem, w którym głoszone prawdę, ale też sojusznikiem w walce o ustrojową zmianę w Polsce. Sformułowanie użyte przez Władysława Frasyniuka wydaje mi się niezręczne. Reformatorski program rządu Hanny Suchockiej potrzebuje zmniejszania pola konfliktu między partiami popierającymi reformy oraz rozszerzania pola ugody i współpracy. Polsce nie sprzyja klimat wojny religijnej.

Czy uważa pan, że słowa Frasyniuka wprowadzały „klimat wojny religijnej”?

W tej wypowiedzi jednej z czołowych postaci Unii mojego osobistego przyjaciela znalazły się elementy ferworu i emocji, któ-

rych nie aprobuję. To, co proponował Władysław Frasyniuk, a więc neutralność światopoglądową państwa, znalazło się jeszcze w 1990 roku w programie Unii. Tę zasadę popieram.

Rozumnie stosowana zasada rozdziału Kościoła od państwa daje szansę współpracy pomiędzy jedną i drugą stroną. Taki przecież był duch dokumentów Soboru Watykańskiego II, w których pojawiło się przekonanie, że głównym problemem są relacje między Kościołem a społeczeństwem, a nie Kościołem a państwem. Kościół i państwo mogą wspólnie zwalczać patologie społeczne, egoizm grupowy, mogą dbać o właściwe postawy wobec pracy.

Sądzę, że przeciwstawiając się wizji państwa wyznaniowego występujemy nie przeciw działaniom Kościoła, ale przeciw próbom instrumentalizacji wiary do celów politycznych. Znakomicie wyraził to prof. Stanisław Stomma w swoim wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”.

Gdzie pan widzi przykłady „instrumentalizacji wiary”?

Z niepokojem obserwuję, jak niektóre ugrupowania polityczne próbują ze spraw Kościoła i religii czynić przedmiot politycznego konfliktu. Głosowałem przeciw wprowadzeniu do ustawy o radiu i telewizji odniesienia do wartości chrześcijańskich. Uważałem bowiem, że wprowadzałyby to atmosferę „środków bogatych”, a więc cenzury. Co więcej, wprowadzenie prawnego obowiązku przestrzegania wartości chrześcijańskich jest sprzeczne właśnie z tymi wartościami. Ale przecież to nie Kościół wprowadził tę kwestię do Sejmu, tylko politycy. Ich obarczam winą za tego typu głosowanie w Sejmie.

Dlaczego? Widziałam pismo Konferencji Episkopatu Polski, zaadresowane do marszałka Sejmu, Wiesława Chrzanowskiego, podpisane przez prymasa Glempa, z prośbą o umieszczenie w ustawie przepisu o wartościach chrześcijańskich. Przed głosowaniem w komisjach senackich otrzymali je też niektórzy senatorowie.

Uważam, że instytucje Kościoła nie powinny ingerować w decyzje parlamentu; chciałbym, aby takich ingerencji nie było.

Jan Maria Rokita, minister i poseł Unii, powiedział „Gazecie Wyborczej” swego czasu, że nieszczęściem dla Polski byłby podział partii według kryteriów ideologicznych (np. stosunku do Kościoła), a nie według kryterium poparcia dla reform wolnorynkowych. Pan mówi o zmniejszaniu pola konfliktu, czyli o rezygnacji przez partie z części swoich poglądów ze względu na powodzenie reform. Czy myśli pan, że takie partie – wyprane z części poglądów – interesują wyborców?

Odrzucam traktowanie polityki jako ustawicznie służebnej wobec wyborów.

Wyborców?

Nie, wyborów. Wybory to kampania demagogii, a żaden kraj nie wytrzymuje ustawicznego konkursu politycznej demagogii.

Politycy powinni przedstawiać obywatelowi jasne racje swoich działań między wyborami. Wyborcy chcą wiedzieć, dlaczego ich przedstawiciele popierają jedne projekty, a inne odrzucają, dlaczego popierają politykę rządu lub tego poparcia odmawiają, dlaczego głosują za budżetem lub przeciw niemu. I o tym trzeba mówić, a nie jak najszybszych wyborach.

Z tego, co pan mówi wynika, że partie nie powinny się określać ideologicznie, tylko wobec reformy. A to przecież niemożliwe. Mówi pan „budżet”, a ma pan ustawę antyaborcyjną. Nawet niewinna separacja traktowana jest przez część posłów jako sprawa ideologiczna.

Będę głosował przeciw tej ustawie antyaborcyjnej. Jestem bowiem przekonany, że w obecnie przygotowywanym kształcie nie będzie przeciwdziałała aborcji, natomiast będzie powiększała pole krzywdy ludzkiej. W takich sprawach mogą występować różnice poglądów w ramach tego samego ugrupowania. Nie udaje się teraz, u schyłku XX wieku, zakwalifikować takich różnic według starych podziałów politycznych.

Na całym świecie górę biorą postawy – nazwijmy to – pragmatyczne. Do obywateli bardziej niż buńczuczna retoryka przemawia to, czy politycy mają jakiś pomysł na rozwiązanie ich problemów mieszkaniowych, czy wiedzą, jak robić prywatyzację, jak stworzyć nowe stanowiska pracy. Wiele spraw pozornie ideologicznych można by prosto załatwić, gdyby politykom udało się przedstawić prosto ich racje. Na przykład sposób obliczania podatków płaconych przez rodziców samotnie wychowujących dzieci. Głosowałem za tym, aby mogli oni opodatkowywać swoje dochody wspólnie z dzieckiem. Mój klub głosował różnie. Nie mam jednak poczucia, by między nami występowały w tej sprawie różnice ideologiczne.

Separacja – tu także nie emocje powinny brać górę, lecz pragmatyczna ocena. Część osób obawia się, że za separacją pójdzie zakaz rozwodów. Chciałbym decyzje podejmować nie na podstawie mglistych obaw, tylko realiów. Separacja może być jedną z metod rozwiązywania kryzysu w rodzinie, jeśli będzie decyzją wspólną, decyzją obojga zainteresowanych. Próby zaś wprowadzenia zakazu rozwodów powinny spotkać się ze sprzeciwem.

Ciągle jednak nie rozumiem, jak pan sobie wyobraża podział sceny politycznej według kryteriów pragmatycznych. Sam pan mówił o problemie Kościoła i aborcji, a życie jest usłane dziesiątkami innych: reklama Benettona, piosenka ZChN zbliża się. Poseł Stefan Niesiołowski z ZChN mówi w „Trybunie”, że chorzy na AIDS to „przede wszystkim zbrojeńcy i narkomani”. Może kiedyś wpadnie jakiejś partii do głowy pomysł wsadzania do więzień homoseksualistów?

Mam inne poglądy, niż poseł Niesiołowski, a nie przeszkadza to nam obu w popieraniu rządu Hanny Suchockiej. Przecież nie twierdzę, że nie ma różnic ideologicznych między ugrupowaniami politycznymi. Są i one różnią na przykład posła Niesiołowskiego ode mnie, ale problem polega na ustaleniu hierarchii priorytetów: czy polityką mają rządzić racje ideologiczne czy

pragmatyczne? Decyzje polityczne podejmuję ze swoim ugrupowaniem politycznym, z partiami, z którymi wchodzę w koalicje, z rządem, któremu udzieliłem poparcia. Oczywiście, w parlamencie wybory ideologiczne są nie do uniknięcia. Każdy bierze za nie odpowiedzialność. I tu zostaję ja sam – poseł, z imperatywem moralnym we mnie i gwiazdzistym niebem nade mną.

Założmy, że Sejm uchwali ustawę antyaborcyjną. Czy nie uważa pan, że osiã przyszłych wyborów, kiedykolwiek by się one odbyły, będzie ta ustawa a nie pańskie „pragmatyczne racje”?

Zgadzam się z tym. Dlatego uważałem, że trzeba szukać innych rozwiązań. Niestety, to się nie udało; są granice możliwości.

Jakich innych rozwiązań pan szukał?

W poprzedniej kadencji próbowałem razem z klubem uchylić ustawę z 1956 roku o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży i nie dopuścić do przyjęcia ustawy represyjnej. Aborcja jest złem, ale przecież problemem, przed którym stoją politycy, nie jest określenie, co jest złem a co nim nie jest, lecz określenie sposobu działania instytucji państwa.

To paradoks, że właśnie politycy apelują o priorytet działań społecznych i edukacyjnych, podczas gdy – moim zdaniem – te apele powinny pochodzić od instytucji o najwyższym autorytecie moralnym w kraju.

Rozumiem, że ma pan na myśli Kościół. Czy nie jest tak, że unikając sporów ideologicznych chce pan uzyskać poparcie Kościoła dla reform, a chociaż tyle, by Kościół się reformom nie przeciwstawił?

Sądzę, że wszystkim nam o to chodzi, by Kościół poparł reformy. Tak rozumiem teksty, które ukazały się ostatnio w „Gazecie Wyborczej”: artykuł Adama Michnika *Rozmowa z integrystą*, wypowiedzi Stanisława Stommy czy Władysława Frasyniuka. Kościół może odegrać olbrzymią rolę promodernizacyjną w wytwarzaniu pozytywnych nastawień do pracy i do przedsiębiorczości, przekształcaniu struktury rolnictwa. Więcej, sądzę, że taką rolę edukacyjną tylko Kościół mógłby odegrać.

Profesor Krzysztof Pomian w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” powiedział, że od Polaków zależy „czy otworzą się na świat, czy zamkną w mateczniku najgorszego katolickiego tradycjonalizmu”. Jego zdaniem konfliktu między „europejskością” a „tradycją” nie da się uniknąć; byłoby więc lepiej, „żeby każdy występował jasno jako ten, kim jest”. Czy nie uważa pan, że jest to argument przeciw pana koncepcji „pragmatycznej koalicji”, która nie pozwala na takie jasne „występy” polityków?

Mam w tej sprawie inne zdanie, niż Krzysztof Pomian, przy czym różnica ta nie sprowadza się do tego, że on się niepokoi groźbą „matecznika”, a ja nie. Ja się nie tylko tym niepokoję, ale próbuję temu przeciwdziałać. Różnica między nami sprowadza się do odpowiedzi na pytanie, czy tu przebiega główna linia podziału politycznego. Moim zdaniem – nie.

Czy mógłby pan wymienić w takim razie jakieś przykłady tego „matecznika”, potocznie nazywanego „ciemnogrodem”?

To problem dla socjologa, dziennikarza, pisarza. To oni powinni opisywać stan świadomości społecznej. Natomiast polityk musi zauważyć, że są ugrupowania, które próbują eksploatować ludzką niewiedzę, frustrację, przewrażliwienie, które usiłują głosić, że AIDS jest słuszną karą za grzech, że środki antykoncepcyjne powinny być zakazane.

W 1989 roku pewien polski polityk powiedział w wywiadzie dla włoskiego pisma katolickiego, że głównym problemem polityki polskiej jest eliminacja z udziału w życiu publicznym ugrupowań demokratyczno-liberalnych. Dokonać tego można, zdaniem owego polityka, jeśli przedmiotem sporu politycznego uczyni się represje za dokonanie aborcji, obowiązkowe nauczanie religii w szkole, zakaz rozwodów.

Właśnie realizacji tego planu się przeciwstawiam, bo jest to plan polityki nienawiści i ideologicznej wojny domowej.

Telewizja pokazywała ostatnio manifestację w Berlinie przeciw nacjonalizmowi, za prawem do życia dla obcych na niemieckiej ziemi.

Kanclerza Kohla obrzucono jajkami. Czterystu anarchistów rozniosło manifestujący tłum. Czy pan się nie obawia rozruchów nacjonalistycznych w Polsce, czy nie obawia się pan, że to kiedyś może stać się przejawem „ciemnogrodu”?

Gdy mówię, że niepokoję się stanem świadomości społecznej, to właśnie do takich obaw nawiązuję. W krajach wychodzących z komunizmu powstaje ogromne zagrożenie, że brak cierpliwości i frustracje społeczne będą eksploatowane do wzniesienia nacjonalistycznych niechęci, ulicznych zajść.

Niemcy mają obcokrajowców. A o kogo by u nas miało chodzić? Znow o Żydów? Znow o Cyganów?

O kogokolwiek. A niemiecki kierowca zamordowany w październiku w Nowej Hucie? Patologii społecznej można dać odpór tylko wtedy, gdy jest to zjawisko marginalne. W Polsce o tych zagrożeniach mówiono od 1989 roku, najwcześniej ze wszystkich krajów dawnego obozu. Może dlatego u nas występują one w najsłabszej formie? Niemcy tego w porę nie zrozumieli.

Czy w takim razie nie mają racji ci nasi politycy, którzy mówią, że Polska powinna bać się Niemiec?

Historia nas nauczyła, że o Niemcach i o Rosji trzeba myśleć w kategoriach narodowej racji stanu a nie strachu.

Rysuje się szansa na naszą dobrą współpracę z Niemcami. Integracja europejska to proces, który osłabia tendencje do hegemonii, uzależniania słabszych, to gwarancja dla utrzymania liberalnego systemu demokratycznego. W takim świecie Niemiec nie ma się co bać.

Czy pana zdaniem politycy i partie polityczne sprawdzili się przez ostatnie trzy lata w Polsce?

Odpowiem pani banalnie: jesteśmy dopiero na początku drogi. Ani partiom politycznym, ani elitom politycznym nie wystawiałbym jeszcze świadectwa dojrzałości.

Czy naprawdę nie uważa pan za polski sukces, że z „Solidarności” tak szybko wykluły się partie, które się czymś między sobą różnią, że każdy może znaleźć sobie coś, co mu odpowiada?

Tak właściwie myślę. Sądzę, że nam się udało, choć stoimy przed wyzwaniem politycznym, przed jakim stawało mało które pokolenie współczesnej Europy. Polska na tle innych krajów postkomunistycznych jest w tej chwili wyspą politycznej stabilizacji; wyspą, na której sposób rozwiązywania sporów między uczestnikami życia politycznego może być przykładem kultury współżycia. Chciałbym – i to jest moją troską – aby taka sytuacja się utrzymała.

Natomiast jest u nas stan groźnego napięcia między opinią publiczną a elitami politycznymi. Nie można przecież powiedzieć, że elity są wspaniałe, tylko naród ich nie rozumie. Może to nieuchronne, a może to jednak słabość elit? Dlatego nie mogę powiedzieć, że ten egzamin zdaliśmy. Jeszcze wiele rzeczy może się zdarzyć.

Unia nadaje się do spisku jak chomąto do krowy

Z Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Klubu
Parlamentarnej Unii Demokratycznej, rozmawia
Piotr Adamowicz

Paweł Adamowicz: Zaczniemy nietypowo, bo od Polskiego ZOO. Czemu został pan kozłem?

Bronisław Geremek: Chciałbym myśleć, że nie tylko dlatego, że mam brodę. Dostrzegam pewną metaforę, bowiem w polityce jestem dość uparty. Nie postrzegam tego jako swojej wady.

Co będzie pan robił w paryskim Collège de France?

Zostałem mianowany profesorem. Jest to zaszczyt, ale nie tak bardzo obciążający. W początku stycznia zacznę wykłady. Przez trzy miesiące, co tydzień na jeden dzień będę wyjeżdżał do Paryża, gdzie będę mówił o społeczeństwie średniowiecznym i Europie Środkowej wobec dylematów postkomunizmu.

Pan wyjeżdża do Francji. Tadeusz Mazowiecki zajmuje się Jugosławią. Mało tego, co pewien czas pojawiają się mniej lub bardziej wiarygodne informacje o spodziewanym odejściu Krzysztofa Skubiszewskiego do Trybunału Międzynarodowego w Hadze. Ministrem spraw zagranicznych miałby zostać właśnie Mazowiecki. Kto zatem będzie liderem Unii?

Nie znam tej wiadomości. Mazowiecki jest nie tylko przywódcą, ale i spoiwem Unii. Nie ma żadnego powodu, aby minister nie mógł być przywódcą partii politycznej.

„Gazeta Wyborcza” opublikowała sławetny wywiad z Władysławem Frasyniukiem *Kto się boi księdza proboszcza?*, który został odczytany jako nawoływanie do zwrotu Unii w kierunku wyrazistszej laickości. Postrzega się go także jako początek sporu pomiędzy dotychczasowymi liderami a pokoleniem trzydziestolatków.

Życzę jak najlepiej Władkowi Frasyniukowi. Uważam go za przyjaciela. Myślę, że w kilku wywiadach jednak uległ pewnemu ferworowi. To nie służy Unii i Frasyniukowi.

Postawę Unii wobec Kościoła wyraził Stanisław Stomma w późniejszym wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”. Zasada „przyjaznego rozdziału państwa od Kościoła” służy obu stronom. Natomiast wzrost roli młodszego pokolenia jest naturalny. Ja należę do pokolenia sześćdziesięciolatków.

Część członków Unii mówi, że jesteście partią „zbyt mało wyrazistą światopoglądowo”. A po sobieszewskiej deklaracji ideowej Kongresu właśnie ta partia może przejąć część waszej klienteli.

Postulat „wyrazistości” można uznać za żądanie, aby Unia określiła się ideologicznie. To oznacza koniec modelu partii pluralistycznej, jaką jesteśmy od chwili powstania. Jeśli żąda się, aby Unia określiła się, czy jest partią pro- czy antykościelną, jest za lub przeciw aborcji, to chce się stosować wobec Unii kryteria jej przeciwników. Ja to odrzucam.

Liberałowie wypowiedzieli pewne rzeczy jasnym językiem. Ale moim zdaniem nie należy w normalnym życiu publicznym wytwarzać atmosfery stałej kampanii wyborczej.

Unia nie chce prowadzić sporu z Kościołem. Kościół odegrał i ma do odegrania wielką rolę w trudnym okresie transformacji ustrojowej i gospodarczej. Dla Unii ważną zasadą jest redukcja konfliktów, a nie ich poszerzanie.

Z Unii odeszło Forum Prawicy Demokratycznej Halla. Kongres po deklaracji jest określany jako „laicka prawica”. Zofii Kuratowskiej z Unii i Janusza Lewandowskiego z Kongresu prawie nic nie różni. „Kongresowi grozi wchłonięcie przez Unię” – głosi Lech Mażewski, lider konserwatystów w KLD.

Ostatnio Kongres raczej miał poczucie, że musi czymś się wyraźnie odróżnić od Unii i zainwestował bardzo dużo, aby wykopać rowy. Na szczęście w praktyce parlamentarnej udało się je szybko zasypać.

Nie jesteśmy zainteresowani wchłonięciem Kongresu. Byliśmy i jesteśmy zainteresowani lojalną współpracą. Bliskość programów gospodarczych, proeuropejskość, mogą oznaczać współpracę, sojusz, koalicję – mogą też oznaczać połączenie. To życie pokaże, które rozwiązanie się sprawdzi.

Kilkanaście dni temu Jarosław Kaczyński w Radiu Gdańsk oświadczył, że został zawiązany spisek mający rozbić Porozumienie Centrum. Jednym ze spiskowców jest Unia Demokratyczna i pan.

Unia do spisku nadaje się jak chomąto do krowy. Jesteśmy w tym słabi i niekompetentni. W polityce należy przestać myśleć w kategoriach pretensji, spisków i podejrzliwości. Trzeba myśleć konkretnymi. Myślę, że realia i konkrety przeważają w rozumowaniu liderów PC.

A zarzut o monopolizowanie przez Unię Demokratyczną funkcji publicznych?

Po wyborach byliśmy najsilniejszym ugrupowaniem w Sejmie. A co wtedy się dokonało? Powstało porozumienie przeciwko Unii. Nie mamy ani jednego przedstawiciela w prezydium Sejmu, wykluczano nas ze stanowisk przewodniczących komisji parlamentarnych, nie mamy ani jednego wojewody. A jest ich siedmiu z prześladowanego Porozumienia Centrum.

Rząd uzależniony jest w Sejmie od koniunkturalnego poparcia „Solidarności”, które może się skończyć. Czy nie należałoby poszerzyć koalicji rządowej?

Poparcie „Solidarności” uważam za niekoniunkturalne. Ale istotnie, może ono w pewnym momencie się zachwiać. Bowiern pro-rynkowa polityka rządu Hanny Suchockiej może się zacząć roz-
mijać z interesami związku zawodowego.

Rząd nie musi szukać natychmiastowego poszerzenia koalicji. Ostatnie głosowanie nad nowelizacją budżetu wskazuje na prze-
wagę 50 głosów w Sejmie. Nie ma jednak stałej i wyraźniej więk-
szości. Stąd konieczność poszukiwania albo w partiach postso-
lidarnościowych lub poza nimi. Nie jestem za kontynuowaniem
kombatanckiej jedności. Większe zaufanie posiadam do partii
wywodzących się z „Solidarności”, ale zachowanie polityków
z PC nie wróży sukcesów.

Alternatywą jest PSL. Być może jest szansa na rozszerzenie dia-
logu, który podjęła Unia, a którego przedmiotem byłoby uzy-
skanie konsensusu wokół polityki gospodarczej. Decyzja leży w
PSL. Jednak głosowania w Sejmie, niektóre wypowiedzi liderów
pesymistycznie nastrajają do akceptacji przez PSL polityki pro-
rynkowej.

**Na uboczu wielkiej polityki pozostaje Sojusz Lewicy Demokratycznej. Niekiedy wręcz używa się określenia o „ośle jławce”. Czy istnieje
możliwość włączenia SLD do wielkiej polityki lub przeprowadzenia
dyferencjacji, czyli wyłowienia polityków myślących w kategoriach
prorynkowych?**

W tym kierunku zrobiliśmy niewiele. Jeśli mowa o pomocy, to
pomagać można tym, którzy pomagają sobie sami. SLD z przy-
czyn ideologicznych udziela poparcia wszelkim propozycjom de-
magogicznym, populistycznym, jakie w tym Sejmie padają, a są
wymierzone przeciwko rządowi. To utrudnia dialog.

Nie widzę możliwości konsensusu, jeśli nie ma odniesienia do
dobra wspólnego. Musi być jakaś referencja. Póki SLD postrzega
jedyną referencję w budowaniu wałów ochronnych wokół siebie,
poniekąd wokół własnej przeszłości, działa destrukcyjnie, to o
dialogu mowy być nie może.

Ja jednak uważam, że w perspektywie myślenie w kategoriach prorynkowych, proeuropejskich, może zacząć przeważać. Wówczas okaże się, iż w SLD są zwolennicy rynkowej polityki gospodarczej, a zatem destrukcji dziedzictwa komunizmu. To pytanie musi być postawione i musi być na nie jasna odpowiedź. Jak do tej pory SLD jasnej odpowiedzi nie daje.

Na spotkania z Janem Olszewskim czy Janem Parysem przychodzi po kilkaset osób. Świadczy to o dość znacznym poparciu dla ugrupowania byłego premiera.

Nie przyjmuję tej diagnozy. Gdy następuje zubożenie, kto wówczas jest w stanie uzyskać poparcie ludzi? Ten, kto krzyczy najgłośniejszym głosem, używa najostrzejszych słów, kto podaje proste recepty i kto gra na frustracjach. To jest krótkowzroczność.

Rzeczywiste poparcie ma polityka, w której o coś chodzi. Ja sądzę, że społeczeństwo umie odróżnić demagogię od programów. Dziwi mnie działania i program polityka miary Jana Olszewskiego.

Ostatnie pytanie, dotyczące tak emocjonującej na nowo sprawy, jak referendum w sprawie aborcji. Czy może do niego dojść?

Nie ma żadnej szansy, aby projekt referendum uzyskał poparcie w Sejmie. Nawet jeśli by tak się stało, wątpię, czy w referendum wzięłoby udział ponad 50 proc. uprawnionych.

W normalnej sytuacji pomysł referendum, to pomysł antagonizujący. Ale obecnie może to być rodzaj manifestacji słabszych. Problemem jest więc czy pomysł ten zredukuje konflikt, czy go wzmacni. Unia powinna zaś konflikt zredukować.

Chcę też powiedzieć, że są politycy i środowiska, które przez instrumentalne traktowanie spraw aborcji, wartości chrześcijańskich, roli Kościoła, chcą zantagonizowania polskiego życia publicznego i podziału sceny politycznej wokół sporów ideowych. Unia nie powinna w tym uczestniczyć.

Dolina łez

Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym
Klubu Parlamentarnego Unia Demokratyczna,
rozmawia Anna Szymańska

Anna Szymańska: Panie profesorze, koalicja powstała w oparciu o „przełomowe porozumienie pomiędzy ZChN a Unią”. Dziś na porozumieniu widać głębokie rysy, pojawiają się też wypowiedzi dezawuuujące rolę Unii w koalicji. Co dziś łączy koalicję?

Bronisław Geremek: Sytuacja w kraju wymaga koalicji, w której znajduje się zarówno ZChN, jak i Unia. Pomimo różnych politycznych zawirowań, praktyka pokazuje, że układ, który powstał pół roku temu, jest odporniejszy niż przewidywano. Jego siłą jest słabość innego układu. Poza tym konflikty rzadko dotyczą rządu. Jeśli zaś chodzi o wystąpienie wicepremiera Goryszewskiego, to sądzę, że z biegiem czasu będzie miał dostatecznie wiele zajęć w rządzie, by nie zajmować się tak gorliwie rozbijaniem politycznej koalicji.

Wydaje się jednak, że w związku z sytuacją w kraju rządowi może zabraknąć głosów, do tej pory udzielanych przez Klub „Solidarność”. Czy w związku z tym rozważają państwo możliwość poszerzenia koalicji, na przykład o Polskie Stronnictwo Ludowe?

To prawda, że rząd jest oparty na mało zdyscyplinowanej większości parlamentarnej. Przegrane głosowanie było zawsze rezul-

tatem nieobecności posłów z koalicji. Rząd można wzmocnić na dwa sposoby. Drogą zdyscyplinowania koalicji, tak by decyzje parlamentu były zgodne z jego oczekiwaniami. Praktyka uczy niestety, że zdyscyplinowanie posłów jest rzeczą niełatwą.

Drugi sposób to poszerzenie koalicji, by nie było ustawicznego rozważania jak zachowa się Klub „Solidarność”. W tej chwili Klub ten bardziej opornie reaguje na apele rządowe, niż zwykł to czynić dawniej. Pojawia się możliwość wejścia w dialog lub koalicję z PSL. Jest to również trudne rozwiązanie. PSL nie wykazuje dostatecznie dużej woli dialogu, poszukiwania rozwiązań koalicyjnych. Partia ta jest wciąż sfrustrowana po niemożności sformowania własnego rządu i patrzy z nadzieją na każdy kryzys, który może rozbić ten rząd. Sądzę, że doświadczenie uczy, iż koalicja jest wystarczająco trwała i nie należy patrzeć na zapowiedzi meteorologiczne zmian politycznych, ale myśleć poważnie i z odpowiedzialnością o przeszłości. Uważam więc, że zarówno dialog, jak i układ koalicyjny z PSL będzie możliwy.

Przedstawiony przez rząd program reform miał doprowadzić w ciągu najbliższych kilku lat do niewielkiego wzrostu poziomu życia społecznego. Warunkiem sukcesu miało być ścisłe trzymanie się przedstawionych założeń. Tymczasem ostatnie działania rządu wskazują na pewne niekonsekwencje. Wydaje się, że rząd uzależnia się od interesów grup społecznych, podejmuje działania mogące doprowadzić do powstania państwa korporacyjnego.

Udzielam pełnego poparcia pani premier i jej rządowi. Jednocześnie z niepokojem obserwuję pewne niekonsekwencje, które występują w jego polityce. Nie chodzi mi o to, że Hanna Suchocka mało przypomina Margaret Thatcher. Proces reform, transformacji gospodarczej brytyjski politolog Ralf Dahrendorf porównał do przejścia przez dolinę łez. Społeczny koszt reform jest nieuchronnie ogromny i musimy zań zapłacić własnym poświęceniem. W takiej sytuacji podstawą jest, by rząd miał program,

który będzie konsekwentnie realizował, równocześnie rozmawiając ze społeczeństwem.

Czy możemy przyjąć, że system paktów społecznych jest znamieniem korporatyizmu i w związku z tym słabości władzy? Uważam, że nie. Kontrakty społeczne angażują w proces przemian tych, którzy czują się nim zagrożeni i sfrustrowani. System kontraktów daje też perspektywę czasu – to, czego nie można zrobić dziś, można przyrzec na przyszłość. Możliwości konsekwentnej realizacji polityki rząd nie traci w rozmowach z górnikami czy włókniarzami, lecz w parlamencie. W rozmowach z górnikami chodziło o wydatkowanie sumy rzędu 1 biliona złotych. W parlamencie już podjęto decyzje, które będą kosztować budżet około 10 bilionów. Niebezpieczeństwo, jakie dostrzegam, nie sytuje się po stronie korporatyizmu, lecz po stronie parlamentu.

O wzajemnym szacunku koalicjantów decyduje siła ugrupowania. Wydaje się natomiast, że Unia traci. Odszedł Aleksander Hall, wciąż słychać głosy, że Unia może w dalszym ciągu się dzielić. Czy w ten sposób sama partia nie prowokuje takich wystąpień jak to wicepremiera Goryszewskiego?

Kiedyś istniały ekipy ekonomistów, które prognozowały, kiedy rozpadnie się świat zachodniego kapitalizmu. Podobnie teraz niektórzy czekają na moment upadku Unii. Unia czuje się dobrze. Miarą tego są wyniki sondaży opinii publicznej. Partia polityczna istnieje przecież nie w świecie gabinetów, kręgu elit politycznych, ale na scenie politycznej. A odejście Aleksandra Halla było, jak się okazało, wydarzeniem o niewielkich dla partii konsekwencjach.

Unia skupia ludzi o różnych przekonaniach. Wciąż w wielu kwestiach partia nie może wypracować jednolitego stanowiska, czego przykładem jest spór o wyrażenie poparcia dla referendum w sprawie karalności aborcji.

To często spotykany zarzut, lecz nie sądzę, by był trafny. Zdaję sobie natomiast sprawę, że Unia ma wiele słabości.

Na przykład?

Przed wszystkim elitarny charakter stronnictwa, niemożność wytworzenia takiego programu reformatorskiego, który zyskałby poparcie dużych środowisk. Program Unii jest bardzo perspektywiczny. Odpowiada sytuacji współcześnie rozwiniętych krajów europejskich, gdzie istnieje mocna klasa średnia. U nas wciąż jest ogromna przewaga środowiska robotniczego i rolniczego, i bez wsparcia tych grup społecznych nie można sensownie programować działań politycznych. Tu właśnie postrzegam słabość Unii. Wspomniała pani o sporach związanych z ustawą antyaborcyjną. To problem o zasadniczym znaczeniu dla przyszłości kraju...

Wydaje się, że praktyka kierowania się względami religijnymi przy stanowieniu prawa może mieć w przyszłości daleko idące konsekwencje.

Każda decyzja, która w tej sprawie zapadnie, będzie miała negatywne konsekwencje.

Dlaczego?

Na scenie publicznej pojawiło się kryterium, które nie powinno funkcjonować w polityce.

Potwierdza pan odczucia, że to, co dzieje się w Sejmie, mija się ze społecznymi oczekiwaniami? Nie chodzi mi o realizację żądań roszczeniowych, lecz oczekiwania od posłów rzetelności, umiejętności dyskusowania i rozwagi w podejmowaniu decyzji. Część ugrupowań politycznych twierdzi, że jedynym ratunkiem w tej sytuacji są przedterminowe wybory.

Wybory w gruncie rzeczy leżą w interesie UD. Sondáže wskazują, że gdyby odbyły się w niedługim czasie, Unia miałaby szansę podwojenia swojej reprezentacji w parlamencie. Mimo to jestem zdecydowanym przeciwnikiem przeprowadzenia wyborów w tym roku.

Dlaczego?

Z dwóch powodów: wszystkie symulacje i sondaże wskazują, iż sytuacja obozu reformatorskiego w przyszłym parlamencie byłaby taka sama, jak w tej chwili.

Obóz reformatorski, czyli obecna koalicja?

Niezupełnie. W moim przekonaniu ZChN nie jest ugrupowaniem reformatorskim. Widać to szczególnie w jego stosunku do procesów integracji europejskiej, w sposobie patrzenia na politykę gospodarczą. Lecz aby ta koalicja mogła powstać, musiałaby uzyskać pewien konsensus z ugrupowaniem niereformatorskim. Po wyborach znów powstałaby sytuacja, w której jedno spoza proreformatorskich ugrupowań musiałoby wejść do koalicji. Czy to byłby KPN czy PSL – nie ma znaczenia. A więc zmieniłoby się mało w modelu kontraktu politycznego.

Jeżeli w tym roku wybuchłaby znów kampania demagogii, konkurs przyrzeczeń, natychmiast zniweczono by to, co w 1992 roku przy ogromnym koszcie społecznym udało się osiągnąć, kiedy to gospodarka dała sygnały, że reforma zaczyna przynosić efekty. To drugi powód mojej niechęci do szybkich wyborów.

Uważam więc, że Sejm powinien uchwalić Konstytucję i się rozwiązać lub dojść do wniosku, że nie może Konstytucji uchwalić i podjąć decyzję o wcześniejszym zakończeniu kadencji. Oznacza to, że zakładam możliwość wyborów w 1994 roku.

Powiedział pan, że Konstytucja powinna jasno określać podziały władzy. Jak więc powinny kształtować się relacje między prezydentem, parlamentem i rządem?

W moim przekonaniu właściwym modelem jest takie usytuowanie prezydenta, by był najwyższym arbitrem, strażnikiem bezpieczeństwa państwa, lecz nie szefem władzy wykonawczej. Rząd powinien mieć zagwarantowane szerokie kompetencje i uprawnienia – modelem mógłby być tu system, który obowiązuje w Niemczech czy Austrii, z drugiej strony zaś system brytyjski. Podkreślam znaczenie tego przykładu ze względu na rolę,

jaką odgrywa tam parlament. W Polsce parlament powinien być instytucją odpowiedzialną za proces legislacyjny, a jednocześnie pełnić kontrolę nad działaniami rządu. W ramach systemu równowagi i kontroli taki układ trzech organów państwa spełnia swoją funkcję.

Rozmawiamy w pierwszych dniach roku. Jaka jest pańska prognoza na 1993 rok?

Zagrożeniem 1993 roku jest sojusz między ekstremizmem politycznym a konfliktami społecznymi. Ekstremizm polityczny istniejący w parlamencie funkcjonuje i poza nim, ponieważ spotyka się z odzewem społecznym. Każda zapowiedź strajku powoduje natychmiast zwiększenie agresywności w parlamencie i nasilenie antyrządowego dyskursu. To jest zjawisko, które może spowodować destabilizację polityczną i zagrozić procesowi, który zaczyna przynosić pozytywne efekty. Natomiast jestem przekonany, że istnieją szanse, by rząd Hanny Suchockiej przetrwał przez 1993 rok i mógł kontynuować rozpoczęte prace. Sądzę też, że mogą się dokonać w nim wewnętrzne rekonstrukcje – takie możliwości stwarza Mała Konstytucja.

Polityk powinien zakładać hipotezę optymistyczną. Moją hipotezą na 1993 rok jest to, że się uda.

Zatrute jabłko demokracji

Z prof. Bronisławem Geremkiem rozmawia
Elżbieta Karasiewicz

Elżbieta Karasiewicz: O Unii Wolności mówi się najczęściej, że jest partią indywidualności. Na tle dość nijakiego obrazu polskiej klasy politycznej na pewno jednak nie to jest problemem tej partii?

Bronisław Geremek: Myślę, że główny problem wynika z jej usytuowania politycznego. Mianowicie Unia Wolności określa się jako partia centrum, a więc taka, która odrzuca radykalne opcje i opowiada się za działaniem na rzecz państwa jako dobra wspólnego. To daje mało miejsca na polityczną łomotaninę, która zazwyczaj przynosi blichtr partiom politycznym. Głównym problemem jest to, żeby Unia Wolności była partią skuteczną, aby nie rozrywały jej ambicje wewnętrzne. Nie widzę zagrożenia w tym, że jest w niej tak wiele indywidualności. Zagrożenie widzę raczej w tym, że niekiedy postulat większej wyrazistości Unii Wolności, prowadzi do prób zawłaszczenia tą partią centrum przez jedno z jej skrzydeł. W tej chwili skrzydło prawicowe wykazuje właśnie taką tendencję i obserwuję to z niepokojem, ale stwierdzam, jak do tej pory z satysfakcją, że Unia jest dobrze zakotwiczona.

W ostatnich tygodniach obserwujemy nieczytelne zachowania naszych polityków. Wymienię tylko żonglowanie przepisami prawa,

fumy jednych i pogrożki drugich, a zamiast rzeczowych rozmów o problemach, popisy w świetle jupiterów. Czy nie sądzi pan, panie profesorze, że takie postępowanie elit politycznych okalecza społeczeństwo?

W podtekście pytania jest niechęć do polityków. W historii demokratycznej Europy z niechęci do polityków wpływały zazwyczaj złe konsekwencje. Załamywała się demokracja... Niestety, ten typ braku zaufania do polityków daje szansę demagogom i oszustom. Trudno mi odpowiedzieć, że nie dostrzegam tych zagrożeń, które w pani pytaniu się zawierają. Po pierwsze, jest to istotnie sprawa moralności polityków. Uważam, że jest rzeczą niezwykle ważną, żeby utrzymać nie tylko poczucie, że polityk musi być uczciwy i nie powinien być łasy na pieniądze, ale także, że polityk musi mieć poczucie odwołania do dobra wspólnego, a nie do interesu własnego, grupowego czy partyjnego.

Po drugie, pytanie pani nawiązuje do stanu rozprzężenia państwa, który się pojawił w ostatnich miesiącach i który dotyczy relacji między prezydentem a rządem, między poszczególnymi ministrami w rządzie, między prezydentem, rządem i parlamentem. Jest to sytuacja, na której Polska traci. Wizerunek Polski w świecie pogarsza się, gdy podstawowe priorytety polskiej polityki, dotyczące bezpieczeństwa polskiego i polityki zagranicznej są podawane w wątpliwość. I gdy rozmowy między czołowymi instytucjami państwa odbywają się niekiedy w ten sposób, że jeden słucha, drugi milczy, a trzeci wszystko to notuje. Tak opisywano jedno ze spotkań prezydenta z premierem i jego doradcą.

Jest rzeczą nienormalną, żeby premier rozmawiał ze swoim ministrem za pośrednictwem listów publicznych, aby dwa ministerstwa nie były obsadzone, żeby prezydent państwa groził rozwiązaniem parlamentu, nie mając instrumentów konstytucyjnych czy zapowiadał, że nie będzie płacił podatków. Ale tak się stało i ktośkolwiek by powiedział, że jest w tym bez winy, nie powiedziałby prawdy. Jeżeli do tego doszło po kilku latach demokratycznej

rewolucji, to się musimy zastanowić, co się stało, że właśnie taki jest bilans. Ja w każdym razie, w tym bilansie dostrzegam antydemokratyczne tendencje, zarówno w działaniu koalicji rządowej, rządu, jak i prezydenta. Dostrzegam je nawet w parlamencie, który powinien być podstawą demokratycznego ładu politycznego. Coś zatem jest zatrutego w polskim jabłku życia publicznego.

Może po prostu zabrakło nam cierpliwości w budowaniu instytucji demokratycznych?

Instytucje powinny działać zgodnie z prawem, swoimi obowiązkami i uprawnieniami. Problemem nie jest tu rozprzężenie instytucji, tylko słabość kultury politycznej. Demokratyczne instytucje można stworzyć natychmiast. We wszystkich krajach demokratycznych reguły są zapisane w prawie, ale jednocześnie są zwyczajem. Zwyczaj to jest kultura polityczna, którą tworzy się trudniej niż same instytucje. To jest zadanie, przed którym nadal stoimy.

W chwili, kiedy politycy tracą zaufanie obywateli, autorytetem stał się u nas Trybunał Konstytucyjny. Niestety, jego decyzje nie są ostateczne, bo podlegają zatwierdzeniu przez Sejm.

Z natury konstytucyjnego pojmowania systemu sądowiczego wynika, żeby decyzje Trybunału Konstytucyjnego były ostateczne i nie podlegały zatwierdzeniu lub odrzuceniu przez Sejm. Takie jest stanowisko i moje, i mojego ugrupowania. Do rozważenia jest natomiast pewne ograniczenie uprawnień, ponieważ Trybunał Konstytucyjny, przy jeszcze nieuchwalonej Konstytucji, mógłby się stać nagle instytucją, która burzy pewien ład życia politycznego. Należałoby się zastanowić nad tym, czy parlament, który uchwała budżet, nie powinien zachować prawa ostatecznego w sprawach mających konsekwencje budżetowe. Budżet państwa nie może podlegać jakimkolwiek wyrokowi, jeżeli raz został uchwalony. W każdym przypadku orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego powinno być ostateczne. Natomiast budżetowi trzeba nadać takie znaczenie, żeby nie mogły go zmieniać kolejne uchwały Sejmu, Senatu czy Trybunału Konstytucyjnego.

To nie my dzisiaj odkryliśmy, że demokracja ma związek z gospodarką. Na ile jednak możliwa jest transformacja, kiedy tylu chętnych do rozwiązań dalekich od demokratycznych?

Nie sądzę, aby udało się dokonać transformacji gospodarczej w innym politycznym kontekście, niż demokratyczny. Odrzucam zatem wszelkie ciągoty do autorytarnych rządów, do mężów opatrnościowych, do dyktatury jako sposobu realizacji skutecznych reform. Uważam, że w gospodarce rzeczą niezwykle ważną jest, ażeby nie ulegać demagogii kolejnych kampanii wyborczych, tylko żeby przeprowadzać reformy strukturalne, które budują przyszłość. Reformy przeprowadzone na początku 1990 roku były niepopularne, ale skutki ich teraz widzimy.

Skutkiem bilansu niepokojów w życiu politycznym jest brak poczucia bezpieczeństwa. Jakie reformy uznaje pan profesor za najważniejsze w najbliższej perspektywie?

Do takich reform zaliczam sprawę prywatyzacji, zmiany struktury własnościowej i zapewnienie dalszych możliwości inwestycyjnych. Po drugie, zmiany struktury rolnictwa polskiego i po trzecie, sprawy systemu monetarno-kredytowego.

Dla takich reform niezbędne jest, ażeby państwo przystosowało się do standardów Unii Europejskiej. W ramach tych standardów znajduje się nie tylko suwerenność, niepodległość, cywilna kontrola nad wojskiem, niezależność sądownictwa, ale także zasada subsydialności. Oznacza ona, że to, co powinno być zrobione na dole, nie powinno być robione na górze. Im bliżej obywatela, tym więcej. Jeżeli przyjąć tę zasadę, to wtedy dla reformy demokratycznej państwa ważne jest nie tylko usunięcie tego, co było spuścizną systemu totalitarnego, ale także budowa mocnych struktur samorządowych, społeczności lokalnych, organizacji pozarządowych, stworzenia pól dla inicjatywy obywatelskiej. Uważam, że moglibyśmy dla takiej wizji modernizującej się, rozumnie zmieniającej się Polski, uzyskać społeczne poparcie.

VI
Polska racja stanu



„Bo przecież Europa, do której dążymy, nie jest Europą zła moralnego. Przeciwnie, jest wspólnotą ludzi odwołujących się do dobra zbiorowego, wolności i godności osoby ludzkiej”.

Duch Jałty

Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym
sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, rozmawia
Anna Szymańska

Anna Szymańska: Jednym z pierwszych konfliktów w nowym Sejmie był spór o obsadę fotela przewodniczącego Komisji Spraw Zagranicznych. Jaka była cena kompromisu zawartego pomiędzy panem a liderami zwyczajnych partii?

Bronisław Geremek: Nie dramatyzowałbym sporu wokół wyboru przewodniczącego Komisji. Problem polega na tym, czy ten kompromis przełoży się na porozumienie w sprawie polityki zagranicznej.

Jak pan ocenia możliwości osiągnięcia porozumienia?

Na szczęście, polityka zagraniczna nie była eksponowanym punktem kampanii wyborczej i partie nie są w tej dziedzinie więziami wyborczych obietnic.

Ale występują różnice poglądów dotyczące, np. udziału Polski w procesie integracji europejskiej czy polityki wschodniej.

Sądzę, że nasz interes narodowy wymaga uczestnictwa w procesie integracji europejskiej. Musimy przeciwstawić się pomysłom zamknięcia granic i z polskiej, i z zachodniej strony. Jedyną rozsądną i dobrze służącą Polsce linią jest uczestnictwo w integracji z państwami Europy.

Trudniejszym do rozwiązania problemem jest kwestia polityki wschodniej. Należy odpowiedzieć na dwa pytania: czy istnieje zagrożenie wejścia Polski w rosyjską strefę wpływów i po drugie – czy istnieją na wschodzie polskie interesy, które są dla nas żywotne.

Wejście Polski do NATO w jednoznaczny sposób wykluczyłoby możliwość rozprzestrzenienia się na Polskę rosyjskiej strefy wpływów.

Jestem przekonany, że jeżeli z naszej strony nie będzie agresywnej (już w deklaracjach) polityki wobec Rosji, to istnieją realne szanse na dobre stosunki gospodarcze, a tym samym – korzyści.

Kilka dni temu w Moskwie ogłoszono nową doktrynę wojenną. Mówi się tam m.in., że Rosja może interweniować na granicach, jeżeli uważa, że są zagrożone jej interesy. Czy pana zdaniem takie postawienie sprawy może zagrażać Polsce?

Jest to jedno z podstawowych pytań, nie tylko dla polityki zagranicznej. Muszę uczciwie powiedzieć, że w tej chwili nie ma na nie jasnej odpowiedzi. Istnieje przypuszczenie, że te stwierdzenia dotyczą krajów byłego ZSRR.

Ale pewności nie ma...

Co więcej, można domniemywać, że w rosyjskich kołach militarnych i dyplomatycznych są pokusy, by sferę wpływów rozszerzyć na dawne kraje demokracji ludowej.

O tym jak będzie, zadecyduje realny układ sił. Myślę, że w tej chwili Rosja nie ma warunków na to, by rozprzestrzenić swoje wpływy poza dawne granice ZSRR. Sądzę, że nasze kraje są wystarczająco przywiązane do niepodległości i suwerenności, by na to pozwolić.

Koniecznym dla Polski zabezpieczeniem, które jednoznacznie odetnie wszelkie pokusy wciągnięcia Polski w rosyjską strefę wpływów, jest uczestnictwo Polski w NATO.

Ale nasze przekonanie, że dla zapewnienia bezpieczeństwa konieczna jest przynależność do NATO spotyka się małym odzewem ze strony państw Sojuszu Atlantyckiego. Spotkanie w Travermünde pokazało, że nikt nie czeka na nas z otwartymi ramionami.

Nie oceniałbym pesymistycznie obecnego stanu rzeczy. Proszę zwrócić uwagę, że głównym przesłaniem spotkania w Travermünde było przekonanie o konieczności eksportu stabilizacji politycznej do krajów Europy Środkowej i Wschodniej. Można powiedzieć, że nigdy dotąd tak wiele jak teraz nie mówiono o członkostwie w NATO tych krajów, a Polski przede wszystkim.

Nie widać jednak przełożenia słów na czyny.

Niecierpliwość w polityce nigdy nie jest dobrym doradcą. Sądzę, że wizyta prezydenta Jelcyna w Warszawie i jego oświadczenie wzbudziły nagle nadzieję, że dokona się natychmiastowy proces wejścia Polski do NATO. Nasza niecierpliwość sprawiła, że mamy poczucie rozczarowania. W polityce trzeba być upartym, a uzyskuje się to, czego się chce.

To, co pan nazywa poczuciem rozczarowania i zniecierpliwienia, jest nazywane przez innych brakiem możliwości podejmowania suwerennych decyzji.

To nie jest kwestia suwerenności, ale gry dyplomatycznej. Rosja nie ma nic do tego czy wstąpimy do NATO, czy nie. Natomiast stanowisko Rosji w tej sprawie jest bacznie obserwowane przez administrację w Waszyngtonie. To w tej chwili główna przeszkoda w uczestnictwie Polski w NATO. Uważam, że spokojnie i uparcie należy przekonywać administrację kraju, który jest zaprzyjaźniony z Polską, że nasze uczestnictwo w NATO nikomu nie zagraża. Wówczas osiągniemy swoje.

Jakby pan skomentował opinie, które pojawiły się po spotkaniu w Travermünde, że oto odbyło się odkurzanie dokumentów Jałty?

Gdy ostatnio rozmawiałem z zachodnioeuropejskimi politykami, mówiłem, że duch Jałty nie umarł. To była retoryka. Jałta jest już

niemożliwa. Pierwszymi, którzy o tym wiedzą, są Amerykanie. Jałta jest niemożliwa ze względu na to, iż los suwerennych krajów, jakie świeżo odzyskały niepodległość, nie rozstrzyga się już przy dyplomatycznych stołach.

W polityce nie powinniśmy się kierować poczuciem goryczy, frustracji, niecierpliwości, ale poczuciem interesów Polski i uporem.

Czego spodziewa się pan po ministrze Olechowskim? W jakich kierunkach będzie prowadził polską politykę zagraniczną?

Przede wszystkim oczekuję, że minister Olechowski będzie kontynuował politykę ministra Krzysztofa Skubiszewskiego. Leży to w interesie Polski. Jestem przekonany, że taka też jest intencja ministra Olechowskiego. Ale nowy rząd ma własne programy i sądzę, że dotyczy to również polityki zagranicznej.

Jakich zmian się pan spodziewa?

Liczę na podniesienie roli polityki gospodarczej w działaniach polskiej dyplomacji. W tej dziedzinie minister Olechowski – który prowadził negocjacje dotyczące układu europejskiego, łączącego Polskę ze Wspólnotami Europejskimi – ma duże doświadczenie.

Olechowski musi też stanąć naprzeciw tendencjom protekcyjnym, zarówno ze strony Wspólnot Europejskich, jak i USA. Jest to nowy element współczesnej polityki światowej, a my jak do tej pory nie określiliśmy jeszcze w tym zakresie własnej doktryny. Minister spraw zagranicznych staje też przed pilną potrzebą określenia sposobu funkcjonowania Polski w układach z naszymi wschodnimi sąsiadami. Tu gospodarka ściśle łączy się z polityką i interesami wojskowymi.

Co minister Andrzej Olechowski może zostawić z dotychczasowej polityki MSZ? Co powinien utrzymać z tej polityki rząd?

Cztery lata mojej współpracy z ministrem Skubiszewskim pozwalają mi powiedzieć, że jego polityka odpowiadała polskim in-

teresom narodowym. Przełom, jakiego dokonano po roku 1989, jest w ogromnej mierze jego zasługą. Składając ten hołd człowiekowi, chcę powiedzieć, że kontynuacja jego polityki wydaje mi się kryterium sprawdzenia intencji nowego rządu, w stosunku do którego jestem w opozycji. Ale mam nadzieję, że odniesienie do interesu narodowego i do racji stanu w pewnych dziedzinach polskiej polityki wytwarza konsensus, który może łączyć i rząd, i opozycję.

Niwelowanie barier

Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym
sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, rozmawia
Jan Forowicz

Jan Forowicz: Czy NATO jest nam potrzebne?

Bronisław Geremek: Nasz cel w postaci członkostwa w NATO nie pojawił się przypadkowo. Jest on nieuchronnym rezultatem transformacji ustrojowej gospodarczej. Dialog pomiędzy Polską oraz Paktem, jako jedyną instytucją efektywnie stabilizującą sytuację w Europie, jest więc czymś absolutnie naturalnym. Potrzebujemy NATO. Nikt trzeci nie może mieć w tej kwestii głosu decydującego.

Jakie znaczenie przypisuje pan na tym tle umowom w sprawie współpracy na polu wojskowości i bezpieczeństwa zawartym już przez Polskę z sąsiadami oraz wieloma krajami bardziej odległymi geograficznie?

Zawarte traktaty o współpracy wojskowej są niezwykle cennym dorobkiem MON i MSZ. Nie ma bowiem kraju europejskiego, który jak Polska zmienił nagle wszystkich sąsiadów i który ze wszystkimi nowymi ich rządami zawarł partnerskie układy, uwzględniające wzajemne interesy obronności i bezpieczeństwa. Traktaty te, to dobra podstawa dalszego rozwoju współpracy.

Co ważne, zawierane traktaty wojskowe od początku cechowały się skutecznością. Niekiedy dawały bowiem pożądane rezultaty wcześniej niż różne negocjacje w innych dziedzinach polityki. Przykładem jest militarna współpraca z Litwą funkcjonująca dużo wcześniej, w czasie gdy w innych kwestiach współdziałania przełamywano dopiero lody.

Czy Grupa Wyszehradzka rokuje nadzieje na stworzenie solidnych podstaw bezpieczeństwa i efektywnej koordynacji, np. produkcji broni na potrzeby tworzących ją krajów?

Chciałoby się, aby tak było. Grupa Wyszehradzka mogłaby wpływać na tworzenie solidnych podstaw, o których pan mówi, czy kolektywnie rozwiązywać sporą część problemów produkcji sprzętu wojskowego. Istnieją jednak pewne elementy blokujące postęp. Niektóre koła polityczne u naszych partnerów żywią jeszcze nadzieję, iż obędzie się bez współpracy politycznej i militarnej. Sądzę, że nadzieje owe słabną i politycy Grupy Wyszehradzkiej zwrócą się ku sobie.

Coraz więcej jest tych, którzy dostrzegają rozmiary kapitału politycznego, którym mogłaby skuteczniej dysponować Grupa Wyszehradzka. Mogłaby ona przemawiać nie tylko głosem swoich 65 milionów ludzi. Jej atutem jest przecież coś więcej: umiejętność pokojowego rozwiązywania wszystkich dotychczas zaistniałych problemów. Podnosi to wartość partnerstwa Grupy Wyszehradzkiej wobec struktur, do których każdy z naszych czterech krajów dąży.

Ma pan liczne kontakty z politykami różnych państw. Co oni mówią o naszym związku z zachodnimi strukturami bezpieczeństwa?

Podkreśla się znaczenie zbieżności interesów. Z moich obserwacji wynika, że najdalej idące zbieżności występują pomiędzy Polską i Niemcami. Polskie dążenie do NATO leży w interesie Niemiec, gdyż nasze członkostwo w Pakcie oznacza zarazem przesunięcie bezpiecznych granic Europy dalej na Wschód. Niezależnie od

intencji partnera, trzeba ten punkt widzenia uznać i umiejętnie skorzystać z niego.

Równocześnie każdy polityk, z którym się rozmawia, rozumie, że Polsce potrzebne są dobre stosunki z Rosją. Dobre stosunki, to znaczy oparte na prostych i jasnych zasadach. Dobre dla obu stron.

Jeśli dobrze życzymy Rosji, to znaczy także, że zważamy na poszanowanie młodej niepodległości państw, które pozbyły się dominacji komunistycznej, zwłaszcza byłych republik ZSRR. Ono bowiem zwiększa szanse demokracji w samej Rosji.

Docenia się interes Polski, aby nie została najdalej wysuniętym na wschód bastionem zachodniego systemu bezpieczeństwa, postrzeganym przez Rosję jako swoista forteca. Każdy wie, że taka rola nigdy nikomu na dobre nie wychodziła. Dlatego wszyscy rozumieją, że Polska powinna być rzecznikiem struktur stabilizujących sytuację w Europie, popierać realizację tego zamiaru poprzez rozszerzenie członkowskie NATO z równoczesnym podpisaniem odpowiedniego układu państw paktu z Rosją. Ocenia się, że Moskwa prowadząca politykę zwróconą zarówno w kierunku atlantyckim, jak i w stronę Pacyfiku będzie zainteresowana w tym, aby zintegrowana z NATO Polska była równocześnie rzecznikiem pokoju europejskiego.

Przewodniczący Zgromadzenia Parlamentarnej Rady Europy, Miguel Martinez, oświadczył w Warszawie, iż wycofanie przez Rosję wojsk z krajów, które nie życzą sobie ich obecności, nie jest warunkiem przyjęcia jej do grona członkowskiego Rady Europy.

Wysoko ceniąc tego polityka, nie akceptuję jednak takiego stanowiska. Wycofanie wojsk musi być warunkiem wstępnym przyjęcia do parlamentu Rady Europy – instytucji krzewiącej wolność, demokrację, wspólne rozwiązywanie problemów społecznych kontynentu i respektowanie praw człowieka. Dziwię się tym politykom polskim i obcym, którzy już chcą układać dla Rosji czerwony chodnik ku podwojom Zgromadzenia Parlamentarne-

go w Strasburgu, nie bacząc na to, z czym wysłannicy Moskwy chcieliby tam wkroczyć.

Czy zechciałby pan skomentować ostatnio głoszoną przez niektórych polskich publicystów tezę częściowego odstąpienia w naszej polityce od zasady niepodległości na rzecz uznania prawa mocarstw do wyznaczania parametrów polityki globalnej? Czy podzielałby pan pogląd, zgodnie z którym za cenę redukcji ambicji niepodległościowych moglibyśmy wygrać jakąś interesującą stawkę rozwoju? Nie można odstępować od zasady niepodległości. Mówię to, zachowując pełną świadomość faktu, iż integracja europejska w pierwszym etapie oznacza, proszę pamiętać, zrzeczenie się pewnej części suwerenności i dobrowolne oddanie niektórych decyzji organom ponadnarodowym. Uważając za słuszne takie zrzeczenia, nie wolno mimochodem godzić się na generalną rezygnację z prymatu niepodległości. Podkreślam więc, chcemy integracji europejskiej właśnie dlatego, że wkrótce zacznie ona podnosić komfort niepodległości.

Skazone buchalteryjnym sposobem myślenia sugestie należałoby skonfrontować z fatalnymi doświadczeniami. Pamiętamy, że była już RWPG, panowała w niej odpowiednia hierarchia, a za to otrzymywało się cały system uprzywilejowanych stosunków z Rosją. Tyle że był to równocześnie system eksploatacji i skwapliwego utrzymywania Polski na dolnym szczeblu rozwoju.

Weźmy teraz inny przykład potężnych Niemiec. Korzystamy z niemieckich inwestycji, współpracujemy. Ale gdybyśmy do relacji z tym sąsiadem wprowadzali element gotowości redukowania aspiracji niepodległościowych, stwarzalibyśmy hegemonowi gospodarczemu pokusę uzyskania hegemonii politycznej.

Sprawy te wiążą się z kwestią dialogu rosyjsko-niemieckiego. Polska nie będzie zainteresowana jakimikolwiek uprzywilejowanymi pertraktacjami tych państw, gdyż zawsze odbywało się to kosztem naszej suwerenności. Zależy nam, aby Niemcy stawały

się w coraz pełniejszym wymiarze członkiem Unii Europejskiej, żeby to właśnie ona prowadziła dialog z Rosją.

Jakie przedsięwzięcia są niezbędne, aby zjednać opinię publiczną i zapewnić dalsze poparcie dla polityki dynamicznego zabiegania o bezpieczeństwo?

W rodzinie polskiej, na szczęście, najczęściej rozmawia się dzisiaj o codziennych sprawach. Kwestie bezpieczeństwa kraju nie są przedmiotem specjalnej troski. Polsce, jak rzadko kiedy w jej historii, nie zagraża bezpośrednia agresja ze wschodu, ani z zachodu. Jeśli są jakieś niebezpieczeństwa, to dotyczą one w równym stopniu całej Europy i świata.

Podkreślmy to: Polska nie znajduje się więc w stanie izolacji, jest w tym nasza niezwykła szansa. Jak wszyscy inni w Europie, stawiamy sobie te same cele: bezpieczeństwo kraju i ludzi, także rodaków na obczyźnie, możliwość spokojnego prowadzenia gospodarki. Niech każdy uzna to za własne, głosi wobec innych, także wobec obcokrajowców. A u siebie – potrzebujemy rozsądnego sprzężenia siły ekonomii, rozumnej polityki i potencjału militarnego. O to się trzeba wspólnie starać.

Interes państwa i narodu

Z prof. Bronisławem Geremkiem rozmawia Jerzy Tepli

Jerzy Tepli: Panie profesorze, pojęcie „racja stanu” w różnych państwach rodzi różne skojarzenia i opinie. Jak, pana zdaniem, należy dziś rozumieć polską rację stanu?

Bronisław Geremek: To bardzo trudne pytanie, ponieważ samo pojęcie racji stanu nie jest do końca zdefiniowane. Pojawia się często jako uzasadnienie odejścia od zasad, od pewnej etyki politycznej. Moim zdaniem racja stanu powinna być pojmowana jako długofalowy interes państwa i narodu. Polska racja stanu określona jest służbą niepodległości Polski, jej interesami gospodarczymi w okresie transformacji postkomunistycznej oraz ochroną interesów Polaków, żyjących poza granicami kraju. Z takiego pojmowania racji wynikają krótkofalowe i doraźne zadania polskiej polityki zagranicznej.

Czy dzisiejsze wyrzeczenia, które w okresie przemian ponoszą Polacy, za cenę tego, by jutro stać się równym w integrującej się Europie, należy rozumieć też jako swego rodzaju rację stanu?

Umacnianie naszej niepodległości jest obecnie naszą racją stanu. Jeżeli Polska będzie ekonomicznie odstawać od Europy Zachodniej, do której przecież cywilizacyjnie przynależymy od tysiąca

lat, może okazać się to niebezpieczne w przyszłości. Niepodległości nie można rozpatrywać w kategoriach politycznej retoryki. We współczesnym świecie o niepodległości i suwerenności danego kraju decyduje stan jego gospodarki. Dla Polski oznacza to, że priorytetowy charakter w naszych działaniach powinno mieć wejście do Unii Europejskiej jako struktury bezpieczeństwa i współpracy gospodarczej oraz uzyskanie tam takiego miejsca, jakie przynależy średniej wielkości krajowi.

Czy Pana zdaniem, panie profesorze, młode pokolenie Polaków właściwie rozumie sens racji stanu?

Dla młodego pokolenia polska racja stanu sprowadza się do dwóch kwestii: do stosunków z Niemcami i z Rosją. Nawet jeżeli jest to zredukowany obraz racji stanu, to intuicja młodzieży jest trafna. Przyszłość Polski zależy bowiem od tego, jak ułożymy sobie stosunki z Niemcami i z Rosją. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów mamy sytuację, w której nasze zbliżenie z Niemcami może stanowić element wejścia Polski do Europy. Niemcy mają świadomość tej historycznej sytuacji. Kanclerz Kohl wielokrotnie powoływał się na testament Konrada Adenauera, w którym kanclerz uważał za priorytetowe zadanie Niemiec pojednanie z Francją, Żydami i Polską. To ostatnie zadanie realizuje się teraz, gdy Polska stała się krajem suwerennym. Ostatnia wizyta prezydenta Niemiec w Polsce była symbolicznym znakiem woli pojednania z Polską, którą wyrażała zarówno prośba o przebaczenie, jak i zapewnienie, że Polska może liczyć na poparcie Niemiec w jej dążeniu do przystąpienia do Unii Europejskiej i NATO. Należąc do pokolenia, które doświadczyła wojna, zachowują jednak pewien niepokój co do rozwoju stosunków polsko-niemieckich. Dostrzegam mianowicie, że czas nie działa na naszą korzyść. Teraz trzeba utrwalić ten przełom w naszych stosunkach. Jeżeli nie wykorzystamy tego momentu, to może powstać niebezpieczeństwo, że młode pokolenie Niemców, niemające poczucia odpowiedzialności za przeszłość, mające natomiast świadomość potęgi

gospodarczej własnego państwa, nie wykaże refleksu moralnego w określeniu swojej polityki europejskiej i polityki wobec Polski. Wydarzenia, które mają niekiedy miejsce za naszą zachodnią granicą, zwłaszcza w byłej NRD, świadczą o tym, że ten niepokój jest uzasadniony. Mam jednak nadzieję, że w stosunkach polsko-niemieckich uda nam się utrwalić pozytywną tendencję i to jest na pewno priorytetowe zadanie polskiej racji stanu.

Nasze stosunki z Rosją są nadal problemem otwartym i złożonym. Niezależnie od konfiguracji granic politycznych, Polska z Rosją sąsiaduje nie tylko przez fakt istnienia obwodu królewieckiego. Jest to wielki kraj, położony blisko nas i to, co tam się dzieje powinno interesować Polskę szczególnie. W momencie rozpadu RWPG i Układu Warszawskiego Rosja uznała kierunek zmian w Polsce. Działania prezydenta Gorbaczowa, a następnie Jelcyna, na rzecz ujawnienia prawdy o Katyniu miały nie tylko symboliczne znaczenie w tym okresie. W świadomości polskiej nadal istnieje poczucie niepokoju o rozwój sytuacji w Rosji. Nadal także stosunki gospodarcze między Polską a Rosją nie mają właściwego wymiaru. Polska obserwuje z niepokojem, gdy w Rosji pojawiają się tendencje neoimperialne, zwłaszcza że wyraża je nie tylko lider ekstremistów Żyrinowski, ale pojawiają się one w polityce oficjalnej państwa. Mimo wszystko w Polsce musi budzić nadzieję szansa demokratycznego rozwoju Rosji. Tak więc z Rosją powinniśmy mieć dobre stosunki na wszystkich płaszczyznach. Trzeba rozwijać stosunki gospodarcze, bo one leżą w interesie obydwu krajów, jak to wyraził premier Czernomyrdin w czasie wizyty polskiej delegacji sejmowej. Wreszcie musimy z nadzieją spoglądać na proces demokratyzacji w Rosji.

Zabierał pan, panie profesorze, głos w Castel Gandolfo na temat przemian w tożsamości narodów, gdzie spotkaniu czołowych intelektualistów przewodniczył papież Jan Paweł II. Czy z obrad tych płyną jakieś wnioski dla podjętego przez nas tematu?

Solidarność krajów Europy Środkowej w procesie transformacji, a zwłaszcza stosunki w Grupie Wyszehradzkiej, mogą być elementem tworzenia ładu europejskiego i właściwego rozumienia procesu poszerzania Unii Europejskiej. Przemawia za tym argument, że Europa Środkowa miała długo wspólną historię, również w naszym stuleciu. Historia nie ma niestety mechanicznej przekładni na świadomość społeczną. Współczesna świadomość narodów Europy Środkowej nie zawiera poczucia potrzeby solidarnego działania. Dotyczy to zarówno społeczeństw, jak i rządów. Europa i świat są przekonane, że konieczne jest zaangażowanie we współpracę regionalną, która dobrze służy tworzeniu nowych struktur ładu europejskiego i międzynarodowego. W tym wszystkim istnieje poczucie priorytetu spraw rosyjskich, co było interesującym elementem dyskusji w Castel Gandolfo. Nie stawiano pytania, czy Polska z innymi krajami Europy Środkowej ma prawo przynależeć do Unii Europejskiej i domagać się wypełnienia zobowiązań Zachodu wobec krajów postkomunistycznych, ale raczej pytanie, czy w interesie naszych krajów leży uczestnictwo w integracji europejskiej i czy Europa i świat są zainteresowane w jak najszybszym wejściu naszych krajów do Unii Europejskiej i do struktur bezpieczeństwa europejskiego. W moim wystąpieniu na tym spotkaniu wyraziłem przekonanie, że powinno to leżeć w interesie Europy i nie można go ograniczać do bilansu kosztów natychmiastowych, gdyż może to grozić gorzkimi doświadczeniami. Miałem tu na myśli nie tylko byłą Jugosławię, lecz także procesy reform w Europie Wschodniej: na Ukrainie, Białorusi i Rosji. Znaczy to, że czas powinien być głównym elementem myślenia politycznego i decyzje powinny zapaść jak najszybciej. Dyskusja prowadziła do wniosku, iż europejska tożsamość krajów Europy Środkowej jest szansą dla świata i realizacja ambicji tych krajów nie powinna pogłębiać frustracji Rosji. Argument obawy przed rozdrażnieniem Rosji określa w tej chwili politykę administracji amerykańskiej i świadczy o jej słabości. Rozumiem to

i sędzę, że istnieje możliwość znalezienia zrozumienia ze strony Rosji dla procesu integracji europejskiej, tak by nie czuła się zagrożona. Będzie to możliwe, gdy Rosja będzie widzieć w procesie integracji europejskiej swoją szansę. Będąca europejskim i azjatyckim mocarstwem, Rosja będzie zainteresowana tworzeniem się stosunków równowagi wewnątrz Europy, które nie będą dla niej zagrożeniem. Konkluzja debaty w Castel Gandolfo brzmi: w świecie współczesnym trzeba szukać instytucji i mechanizmów trwale stabilizujących pokój na świecie.

W kwestii tożsamości narodowej uczestnicy dyskusji wyrazili opinię, że tożsamość narodowa może stanowić zagrożenie, co pokazuje doświadczenie Bałkanów. Reprezentuję pogląd, że tożsamość narodowa nie jest sprzeczna z tożsamością przynależności do struktur ponadnarodowych. Polska czy Węgry wnoszą do świadomości europejskiej przywiązanie do świeżo odzyskanej niepodległości. Nie wyobrażam sobie Europy jako jednego państwa bez świadomości o przynależności narodowej jej obywateli. Sformułowanie de Gaulle'a „Europa ojczyzn” najtrafniej oddaje kształt przyszłej Europy.

Historia nie może przekreślić przyszłości

Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, rozmawia Krzysztof Mazur

Krzysztof Mazur: Panie profesorze, dość często na forum Sejmu padały krytyczne słowa pod adresem MSZ z powodu niewłaściwej polityki wschodniej lub zgoła jej braku. Czy jest konieczność szczególnego traktowania naszych wschodnich sąsiadów?

Bronisław Geremek: Boję się sporu o słowa. Są krytycy kolejnych rządów po 1989 roku, którzy powiadają, że słabością ich był brak polityki wschodniej. I jest zdanie kolejnych ministrów, iż nie ma oddzielnych polityk państwa polskiego zależnych od kierunków świata – mówił o tym minister Bartoszewski w swoim *exposé*. Coś z racji, myślę, jest po jednej i po drugiej stronie. Polityka państwa polskiego musi być jedna i winna służyć optymalizacji naszych szans i minimalizacji zagrożeń. Wszelako z tego punktu widzenia w oczywisty sposób kwestie związane z naszymi wschodnimi sąsiadami mają charakter priorytetowy.

Mamy poczucie przynależności do Europy Zachodniej, chcemy wejść do Unii Europejskiej, ale szanse na to rosną, gdy będziemy mieli dobre stosunki ze Wschodem. Pamiętajmy, iż jest on współcześnie problemem dla całej Europy. Nie wiadomo, w ja-

kim kierunku pójdzie ewolucja wewnętrzna w Rosji, na Ukrainie, Białorusi, a od tego zależy stabilizacja w Europie. Polska może tutaj odegrać rolę szczególną w dwóch płaszczyznach. Po pierwsze, mamy możliwość znacznie szerszego udziału w życiu gospodarczym naszych wschodnich sąsiadów. Po drugie, możemy ustanowić z nimi stabilne stosunki polityczne, których elementem składowym jest między innymi wzajemne uznanie suwerennych praw. Oznacza to, że Polska nie zrezygnuje z nich wobec jakichkolwiek roszczeń płynących ze Wschodu, ale też, że Polska jest zainteresowana, aby kraje sąsiednie realizowały swe reformy gospodarcze i polityczne. Najkrócej mówiąc, każdy kraj chce mieć za sąsiada państwa, które nie są wstrząsane konfliktami wewnętrznymi. Sadzę, że w chwili obecnej taka szansa jest realna.

Przejdźmy do naszych zabiegów o wejście do NATO. Swego czasu – bez żadnej riposty ze strony naszych władz – padło groźne ostrzeżenie, że jeśli Polska zrealizuje ten plan bez aprobaty Rosji, to arsenał nuklearny zgromadzony w obwodzie kaliningradzkim zostanie wycelowany w strategiczne obiekty na terenie Polski.

Przed kilku tygodniami miałem okazję w Moskwie rozmawiać z głównymi architektami rosyjskiej polityki zagranicznej i zadałem to samo pytanie: czy rzeczywiście tak jest? Usłyszałem, żeby nie brać nadmiernie na serio wypowiedzi niektórych generałów lub ministrów, bowiem Rosja nie jest zainteresowana w zwiększaniu napięcia między naszymi krajami. Otóż, nie zmienia to faktu, że w tej chwili większość rosyjskich środowisk politycznych jest przeciwna naszemu wejściu do NATO. Można się zastanawiać na ile jest to zachowanie taktyczne, obliczone na uzyskanie jak największych profitów dla Rosji w zamian za akceptację rozszerzenia Paktu, na ile zaś jest to realna groźba wynikająca z pojmowania takiej ewentualności jako zagrożenia dla jej bezpieczeństwa. Myślę, że trzeba mieć świadomość, że w tej chwili trwa kampania wyborcza w Rosji – po parlamentarnej będzie prezydencka – i z natury rzeczy następuje wyostrenie stano-

wisk. Z tego też względu należy wszystkie wygłaszane deklaracje traktować z pewnym dystansem. Uważam, że nasze wejście do NATO jest możliwe w krótkim czasie i moim zdaniem w niczym to nie zagraża interesom Rosji. Wysuwaliśmy już propozycję, aby rozszerzeniu NATO towarzyszyło zawarcie specjalnych układów między tą strukturą a Rosją oraz Ukrainą – i nie jest to taktyczny krok ze strony Polski. Przecież żaden kraj nie ma ochoty wchodzić do takiego układu politycznego, w którym stałby się forpocztą wystawioną na wszelkie uderzenia. W chwili obecnej Europa ma szansę pokojowego istnienia, jakiej nie miała od stulecia, a NATO nie jest sojuszem antyrosyjskim – jest on sojuszem stabilizacji i integracji europejskiej. Polska ma w nim swe naturalne miejsce, jak ma je w Unii Europejskiej.

Rosja jest wielkim państwem, w tej chwili chorym, ale przecież wyjdzie z tego. Państwo to ma położenie geograficzne oraz ambicje wychodzące poza granice Europy, odnoszące się na pewno do dwóch kontynentów, a więc o skali światowej. Uważam, że uczestnictwo Polski w strukturach integracji europejskiej nie zagraża interesom Rosji i co więcej, sam fakt, że Rosja zdecydowała się uczestniczyć w partnerstwie dla pokoju (w którym współpracuje z NATO), podkreśla to, że NATO nie jest sojuszem antyrosyjskim. Nie ma więc żadnego powodu, aby poszerzenie Paktu Atlantyckiego o Polskę Moskwa mogła postrzegać jako zagrożenie dla siebie.

Jest powiedzenie: „Kiedy politycy mówią o pokoju, trzeba szykować się do wojny”. W Siedlcach kilka lat temu przekazano koszary władzom miejskim, dziś zwrócono je wojsku, którego będzie więcej niż poprzednio. Dlaczego następuje dyslokacja wojsk na wschodnią granicę?

„Jeżeli chce się pokoju, należy szykować się do wojny”... Co to naprawdę znaczy? Chodzi o to, że elementem zapewnienia pokoju jest świadomość wzajemnej siły. Polska jako kraj słaby stanowiłaby pokusę. Co więcej, gdyby Rosja była krajem słabym, to

dla nas też nie byłaby to sytuacja dobra, gdyż słabe mocarstwa uciekają się często do kroków historycznych. Z naszej strony powinno być rozumne traktowanie swego terytorium jako elementu pokoju, traktowanie polskich sił zbrojnych jako wystarczająco silnych, aby nie budzić niedobrych pokus. I wreszcie, skoro już w przysłówiach się obracamy, przypomnijmy jeszcze jedno: „Jeżeli nie chce się łożyć na swoje wojsko, to trzeba łożyć na wojsko okupanta”...

Dyslokacja wojsk musiała nastąpić po 1989 roku, mimo że nowa polska doktryna obronna nie została do końca sformułowana. Potrzebne było stworzenie układu równowagi. Cały system obronny naszego kraju był bowiem nastawiony na obronę granicy zachodniej, a trzeba, żeby wszystkie granice były jednakowo strzeżone. Nie sądzę, aby decyzje te wynikały z poczucia zagrożenia ze Wschodu. Jestem przekonany, jako polityk i jako historyk, iż Polska w chwili obecnej znajduje się w sytuacji, w jakiej w swej długiej narodowej historii znajdowała się rzadko – nie ma w tej chwili zagrożeń, mogących podawać w wątpliwość jej byt państwowy. Jeżeli zagrożenia dostrzega się za wschodnią granicą, to one nie dotyczą Polski, ale całej Europy, a w jakimś sensie także całego świata. Dlatego też chcemy uczestniczyć w światowym łańdździe pokojowym, w strukturach integracji, lecz aby móc w nich uczestniczyć partnersko, musimy mieć dobrze obmyślaną obronę własnego terytorium.

Prezydent Jelcyn w lutym tego roku stwierdził, że największymi zagrożeniami dla sytuacji wewnętrznej w Rosji są ruchy faszystowskie i ekstremistyczne.

Nie lekceważyłbym zjawiska czerwono-brunatnego aliansu pojawiającego się w Rosji, który usiłuje zmienić układ sił. Sądzę, że nie jest groźny Żyrinowski ze swoim programem przekreślenia między innymi niepodległości Polski i Ukrainy, ale fakt, że uzyskał on poparcie co czwartego Rosjanina – to jest groźne. Z drugiej zaś strony, z chłodnej analizy obecnej kampanii wyborczej w Ro-

sji wynika, że ugrupowania tej proveniencji są w mniejszości i w demokratyczny sposób nie są w stanie sięgnąć po władzę. Jeżeli zatem wojsko – będące obok policji politycznej jedyną sprawnie działającą strukturą w kraju, którego struktury państwowe są chore – nie udzieli takim tendencjom poparcia, to groźby nie ma.

Ale wojsko jest labilne, weźmy pod uwagę postępowanie generała Lebedzia i jemu podobnych, z politycznymi ambicjami...

Jest tradycją Rosji, że wojsko było zawsze instrumentem, ale nie było samodzielną siłą polityczną. Oczywiście, zawsze może znaleźć się pod wpływem generałów pragnących robić polityczne kariery, tak jak wymieniony przez pana generał Lebedź lub też ugrupowań ekstremalnych, jednak do tej pory nic nie wskazuje, aby mogły one przejąć władzę w Rosji. Dokonanie tego na drodze demokratycznej wydaje się mało możliwe, ale wykluczone nie jest... I to jest jeden z powodów, dla których nie należy przeceniać strachów, ale należy mieć poczucie własnego bezpieczeństwa, a takie bezpieczeństwo może dać tylko pełne uczestnictwo Polski w strukturach integracji europejskiej.

Na ile jesteśmy w stanie wpływać na politykę zagraniczną wschodnich sąsiadów, głównie Rosji i Ukrainy?

Myślę, że stosunki między naszymi państwami mają kluczowe znaczenie dla regionu i Polski. Stąd formuła o strategicznym partnerstwie Polski i Ukrainy nie jest tylko retoryką polityczną. Ukraina jest dużym krajem mającym wolę niepodległego bytu. Zdołaliśmy w stosunkach bilateralnych przekroczyć pewne niepomyślnie historyczne tradycje wrogości. Przeciwnie do przewidywań niektórych obserwatorów, nasz kraj powitał niepodległość Ukrainy jako pierwszy uznając jego suwerenność. W tej chwili stosunki między nami dają możliwość dobrego rozwoju. Co jest słabością tych stosunków, to przede wszystkim gospodarka. Ukraina jest dopiero u progu reformy ekonomicznej, my jesteśmy w niej znacznie bardziej zaawansowani. Nie zdołaliśmy do tej

pory ustalić takiego rozumnego układu, w którym nasz prywatny sektor, będący podstawowym, potrafiłby współpracować z państwową gospodarką ukraińską. Możliwości są, a trudności wiążą się głównie ze słabością systemu kredytowego. Ukraina nie jest rynkiem pewnym, dlatego trudno zachęcić prywatnych przedsiębiorców do handlowania i inwestowania. Natomiast na płaszczyźnie politycznej Polska udziela Ukrainie poparcia we wszystkich instytucjach międzynarodowych, popieramy jej aspiracje do wejścia do Rady Europy oraz Inicjatywy Środkowoeuropejskiej. Warto przypomnieć, że zainicjowaliśmy utworzenie Forum Polsko-Ukraińskiego, skupiającego polityków, intelektualistów, ludzi biznesu i kultury, które będzie myślało nad tym, jak zbliżyć nasze kraje. Sądzę, że dobry układ naszych stosunków jest kluczowym problemem stabilizacji sytuacji w całym regionie i nie jest to skierowane przeciwko nikomu.

Zapewne na najwyższych szczeblach stosunki między Polską a Ukrainą są oceniane jako dobre, ale na poziomie obywateli jest inaczej. Historia najnowsza kładzie się ponurym cieniem na wzajemnym postrzeganiu się – wspomnijmy choćby o akcji stawiania pomników formacjom UPA, konflikcie na tle religijnym w Przemysłu lub historycznych zachowaniach, towarzyszących festiwalowi ukraińskiemu w tym mieście.

Uważam, że jeżeli chcemy mieć dobre stosunki z Ukrainą, to powinniśmy w pełni szanować prawa ukraińskiej mniejszości w Polsce. Sprawy, o których pan wspomniał, są bolesne. One państwu polskiemu nic dobrego nie robią. Jeden z posłów UW reprezentuje interesy społeczności ukraińskiej i myślimy, że jest to także sposób na wytwarzanie właściwych stosunków z tym wielkim krajem będącym naszych sąsiadem. Nie jest tak, że nie doceniam konfliktów dotyczących mniejszości ukraińskiej w Polsce, powiadam tylko, że szczęśliwie nie rzutują one na stosunek władz ukraińskich do polskiej mniejszości oraz na relacje między naszymi krajami.

Jeżeli spojrzymy na historię polsko-ukraińską, to nie sposób nie zauważyć rzezi i krwi. Z takiej historycznej nienawiści mogłyby płynąć konsekwencje uniemożliwiające dobre relacje między dwoma suwerennymi państwami. Tak się jednak nie stało.

Czy uważa pan, że nadeszła już pora na polsko-ukraińskie „spotkanie w Krzyżowej”, na wzajemne wybaczenie win?

Próbowałem w 1989 roku doprowadzić do takiej „Krzyżowej”. Pierwsze spotkanie miało miejsce u progu polskiej niepodległości z przedstawicielstwem ukraińskim. Było tam wielu starych łagierników, którzy potem zostali przywódcami narodowymi. Wtedy było rzeczą znamioną, że z antypolskim nastawieniem można było się spotkać w najmłodszym pokoleniu ukraińskim. Obolałości po polskiej stronie w sprawach ukraińskich nie przekreślił się żadnym przemówieniem, bo jest to historia rodzin polskich. Ukraińcy powiadają, że jest to także historia rodzin ukraińskich... Na to jest tylko jedna odpowiedź, właśnie w duchu Krzyżowej – przebaczyć i prosić o przebaczenie. To jest to, co zapoczątkowane w stosunku do Niemiec, zaowocowało tym, że mamy z krajem będącym w przeszłości symbolem wrogości do Polski, najlepsze stosunki w Europie. Jest taka szansa wobec Ukrainy, jeśli będziemy potrafili zastosować te samą zasadę i filozofię. Bo co tu można powiedzieć... „Akcja Wisła” nie miała żadnego uzasadnienia i była pogwałceniem prawa. Mordów polskich rodzin przez UPA też nie zapominamy, ale trzeba umieć zamknąć ten rozdział historii i spróbować budować politykę bez ciągłego przypominania przeszłości. Nic nie zapomnieć, ale żeby historia nie przekreśliła przyszłości.

Niektóre kręgi polityczne wzbudzają niepokój u naszych wschodnich sąsiadów chęcią zrealizowania koncepcji „międzymorza”. Jeden z liderów nacjonalistycznych, Baburina, zarzuca Polsce chęć dokonania rewizji granic...

Uważam, że nie należy sięgać do żadnych upiórów przeszłości, gdy się chce budować przyszłość. Z koncepcją „międzymorza” –

słusznie czy nie – związana jest idea dążenia Polski do hegemonii i dlatego jestem przekonany, że nie służy to polskiemu interesowi wytworzenia nowych stosunków w naszym regionie. Przewodujemy w nim gospodarczo i byłoby bardzo niedobrze, gdyby nasza próba nawiązania partnerskich relacji z sąsiadami była rozumiana jako próba określenia się jako hegemon. Polsce to nie jest potrzebne, a koncepcje te najlepiej wrzucić do lamusa historii. Co jest ważne w tej koncepcji? To, że Polska nie może zamykać się wobec swoich najbliższych sąsiadów i nie może być zapatrzona tylko na Zachód. Musimy myśleć o swojej roli w stosunku do Europy Wschodniej.

Znaki intencji

Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym
sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, rozmawia
Jarosław Giziński

Jarosław Giziński: We wrześniu powiedział pan, że wokół polskiej polityki zagranicznej zarysowuje się konflikt „mogący wystawić na próbę obecny stan zgody”. Jakie zagrożenia miał pan na myśli?

Bronisław Geremek: Chciałbym zaznaczyć, że w kwestii priorytetów polskiej polityki zagranicznej mimo wszystko istnieje stan zgody, co zaliczam do najpoważniejszych osiągnięć po 1989 roku. Należy pamiętać, że konsensus został utrzymany, mimo że w tym czasie mieliśmy różnych prezydentów, różne rządy i dość złożoną sytuację polityczną. To piękny dowód istnienia rozumnego układu politycznego. W ostatnich miesiącach pojawiły się jednak pewne zjawiska osłabiające ten układ.

Rada Polityki Zagranicznej, której jest pan członkiem, poddaje krytyce deklaracje obecnego rządu, twierdzącego, że polityka zagraniczna kontynuowana jest bez większych zmian.

Dokument Rady Polityki Zagranicznej jest wstępną diagnozą pojawiających się zagrożeń. Nie są to oczywiście zjawiska nowe. Nie możemy przecież zapominać, że do końca 1993 roku politycy SLD byli przeciwni wejściu Polski do NATO, co więcej – występowali o rozwiązanie Paktu Północnoatlantyckiego, podob-

nie jak Układu Warszawskiego. Proponowano stworzenie nowej struktury bezpieczeństwa, używając przy tym języka znanego z działań dyplomacji najpierw radzieckiej, a potem rosyjskiej. Sytuacja ta zmieniła się dopiero podczas kampanii wyborczej 1993 roku. Również później pojawiały się dość niepokojące propozycje, jak choćby stworzenia „trójkąta warszawskiego” z udziałem trójki uprzywilejowanych rozmówców – Rosji, Niemiec i Polski. Kiedy z kolei usłyszałem o „trójkącie brzeskim”, pomyślałem, że chodzi o jakiś słowny żart. Fakty te rzucały oczywiście cień na zgodę w kwestii priorytetów polskiej polityki zagranicznej, nigdy jednak nie wystąpiły zjawiska mogące wywołać naprawdę głębokie zaniepokojenie, mimo że w obecnym układzie zarówno urząd prezydenta, jak i rząd znalazły się w rękach jednej partii.

Niejasności pojawiają się także w kwestii naszej polityki wobec wschodnich sąsiadów Polski. Podejmowane są np. próby, by w interesie rozwoju polsko-rosyjskich kontaktów gospodarczych poświęcać zasadnicze priorytety polityki zagranicznej. Chciałbym być dobrze zrozumiany: jestem zdecydowanym zwolennikiem dobrych stosunków politycznych z Rosją. Mamy też tradycyjne powiązania gospodarcze i nie ma powodu, by je zrywać, ale musi się to odbywać z poszanowaniem naszego interesu narodowego.

Co spowodowało, że w polityce Rosji wobec Polski nastąpił nagły zwrot, który objawił się podczas niedawnej wizyty premiera Cimoszewicza w Moskwie?

Wizyta polskiego premiera była świadectwem, że nasze stosunki się normalizują. Polityką nie rządzą sentymenty, lecz interesy. Nie wydaje się, by Rosja zmieniła swoje stanowisko w sprawie rozszerzenia NATO, ale już, że nie jest go w stanie zablokować, dlatego będzie dążyć do wytworzenia sytuacji umożliwiającej jej zachowanie współdecydującej roli. Spokojna analiza sytuacji w Rosji wskazuje, że nadal jest to supermocarstwo, chociaż chore. W interesie wszystkich – a zwłaszcza krajów naszego regionu – jest, by Rosja miała swoje miejsce w architekturze bezpieczeń-

stwa europejskiego, ale nie może to pozostawać w sprzeczności z interesami Polski i interesem bezpieczeństwa całego kontynentu.

Czy zatem szybkie otwarcie wschodnich granic dla ruchu bezwizowego jest dla Polski korzystne? Czy – poza zagrożeniami wewnętrznymi – szybka liberalizacja ruchu granicznego nie stanie się kolejnym powodem przedłużenia rozmów na temat naszej integracji z instytucjami Zachodu?

Kolejne rządy po 1989 roku dążyły do tego, by granice Polski były jak najbardziej otwarte. Dążeniom do ich zamykania przeciwstawiła się zarówno Unia Demokratyczna, jak i później Unia Wolności, bowiem we współczesną politykę europejską wpisane jest otwarcie gospodarcze i polityczne wszystkich państw. Nie może to być jednak sprzeczne z priorytetem naszej polityki zagranicznej, jakim jest wejście do NATO i Unii Europejskiej. Podejmowanie sprawy ruchu bezwizowego bez umowy o readmisji byłoby sprzeczne z interesem Polski. Wyrażam satysfakcję, że premier Cimoszewicz tak właśnie tę sprawę przedstawiał. Mam jednak wątpliwości, czy takie decyzje powinny być podejmowane bez konsultacji – przede wszystkim z parlamentem.

Horrendalna sytuacja na wschodnich przejściach granicznych zdaje się wskazywać, że nawet technicznie nie jesteśmy przygotowani do wprowadzenia w życie takiej umowy.

To prawda. Jeżeli więc spojrzymy na sytuację na granicy i nasze przygotowanie, musimy się także zastanowić, jaka będzie reakcja krajów UE, NATO i Grupy Schengen. Ambicją Polski powinno być wejście do grupy – w interesie naszych obywateli, którzy chcieliby być traktowani tak samo jak Niemcy, Francuzi czy Belgowie. W tej sytuacji uważam, że rząd Polski powinien jeszcze przed rozmowami z Rosją uzyskać opinię Grupy Schengen. Wyrażam pewne zaniepokojenie, nie chcę jednak dramatyzować. Usunięcie powodów do niepokoju jest możliwe, wymaga to jednak jednoznacznych działań rządu.

W ciągu kilku miesięcy pojawiły się także inne sygnały o niedostatecznej wymianie informacji pomiędzy instytucjami rządowymi a kierowaną przez pana Komisją Spraw Zagranicznych Sejmu. Na przykład kilka dni temu nie został pan poinformowany o stanowisku delegacji polskiej podczas głosowania w ONZ. Czy to przejaw konfliktu?

Ubolewam nad pogorszeniem się komunikacji pomiędzy rządem, Kancelarią Prezydenta RP a parlamentem w sprawach polityki zagranicznej. Dla wszystkich powinno być ważne utrzymanie jak najlepszego układu, bowiem właśnie on stwarza szansę kontynuowania zgody wokół głównych celów polityki zagranicznej. Sądzę również, że innym istotnym problemem polskiej polityki zagranicznej jest to, by miała ona odniesienie społeczne, bowiem polityki zagranicznej we współczesnym świecie nie tworzy się tylko w gabinetach. Właśnie parlament może być pośrednikiem między władzą wykonawczą a opinią publiczną. Poprzednicy ministra Rosatiego doskonale to wykorzystywali i myślę, że on także będzie to czynił. Nie należy się jednak ograniczać do odbywającej się raz w roku debaty o polityce zagranicznej.

Opozycja zarzuca Ministerstwu Spraw Zagranicznych niewłaściwe decyzje kadrowe, wskazując na powrót „starych kadr”. W jakim stopniu zjawisko to może wpłynąć na sposób prowadzenia polskiej polityki zagranicznej?

To pytanie ważne i dla mnie bardzo trudne. Występuję w dwóch rolach. Jako przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych staram się dbać, by konsensus wokół polityki zagranicznej dotyczył także polityki kadrowej resortu. Uważałem zawsze, że ambasadorowie są przedstawicielami państwa polskiego a nie żadnej racji politycznej czy ugrupowania. Jednocześnie, nie mówię tego bynajmniej ze względu na moje usytuowanie opozycyjne, niepokój wywołuje fakt, że w polityce kadrowej ostatnich miesięcy nie obserwuję już przestrzegania zasady, którą skutecznie stosowali poprzednicy obecnego ministra. Myślę o zasadzie uczciwości,

kompetencji obywatelskich i możliwości reprezentowania interesu niepodległej Rzeczypospolitej. Niektóre nominacje ostatniego okresu stanowią powrót do metod, które – jak sądziłem – zostały przekreślone raz na zawsze. Następuje partyjny podział stanowisk i pojawiają się praktyki „partyjnych rekomendacji”.

Co sądzi pan o kuluarowych pogłoskach sugerujących, że stanowisko Jana Bieleckiego przy EBOR mógłby objąć Józef Oleksy?

Nie chcę się wypowiadać na temat pogłosek i wołę pozostawać przy faktach, które znam. To wystarczy, by powiedzieć, że na coraz większą skalę prowadzona jest polityka nominacji partyjnych obecnego układu rządzącego. Jako członek opozycji mógłbym powiedzieć: cóż, po wygranych wyborach wszystkich przedstawicieli jednego układu politycznego zastąpią reprezentanci drugiej strony. Nie jestem jednak w stanie uznać takiego „partyjnego” sposobu myślenia. Stale uważam, że nadrzędny jest interes państwa, który wymaga kontynuacji. Jeżeli mówię o niepokoju, to dlatego, że obecna polityka kadrowa stwarza zagrożenie zarówno dla kontynuacji polityki zagranicznej, jak i dla wizerunku Polski poza jej granicami.

Czy w czasie ostatnich spotkań z zagranicznymi politykami wyczuł pan może tony świadczące, że pańscy rozmówcy mogą mieć w związku z tym wątpliwości?

W sprawach polityki kadrowej pojawiają się głosy krytyczne ze strony naszych zachodnich partnerów, a także środowisk polonijnych. Myślę o tym z niepokojem. Mimo wszystko chcę podkreślić, że w ostatnim roku, kiedy i prezydent, i układ rządowy reprezentują ten sam kolor polityczny, nie było żadnych wydarzeń na tyle negatywnych, by wyraźnie zaciążyły na wizerunku Polski. Większość zagranicznych podróży prezydenta umacnia pozytywny obraz naszego kraju. Polityka zagraniczna rządu premiera Cimoszewicza również potwierdza jasną orientację Polski, niepodlegającą zmianom w zależności od koniunktur. Z tym więk-

szym niepokojem myślę o tym, że w bardzo prostej dziedzinie, która tylko od nas zależy, możemy sobie zaszkodzić. W dziedzinie polityki kadrowej dajemy pewne znaki intencji. Szkoda, że są one czasem niejednoznaczne.

VII
W stronę Europy i NATO



„Ideę europejską najlepiej wzmacnia i wiąże poziom normalnego życia ludzi. Marzenie zaś zawsze wyrasta z doświadczenia”.

Na lewo od Europy

Z prof. Bronisławem Geremekiem rozmawia
Jacek Pałasiński

Jacek Pałasiński: W pierwszej połowie lutego odbyło się w Rzymie sympozjum naukowe poświęcone perspektywom europejskiej lewicy. W debacie uczestniczyli m.in. znany politolog Ralf Dahrendorf, przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu RP, minister spraw zagranicznych Włoch, Gianni De Michelis oraz Giorgio Napolitano – przywódca frakcji *ewolucyjnej* byłej Włoskiej Partii Komunistycznej, która ostatnio przemianowała się na Demokratyczną Partię Lewicy. Zainteresowani zacierali ręce: spotykają się przecież najciekawsze umysły polityczne Europy: Ralf Dahrendorf i Bronisław Geremek. Czy takie *rendez-vous* przypomina zderzenie *icebergów*?

Bronisław Geremek: Czuję się skrępowany po tym wstępie, bo nie wystarczy przyznać się do tego umysłu politycznego. Trzeba potem zdać z niego egzamin. A kto z nas zdoła go zdać? Rzekniesz, zainteresowanie Ralfa Dahrendorfa zmianami, które następują w Europie Środkowej, jest niezwykle baczne, a i ja sam kronikę mojej z nim przyjaźni odnotowuję bardzo uważnie.

Po obecnym sympozjum rzymskim, poświęconym przyszłości lewicy, zauważyłem że zmieniły się tony naszej konwersacji, zamieniliśmy się rolami. To ja, jak dotąd, bardzo często wspominałem o zagrożeniach, jakie stoją na drodze demokratyzacji Europy

Środkowej: populizm, demagogia, nacjonalizmy, konflikty wokół mniejszości narodowych. Dahrendorf zaś deklarował zawsze bardzo wiele sympatii wobec zachodzących w naszym regionie procesów.

I oto w jego ostatniej książce pojawia się stwierdzenie, że Europa Środkowa stoi przed zagrożeniem *łagodnego faszyzmu*, nie w rodzaju hitlerowskiego nazizmu, lecz takiego, jaki stworzyli Franco czy Salazar. I to ja muszę mu udowodniać, że podobne zagrożenie w rzeczywistości nie istnieje, że jeśli my mówimy o takich zagrożeniach to po to, by narodziny takich zjawisk uchwycone zostały w zarodku, oświetlone. Gdy się je opisuje i nazywa, to jest się w stanie nie tylko z nimi walczyć, ale wręcz je zwalczać.

Jestem przekonany, że w tej chwili głównym problemem, jakiemu muszą stawić czoła nasze społeczeństwa, jest określenie stosunków pomiędzy rządzącymi a rządzonymi.

Kryzys polski, załamanie się popularności rządu Mazowieckiego, ton kampanii wyborczej, wynikały w ogromnej mierze z przegrody, jaka wystąpiła między społeczeństwem a rządem, między władzą a rządzonymi.

Społeczeństwa obywatelskiego nie można dekretować. Ale możemy wpływać na nie poprzez niezależne struktury społeczne: środki masowego komunikowania się, fundacje, partie polityczne. I właśnie stosunki rządzących z rządzonymi stanowią główne pytanie, które pozostało otwarte w dialogu pomiędzy Dahrendorfem a mną.

Panie profesorze, czy marsz ku Europie nie jest działalnością z lekka abstrakcyjną? Czy obierając ten kierunek jesteście realistami? Czy nie staniemy się Europie kulą u nogi? Czy nie istnieje owa „luka cywilizacyjna” pomiędzy nimi a nami, a której pisało niedawno „Po prostu”?

Możemy się stać kulą u nogi Europy, dlatego że jesteśmy regionem zapóźnionym. Przynosimy Europie problemy, z których ona już się dawno wyzwoliła. Znowu Bośnia i Hercegowina, znowu

Sarajewo... Europie, kiedy będzie analizowała nasz akces, może łatwo przyjść na myśl, że idzie do tyłu. To jest nasz wielki problem. Musimy udowodnić, że potrafimy sobie z tym poradzić.

Jednym z takich środków zaradczych są prace nad statusem mniejszości narodowych, prowadzone w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech.

Ale wszystkie najgorsze niebezpieczeństwa sprowadzają się do problemów gospodarczych. W gruncie rzeczy przyszłość demokracji w Polsce też zależy od powodzenia przemian gospodarczych, bo wszelkie te demagogie, populizmy, żerują na biedzie.

I w tej dziedzinie Europa może ukazać Polsce i jej sąsiadom perspektywy, nadzieje na przyszłość, wizję zjednoczenia europejskiego. Tendencje paneuropeistyczne są najlepszym lekarstwem na wszelkie nacjonalizmy. Oczywiście Europa może pomóc naszym krajom w wytwarzaniu infrastruktury gospodarki rynkowej, prywatyzacji, przywracaniu zasad wolnej gospodarki rynkowej, ale także w formułowaniu polityki społecznej. Nie wystarczy mieć rację: nie wystarczy powiedzieć, że idziemy w dobrym kierunku – trzeba do tego przekonać ludzi.

Podam przykład: za kluczowy nasz problem uważam gospodarke mieszkaniową. W sytuacji, gdy stopa procentowa sięga siedemdziesięciu procent, nie ma w ogóle żadnej szansy wyjścia z tego straszliwego kryzysu. Jednakże jest możliwość, żeby zaplecze kredytowe Europy wytworzyło warunki dla oprocentowań rzędu dwunastu, piętnastu procent. I to by natychmiast zmieniło sytuację.

To, co się dzieje w Europie Środkowej, jest szansą dla całego kontynentu. I Zachód zaczyna sobie z tego coraz lepiej zdawać sprawę.

Lecz brak jednolitej strategii wobec wyzwolonych z komunizmu krajów jest groźny dla nas, i dla nich. Choćby dlatego, że nad wszystkimi ciąży ta wielka niewiadoma, jaką jest przyszłość Związku Radzieckiego.

Jednym z celów sympozjum, w którym brał pan udział, było określenie przyszłości lewicy europejskiej. Wiemy, czym ta lewica była; nie bardzo wiemy, czym jest obecnie. A już zupełnie nie mamy pojęcia, czym się stanie w bliższej i dalszej przyszłości. Jak pan ocenia perspektywy istnienia i funkcjonowania lewicy w Europie?

Właśnie. Z rzymskiego spotkania wynika wniosek, że odpowiedź na to pytanie jest całkowicie otwarta. Europejska lewica jest zagubiona. Nie dała sobie jeszcze rady z dziedzictwem i klęską komunizmu. A moim zdaniem właśnie lewica, bardziej niż jakakolwiek orientacja polityczna, powinna skonsumować rozpad komunizmu. Wykazać, jakie były źródła komunizmu jako schorzenia.

Podczas sympozjum wynikło jasno, jak wiele jest jeszcze w tej dziedzinie do zrobienia, jak wiele jest nieporozumień, zafałszowań. Jeśli lewica chce wejść w wiek XXI jako twór żywy i z perspektywami, to musi przede wszystkim dokonać rozrachunku za wiek XX.

Nadal z lewicą wiąże się jednak nadzieję, że stanie się remedium na nowe barbarzyństwo, które zdaje się brać górę nad polityką, gospodarką, życiem społecznym, kulturą. I to nie tylko w dziedzinie gospodarczej, bo w niej, jak zwykle, istnieje wiele fermentów, ale właśnie w społecznej deontologii.

Zobaczmy. Dramatem i paradoksem jest fakt, że wołanie o nową etykę wychodzi od społeczeństw postkomunistycznych. Od Giorgio Napolitano, przywódcy nurtu *socjaldemokratycznego* w partii, która do niedawna nazywała się komunistyczną, a obecnie Demokratyczną Partią Lewicy, wyszła idea zjednoczonej europejskiej lewicy. Wiąże się to z ogromnym osamotnieniem, w jakim znajduje się lewica postkomunistyczna. Otacza ją wielka nieufność.

Jeżeli mogły powstać takie zjawiska jak komunizm, które były dokładnym zaprzeczeniem ideałów lewicy, formujących się wokół wolności, to nie wystarczy powiedzieć, że komunizm nie ma

nic wspólnego z lewicą. Trzeba powiedzieć, jak to było możliwe. Jak doszło do zauroczenia się ideą komunizmu ogromnej części intelektualistów.

Trudno mówić o roli lewicy w procesie integracji europejskiej. Wytwarza ona nowe zagrożenia, które niełatwo wyjaśnić w kategoriach lewica–prawica. Bo jak na przykład wytłumaczyć zjawiska włoskich *lig*, których program opiera się na skrajnym regionalizmie, przypominającym rasizm? Ten rodzaj regionalizmu stoi w sprzeczności z podstawowymi wartościami tradycji europejskiej. Jak z takim zjawiskiem, wcale nie marginesowym, podchodzić do integracji kontynentalnej?

Z zupełnie innych pozycji wychodzą zwolennicy *Europy regionów*, przeciwieństwa *Europy ojczyzn*. Regiony, niezależne od przynależności państwowej jednostki jednolite etnicznie, geograficznie i kulturowo, miałyby stać – ich zdaniem – u podstaw większej całości, jaką ma być zjednoczona Europa. Jest to jeden z terenów, na którym lewica europejska może odnaleźć świat swoich wartości i programów.

Ale ja w dalszym ciągu uważam, że całe europejskie spektrum polityczne nie wyszło z fazy pytań. I dlatego nie byłbym w stanie uczciwie powiedzieć, czy rzeczywiście istnieje jeszcze perspektywa odrodzenia europejskiej lewicy i systemu jej wartości.

Wrota Europy

Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym
sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, rozmawiają
Jarosław Giziński i Roman Strzemiecki

Jarosław Giziński, Roman Strzemiecki: Czy fiasko spotkania KBWE w Budapeszcie oznacza również porażkę Rosji w dążeniu do odzyskania pozycji Związku Radzieckiego i nieudaną próbę reanimowania konferencji helsińskiej?

Bronisław Geremek: Myślę, że przesadne są oceny, które mówią o fiasku konferencji w Budapeszcie. Wypowiedzi te dziwią mnie zwłaszcza ze strony dziennikarzy polskich. Uważam bowiem, że groźny dla Polski i Europy byłby „sukces” konferencji w Budapeszcie. Przyniósłby on Rosjanom prawo weta w organizacji, która mogłaby się stać podstawową strukturą bezpieczeństwa europejskiego. Groziłoby to blokadą wszystkich decyzji dotyczących polityki międzynarodowej. Tak się nie stało. Sądzę, że to jest rzeczywisty sukces tej konferencji nawet dla samej Rosji, bowiem realizacja pierwotnego scenariusza oznaczałaby wzmocnienie tendencji neoimperialnej w Moskwie.

Trudno natomiast nie ocenić negatywnie tego, że KBWE nie była w stanie zająć stanowiska w dwóch sprawach, które mają znaczenie dla przyszłości kontynentu: po pierwsze – w kwestii Bośni, która jest wielkim wstydem Europy, po drugie – w sprawie wypracowania pewnej filozofii działań w zakresie bezpieczeństwa europejskiego.

Czy „zimnowojenny” ton Jelcyna jest wystarczająco silnym ostrzeżeniem dla Zachodu?

Mam taką nadzieję. Przebieg konferencji budapeszteńskiej, wbrew intencjom rosyjskim, uczynił bardziej realnymi polskie oczekiwania związane z wejściem do struktur bezpieczeństwa europejskiego. Co więcej, myślę, że niemożność ustalenia zasad przyszłego działania KBWE wzmacnia przekonanie, że jedyną efektywną strukturą bezpieczeństwa europejskiego jest NATO. Pytanie główne brzmi teraz: co dalej? Sądzę, że jakiegokolwiek myślenie o sytuacji europejskiej, która nie uwzględniałaby znaczenia Rosji, byłoby dla Europy niedobłą rzeczą. Dlatego po konferencji budapeszteńskiej coraz poważniejszy staje się problem powiązania rozszerzenia NATO z rozumnym dialogiem między NATO a Rosją.

Wśród państw NATO rzecznikiem naszego członkostwa w organizacji były tradycyjnie Niemcy, ale podczas niedawnego posiedzenia Rady Ministerialnej NATO w Brukseli okazało się, że opowiadają się za tym także Amerykanie. Co spowodowało taką zmianę?

Coś istotnego dokonało się w polityce prezydenta Clintona. Przez rok podkreślano, że rzeczą najważniejszą jest podtrzymanie Borysa Jelcyna w jego trudnych bojach z opozycją wewnętrzną, teraz górę wzięły racje polityczne – wspierać należy nie konkretnego polityka, lecz program. Przecież jest paradoksem, że właśnie w oświadczeniach czołowych przedstawicieli rosyjskiej polityki pojawiły się akcenty, które zwykliśmy wiązać z folklorem politycznym. Podobne akcenty w ustach prezydenta Jelcyna są groźniejsze niż w wypowiedziach Żyrinowskiego. Biały Dom to zrozumiał, co jest faktem niezwykle pozytywnym.

Niemcy w sposób najdalej idący udzielali poparcia polskim aspiracjom. Potem niespodziewanie pojawiła się niejednoznaczność stanowiska. Może ona być związana z dialogiem francusko-niemieckim i stanowiskiem Francji. Może być także związana z przekonaniem, iż dla Niemiec głównym partnerem w Europie pozostaje Rosja.

Czy nie jest to skutek pojawiających się wewnątrz UE wątpliwości co do tempa, głębokości i zasięgu integracji?

Nie sądzę. Traktat z Maastricht dotyczy dwóch płaszczyzn. Jedną jest unia gospodarcza, drugą unia polityczna, której wyrazem ma być wspólna polityka zagraniczna i wspólna polityka bezpieczeństwa. W obu tych dziedzinach debata europejska trwa. W kwestii wejścia Polski i niektórych naszych sąsiadów do struktur europejskich wiele zależy też od nas samych. Nie jest tak, że niepokoje pojawiają się tylko z powodu zmiennych koniunktur w postawach polityków niemieckich, francuskich czy brytyjskich, są także różne koniunktury w Polsce. Musimy mieć świadomość, że polityka zagraniczna jest przedłużeniem polityki wewnętrznej, a wizerunek polskiej gospodarki jest naszym największym argumentem „za” albo „przeciw” przyspieszonemu wejściu do struktur europejskich. Argumentem negatywnym może się stać np. spór polityczny wokół MON. Niedobrze też, gdy w polskiej polityce zagranicznej pojawiają się nostalgiczne prorosyjskie, które wcale nie odpowiadają interesom realnego zbliżenia między Polską a Rosją.

Jakie to nostalgije?

Takie jak projekty trójkąta Warszawa-Bonn-Moskwa. Oznaczałoby to, że to na polskich plecach miałby się odbywać uprzywilejowany dialog między Rosją a Niemcami. Jeżeli niektóre partie polityczne wysuwają takie właśnie projekty, to trzeba mieć świadomość, że jest to także element strategii europejskiej.

Nawiązuje pan do wypowiedzi niektórych polityków SLD?

Tak.

Czy przejęcie władzy przez ugrupowania postkomunistyczne zmieniło naszą sytuację wobec Zachodu?

Powstało bardzo istotne pytanie: czy rozdział komunizmu w Polsce jest jednoznacznie zamknięty? Kto myśli, że to nam przynosi dobre owoce, ten się myli.

Jak pan ocenia zmiany w międzynarodowej sytuacji Polski, jakie zaszły w ciągu minionego roku, między spotkaniem w Pradze i spotkaniem w Essen?

Bilans jest nadal niepewny. Fakt, że w Essen Polska nie wystąpiła jako samodzielny podmiot uczestniczący w debacie o przyszłości UE, nie wystawia Unii dobrego świadectwa. Jeśli porównamy stanowisko amerykańskie w czasie pobytu prezydenta Clintona w Pradze ze stanowiskiem wyrażonym przez niego w Budapeszcie, to pozytywna – z punktu widzenia Polski – zmiana jest widoczna. Z dużym niepokojem obserwuję natomiast, jak we wpływowych środowiskach amerykańskiej opinii publicznej pojawiają się co pewien czas głosy Polsce nieprzychylnie. Sądzę jednak, że górę weźmie przekonanie, iż zarówno Stany Zjednoczone, jak i Europa powinny być zainteresowane jak najszybszym przyjęciem krajów Grupy Wyszehradzkiej do struktur NATO.

Nasze nadzieje na przyjęcie do NATO ożywiły się po oddaleniu sprzeciwu Rosji, ale nie zmienia to naszego położenia na mapie. Jak w tej sytuacji powinniśmy układać nasze stosunki z Moskwą?

To jest dzisiaj jedno z kluczowych zagadnień. Uważam, że Polska potrzebuje dobrych stosunków z Rosją. Kiedy przed niespełna rokiem byłem w Moskwie, odczuwałem satysfakcję, gdy strona rosyjska deklarowała, że zależy jej na dobrych stosunkach z Polską. Ale za słowami nie poszły czyny.

Co dla Rosji oznaczają dobre stosunki z Polską?

Dla Rosjan dobre stosunki z Polską to dobre stosunki gospodarcze. Dla Polski dobre kontakty z Rosją oznaczają ponadto poszanowanie polskiej suwerenności. Tym, co przeszkadza rozwojowi stosunków polsko-rosyjskich, jest brak woli politycznej po stronie rosyjskiej. Sądziłem, że Rosja będzie znacznie bardziej zainteresowana taką transformacją struktury NATO, która byłaby dla niej korzystna. Dla Rosji istnienie NATO, jako struktury z czasów „zimnej wojny”, jest niepokojące. Ale Rosjanie nie dostrzegli,

że wejście Polski do NATO wcale nie przesuwu granicy obozów wojskowych nad Bug. Lecz niesie z sobą zmianę struktury i zmienia sens Paktu Północnoatlantyckiego.

Dlaczego w takim razie nie chcą tego dostrzec?

Ze strony Rosjan dostrzegam nie złą wolę, ale postimperialne frustracje. Kiedy Rosja mówi o sferze wpływów, ubiera to w różne sformułowania. Mówi o sferze interesów, o bliskiej zagranicy. W każdym z tych wypadków pozostaje pewna nostalgia po sytuacji wytworzonej przez Jałtę. Rosja także nie jest pewna wpływu, jaki wywrze ten nowy układ – w którym Polska wchodzi do NATO i do struktur zintegrowanej Europy – na byłe republiki radzieckie. Ale przede wszystkim mam odczucie, że często uruchamiamy samonapędzające się mechanizmy niechęci z jednej i z drugiej strony. Trzeba czasem umieć podjąć wysiłek dostrzeżenia dobrych intencji także z drugiej strony. Nawet jeżeli stanowisko prezentowane przez ministra Kozyriewa w Brukseli czy przez prezydenta Jelcyna w Budapeszcie może się wydawać stanowiskiem neoimperialnym, jestem skłonny uznać, że Rosja uczy się zachowania w nowej sytuacji. Jeżeli się okaże, że groźby i szantaż są nieskuteczne, to pojawi się wola współpracy.

Znajdujemy się w okresie poszukiwania politycznej tożsamości Europy, z której określeniem wciąż są poważne problemy. Jaki model Europy byłby w przyszłości najbardziej pożądanym z punktu widzenia Polski?

Polska powinna być zainteresowana tym, by wchodzić do struktur mocnych a nie dekoracyjnych. I dlatego jest rzeczą istotną, ażeby Unia Europejska, której członkiem chce być Polska, była organizmem mającym wspólną politykę gospodarczą i wspólną politykę bezpieczeństwa, a także organizmem, w którym struktura procesów decyzyjnych będzie jasna. Powinniśmy też mieć świadomość, że poniesiemy pewne koszty, związane z samodzielnością podejmowania decyzji. Ale taki jest współczesny świat. Już

dzisiaj liczymy się z decyzjami Banku Światowego, Międzynarodowego Funduszu Walutowego, liczymy się ze zdaniem inwestorów obcych i obcych konsumentów. Mądrość narodu wyraża się w umiejętności takiego przystosowania się do warunków, aby jak najlepiej realizować własne interesy.

Gdzie znajduje się dzisiaj główny ośrodek koordynacji polskiej polityki zagranicznej? Można odnieść wrażenie, że poczynania „prezydenckiego” MSZ i URM nie zawsze z sobą współgrają. Z kolei pan, jako przewodniczący sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, jest przedstawicielem opozycji. Czy nie stwarza to sytuacji konfliktowej w dziedzinie stanowiącej nasze „okno na świat”?

Sądzę, że w polskiej polityce zagranicznej od 1989 roku istniał daleko idący układ zgody. Główne orientacje tej polityki były akceptowane przez wszystkie lub prawie wszystkie partie polityczne. W takiej sytuacji nie jest problemem przynależność partyjna. Problemy powstają, gdy załamuje się układ zgody dotyczący generalnych kierunków polityki zagranicznej. Choćby wówczas, gdy w Komisji Spraw Zagranicznych pracuje podkomisja ds. kadr i pojawiają się propozycje przywrócenia struktur nomenklaturowych w resorcie spraw zagranicznych.

Wymogiem skutecznej polityki zagranicznej jest pełna koordynacja działań, a wymagać jej można wtedy, kiedy jednocześnie powierza się odpowiedzialność. Za politykę zagraniczną powinien być odpowiedzialny minister spraw zagranicznych. W szczególnym układzie, w którym obsada tego stanowiska jest konsultowana z prezydentem, powstaje szansa na koordynację między kancelarią prezydencką, parlamentem i rządem. To wymaga regulacji prawnych i dobrej woli. Do tej pory nie ma ani wystarczających regulacji, ani wystarczająco dużo dobrej woli. Z pewnym niepokojem obserwuję, że w obecnym rządzie minister spraw zagranicznych nie jest koordynatorem polityki zagranicznej i to nie w jego rękach spoczywa pełna odpowiedzialność za tę dziedzinę.

Chcemy mocnej Unii

Z prof. Bronisławem Geremekiem, szefem Komisji Spraw Zagranicznych, rozmawia Edward Krzemiń

Edward Krzemiń: Czego Polska może spodziewać się po wizycie prezydenta Francji?

Bronisław Geremek: Jest to ważna wizyta. Odbywa się w momencie, w którym decydują się losy polskich priorytetów politycznych: wejścia do Unii Europejskiej i NATO.

Można mieć nadzieję, że Polska w trakcie wizyty otrzyma ze strony Francji jasną odpowiedź w obu tych kwestiach.

Europa Środkowa nie znajdowała odpowiedniego miejsca w polityce francuskiej ostatniego czasu. W kwestii bezpieczeństwa europejskiego Francja koncentrowała się na budowie generalnych struktur kontynentu. W polityce wobec Unii Europejskiej koncentrowała uwagę na horyzoncie śródziemnomorskim.

Dlatego jest dla nas ważne, aby podczas tej wizyty do francuskiej opinii publicznej dotarło stanowisko Polski wobec tych wielkich projektów francuskich.

Polska popiera dążenia Francji i Niemiec, aby Unia Europejska stała się strukturą mocną. Dotyczy to zarówno polityki gospodarczej, jak i polityki bezpieczeństwa. W obu tych dziedzinach

Polska jest zainteresowana tymi działaniami, w które Francja i Niemcy inwestują swój największy wysiłek.

Jednocześnie z zabiegami o rozszerzenie NATO Polska powinna udzielić jasnego poparcia dla troski Francji, ażeby także poza Unią Europejską powstawały struktury bezpieczeństwa obejmujące cały kontynent. W nich powinny znaleźć swoje miejsce kraje niebędące członkami Unii Europejskiej, m.in. takie jak Rosja czy Ukraina.

Od kilku lat Francja jakby straciła swój impet w polityce zagranicznej. Poszukuje swojego miejsca w nowej sytuacji w Europie. Czy wobec tego możemy oczekiwać od Francji jasnej odpowiedzi na nasze pytania?

Mam nadzieję, że taka jasna odpowiedź padnie. Miałem okazję razem z Lechem Wałęsą rozmawiać z Jacquesem Chirakiem w najtrudniejszych momentach współczesnej polskiej historii: w październiku 1981 roku, w grudniu 1988 roku. I zarówno wtedy, jak i później – również po wygranych przez Chiraca wyborach prezydenckich – słyszałem niezwykle daleko idące słowa poparcia, jakie Francja powinna udzielić polskim priorytetom narodowym. Ten fakt, że w Jacquesie Chiracu Polska ma przyjaciela – mam nadzieję – może się przełożyć na realia polityczne.

Czy stosunki polsko-francuskie można uznać za odpowiadające obecnym wyzwaniom w Europie?

Przede wszystkim wyzwaniom końca stulecia odpowiada Trójkąt Weimarski. Współpraca Francji, Niemiec i Polski tworzy taką formułę dla rozszerzenia Unii Europejskiej, w której nie ma miejsca na hegemonię żadnego z europejskich partnerów.

To właśnie Francja występowała w polityce Trójkąta Weimarskiego z najdalej idącymi inicjatywami – dzięki jednej z nich weszliśmy do Unii Zachodnioeuropejskiej tworząc nowy status wewnętrzny tej organizacji.

To są dobre zapowiedzi na przyszłość.

Temu powinno towarzyszyć zaktywizowanie stosunków gospodarczych. Również nowa jakość wymiany kulturalnej i naukowej. To odpowiada tradycyjnym więziom między Francją a Polską, obecności Francji w polskiej kulturze, ale także aspiracji Polski do uczestnictwa w strukturach frankofońskich.

Francja może odegrać kluczową rolę w dalszym rozwoju Europy Środkowej. Mam nadzieję, że prezydent Francji pojmie tę rolę Francji jako ogromną szansę, zbieżną z tradycją generała de Gaulle'a. A przecież do tej tradycji obecny prezydent Francji się odwołuje.

Kto udźwignie ten ciężar?

Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, przewodniczącym Klubu Parlamentarnego Unii Wolności, rozmawia Andrzej Łapkiewicz

Andrzej Łapkiewicz: Czy nie obawia się pan, że troska NATO o ułożenie stosunków z Rosją zniweczy nasze plany integracji z paktem?

Bronisław Geremek: Nie sądzę. W interesie Polski leży, żeby pakt miał dobre stosunki z Rosją, także z Ukrainą. Pytanie dotyczy przede wszystkim logiki czasu. Jeżeli interesy Polski będą właściwie zrealizowane, wówczas najpierw nastąpi rozszerzenie NATO, a później będzie podpisany układ z Rosją. Odwrócenie tej kolejności osłabiłoby nasze szanse. Stworzyłoby sytuację, w której sprawa członkostwa Polski w pakcie byłaby współdecydowana przez Rosję. Byłaby to niedobra lekcja także dla Rosji. Zwiększałaby ona pokusę realizacji imperialnych idei i odtwarzania strefy wpływów w Europie Środkowej. Obawiam się, że wizyta kanclerza Kohla w Moskwie może wnosić w tej kwestii dwuznaczne przesłanie.

Polska w NATO – jeżeli tam się znajdziemy, bez broni atomowej na swoim terytorium – będzie członkiem drugiej kategorii?

Nie sędzę, byśmy mieli wchodzić do NATO, nie przyjmując na siebie wszystkich zobowiązań. Powinniśmy podjąć wszystkie zobowiązania członka NATO, a wówczas będziemy mieli wszelkie prawa. Nie widzę powodu, dla którego w obecnej sytuacji politycznej istniałaby potrzeba innego rozmieszczenia baz wojskowych i sił nuklearnych niż ten, jaki NATO ma obecnie. To pozwala odpowiedzieć na zaniepokojenie Rosji i Ukrainy. Błędem byłoby przyjęcie mniejszych zobowiązań i obawa o zredukowanie naszych praw.

O przyszłości Polski w układzie międzynarodowym myślimy jednotorowo. Nasz kraj musi znaleźć się w NATO i koniec dyskusji. A jeżeli tak się nie stanie, co wtedy?

Żadne państwo nie powinno stawiać na jeden scenariusz, ten najlepszy i nie być przygotowanym na gorszy wariant. Trzeba mieć różne strategiczne rozwiązania, mając świadomość tych dobrych. Narodowymi priorytetami, które zmniejszają zagrożenia i zwiększają nasze szanse, są wejście do NATO i do Unii Europejskiej. Jeżeli się to nie dokona, to Polska będzie zdana na umowy bilateralne i na niezbyt jasno określony system gwarancji międzynarodowych. Fakt tej niepewności co do spełnienia naszych aspiracji sprawiał, że popierałem gorąco układy regionalne w Europie Środkowej. Uważałem i nadal uważam, że w polskiej polityce Grupa Wyszehradzka nie jest tylko pojęciem retorycznym. Współpraca Węgier, Czech, Słowacji i Polski, niezależnie od procesu integracji europejskiej, ma sens. A ponadto, gdyby nie spełniły się najlepsze scenariusze, z punktu widzenia interesów państw członkowskich Grupy Wyszehradzkiej istnienie takiego sojuszu i takiej struktury jest środkiem zastępczym.

Chcemy przyspieszyć także naszą integrację z Unią Europejską, chociaż nie jesteśmy do niej przygotowani.

Sędzę, że Polska jest przygotowana do integracji w nie mniejszym stopniu niż Portugalia, Hiszpania czy Grecja w momencie wstę-

powania do Unii. Wejście do UE jest procesem długofalowym, który trwa kilkanaście lat. Jest niezwykle istotne, czy proces przystosowania będzie następował w przypadku Polski poza ramami Unii, czy – podobnie jak w wypadku wspomnianych krajów – wewnątrz Unii Europejskiej. Polska ponosi już koszty adaptacji, ale przyspieszenie tego procesu wymaga naszego wejścia do Unii. Zależy to od woli politycznej jednej i drugiej strony.

Raport niemieckiej Fundacji Bertelsmanna, oceniający kandydatów do UE, jest wobec Polski bezwzględny.

Jest krytyczny. Co więcej, moim zdaniem jest to krytyka rzetelna, mająca podstawy. Zbyt mało mówi się o tym, że wejście do Unii to nie tylko proces negocjacji dyplomatycznych, to proces dostosowania gospodarki i prawa. Transformacja zapoczątkowana w Polsce w 1989 roku uległa niepokojącemu spowolnieniu. Może to oznaczać zmniejszenie naszych szans na integrację. Wciąż jednak jestem przekonany, że Polska może wejść do Unii Europejskiej, że jesteśmy do tego przygotowani. Co ważniejsze, leży to w interesie Unii. Tylko UE nie jest gotowa do rozszerzenia. Nie podjęto reformy mechanizmów decyzyjnych.

Pomówmy o tym, co zależy od nas. Musimy przyspieszyć prywatyzację, zreformować ubezpieczenia społeczne, służbę zdrowia, zrestrukturyzować górnictwo. Kto po wyborach 1997 roku udźwignie ciężar reform?

Unia Wolności jest partią świadomą konieczności tych zmian i może się stać siłą gruntującą obóz reform niezależnie od ideologicznych podziałów. Już w tej chwili dostrzegam pewne możliwości działań poza kampanią wyborczą, W jednej sprawie to się udało. Mam na myśli reformę świadczeń społecznych. Pakiet przygotowany przez ministra Bączkowskiego, człowieka spoza układu politycznego, został przejęty przez ministra Tadeusza Zielińskiego. Według oświadczeń premiera, pakiet zostanie przedstawiony Sejmowi. Uczestniczyliśmy w dyskusji nad pa-

kietem i jesteśmy gotowi uczynić wszystko, żeby rozstrzygnięcia zapadły przed rozpoczęciem kampanii wyborczej. Takie decyzje pociągną za sobą określone koszty polityczne. Żadna jednak partia, która nie stawia w kluczowych sprawach interesu zbiorowego ponad interesem partyjnym, nie jest godna uczestnictwa w demokratycznej grze politycznej.

Jaka jest pana prognoza na 1997 rok?

Obawiam się, że w sprawach polityki międzynarodowej nie otrzymamy jasnej odpowiedzi, a w sprawach polityki wewnętrznej w roku kampanii wyborczej utrzyma się tendencja do marnowania czasu, do spowalniania. Polsce tymczasem powinno się spieszyć, powinniśmy mieć wysoki współczynnik wzrostu gospodarczego, przyspieszać zmiany. Polska nie powinna w konfliktach politycznych i partyjnych zatracać swojej szansy. Chciałbym, żeby sprawdził się scenariusz pozytywny: Polska otrzyma w lipcu 1997 roku odpowiedź, że wchodzi do NATO; w grudniu otrzyma odpowiedź, że w roku dwutysięcznym wchodzi do Unii Europejskiej. Jednocześnie tworzy się w Polsce obóz, który jest zdecydowany na forsowanie reform.

Na progu

Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym
sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych,
przewodniczącym Klubu Parlamentarnego Unii
Wolności, rozmawia Marek Burczyk

Marek Burczyk: Dążąc do NATO, chcemy być członkiem tego paktu nie jakimkolwiek, ale pełnoprawnym, równorzędnym. Chcemy mieć w nim nie tylko te same obowiązki, ale i te same prawa, co inni jego uczestnicy. Po helsińskim spotkaniu Clinton–Jelcyn można wszakże odnieść wrażenie, że te nasze aspiracje mogą nie zostać uwzględnione...

Bronisław Geremek: Uważam, że nigdy jeszcze nie byliśmy równie blisko wejścia do NATO i Unii Europejskiej, jak obecnie, choć istnieje z pewnością potrzeba aktywniejszej polityki zagranicznej naszego kraju w takich chociażby kwestiach jak NATO a Rosja. Polska jest krajem mającym największe strategiczne znaczenie dla NATO w perspektywie rozszerzenia tej organizacji i w związku z tym na pewno powinna mieć większe poczucie swej odpowiedzialności wobec całego regionu. Co do Helsinek... Otóż nie sądzę, aby podjęto tam decyzje, które mogłyby wzbudzić nasz uzasadniony niepokój. Może natomiast budzić pewne

zaniepokojenie swoisty klimat tego spotkania, który ma niewiele wspólnego z wyzwaniem dnia dzisiejszego, bardziej natomiast przypomina stary duet supermocarstw. Jego wyrazem jest np. zapowiedź, że karta NATO–Rosja zostanie podpisana przed lipcowym szczytem w Madrycie, gdzie – jak wiadomo – zapadnie decyzja o wejściu Polski do NATO.

Niektórzy doradcy prezydenta Jelcyna już dziś zapowiadają, że Rosja – jeśli jej wcześniejsze usiłowania nie przyniosą oczekiwanego skutku – zablokuje naszą drogę do NATO na etapie ratyfikacji układu o rozszerzeniu Paktu, w parlamentach krajów członkowskich... Proces ratyfikacyjny będzie wymagać szczególnej międzynarodowej aktywności naszego kraju, zwłaszcza w układach parlamentarnych. Nie wystarczy uzyskać poparcie Senatu USA, choć ma ono niewątpliwie znaczenie kluczowe. Trzeba będzie zapewnić sobie poparcie parlamentów wszystkich krajów, łącznie z tymi, które – jak Grecja czy Turcja – wykazują w tej chwili największą podatność na argumenty rosyjskie. Problemy z tym będziemy oczywiście mieć, ale istnieje wielka szansa, że po decyzji madyryckiej nastąpi jej ratyfikacja i Polska stanie się pełnoprawnym członkiem NATO.

Jak Pan ocenia próby utworzenia czegoś w rodzaju unii rosyjsko-białoruskiej?

Dokumenty dotąd podpisane są bardziej deklaracją intencji niż nowym faktem państwowym. To, że tak się – jak dotąd – nie stało, wynika z realizmu środowisk gospodarczych w otoczeniu prezydenta Jelcyna, które doskonale zdają sobie sprawę z tego, jak ogromne koszty dla Rosji pociągnęłoby włączenie Białorusi do struktury państwa federalnego. Ale problem pozostaje wciąż otwarty, ponieważ nie jest tajemnicą presja rosyjskich środowisk wojskowych na odnowienie imperium. Również zaangażowanie rosyjskiego ministra spraw zagranicznych w tę sprawę świadczy o jej znaczeniu dla wielu wpływowych kół w Rosji. Należy powie-

dzieć, że omawiana kwestia nie jest bynajmniej tylko wewnętrzną sprawą dwu sąsiadujących z Polską państw. Trzeba na to patrzeć jako na istotny problem bezpieczeństwa europejskiego, ponieważ może być sprawdzianem rzeczywistych intencji Rosji. Jeśli miałby zostać zrealizowany taki rodzaj związku obu państw, jakiego życzy sobie prezydent Łukaszenka, oznaczałoby to powrót na stary szlak imperialnej polityki rosyjskiej. Z polskiego punktu widzenia ważne jest również to, że wówczas plany specjalnego „korytarza”, łączącego obwód kaliningradzki z Białorusią, nabrałyby nowej, niebezpiecznej aktualności.

Mecenas Jan Olszewski – przewodniczący Ruchu Odbudowy Polski – uważa, że przyjmowane u nas za dobrą monetę scenariusze, zakładające wejście Polski do Unii Europejskiej w perspektywie lat 2000–2002, są nierealistyczne. Ze względu na wielorakie niedostosowanie naszego kraju do standardów UE integracja może nastąpić, jego zdaniem, nie wcześniej jak za 10 lat.

Sądzę, że w sprawie wejścia Polski do Unii Europejskiej najważniejsza jest wola polityczna drugiej strony przyjęcia nas do swego grona. Konkretnie daty są tu kwestią wtórną. Jest oczywiste, że proces przystosowania naszego kraju do Unii będzie długotrwały. Według różnych symulacji osiągnięcie poziomu 75 proc. obecnej zachodnioeuropejskiej prosperity zajmie nam od kilkunastu do 30 lat, ale przecież bynajmniej nie musimy z wejściem do Unii czekać aż tyle. Jeśli ktoś mówi, że Polska – zanim do Unii wejdzie – musi wykazać się pełnym dostosowaniem, znaczy to, że odsuwa w nieskończoność decyzję o przyjęciu. A zatem, jest to wyraz braku woli politycznej rozszerzenia Unii. Warto przypomnieć, że jako kandydat do Unii mamy wiele godnych uwagi atutów. Spośród 11 krajów aspirujących w tej chwili do UE, dysponujemy największym, bardzo chłonnym rynkiem wewnętrznym. Niesiemy też Unii określone zagrożenia, np. nasze duże, a zarazem niskowydajne rolnictwo wymaga ogromnych subsydiów. Wszystkie te zapisane na polskim koncie plusy i minusy oznaczają, że bar-

dzo wiele zależeć będzie od naszych własnych umiejętności politycznych – od tego, czy i na ile potrafimy wytworzyć po stronie Unii Europejskiej wolę polityczną jej rozszerzenia.

Diaspora żydowska bywa bardzo skuteczną grupą nacisku, wspierającą politykę państwa Izrael. Czy również polskie wychodźstwo – zwłaszcza zamieszkałe w bogatych krajach Zachodu – nie powinno być taką swoistą grupą lobbystyczną na rzecz Polski, np. w kwestii promowania inwestycji międzynarodowych w naszym kraju? Towarzystwo „Wspólnota Polska”, jak się zdaje, ten aspekt traci w znacznej mierze z pola swego widzenia, skupiając się na szeroko rozumianych działaniach charytatywnych na rzecz Polonii na Wschodzie.

„Wspólnota Polska”, a także parlament wypełniają bardzo ważną narodową powinność solidarności z tymi naszymi zagranicznymi rodakami, którzy są aktualnie w biedzie i opuszczeniu. Chodzi tu m.in. o przetrwanie polskiej kultury i polskiej tożsamości na Wschodzie. Inną sprawą są nasze działania w środowiskach polskich na Zachodzie. Z pewnością wspólnym dążeniem – zarówno organów państwa, jak partii politycznych – powinno być, aby tamtejsza polska diaspora funkcjonowała w stosunku do Starego Kraju na takim poziomie organizacji i solidarności, jak choćby diaspora żydowska czy ukraińska. Niestety, do tego ideału dosyć jeszcze daleko... Ale początki zostały uczynione – myślę tu o rozmaitych działaniach Polonii amerykańskiej w sprawie wejścia Polski do NATO. Moim zdaniem jest to niezwyklej wagi precedens, który oby był jaskółką zwiastującą wiosnę!

Wszyscy mamy w pamięci niedawne spory kompetencyjne na szczytach władzy wokół spraw związanych z realizacją polityki zagranicznej. Czy konstytucja, właśnie uchwalona przez Zgromadzenie Narodowe, chroni nas przed recydywą tego rodzaju swarów?

Dobra koordynacja polityki zagranicznej wymaga zarówno jasności prawnej, jak dobrej woli wszystkich podmiotów uczestniczących w jej realizacji. Z pewnością obecna konstytucja, likwi-

dując szczególne przyporządkowanie niektórych resortów (w tym – spraw zagranicznych) prezydentowi, sprzyja klarowności kompetencji, a tym samym ogranicza pole konfliktów między prezydentem a rządem, również w sprawach polityki zagranicznej. To jednak nie wyczerpuje kwestii koordynacji, ponieważ w realizacji polityki zagranicznej uczestniczy szczególnie wiele podmiotów, że wspomnę choćby obie izby parlamentu, rozmaite organizacje pozarządowe etc. Trzeba bardzo usilnie starać się o to, żeby koordynacja tej polityki faktycznie znalazła się w rękach ministra spraw zagranicznych.

Serię ostatnich mianowań na stanowiska ambasadorskie znaczna część mediów określiła jako „skok na kasę” ze strony ugrupowań rządzącej koalicji. Jakie jest pana zdanie na ten temat?

Jestem krytycznego zdania o polityce partyjnej dystrybucji stanowisk ambasadorskich. Uważam, że przy obsadzie tych stanowisk należy brać pod uwagę przede wszystkim umacnianie autorytetu Rzeczypospolitej i zasadę służby interesowi narodowemu. Mam nadzieję, że ostatnie nominacje nie pogorszą pracy polskiego korpusu dyplomatycznego, który po roku 1989 wyzwolił się z zależności od jednego hegemonia politycznego i zaczął służyć interesom demokratycznego państwa polskiego.

Euro-Polacy

Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym
sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych i Klubu
Parlamentarnego Unii Wolności, rozmawiają
Maria Graczyk i Zofia Stachura

Maria Graczyk, Zofia Stachura: Kto dziś kieruje polską polityką zagraniczną?

Bronisław Geremek: Zgodnie z konstytucją politykę zagraniczną koordynuje minister spraw zagranicznych. Realia odbiegają jednak od litery prawa. Minister pełni swą funkcję w stopniu mocno ograniczonym. Aktywna polityka zagraniczna naszego kraju jest wciąż realizowana tylko przez prezydenta.

Na ile polityka prezydenta jest uzgadniana z Sejmem i MSZ? Zna-
ne są kontrowersyjne wypowiedzi Wojciecha Lamentowicza, pod-
sekretarza stanu w Kancelarii Prezydenta RP, zaskakująco zgodne
z rosyjską koncepcją OBWE jako gwaranta bezpieczeństwa euro-
pejskiego.

Przykładów wypowiedzi niezgodnych z polską racją stanu jest
wiele. Nie chodzi jednak o wypowiedzi, tylko o priorytety w poli-
tyce zagranicznej – myślę tu głównie o wejściu Polski do NATO

i struktur europejskich. Wokół tych spraw we wszystkich ośrodkach władzy panuje zgoda. Można się spodziewać, że po lipcowym szczycie madryckim Polska zostanie kandydatem do Paktu i wówczas rola polskiego parlamentu zacznie rosnać. Właśnie parlament będzie przygotowywał ratyfikację decyzji o wejściu Polski do NATO.

Wciąż mamy do czynienia z mnogością ośrodków prowadzących politykę zagraniczną. Takie ambicje przejawiają poszczególne ministerstwa, a nawet politycy. Do tego dochodzą żenujące interwencje ministra Rosatiego w sprawach, które powinny być rozstrzygane na niższym szczeblu, czy też „przecieki” z MSZ.

Brak koordynacji polskiej polityki zagranicznej jest ogromnym problemem. Obawą napawają mnie również zachowania ministra. Dariusz Rosati gani swoich urzędników za to, że zgodnie z interesem publicznym kraju uczestniczyli w bardzo ważnych działaniach instytucji pozarządowych. Ten sam minister nie reaguje na skandaliczne „przecieki” z MSZ do niektórych gazet. To niebezpieczne symptomy. Świadczą one o tym, że w domenie, w której powinien panować konsensus, wchodzi w grę interes partyjny.

Kto więc prowadzi politykę kadrową w MSZ? Minister Dariusz Rosati czy liderzy SdRP: Leszek Miller lub Józef Oleksy?

Sam chciałbym znać odpowiedź. Jednak nawet jako przewodniczący sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych jej nie znam.

Komisja Spraw Zagranicznych, zdominowana przez posłów SLD i PSL, bezkrytycznie akceptuje posunięcia resortu. Czy polityk opozycji, przewodnicząc tej komisji, nie uwiarygodnia działań koalicji? Kiedy minister Rosati obejmował stanowisko, z satysfakcją przyjmowałem jego pierwsze działania. Niektóre wypowiedzi kładłem na karb nieznamości nowej sfery, w której się porusza, ale wierzyłem w jego dobrą wolę. Z czasem traciłem tę wiarę i stawiałem sobie pytanie, czy nie legitymizuję działań, których nie popieram.

Możliwe, że pozostając na stanowisku przewodniczącego Komisji, popełniam błąd. Zastanawiam się jednak, czy moja rezygnacja nie zaszkodziłaby wizerunkowi Polski w momencie realizacji priorytetów jej polityki zagranicznej.

Co wpływa na wizerunek Polski za granicą?

Przede wszystkim stan gospodarki i poziom wzrostu gospodarczego. Również kwestia politycznej stabilizacji. Polska pozostaje przykładem stabilnego kraju, w którym polityczna równowaga nie jest naruszana. Wreszcie, nasz wizerunek kształtuje aktywna polityka zagraniczna. Na tym polu nie wykorzystujemy swych szans. Dostrzegamy ogromne oczekiwania, by Polska odgrywała większą rolę w naszym regionie. Wyrazem takich oczekiwań były choćby wizyty w Polsce prezydentów Rumunii i Bułgarii. Na aktywną polską politykę regionalną czekają państwa bałtyckie. Jej potrzebę dostrzegają kraje wyszehradzkie oraz Niemcy i Francja, czyli nasi partnerzy w „Trójkącie Weimarskim”. Mamy szanse na prowadzenie aktywnej polityki regionalnej. Szanse dotychczas niewykorzystane.

Na czym miałyby polegać polska polityka regionalna?

Musimy przekonać naszych sąsiadów, że poszerzenie NATO o Polskę nie będzie stanowić zagrożenia, lecz zwiększy bezpieczeństwo w naszym regionie. Mamy już dwustronne porozumienia z Litwą i Ukrainą, dotyczące również współpracy militarnej. Pozostaje problem dialogu z Rosją. Powinniśmy się starać, by Rosja zaakceptowała fakt, że wzrost poczucia bezpieczeństwa w naszym regionie poprzez rozszerzenie NATO na Wschód będzie korzystny również dla niej.

Pominął pan w swych rozważaniach Białoruś...

Tak. Staralem się bowiem ukazać polskie szanse. Gdyby jednak mówić o zagrożeniach, stawiałbym sprawę Białorusi na jednym z czołowych miejsc. Sąsiadujący z nami kraj dokonuje ewolucji

w kierunku przeciwnym do tego, w jakim idzie cały region. Moje sympatie są po stronie sił, które przeciwstawiają się idei unii z Rosją i unicestwianiu struktur demokratycznych. Unia rosyjsko-białoruska jest testem intencji nie tylko obecnych władz Białorusi, ale i Rosji. Polsce zależy na tym, by jej sąsiadami były państwa demokratyczne i dobrze prosperujące. A trudno nie czuć niepokoju, gdy na granicy polsko-białoruskiej pojawia się rosyjska straż graniczna.

Jaka powinna być dziś rola polskiej polityki w stosunku do Białorusi?

Nie należy się obawiać nieprzyjaznych słów, jakie płyną z białoruskiej stolicy. Wszystkie czynniki polityczne naszego kraju powinny wspierać demokratyczne siły na Białorusi.

Jak więc oceniać spotkanie prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego z prezydentem Białorusi Aleksandrem Łukaszenką?

Uważam, że był to błąd. Należy jednak podkreślić późniejszą inicjatywę prezydenta Kwaśniewskiego, czyli oświadczenie polsko-litewsko-ukraińskie w sprawie sytuacji na Białorusi. Takie inicjatywy służą budowaniu obrazu demokratycznej Polski w świecie.

Obraz Polski za granicą jest kształtowany nie tylko przez naszą dyplomację, ale również przez wydarzenia krajowe, zwłaszcza walkę o konstytucję. Czy jej ewentualne odrzucenie w referendum zmniejszy szanse przyjęcia Polski do Unii Europejskiej i NATO?

Polska potrzebuje nowej konstytucji. Nie sądzę natomiast, by jej nieuchwalenie miało wpływ na nasz wizerunek zewnętrzny. Nasza transformacja jest najbardziej zaawansowana w tym rejonie, a była przeprowadzana przy bardzo ułomnych aktach konstytucyjnych.

Przeciwnicy konstytucji oskarżają jej autorów o chęć pozbawienia Polski suwerenności. Czy nie widać w tych oskarżeniach utajonej niechęci do integracji z Zachodem, niechęci do koncepcji „społec-

czeństwa otwartego”, określanej pogardliwym mianem „demoliberalizmu”?

Obecny projekt konstytucji utrudnia podejmowanie wszelkich decyzji dotyczących przekazania suwerennych praw Polski organizacjom międzynarodowym. W takich wypadkach wymagana jest zgoda dwóch trzecich deputowanych. Debata wokół sprawy suwerenności w konstytucji wyraża pewne poczucie zagrożenia integracją europejską. Pytanie tylko: kto się tego obawia? W sondażach 90 proc. Polaków opowiada się za wejściem Polski do NATO, a 85 proc. za przystąpieniem do Unii Europejskiej. Mam więc wrażenie, że przy okazji dyskusji o konstytucji pewne elity polityczne eksploatują nieracjonalne lęki. Prawdą jest natomiast, że narodowa debata w kwestii integracji europejskiej dopiero się zaczyna. Wiedza polskiego społeczeństwa na temat tego, czym jest UE, pozostaje niewielka. Osobiście jestem przekonany, że integracja europejska pogłębi polskie szanse i przyspieszy nasze reformy.

Już dziś jednak przeciwnicy konstytucji, lansując czarno-białą wizję świata i odrzucając zasadę kompromisu, zdają się po stronie „zła” umieszczać także współczesny świat Zachodu. Werbalnie akceptując integrację, dodają, że to my będziemy dyktować warunki jej dokonania. Takie postrzeganie rzeczywistości bliskie jest też niektórym hierarchom kościelnym. Czy ugrupowaniom proeuropejskim, takim jak Unia Wolności, grozi zepchnięcie do defensywy?

Kościół, wielki autorytet moralny kraju, docenia wartości, które legły u podstawy integracji europejskiej. Hierarchowie są natomiast obywatelami kraju i mogą mieć różne zdania. Z ogromnym zainteresowaniem czytałem artykuł biskupa Tadeusza Pieronka, sekretarza generalnego Konferencji Episkopatu Polski, o stanowisku Kościoła wobec Europy. Odnalazłem w tym stanowisku racje, które sprawiają, że Unia Wolności jest po stronie integracji europejskiej. Mam nadzieję, że UW w tej swojej proeuropejskości nie pozostanie osamotniona. Bo przecież Europa, do której dą-

żymy, nie jest Europą zła moralnego. Przeciwnie, jest wspólnotą ludzi odwołujących się do dobra zbiorowego, wolności i godności osoby ludzkiej. Jest to Europa, która usiłuje ponad dramatycznym XX wiekiem budować poczucie solidarności.

VIII
Z teki szefa MSZ



„Stan świadomości Polaków wskazuje jednoznacznie na to, że jesteśmy społeczeństwem europejskim, ale obecna polityka stawia pod ogromnym znakiem zapytania miejsce Polski w Europie”.

List z Brukseli

Z prof. Bronisławem Geremkiem, ministrem spraw zagranicznych, rozmawia Piotr Cywiński

Piotr Cywiński: Z pierwszą zagraniczną wizytą przedstawicieli dyplomacji RP udawali się zazwyczaj do Bonn. Czy pańska podróż na Litwę oznacza przełożenie akcentów w polskiej polityce zagranicznej?

Bronisław Geremek: Mój wyjazd do Wilna i Kijowa nie był przypadkowy. Obok priorytetu zachodniej orientacji naszej polityki zagranicznej szczególne znaczenie chcę nadać kwestii regionalnego usytuowania Polski. Nasza aktywność w tym rejonie, umiejętność prowadzenia rozmów z Litwą, Ukrainą, z krajami bałtyckimi i naszymi wschodnimi sąsiadami, będzie dodatkowym argumentem przemawiającym za tym, żeby Polska znalazła swoje miejsce w strukturach zachodnich. Na Ukrainie za pięć miesięcy odbędą się wybory. Powinny je poprzedzić nasze sygnały wspierające nurt reformatorski. W tej sprawie istnieje zgodność opinii Polski i Zachodu, takie też są jego oczekiwania w stosunku do nas. Nasza polityka ma świadczyć o dojrzałości polskiej demokracji, o stabilności gospodarczej i politycznej. Sądzę, że w tych kwestiach możemy już udzielać lekcji.

W Pekinie prezydent Aleksander Kwaśniewski złożył Tajwan na ołtarzu poprawy stosunków z Chinami kontynentalnymi. Uznał też, że nie można mówić o prawie Niemców do zjednoczenia, odbierając to prawo Chińczykom. Czy to są dowody dojrzałości polskiej demokracji?

Nie należy porównywać tak odmiennych sytuacji jak niemiecka i chińska. Ograniczyłbym się do stwierdzenia, że mówiący o jedności Chin fragment komunikatu o wizycie prezydenta RP w Chinach jest w swej ostatecznej wersji zgodny z poglądami państw Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych. W obecnej chwili taki jest standard polityki zagranicznej Zachodu. Polityki, którą Polska też realizuje.

Jednak państwa zachodnie wyraźnie piętnują brak poszanowania podstawowych praw człowieka w ChRL.

Komunikat polsko-chiński był rezultatem długich negocjacji. Tego rodzaju dokumenty są zwykle aktem kompromisu. MSZ było informowane o ustaleniach podejmowanych przez Kancelarię Prezydenta RP. Z pewnością panu nie wystarczy, jeśli powiem, że ostatecznie przyjęto lepszą wersję komunikatu, niż proponowała druga strona. Fakt, że w ogóle znalazła się w nim wzmianka o prawach człowieka, ma swoje znaczenie. Chińczycy niezbyt chętnie przystają na poruszanie tej kwestii. Jednak nie wyobrażam sobie polskiej polityki zagranicznej po 1989 roku, w której sprawa przestrzegania praw człowieka i zasad demokracji nie odgrywałaby zasadniczej roli. Ponadto twierdzenie o jedności Chin pada zarówno w Pekinie, jak i w Tajpej, tyle że różnie się je interpretuje. Póki nie przekreśla się niezależnego istnienia Tajwanu, wszystko jest w porządku. A w komunikacie tego nie było. Znalazło się natomiast stwierdzenie dotyczące wejścia Polski do NATO, co – jak wiadomo – jest argumentem na naszą korzyść.

Czego spodziewa się pan po spacerze prezydenta RP po Chińskim Murze?

Wstrzymajmy się z oceną. Rezultat wizyty prezydenta Kwaśniewskiego w Pekinie będzie można określić po tym, co stanie się w stosunkach gospodarczych między Polską i Chinami. Przyznaję, że wątpliwości istnieją.

Nie najlepsze są również relacje między Warszawą a Moskwą. Objęciu przez pana stanowiska ministra towarzyszyło skrytykowanie przez Rosję podejścia polskich parlamentarzystów do roli ZSRR w II wojnie światowej i kontrowersje wokół działalności dyplomatów rosyjskich w Polsce.

Relacje między Moskwą a Warszawą oceniam jako zupełnie dobre, jeżeli postrzegamy je z wyłączeniem kontrowersji wokół rozszerzenia NATO. Nie należy przypisywać zbyt wielkiego znaczenia incydentalnym sprawom. Do tyczy to zarówno oceny roli ZSRR w II wojnie światowej, jak i sprawy działalności dyplomatów rosyjskich. Uchwała polskiego parlamentu może – co oczywiste – wywołać komentarze strony rosyjskiej, uważam jednak, iż po pierwsze: o fakty historyczne nie należy się spierać i nie sądzę, że współczesna Rosja powinna bronić spuścizny historycznej Związku Radzieckiego, włącznie z napaścią na Polskę 17 września 1939 roku; po drugie: jest rolą dyplomacji, aby nie zapominając o trudnych doświadczeniach wspólnej historii, umieć budować ponad nimi mosty porozumienia. Kontrowersje wokół działalności obcych dyplomatów w Polsce wymagają wyjaśnienia i wierzę, że zostaną wyjaśnione.

Podczas ostatniego pobytu w Niemczech podjęli pana – oprócz ministra spraw zagranicznych – zarówno kanclerz, jak i prezydent RFN.

Z kanclerzem Helmutem Kohlem pierwszy raz spotkałem się w czerwcu 1989 roku, gdy przyjechałem do Bonn na czele delegacji „Solidarności”. Miała to być kurtuazyjna wizyta, która przekształciła się w czterogodzinną debatę. Mówiliśmy wtedy o stosunku do przeszłości, nowym wymiarze historii i szansach stojących przed

naszymi krajami. Kwestie dobrosąsiedzkiej współpracy polsko-niemieckiej traktuję jako osobiste zadanie. Należę do pokolenia uformowanego przez wojnę, które nigdy nie zapomni, co się wtedy wydarzyło. Uważam, że to pokolenie Polaków i Niemców musi dbać o zachowanie narodowej pamięci, ale też wyciągać wnioski z tych historycznych doświadczeń. Podczas ostatniego pobytu w Bonn spotkałem się z kanclerzem Kohlem dokładnie w tym samym miejscu, ale nasza rozmowa miała już inny niż wówczas charakter. Przez te osiem lat w stosunkach polsko-niemieckich dokonało się coś, co dla człowieka mojego pokolenia jest faktem graniczącym z cudem. Doszło do przełomu i zbliżenia nie tylko w polityce i układach gabinetowych, lecz także między naszymi społeczeństwami. Podjęcie mnie przez kanclerza Helmuta Kohla podczas ostatniej wizyty w Bonn traktuję jako potwierdzenie jego zaangażowania w tworzenie nowego rozdziału stosunków niemiecko-polskich. Kohl uważa się za spadkobiercę i kontynuatora myśli politycznej Konrada Adenauera, w której Polska nie jest tylko jednym z problemów polityki zagranicznej RFN, lecz pokoleniowym wyzwaniem dla Niemców i Polaków.

Wiele spraw – od rozpowszechniania negatywnych stereotypów Polaków przez niektóre niemieckie media po przykre przeżycia polskich studentów Uniwersytetu Viadrina we Frankiurcie nad Odrą – podważa pańską opinię o zbliżeniu obu społeczeństw.

Nie twierdzę, że zbliżenie między Niemcami i Polakami to proces zakończony. Mamy w tej kwestii jeszcze wiele do zrobienia. Mówiliśmy o tym zarówno z kanclerzem Kohlem, jak i z prezydentem Herzogiem. Pamiętamy przemówienie prezydenta Niemiec przed pomnikiem Powstania Warszawskiego, ale wiemy również, że w psychologii zbiorowej nadal funkcjonują stereotypy niechętnie Polsce, zwłaszcza wśród mieszkańców nowych landów. Chcemy podjąć działania, które mają służyć zmianie tej sytuacji. Planujemy m.in. wspólne obchody tysięcznej rocznicy zjazdu gnieźnieńskiego, wzmoczenie współpracy kulturalnej, w tym za-

akcentowanie wspólnoty polskiego i niemieckiego romantyzmu przy okazji urodzin Goethego i Mickiewicza oraz solidarności polsko-niemieckiej z lat 30. i 40. ubiegłego stulecia. Sądzę, że elementem sprzyjającym zbliżeniu społeczeństw Polski i Niemiec będzie reforma samorządowa, którą nasz rząd zamierza możliwie szybko zrealizować. Zdecentralizowana struktura państwa niemieckiego niekiedy zderza się z utrzymywaną w Polsce jakobińską tradycją państwa centralistycznego, co utrudnia rozwijanie lokalnych inicjatyw.

Hans-Dietrich Genscher, były szef dyplomacji RFN i współtwórca trójkąta weimarskiego, w wywiadzie dla „Wprost” uznał, że możliwości współdziałania Niemiec, Polski i Francji nie są jeszcze wykorzystane.

Mam w tej sprawie podobną opinię. Intensyfikacji współpracy wspomnianych trzech państw powinien posłużyć „szczyt weimarski” z udziałem prezydentów Francji, Polski i kanclerza RFN. Ustaliliśmy w Bonn, że spotkanie to odbędzie się w Polsce w pierwszych miesiącach przyszłego roku.

Kiedy – pana zdaniem – powinny się zakończyć negocjacje na temat przyjęcia Polski do Unii Europejskiej?

Ostatnio Javier Solana poinformował przebywającą w Brukseli polską delegację pod przewodnictwem premiera Jerzego Buzka o wysłaniu listu, w którym sekretarz generalny NATO zaprasza nas na uroczystość podpisania protokołu o przystąpieniu naszego kraju do paktu. Odbędzie się ona 16 grudnia. W tym samym czasie zaczynamy uzgodnienia dotyczące członkostwa w Unii Europejskiej. W tym wypadku istotne znaczenie ma dla nas utrzymanie zasady, by pięć krajów wyróżnionych przez Komisję Europejską jako najbardziej dojrzałe do włączenia w strukturę UE zostało tak samo potraktowanych przez Radę Europejską i wszystkie kraje Unii. Oznacza to bardzo trudne negocjacje. Polska jest w stanie wykazać wysoki stopień przygotowania do

członkostwa w Unii. Ale jest jeszcze inna, być może ważniejsza sprawa: polskie społeczeństwo musi mieć poczucie, że włączenie nas w struktury UE nie jest kwestią gabinetowych układów. Zanim wejdziemy do Unii, czeka nas wiele wyrzeczeń i wysiłku.

Kiedy możemy zatem liczyć na przystąpienie do Unii?

Nie zapomnieliśmy tego, co mówili w polskim parlamencie kanclerz Kohl i prezydent Chirac: że rok 2000 będzie rokiem decyzji o przyjęciu Polski do Unii Europejskiej. Zakończenie działań dostosowawczych naszego kraju do wszystkich wymogów UE nie musi być związane z tą datą i może potrwać dłużej, podobnie jak działo się to w wypadku Hiszpanii i Portugalii już po ich przyjęciu do wspólnoty. Mam nadzieję, że w latach 2000-2002 Polska stanie się pełnoprawnym członkiem Unii.

Włosi Północy

Z Bronisławem Geremekiem, ministrem spraw zagranicznych, rozmawia Anna T. Kowalewska

Anna T. Kowalewska: W Rzymie spotkał się Pan z prezydentem Oscarem Luigi Scalfaro, premierem Romano Prodim oraz ministrem spraw zagranicznych, Lamberto Dinim. Jakie są rezultaty tych spotkań?

Bronisław Geremek: Składaliśmy sobie propozycje dotyczące dwustronnej współpracy. W dziedzinie gospodarczej uznaliśmy, że deficyt w polsko-włoskim handlu zagranicznym stanowi problem, który premier Prodi chce rozwiązać, występując z szeregiem działań, które miałyby na celu jego zmniejszenie. W dziedzinie polityki bezpieczeństwa, ze strony wszystkich rozmówców spotkałem się z oczekiwaniem znacznego uaktywnienia współpracy polsko-włoskiej, zwłaszcza w związku z polskim przewodnictwem w OBWE.

A z jakimi propozycjami pan wystąpił wobec strony włoskiej i z jakim spotkały się one przyjęciem?

Sądzę, że propozycje, z którymi wychodziłem, znalazły dobre przyjęcie, również dlatego, że chyba nie na darmo Polaków nazywa się „Włochami Północy”. To nie tylko sprawa temperamentu, ale i pewnych dobrych i złych skłonności obu narodów. Do istotnych propozycji należy sprawa wspólnej dyskusji o integracji

europejskiej. Z dużym zainteresowaniem spotkała się propozycja, ażeby Polska i Włochy były inicjatorami debaty o cywilizacji europejskiej, kulturze europejskiej, naszej europejskiej tożsamości.

Czy Włochy poprą nasze dążenia do Unii Europejskiej?

Sądzymy, że Włochy w sposób jednoznaczny będą popierały proces wejścia Polski do UE. Pewne niepokoje, jakie się pojawiały w związku z deklaracją belgijsko-włosko-francuską, w toku moich rozmów w Rzymie zostały całkowicie rozwiane. Premier Prodi powiedział mi wręcz, że nie podpisałby Traktatu Amsterdamskiego, gdyby nie to, że zawierał on zapowiedź rozszerzenia NATO o Polskę i inne kraje. Zwróciłem także moim rozmówcom uwagę na tę szczególną sytuację, w której takim „morzem wewnętrznym” cywilizacji europejskiej staje się teraz Bałtyk. Tak jak niegdyś było Morze Śródziemne. My jesteśmy za otwarciem śródziemnomorskim Unii Europejskiej. Wspieramy taką politykę gorąco, sądzymy jednak, że należy dostrzec możliwość współpracy, która by łączyła trzy morza: Bałtyk, Morze Czarne i Adriatyk. Wówczas powstałaby cała sieć relacji, obejmująca i OBWE, i Unię Europejską, i Inicjatywę Środkowoeuropejską. I w tej dziedzinie Włochy i Polska mogą odegrać rolę aktywnego inicjatora.

30 stycznia włoska Rada Ministrów skieruje wniosek o ratyfikację protokołów akcesyjnych NATO do Parlamentu. Co oznacza taka decyzja?

Moje spotkania z przedstawicielami włoskiego parlamentu pozwalają mi stwierdzić, że dla ratyfikacji protokołów akcesyjnych istnieje wystarczająco silne poparcie. Myślę, że kiedy Polska już stanie się członkiem NATO, niezależnie od różnic w strukturze zarządzania wojskowego państw członkowskich NATO, pomiędzy Polską a Włochami będzie miała miejsce ścisła współpraca. Zbliżająca się w połowie lutego wizyta ministra obrony Włoch w Polsce pozwoli przedyskutować też kwestie współpracy naszych przemysłów zbrojeniowych i udział Włoch w modernizacji polskiego przemysłu zbrojeniowego.

Rzeczpospolita europejska

Z prof. Bronisławem Geremkiem, ministrem spraw zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej, rozmawiają
Piotr Gabryel, Jarosław Giziński, Henryk Suchar

Piotr Gabryel, Jarosław Giziński, Henryk Suchar: Odbierając w Akwizgranie nagrodę Karola Wielkiego, przyznawaną wybitnym osobistościom wnoszącym wkład w budowę wspólnej Europy, mówił pan o swoich marzeniach związanych z naszym kontynentem. Jak wyobraża pan sobie Europę za ćwierć wieku?

Bronisław Geremek: Ideę europejską najlepiej wzmacnia i wiąże poziom normalnego życia ludzi. Marzenie zaś zawsze wyrasta z doświadczenia. Moje pokolenie na przykład nie może zapomnieć wojny. Proszę też pamiętać, że idea europejska stanowiła element ideologii hitlerowskiej. Kiedy jeden z francuskich intelektualistów mówił o swoim przywiązaniu do idei europejskiej, to wspominał, że narodziło się ono u niego dopiero później, gdyż wcześniej jako członek ruchu oporu nienawidził „Europy”, która kojarzyła mu się z ideologią totalitarną. Ważne jest zatem powiedzenie, że Europa jest odrzuceniem jedynej prawdy i jedynej ideologii, odrzuceniem nietolerancji.

Jako historyk jestem przekonany, że kultury narodowe są bogactwem Europy. Jeżeli się ona integruje, to powinna się jednoczyć pod sztandarem jedności w różnorodności, nie tracając tego, co do tej pory stanowiło o jej bogactwie. Proces integracji powinien przebiegać z poszanowaniem tradycji narodowej i suwerenności. Po to, aby polityka demokratyczna była naprawdę akceptowana, musi mieć odniesienie do tożsamości, a tożsamość europejską traktować trzeba jako strukturę demokratyczną. Chciałbym, zatem, aby w Europie szanowano różnorodność, ale aby jednocześnie zapewniona była skuteczność podejmowania decyzji. Głęboko popieram reformę struktur europejskich, która powinna zmierzać do zwiększenia możliwości decyzyjnych i postawienia na zasadę rozumnej, ważonej większości. Chciałbym także, aby został zniwelowany dramatyczny podział na kraje bogate i biedne, jaki pojawi się w rozszerzonej Unii Europejskiej – w niektórych państwach produkt krajowy brutto będzie bowiem trzy-, a nawet czterokrotnie niższy niż w tych najbogatszych. Nie należę ponadto do tych, którzy widzą możliwość zapewnienia bezpieczeństwa europejskiego bez sojuszu euroatlantyckiego, a więc bez obecności Stanów Zjednoczonych w Europie. Za 25 lat Europa powinna być wielkim partnerem gry międzynarodowej, którym jeszcze nie jest.

W jakim stopniu OBWE, której będzie pan przewodniczył do końca tego roku, może współuczestniczyć w realizacji tej wizji Europy? Rozumiem diagnozę Jacques'a Delorsa, że Unia Europejska jest konglomeratem różnych prędkości. Z polskiego punktu widzenia jest to mało sympatyczna wizja, gdyż zgodnie z nią znajdujemy się nieco na peryferiach. Ale sama wizja jest trafna i skoro owe dwie prędkości istnieją w UE, to jest tak samo w skali całego kontynentu. W tym względzie OBWE może się stać paneuropejską strukturą współpracy w najszerszym zakresie. W przemówieniu,

które prezydent Clinton wygłosił w Berlinie, po raz pierwszy pojawiła się w ramach takiego myślenia euroatlantyckiego o rozszerzonym przymierzu północnoatlantyckim wizja drugiej paneuropejskiej struktury – OBWE. Nie jest to proste, gdyż do OBWE należą Stany Zjednoczone i Kanada, ale także kraje środkowej Azji, które wydają się nadal w innej epoce. Uważam zresztą, że dawna Rzeczpospolita była w miniaturowej skali prefiguracją wspólnoty europejskiej – w pejzażu polskim mieścił się zarówno kościół katolicki, jak i świątynia greckokatolicka, cerkiew prawosławna, synagoga żydowska i meczet wspólnoty tatarskiej. Taka też powinna być właśnie ta paneuropejska wizja. Ale problemem OBWE jest to, czy ma ona być strukturą skutecznie działającą, czy tylko forum dyskusyjnym.

Do którego rozwiązania pan się przychyła?

Gdyby miała być jedynie forum dialogu, to byłaby zwierzęciem prehistorycznym. Wyrośła przecież z zimnej wojny i była jej instytucją – chodziło wtedy o to, aby zwaśnione strony rozmawiały ze sobą. Teraz OBWE może się stać instytucją łączącą dwa wymiary – państwa prawa i praw człowieka. W aspekcie praktycznym oznaczałoby to, że wspomniane zasady obowiązywałyby i w Czechach, i w Tadżykistanie. Uważam, że w filozofii działania OBWE powinno być przekonanie, że naruszenie praw człowieka i pryncypiów państwa prawa jest podważaniem bezpieczeństwa Europy. OBWE to ponadto akty prewencyjne, wczesne ostrzeżenie. Żadna inna organizacja nie ma tak szerokiej możliwości skutecznego działania, gdyż dochodzi w niej do połączenia teorii z praktyką.

Czy przewodniczenie OBWE nie zmusza pana, ministra spraw zagranicznych RP, do uprawiania politycznej ekwilibrystyki?

W momencie obejmowania tej funkcji miałem obawy, że dojdzie do kolizji z priorytetem naszej polityki zagranicznej, czyli przystąpieniem do NATO. Po półrocznej pracy mogę powiedzieć,

że tak się nie stało. W moim przekonaniu przewodnictwo w OBWE nawet nam pomogło. Udało się bowiem wzmocnić naszą pozycję międzynarodową i regionalną, naturalnie na naszą miarę, państwa średniej wielkości o ograniczonych środkach. Możemy jednak taką „światową” rolę odgrywać, jeżeli potrafimy być innowacyjni.

Po głosowaniu w amerykańskim Kongresie mogłoby się zdawać, że nasze członkostwo w NATO jest już pewne. Ostatnie informacje, m.in. z Włoch, i prawdopodobne problemy z ratyfikacją protokołów akcesyjnych w Grecji czy Turcji nakazują jednak ostrożność.

Powinnością polskiej dyplomacji jest uznać, że do ostatniego momentu sprawa nie jest przesądzona. Protokoły muszą zatwierdzić wszystkie państwa paktu. Dziewięć z nich już je zaaprobowало i mamy nadzieję, że z pozostałych siedmiu będą do nas docierały tylko dobre wiadomości. Licząc się z pewnymi trudnościami, mam jednak nadzieję, że do końca roku proces ratyfikacyjny zostanie zakończony i że w kwietniu 1999 roku Polska uroczystie stanie się członkiem sojuszu.

Jeszcze przed rokiem każda dyskusja o wejściu Polski do NATO wiązana była ze sprawą stosunków polsko-rosyjskich.

Sadzę, że Rosja pogodziła się już z tym, iż Polska wchodzi do NATO. W tej chwili Rosję interesuje to, jaką rolę wewnątrz NATO Polska będzie odgrywać w stosunku do niej. Jest tu pewien zakres wspólnego interesu łączącego obydwaj kraje. Rosja chciałaby, aby Polska jako członek NATO sprzyjała zacieśnianiu związków paktu z Rosją. Taki też jest polski interes. Polska, będąc w NATO, mając poczucie bezpieczeństwa, nie chce być przecież państwem „frontowym”. Jako członek sojuszu będziemy pierwszym państwem zainteresowanym dobrymi stosunkami między Rosją a NATO.

W ostatnich miesiącach obserwować można stałą poprawę stosunków dwustronnych między Polską a Rosją. Pozostaje problem,

który może dzielić, czyli kwestia dalszych rozszerzeń NATO. Jako kraj chcący reprezentować interesy regionu, mający poczucie pewnej wspólnoty losów i solidarności z innymi państwami regionu, wspieramy ideę dalszego poszerzenia paktu i to jest pewna płaszczyzna konfliktogenna. Myślę, że swoje zrobi tu czas. Trzy lata temu wydawało się, że Rosja nigdy nie pogodzi się z udziałem w NATO Polski, jej bliskiego sąsiada, członka tzw. bliskiej zagranicy, stosując neoimperialną terminologię rosyjską. Teraz Rosjanie akceptują to i proszą tylko, by nie oczekiwać, że będą się z tego cieszyć. Podobna sytuacja będzie pewnie za kilka lat, kiedy będziemy rozmawiali o następnej fazie poszerzenia NATO.

Mówił pan niedawno o problemie nadmiernego uzbrojenia w rejonie kaliningradzkim. Jak dalece komplikuje to stosunki dwustronne między Polską a Rosją?

Zależy nam na dobrej współpracy z obwodem kaliningradzkim, ale wszyscy partnerzy ewentualnej rozmowy o Kaliningradzie muszą wiedzieć, że Polska nigdy nie dopuści do utworzenia jakiegokolwiek „korytarza”, bo to jest decyzja polityczna o konsekwencjach dla całej Europy. Polska pragnęłaby, aby Rosja nie traktowała Kaliningradu jako bazy wojskowej. Dla nikogo nie byłoby to korzystne. Ważna jest jednak aktywizacja gospodarcza tego regionu, bo stwarza to Rosji szansę posiadania nad Bałtykiem – umownie mówiąc – swojego Hongkongu. Tymczasem moi rosyjscy polemici twierdzili, że ja chcę włączyć Kaliningrad do Unii Europejskiej. To śmieszne.

W miarę postępu rokowań o członkostwie Polski w Unii Europejskiej rośnie na Zachodzie obóz przeciwników naszego przystąpienia do UE.

Na wzrost ujawniających się poza granicami Polski tendencji przeciwnych naszemu członkostwu w Unii patrzę z niepokojem. To zjawisko mogące mieć skutki, jakich dziś jeszcze nie dostrzegamy. Naszym argumentem jest to, że przystępując do Unii,

wnosimy stabilizację, dynamicznie rozwijającą się gospodarkę i demokratyczne państwo. Jeżeli w jakiegokolwiek z tych dziedzin Polska okaże słabość, to przegramy. Uważam zresztą, że podział na „euroceptyków”, „euroentuzjastów” i „eurorealistów” to tylko formuły polityczne. Mogę zrozumieć, gdy używają ich dziennikarze, ale w ustach polityków brzmią one groźnie.

Ostatnie dane dowodzące, że w Niemczech szybko maleje akceptacja dla naszego członkostwa w UE, są bardzo niepokojące. Czy nie robimy za mało, aby uświadomić społeczeństwu państw Unii, że na naszym akcesie do UE zyska nie tylko Polska?

Nie zdołaliśmy uruchomić mechanizmów promocji Polski – mówię o tym z poczuciem goryczy. Słabość polega na tym, że nadal dziedziczymy struktury państwa scentralizowanego. Musimy na przykład niezwłocznie zreformować biura radców handlowych. Sławetne BRH muszą się stać elementem polskiej dyplomacji. Środki, jakimi dysponują, powinny być mądrzej zagospodarowane przez rząd. To oznacza także, że poszczególne ministerstwa nie będą miały własnych „ambasad”. Przecież to jest nonsens. Podobnie jak nasze instytuty kulturalne, które promują wyłącznie Polską kulturę, zapominając o polskiej gospodarce. Jestem ustawicznie zaskakiwany tym, jak mało za granicą wie się o polskich sukcesach. Będąc niedawno w Chorwacji, przechodzącej przecież taki sam proces transformacji jak my, przekonałem się, że Chorwaci nie wiedzą o naszym stałym wysokim wskaźniku rozwoju gospodarczego.

Czy nie świadczy to o tym, że trzeba czym prędzej przeprowadzić w MSZ wewnętrzną reformę, o której mówili także pańscy poprzednicy? Czy wzorem innych krajów kandydackich nie powinniśmy skoncentrować wszystkich przedsięwzięć związanych z naszym akcesem do UE w jednym miejscu, aby nie rozpraszać sił?

To trudne pytanie, ale nie będę od niego uciekał. Przy swoich uboższych środkach i jednocześnie wystarczającej ilości zajęć Minister-

stwo Spraw Zagranicznych ma dość argumentów, aby nie szukać zwiększenia zakresu swej odpowiedzialności i praw. Trzeba jednak myśleć w kategoriach racjonalnego modelu zarządzania krajem. Z tego punktu widzenia reforma administracyjna centrum, jaką odziedziczyliśmy po koalicji SLD-PSL, stworzyła układ, który nie funkcjonuje najlepiej. Trzeba uznać, że pewne instytucje dostosowane były do okresu przygotowawczego, a dziś trzeba pomyśleć, jak Polska funkcjonować będzie już w Unii Europejskiej. Wtedy nie będzie specjalnej potrzeby istnienia jakichś komitetów, urzędów integracyjnych. Ich rola i usytuowanie będą się zmieniać. Myślę, że w trakcie negocjacji KIE powinien odgrywać rolę „gabinetu europejskiego”, tak jak dzieje się to w niektórych krajach. Oznacza to, że część rządu bezpośrednio zaangażowana w integrację obraduje i podejmuje decyzje pod przewodnictwem premiera. Myślę, że KIE będzie się przekształcał, bo nie ma sensu, by utrzymywane były oddzielne departamenty traktatowe lub rolnictwa.

Na Węgrzech problematykę integracji europejskiej koordynuje Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Czy Polskę stać na komfort utrzymywania specjalnego Komitetu Integracji Europejskiej tylko ze względu na potrzebę zachowania parytetu politycznego w rządzących koalicjach – najpierw SLD-PSL, a teraz AWS-UW?

Życie nauczyło mnie, że radykalne rozwiązania mają często destruktywny charakter. Mam nadzieję, że we właściwy sposób ułoży się współpraca wewnątrz rządu, także po szczęśliwych i nieszczyśliwych doświadczeniach, jakie mieliśmy w naszych kontaktach z Unią Europejską. Jeżeli będzie następowała reorientacja struktury, to w okresie rokowań KIE będzie dobrym zapleczem dla negocjatorów. Trzeba przy tym założyć, że w toku istnienia państwa pewne struktury rozwijają się, inne zaś usychają.

Czy ostatnią przykrą historią z utratą środków z funduszu PHARE należy traktować jak poważne ostrzeżenie?

Zdaję sobie sprawę z tej porażki Polski. Ale nawet jeśli określimy to jako wypadek przy pracy, to nie po to, aby minimalizować jego znaczenie, lecz wyjaśnić dlaczego tak się stało. Najważniejsze, aby z tego niepowodzenia wyciągnąć wnioski. To, co się stało, nie należy do sfery odpowiedzialności polskiej dyplomacji, niemniej jednak skutki tej sprawy straszliwie obciążają jej działania. Teraz będzie niezwykle trudno przezwyciężyć ten negatywny wizerunek. Dokonała się tu negatywna promocja.

Zaczęliśmy naszą rozmowę od wizji Europy. Jak wyobraża pan sobie miejsce Polski w Europie za ćwierć wieku?

Chciałbym, aby Polska była wówczas pełnoprawnym członkiem struktur europejskich, żebyśmy nie byli peryferyjną fortecą NATO, która jest tylko strefą buforową. Musimy być także członkiem unii walutowej. W przeciwnym wypadku znowu powstanie mur, może nawet gorszy od berlińskiego. A to skazałoby nas na peryferyjność. Polska bywała w swych dziejach państwem peryferyjnym, ale nigdy nie było to dla nas korzystne. Musimy również stać się społeczeństwem wyedukowanym, krajem, który ma racjonalną gospodarkę i do tego jest pomysłowy, tzn. „produkuje” bezpieczeństwo, stabilizację i ma pomysły na przyszłość. Możemy odegrać taką rolę jak Hiszpania, bo mamy podobny potencjał i nasz głos będzie się podobnie liczył.

Eksport sukcesów

Z prof. Bronisławem Geremkiem, ministrem spraw zagranicznych RP i przewodniczącym OBWE,
rozmawia Juliusz Urbanowicz

Juliusz Urbanowicz: Czy w związku z groźbą globalnego kryzysu gospodarczego i osłabieniem amerykańskiego przywództwa nie kończy się „pięć minut” dobrej koniunktury międzynarodowej dla Polski?

Bronisław Geremek: „Pięć minut” wielkiej szansy Polska miała tylko w okresie wielkiego przełomu ustrojowego. W tej chwili jesteśmy w sytuacji normalnej, choć nadal stoimy wobec wielkich wyzwań, na które ma odpowiedzieć świat. Rzadko w dziejach Polski mieliśmy na horyzoncie tak wiele szans i tak mało zagrożeń. Od wejścia do NATO dzieli nas tylko ratyfikacja protokołów akcesyjnych przez Holandię i Turcję. Polska znajdzie się w najpotężniejszym sojuszu obronnym drugiej połowy XX wieku. Uzyska najpewniejszą gwarancję bezpieczeństwa, jaka istnieje w stosunkach międzynarodowych. Negocjacje z Unią Europejską w sprawie członkostwa rozpoczną się w listopadzie. Nie ma wątpliwości, że wejdziemy do Unii, pozostaje tylko pytanie, kiedy to nastąpi. Polski rząd postanowił dostosować przygotowania w ten sposób, byśmy byli gotowi zostać członkiem Unii 1 stycznia 2003

roku. Zależy to głównie od tego, w jaki sposób potrafimy sprostać oczekiwaniom Unii i od woli politycznej obecnych jej członków. Nie ma podstaw do taniego optymizmu, w tej chwili ta wola jest słabsza niż do niedawna.

Kryzys rosyjski po raz pierwszy jednak pokazał jednoznacznie, że Polska rzeczywiście wyszła z przestrzeni postradzieckiej. Nie ma ani uwarunkowanych tym kryzysem rozkładowych procesów w naszej gospodarce, ani równoległych, podobnych problemów destrukcji finansów publicznych.

Nie ma zagrożeń dla naszych celów politycznych: wejścia do NATO i UE?

Proces osłabiania woli politycznej Zachodu poprzedzał kryzys rosyjski, a nie był jego następstwem. Oczekuję nawet pewnego pozytywnego efektu politycznego: kryzys rosyjski może unaocznić potrzebę przyspieszenia procesu integracji euroatlantyckiej i europejskiej.

Powtórki sytuacji z okresu puczu Janajewa, który dopomógł nam w negocjacjach na temat stowarzyszenia z Unią?

Pucz Janajewa obudził Zachód z letargu entuzjazmu. Obecny kryzys uczy, że polityka skoncentrowana przede wszystkim na Rosji – *Russia first* – poniosła dotkliwą porażkę. Podkreślam to bez satysfakcji, bowiem powodzenie Rosji jest w interesie zarówno Polski, jak i całego świata, ale Zachód powinien realistyczniej oceniać sytuację w regionie po załamaniu w Rosji.

Kryzys na Wschodzie dotyczy także Białorusi i Ukrainy. Czy zamiast spoglądać na Zachód, będziemy musieli się zajmować Wschodem?

Priorytetowe interesy wiążą się z Zachodem, ale mamy je też na Wschodzie. Jest tu miejsce na aktywniejszą rolę regionalną Polski. Nasi sąsiedzi nie liczą na pieniądze, kredyty, lecz oczekują partnerstwa i dzielenia się naszymi doświadczeniami. Sukces

polских reform gospodarczych, stabilizacja polityczna państwa sprawia, że Polska jest atrakcyjnym partnerem nawet dla tak odległych krajów, jak Bułgaria czy Rumunia. One też szukają ze strony Polski wsparcia, modelu do naśladowania. To jest wyzwanie, na które powinniśmy umieć odpowiedzieć. Mamy zadanie i historyczną szansę świadczenia pomocy innym, eksportowania stabilizacji, a nie tylko pukania do drzwi bogatych, wielkich państw.

Czy osłabienie amerykańskiego przywództwa w związku z aferą wokół Moniki Lewinsky nie zaszkodzi naszym planom integracyjnym? Zwłaszcza polska opinia publiczna, oceniając prezydenta Clintona, musi mieć świadomość, że bez niego i jego polityki nie stali byśmy w tej chwili przed perspektywą wejścia za kilka miesięcy do NATO. Słabość politycznego kierownictwa jedyne supermocarstwa istotnie ma skutki dla całego porządku europejskiego i światowego. Osłabiony prezydent USA, nie mający moralnego autorytetu przywódcy Zachodu, to zły znak dla aliansu, który Polska zawiera. Ale nie przeceniałbym tego faktu. Po wyborach do Kongresu Ameryka powinna odnaleźć równowagę, bo nikt nie jest w stanie zastąpić jej w roli światowego lidera.

Bez zaangażowania USA komplikuje się sytuacja w Europie – w Bośni, Kosowie, Albanii...

Europa potencjalnie jest potęgą polityczną. Może się obudzić do swej roli i w sytuacji nieobecności naturalnego lidera zacząć wypełniać funkcję, której dotychczas nie potrafiła pełnić.

Poznamy więc – zgodnie z życzeniem Kissingera – telefon do ministra spraw zagranicznych Europy?

Już dziś mogę podać panu Kissingerowi dwa telefony: do przewodniczącego UE, wicekanclerza i ministra spraw zagranicznych Austrii, a także do komisarza Unii do spraw zagranicznych. Obaj mają możliwość efektywnego działania, ale ważne, żeby chcieli z niej korzystać.

Przywykliśmy do tego, że Niemcy są naszym głównym europejskim sojusznikiem, jednak od pewnego czasu obserwujemy ochłodzenie w stosunkach między obu krajami. Ostatnie roszczenia wypędzonych wręcz kwestionują pojednanie polsko-niemieckie, które uważaliśmy za fakt.

Przed Polską stoi dziś potrzeba nowego sformułowania stosunków z Niemcami – na miarę tego, które nastąpiło po podpisaniu traktatu polsko-niemieckiego i umożliwiło daleko idące pojednanie i poparcie Niemców dla naszych narodowych aspiracji. To było jedno z najbardziej pozytywnych zjawisk końca XX wieku. Obecnie problem sprowadza się do tego, w jaki sposób ponownie oprzeć nasze stosunki na wspólnych interesach i nie pozwolić, by polityczni oszuści wykorzystywali historię polsko-niemieckiej nieprzyjaźni do osiągania swych celów politycznych i pozyskiwania poparcia społecznego.

Znajdzie pan partnerów po stronie niemieckiej?

Znam już takich partnerów, ale nie wiem, jaki jest ich ciężar polityczny w stosunku do budzących się znowu egocentrycznych reakcji narodowych. Problemem jest to, że Niemcy nadal są kolosem ekonomicznym, ale krasnałem politycznym. To jest wyzwanie, gdyż młode pokolenie musi znaleźć odpowiedź na pytanie o miejsce swego kraju w Europie. Jeżeli zrealizuje się Unia o mocnej strukturze, która bardzo wplata Niemcy w europejską integrację, otworzy się szansa dla mądrego myślenia niemieckiego i zmniejszą szansę pojawienia się polityki agresywnej.

W SPD też pan dostrzega partnerów?

W SPD oraz w Partii Zielonych, myślę głównie o jej przywódcy – Joschce Fischerze. Znamienne, że przywódca partii, która zawsze była partią antynatowską, popierał rozszerzenie NATO. Ale nie kryję, że całe moje doświadczenie polityczne oparte jest na zaufaniu do obecnej koalicji i jej przywódców. Wiemy, jakie są jej intencje wobec Polski.

Wiąże pan jednak obawy z możliwością objęcia władzy przez nowy układ?

To wyłącznie niepewność, czy Polska będzie mieć dla niego tak samoistne znaczenie, jakie miała dla koalicji, na której czele stoi Helmut Kohl. Ważne jest nie to, jaka koalicja polityczna ukształtuje się po wyborach, lecz jaką politykę będzie prowadzić i jakie będą społeczne oczekiwania społeczeństwa niemieckiego wobec tej polityki.

Potrzeba będzie wielkiej zręczności po obu stronach w układaniu na nowo stosunków polsko-niemieckich. Czy nasza polityka jest do tego zdolna, skoro zabrakło nam zręczności na przykład przy składaniu Rosji oferty pomocy żywnościowej?

Oferta pomocy padła w momencie, w którym Rosja nie miała rządu, rozpadały się struktury władzy centralnej i dochodziły wiadomości o rozpadzie koordynacji zaopatrzenia. W bardzo krótkim okresie Rosji udało się przezwyciężyć kryzys polityczny i powołać premiera. To zupełnie nowa sytuacja.

Wobec roszczeń wypędzonych polska polityka odpowiadała rozumnie i konsekwentnie, nie wzniesając płomienia nowej nienawiści. Przeciwnie, nadaliśmy właściwe wymiary nieprzyjaznej dla Polski demagogii, pojawiającej się w niemieckiej kampanii wyborczej.

Od lat nie udaje nam się dokonać przełomu w stosunkach nie tylko z Izraelem, ale i z żydowską diasporą. Teraz w dodatku mamy poważny konflikt o krzyże na Żwirowisku.

Trudno oczekiwać przełomu, bo materia tych stosunków jest niesłychanie trudna, nawarstwiona historycznie. Ale wykonana została ogromna praca wielu środowisk, w tym MSZ, zanim jeszcze stałem się jego szefem. Teraz chodzi o to, by ekstremiści po obu stronach nie znajdowali społecznego poparcia. To pozwoli na kontynuowanie dialogu polsko-żydowskiego w sposób rozumny. Tak, by nie traciły interesy polskie i nie była raniona wrażliwość żydowska.

Ale to się właśnie nie udaje. Jak to zrobić?

Jesteśmy na dobrej drodze. Otworzyło się stanowisko biskupów. Sądzę, że w najbliższych dniach nastąpią rozumne, skuteczne działania władz publicznych i emocje już nie będą decydowały o sprawach tak ważnych. Po ostatniej wymianie listów premiera Buzka z przedstawicielami wspólnoty żydowskiej wydaje mi się to możliwe, ale trzeba poczekać na decyzje, które zapadną na Żwirowisku. One powinny być podstawą do wznowienia dialogu.

Czy krzyże powinny być usunięte ze Żwirowiska, w tym tzw. papieski?

Ciągle żywa jest w Polsce tradycja walki władzy z krzyżem. Władza publiczna nie może walczyć z krzyżem. To może być tylko decyzja Kościoła, natomiast władza publiczna może i powinna stworzyć warunki do jej realizacji.

Co zrobić, by to, co się dzieje w kraju – na przykład pomysł PSL rozpisania referendum w sprawie członkostwa w Unii – nie osłabiło naszych dążeń integracyjnych?

Kapitałem polskiej polityki zagranicznej jest atrakcyjny wizerunek Polski w świecie. Pojawiają się na nim rysy, gdy manifestacje uliczne czy blokady dróg stają się elementem codziennym naszej polityki. Jeśli to one wezmą górę, nasze szanse będą małe. Jednym z najważniejszych argumentów na rzecz naszego dążenia było szerokie poparcie społeczne dla integracji. Jeśli umocnią się siły polityczne szukające sukcesu w antyintegracyjnej demagogii, zagrozi to naszym szansom.

Obejście twierdzy

Z ministrem spraw zagranicznych, Bronisławem Geremekiem, rozmawia Katarzyna Montgomery

Katarzyna Montgomery: Czy z tego, co powiedział pan podczas sesji negocjacyjnej z Unią Europejską w Luksemburgu wynika, że Polska już nie zależy na szybkim wejściu do Unii Europejskiej?

Bronisław Geremek: Przeciwnie. W ubiegłym tygodniu w Luksemburgu przedstawiłem stanowisko rządu polskiego, który z zadowoleniem przyjmuje to, że w roku 2002 Unia będzie gotowa na przyjęcie nowych członków i deklaruje, że Polska ze swej strony będzie gotowa wejść do Unii 1 stycznia 2003 roku.

To, co się dokonało wokół dat, nie wynikało w żadnej mierze ze zmiany stanowiska po jednej czy drugiej stronie, ale ze stanu ogólnej niemożności. Unia nie była w stanie przygotować się na przyjęcie nowych członków. Niektórzy kandydaci, wśród nich zwłaszcza Polska, nie byli w stanie wypełnić zobowiązań, które na siebie przyjęli. Wydawało się, że odpowiedź w sprawie dat może być tylko negatywna.

Konkluzją stanowiska, które przedstawiłem w Luksemburgu i w tym tygodniu w Porto w Portugalii na spotkaniu z partią liberalną Parlamentu Europejskiego, było stwierdzenie, że nie chodzi nam o magię dat, ale o realia.

Zamiast w kółko powtarzać daty, zaproponowaliśmy realny proces, który umożliwia, a nawet determinuje uznanie, że 1 stycznia 2003 roku wejdziemy do Unii Europejskiej.

Obecny rok dla rozszerzenia Unii Europejskiej jest decydujący. W tej kwestii przesłanie ze szczytu w miniony poniedziałek, którym kończy się prezydencja portugalska, jest jednak jednoznaczne – rzeczywistym wyzwaniem jest rozszerzenie Unii, natomiast wewnętrzne zmiany mają jedynie przygotować Unię na przyjęcie nowych państw członkowskich.

Jak nam powiedziano, Unia będzie gotowa to zrobić w roku 2002. Nasze oświadczenie, że 1 stycznia 2003 roku Polska i piątka innych krajów, które wchodzi w skład pierwszej grupy negocjującej, będą gotowe do wejścia do Unii, była odpowiedzią na tę deklarację.

Polska swoją datę określiła jednoznacznie i inne rządy się do niej dostosowały. Węgrzy początkowo chcieli wyznaczyć tę datę na rok wcześniej, a Czesi na dwa lata później.

W negocjacjach są takie momenty, kiedy zamiast stosować taktykę ataku frontального, trzeba obejść twierdzą. I to właśnie zrobiliśmy w Luksemburgu.

W jaki sposób?

Zaproponowaliśmy trzy działania. Przede wszystkim stworzenie jasnego obrazu stanu negocjacji. Zamiast o 29 rozdziałach mówiliśmy o trzech pakietach, pokazując, jakie są problemy w każdym z nich.

Pierwszy pakiet dotyczy problemów jednolitego rynku i wszystkich wymogów z tym związanych. To największa część legislacji europejskiej. Sporne są w tej części dwie kwestie: sprawa zakupu ziemi przez cudzoziemców i prawo Polaków do swobodnego przemieszczania się, a co za tym idzie – podejmowania pracy w krajach Unii. W całym tym pakiecie chodzi więc o podjęcie dwóch decyzji.

Drugi pakiet nazwaliśmy pakietem jakości życia. W nim głównym problemem jest ochrona środowiska. W tej dziedzinie pozostajemy w tyle za krajami Unii, bo jedną z cech charakterystycznych dla rządów sprzed 1989 roku był brak respektu dla środowiska naturalnego. Ponieważ polskie środowisko jest w fatalnym stanie i jego poprawa wymaga ogromnych nakładów, występujemy o okresy przejściowe. Wszystko wskazuje na to, że w tej kwestii zostanie stworzony system monitorowania, jak przystosowujemy się do unijnych wymogów.

Trzeci pakiet jest najtrudniejszy, bo dotyczy sposobu wykorzystania środków z budżetu Unii w takich obszarach jak rolnictwo, rybołówstwo oraz funduszy kohezyjnych i strukturalnych. W tym trzecim pakiecie są rzeczywiście problemy do dyskusji, komu, kiedy i ile.

Co nam daje podział na pakiety?

Zamiast 29 rozdziałów, z których zamknęliśmy tylko 11, a 18 zostało do negocjowania, uzyskaliśmy trzy pakiety, z czego w dwóch są do podjęcia decyzje.

Będą to więc raczej decyzje polityczne.

To są decyzje w połowie polityczne, a w połowie techniczne. Dzięki temu politykom łatwiej będzie je podjąć i mogą zrobić to szybciej, co będzie sprzyjało realizacji drugiego z trzech zgłoszonych przez nas postulatów, aby ratyfikacja traktatu akcesyjnego z Polską następowała równolegle z ratyfikacją traktatu tzw. nicejskiego, w którym podczas szczytu grudniowego ma zostać zdecydowana reforma Unii.

Wbrew pozorom nie jest to tylko problem prawny. Od tego zależy nasza data przystąpienia do Unii. Jeśli zaproponowana przez nas zasada nie zostałaby przyjęta, to wejście w 2003 roku byłoby niemożliwe. Traktat nicejski może być ratyfikowany najwcześniej za półtora roku, czyli wtedy najwcześniej można by myśleć o przygotowaniu do ratyfikacji traktatów akcesyjnych, co zajęłoby kolejne półtora roku. Dlatego chcemy, aby ratyfikacje obu traktata-

tów były jednocześnie. Opracowaliśmy klauzulę prawną mówiącą, że ratyfikacja traktatu akcesyjnego nabiera mocy tylko wtedy, gdy traktat nicejski zostanie przyjęty.

A trzeci postulat...

On też dotyczy daty. Postulujemy, aby fundusze przewidziane na rozszerzenie Unii w jej budżecie na rok 2002 – jest to 4,5 mld euro – zostały zarezerwowane na pomoc dla rolnictwa nowych członków, kiedy już rozszerzenie nastąpi.

Zaproponowaliśmy, że skoro kraje unijne przewidziały te wydatki w swoich budżetach, to żeby wpłaciły je do budżetu Unii, mimo że rozszerzenie nie nastąpi w 2002 roku. Byłaby to zakumulowana suma założycielska na politykę rolną, przeznaczona przede wszystkim dla Polski.

I co Unia na to?

Propozycja dotycząca pakietów negocjacyjnych została przyjęta z dużym zainteresowaniem. Wcześniej mówiono nam: jak wy możecie poważnie myśleć o zakończeniu na czas negocjacji, skoro dwa lata was kosztowało zamknięcie 11 rozdziałów, a przed sobą macie jeszcze 18 – to oznacza 4 lata dalszych negocjacji. Po naszej propozycji ten problem został oddramatyzowany.

A jak przyjęto propozycje połączonej ratyfikacji?

Pierwszy raz to rozwiązanie zaproponowaliśmy rok temu i wówczas reakcja była zdecydowanie negatywna. Teraz zareagowano pozytywnie. Większość krajów przyjmuje, że jest to możliwe przy zastosowaniu zaproponowanej przez nas klauzuli prawnej.

A co z pieniędzmi na rolnictwo?

W sprawie pieniędzy dżentelmeni są bardzo poważni i na razie odpowiadają: nie. Ale gdyby dwa pozostałe mechanizmy zostały wprowadzone, to nasza szansa na uzyskanie członkostwa w 2003 roku byłaby duża. W ten sposób czasem lepiej nie dyskutować o datach, które są pustymi cyframi, tylko o mechanizmach, dzięki którym uzyskuje się datę, jaką się chce.

Od czego zależy zgoda na nasze propozycje?

Po stronie Unii od woli politycznej, po naszej stronie od wizerunku, jaki mamy.

Co w tym wizerunku jest najważniejsze dla Unii?

Obraz nowoczesnego państwa i społeczeństwa, państwa, które bardzo intensywnie i skutecznie prowadzi prace legislacyjne i co za tym idzie, przejmuje *acquis communautaire*, które nie boi się rynku, nie boi się wspólnoty. Te trzy elementy mają decydujące znaczenie dla pojawienia się woli politycznych decyzji ze strony Unii.

Czy tzw. Wielka Komisja, która ma w Sejmie zająć się dostosowaniem polskiego prawa do unijnego, może wpłynąć korzystnie na wizerunek?

Legislacja europejska to element polskiego interesu narodowego. W tej sprawie powinno się znaleźć minimum porozumienia między wszystkimi siłami politycznymi. Dlatego MSZ zaproponowało, aby była to nie tylko komisja przełamująca normalną strukturę komisji sejmowej, ale także taka, która łamie podział Sejmu i społeczeństwa na koalicję rządzącą i opozycję. To jest partnerska propozycja dla opozycji, która w tej komisji może znaleźć znakomity instrument kontroli, nadzoru, a rząd może dzięki tej komisji szybko przeprowadzić zmiany legislacyjne. Rząd zamierza ograniczyć zakres nowelizacji do tych elementów, które są niezbędne z punktu widzenia *acquis communautaire*. Na to musi się jeszcze zgodzić Sejm, bo to nie jest zgodne z polskimi praktykami parlamentarnymi – takie rozwiązanie jest bliższe amerykańskiemu praktykom parlamentarnym.

Kto powinien zasiąść w tej komisji?

Najlepsi przedstawiciele parlamentu, którzy są postaciami politycznymi i w związku z tym uzyskają pełne zaangażowanie ugrupowań politycznych oraz najlepsi legislatorzy. Wielka Komisja i zgoda polityczna to nowe mechanizmy.

Gdybyśmy potrafili je stworzyć, zapobieglibyśmy wykorzystywaniu sprawy integracji europejskiej do potyczek partyjnych w trakcie kampanii prezydenckiej, a potem parlamentarnej.

Dotąd liczyliśmy też na wsparcie naszych unijnych sojuszników Francji i Niemiec. Czy nie przeliczyliśmy się w oczekiwaniach? Poparcie w tych krajach dla naszego członkostwa nie różni się bardzo od stanowiska pozostałych członków.

Nigdy nie przeliczyliśmy się, mówiąc, że najwięcej zależy od Niemiec i Francji. Te dwa kraje zawsze lub prawie zawsze miały wolę polityczną, aby Unię popychać naprzód. W swoim czasie potrafiły przełamać opór państw Beneluxu i Wielkiej Brytanii. Teraz także mamy głęboką i uzasadnioną wiarę, że Francja i Niemcy są adwokatami sprawy rozszerzenia. Kłopot w tym, że w obu tych krajach to, co wiedzą elity, że rozszerzenie europejskie jest wielkim wyzwaniem historycznym, nie jest podzielane przez znaczną część społeczeństwa. W obu tych krajach jest stosunkowo niski stopień poparcia społecznego dla wejścia nowych członków w perspektywie wyborów parlamentarnych – dla polityków jest to ważny element. Dlatego myślę, że trzeba starać się oddramatyzować problemy akcesji i uzyskać jasność w sprawie interesów. Musimy przekonać Niemców i Francuzów, że przyjęcie nowych członków jest w interesie Unii Europejskiej oraz w interesie Francji i Niemiec jako państw.

Głównym problemem była przez długi czas Francja, która mówiąc o priorytetach swojej prezydencji, w ogóle nie wymieniała sprawy rozszerzenia. Ostatnie rozmowy z ministrem ds. europejskich Pierre'em Moscovicim całkowicie zmieniły tę francuską opcję. Moscovici nigdy wcześniej nie powiedział tego, co zadeklarował w Warszawie, czyli że rozszerzenie będzie najważniejsze dla Francji podczas jej prezydencji w Unii Europejskiej. To czasem jest magia słów i może przywiązuję do nich nadmierną wagę, ale taka zapowiedź w momencie faktycznego objęcia kierownictwa w Unii Europejskiej jest bardzo obiecująca.

Dlaczego Francja zmieniła stanowisko?

Póki wejście Polski do Unii było zagrożeniem dla wspólnej polityki rolnej, Francja nie widziała swojego interesu w rozszerzeniu Unii. Uzyskuje przecież ogromne nadwyżki w świadczeniach ze strony Unii właśnie dlatego, że korzysta ze wspólnej polityki rolnej. Wejście Polski, kraju ze sporym rolnictwem, mogło być wykorzystane jako argument, aby zlikwidować wspólną politykę rolną. Francuscy politycy mówią, że wybory w ich kraju wygrywa się dzięki zdobyciu poparcia niewielkiej części społeczeństwa żyjącej z rolnictwa.

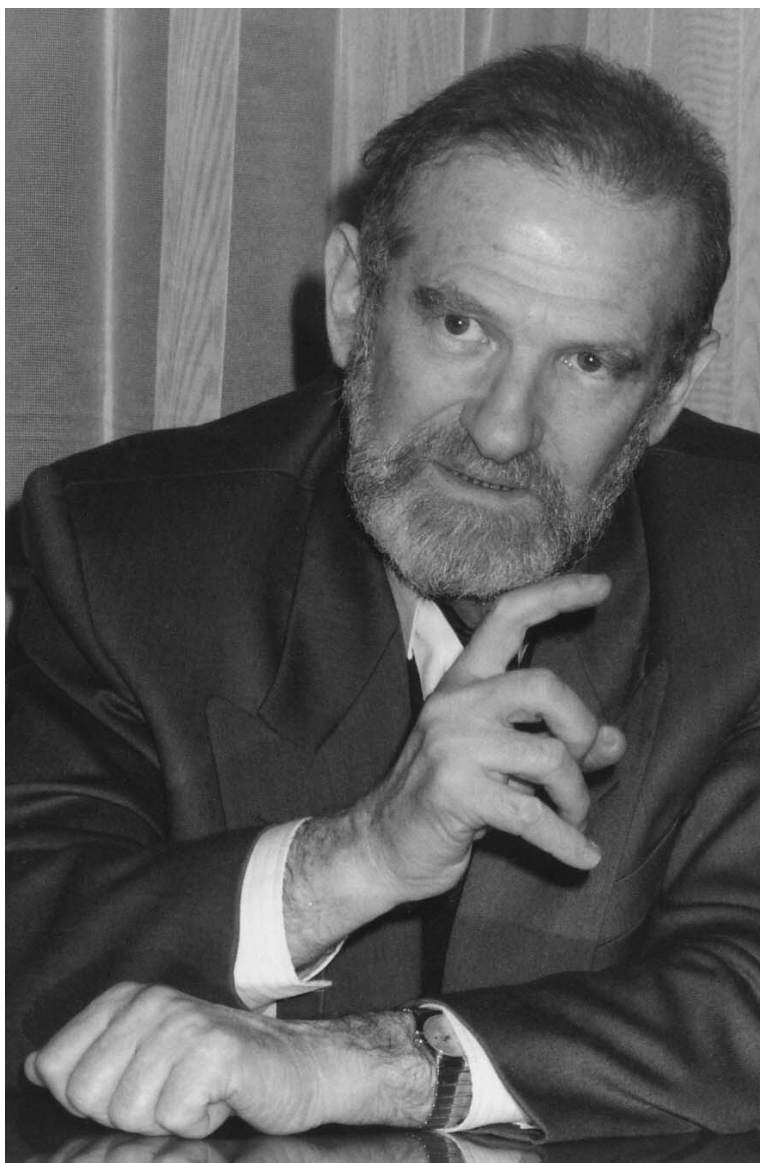
Kiedy uzgodniliśmy, że Polska i Francja są zainteresowane wspólną polityką rolną, kiedy Polska zadeklarowała poparcie dla niej w nadziei, że nasi rolnicy będą z niej korzystali, zmienił się stosunek Francji do nas jako do przyszłego członka Unii. Przekonaaliśmy Francuzów, że mamy wspólny interes. Jestem przekonany, że w grudniu u kresu prezydencji francuskiej Niemcy i Francja postanowią doprowadzić do końca rozszerzenie i wówczas przyszłoroczna prezydencja szwedzka, która traktuje rozszerzenie priorytetowo, może doprowadzić do zakończenia negocjacji, przynajmniej z krajami najbardziej zaawansowanymi.

Czy MSZ jest przygotowane na opóźnienie naszego wejścia do Unii? Na przykład na Ukrainie obiecujemy, że wizy dla jej obywateli wprowadzimy w możliwie najpóźniejszym terminie. A dla obywateli Rosji wprowadzamy je wcześniej, co może poważnie pogorszyć stosunki polsko-rosyjskie. Jeśli nie zrekompensuje tego nasze członkostwo w Unii, możemy ponieść straty, nie odnosząc korzyści. W wizerunku kandydujących do Unii krajów Europy Środkowej i Wschodniej obcy obserwator szuka tych elementów, których się boi. Teraz Zachód boi się przede wszystkim przestępczości zorganizowanej i nielegalnej migracji. Musimy przekonać Zachód, że nie da się temu zapobiec, stawiając na granicy mury i zasieki z kolczastego drutu, że potrzebne są inne systemy kontroli. Dlatego powinniśmy realizować zaaprobowany przez rząd plan

wprowadzenia wiz dla obszaru postradzieckiego. Mam nadzieję, że dotrzemy obietnicy, zgodnie z którą wizy dla obywateli Ukrainy wprowadzimy przed samą akcesją.

Natomiast wśród państw WNP, w tym Rosji, obserwujemy tendencję do wzajemnego wprowadzania wiz, więc wprowadzenie ich przez nas nie powinno być tam źle odebrane.

IX
Gorzki bilans



„Stan świadomości Polaków wskazuje jednoznacznie na to, że jesteśmy społeczeństwem europejskim, ale obecna polityka stawia pod ogromnym znakiem zapytania miejsce Polski w Europie”.

W rękach kapryśnej damy

Z Bronisławem Geremkiem rozmawiają
Artur Domosławski i Piotr Pacewicz

Artur Domosławski, Piotr Pacewicz: Znajoma opowiedziała nam anegdotę o podwarszawskim kole Unii Wolności. Ma się odbyć zebranie i ona, szeregowy członek Unii, idzie przerażona, że nikogo nie zastanie, bo wszyscy przeszli już do Platformy Obywatelskiej. Przychodzi, a tu wszyscy są z wyjątkiem szefa koła. Tylko on wybrał Platformę. Wychodzą pokrzepieni. Znajoma wraca z działaczem, który kończy właśnie studia ekonomiczne. „Myślałam, że akurat ciebie już tu nie zastanę”. On: „Uważasz mnie za karierowicza?”. Ona, speszona: „Może nie aż tak, ale...”. On: „Słuchaj, nic wstydliwego. Ja chcę zrobić karierę w polityce, ale pomyślałem sobie tak – wszyscy, którzy chcą robić karierę, poszli do Platformy. To gdzie ja zrobię lepszą karierę: w Unii czy w Platformie?”. Panie profesorze, czy w UW można jeszcze zrobić karierę?

Bronisław Geremek: Sam się czasem dziwię – wielu ludzi, których odejście z Unii zapowiadano, wcale nie odchodzi. Odejścia to już zamknięty rozdział. Ale nie uważam, że z Unii odeszli tylko karierowicze, ani nie sądzę, by chęć zrobienia kariery była czymś nagannym. To po prostu realizowanie ambicji.

Ja sam nie potrafię traktować polityki wyłącznie jako trampoliny do kariery. Dla mnie polityka jest służbą publiczną. Czy między

karierą a takim pojmowaniem polityki jest sprzeczność? Nie sądzę. Między karierowiczostwem a służbą jest przepaść. Ja jednak odróżniam jedno od drugiego.

W wywiadzie dla „Nowego Państwa” tak pan mówił o objęciu szefostwa Unii: „Wiedziałem, że moja popularność, prestiż mogą na tym tylko ucierpieć, ale miałem poczucie, że jestem zobowiązany coś dać Unii Wolności. Osobiście niczego dobrego nie oczekiwałem. Można powiedzieć, że to się sprawdza”. To coś więcej niż niechęć do trampoliny – to niemal cierpiętnictwo. Czy przypadkiem taka postawa nie przysparza dziś Unii kłopotów? To może denerwować: pyka pan sobie fajeczkę i mówi, że się poświęca.

Cierpiętnikiem nie jestem. Nie uważam, by moja służba publiczna była tylko poświęceniem. Jest też źródłem satysfakcji. Gdybym nie został wybrany na przewodniczącego, na pewno bym Unii nie opuścił.

Czy pojmowanie polityki jako służby jest czymś staroświeckim? Nie sądzę – choć może to nie pasuje do programów telewizyjnych, gdzie wszystko musi być „fantastyczne, super, wspaniałe”. To raczej element misji polskiej inteligencji. Bez takiego pojmowania polityki inteligencja po prostu nie miałaby racji bytu.

Czy to odsuwa ludzi od UW? Jednych odsuwa, innych przyciąga. I na tych drugich mi zależy. Tacy ludzie są potrzebni Unii, taka Unia jest potrzebna Polsce.

Ale czasami ukazuje pan zgoła inny wizerunek. Oto na ekranie telewizora widzimy, jak podnosi pan do góry narty, „by wykonać skok Małysza”. Nawiasem mówiąc, nie były to narty do skoków, lecz slalomowe.

Panowie, mój własny skok już zrobiłem i nie potrzebuję nowego. Natomiast uważałem, że młodemu pokoleniu, które na ogół manifestuje obojętność i zniechęcenie do polityki, trzeba dać przesłanie. Że polityka może być radością i że można ją uprawiać z uśmiechem – bez tych ciągłych wrzasków, iż Rzeczpospolita gore.

Polityka nie jest zbiorowym lamentem, tylko próbą pozytywnego działania. Te narty – proszę się nie czepiać, czy do skoków, czy slalomowe – miały być sygnałem.

Lubi pan być politykiem?

Gdybym nie lubił, to bym nie był. Miałem i wciąż mam ten luksus, że mogę wrócić do historii. Historykiem jestem z powołania. To mi daje największą satysfakcję. Życie spędziłem na czytaniu książek, czasem na ich pisaniu – i byłem przekonany, że tak też życie zakończy. Polityka pasjonowała mnie zawsze, ale całe lata sądziłem, że jest to dla mnie świat zamknięty. Na zawsze.

Bycie w PZPR nie było polityką?

Nie, to raczej wyjście z PZPR – legitymację oddałem po interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji w sierpniu 1968 roku – oznaczało decyzję polityczną. Ale swoje miejsce w polityce znalazłem dopiero dzięki tej cudownej przemianie, jaka się w Polsce dokonała. Gdy angażowałem się w „Solidarność”, to nie z myślą o karierze.

Czyli jak? Poświęca się pan, rezygnując z ukochanego zawodu, czy nie?

Polityka nieraz prowadzi do goryczy, nieraz do poczucia zawodu, ale w sumie stale sprawia radość, daje satysfakcję. Pozwala robić coś, co uważam za słuszne i dobre dla innych. A satysfakcja historyka też w tym jest. Normalny historyk zawsze przecież pisze o polityce i próbuje ją zrozumieć. Myśli: czy ten król, czy tamten generał wykorzystali swoją szansę? I często ma poczucie, że jest mądrzejszy od tego, o którym pisze, bo wie, co tamten powinien zrobić. I oto nagle ja, historyk średniowiecza, dostałem szansę, żeby własną ręką ciągnąć za sznurki, które mogą zmienić bieg historii.

Ten pana największy skok to...

„Solidarność”.

Ale która?

Ja znam tylko jedną. Niedawno widziałem w waszych „Wysokich Obcasach” taki kwestionariusz z krótkimi pytaniami. Na większość nie umiałbym odpowiedzieć, ale było jedno: kiedy ostatnio płakałeś? Ja właściwie nigdy nie płaczę. Zdarzyło mi się to tylko dwa razy, gdy miałem poczucie – ośmielię się to powiedzieć – szczęścia.

Raz, gdy w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 roku zrodził się tam nasz wielki ruch społeczny i narodowy. To było najwspanialsze wydarzenie, jakie zdarzyło się Polsce i Europie przed końcem XX stulecia. I drugi raz, gdy 12 marca 1998 roku w Independence podpisywałem traktat waszyngtoński i Polska wchodziła do NATO. Kilka słów wypowiedziałem wtedy ze ściśniętym gardłem.

Ale między tymi dwoma momentami było coś jeszcze. Przy Okrągłym Stole okazał się pan skutecznym negocjatorem, chyba najtwardszym po naszej stronie.

To już nie był czas wzruszeń, euforii, choć przecież Okrągły Stół wzruszył bryłę świata, bo pokazał pokojowy sposób na wyjście z komunizmu. Komunizm upadłby zapewne i bez tego, mur berliński także. Ale może pięć miesięcy później, może pięć lat, a może pięćdziesiąt. Taka jest inercja wielkich systemów.

W trakcie rozmów przy Okrągłym Stole miałem poczucie, że stąpamy po linie, z której w każdym momencie można spaść, a wtedy wszystko zostanie przekreślone. Ten stan napięcia sprawił, że nie zauważyłem, jak po drugiej stronie stołu, po stronie naszych przeciwników, pojawiło się myślenie w kategoriach dobra wspólnego. Gdyby czegoś takiego wśród nich nie było, spadlibyśmy z liny.

Minęło 12 lat, ale ładunek negatywnych emocji jest wciąż wielki. Wielu ludzi ma poczucie moralnej klęski, że robotnicy z „Solidarności” klepią biedę, a taki np. Jerzy Urban...

Ja te emocje rozumiem i – powiem szczerze – podzielam. Ale uważam, że polityk nie może kierować się emocjami, lecz spokoj-

ną analizą. Widzę zarówno odpowiedzialność generałów za stan wojenny, jak i ich rolę twórczą dla polskiej niepodległości osiem lat później. Do końca nie wiem, czy między jedną a drugą decyzją oni się zmienili, czy też w 1989 roku wciąż byli tacy sami, ale zabrakło im już wiary we własną siłę.

Za stan wojenny ich nie rozgrzeszam. Za Okrągły Stół mam dla nich szacunek. Wciąż mieli w ręku wszystkie środki przemocy, a jednak zgodzili się na kompromis.

Krótko po Okrągłym Stole powiedział pan w jednym z wywiadów, że gen. Jaruzelski w wieku 70 lat odwrócił się od całego swojego życia.

Powiedziałem to pod wpływem rozmowy, jaką z nim miałem w grudniu 1989 roku w Belwederze. Jaruzelski był już wtedy prezydentem. Wysłuchałem długiego monologu generała o jego życiu i byłem pod wrażeniem słów, które padły.

Ocenę wprowadzenia stanu wojennego przedstawiłem mu taką samą jak teraz panom. Jaruzelski odpowiedział mi tylko, że tajemnicę stanu wojennego zabierze do grobu. Wtedy miałem poczucie, że ten człowiek zaczął inaczej myśleć o swoim życiu. Jednak w swoich tekstach występuje wciąż jako obrońca decyzji z 13 grudnia – jak by nie rozprawił się z nią do tej pory.

Jak zatem ocenia pan akt wybaczenia, jakiego Adam Michnik udzielił w głośnym wywiadzie Czesławowi Kiszczałowi, mówiąc, że generałowie „odkupili swe winy sto tysięcy razy”, że „z nimi wojna skończona”?

Adam Michnik ma prawo wypowiedzieć takie słowa. Co więcej, mam dla takiej postawy wiele szacunku i uznania. Mojego podziwu i przyjaźni dla Adama nie zmienia fakt, że nie zgadzam się z nim w tej ocenie.

Mógłby pan rozwinąć tę myśl?

Nie.

Gdy był pan ministrem spraw zagranicznych, wszedł pan do czołówki polityków cieszących się największym zaufaniem. To było przyjemne?

Skłamałbym, gdybym powiedział, że lubię, gdy jestem nielubiany. To ludzka rzecz. Ale polityk sprawdza się wtedy, gdy ma moc przekonywania – bo polityka to sztuka przekonywania. I w tym sensie nie powinien kierować się sondażami. Gdy widzę zachodnich polityków, którzy swe życie podporządkowują sondażom, to myślę, że tracą perspektywę. Może znów wychodzi ze mnie historyk? Uważam, że polityk ma moralny obowiązek czynić czasami coś, co nie przyniesie mu popularności, ale jest konieczne dla dobra wspólnego.

Te narty uniesione w geście zwycięstwa, co należy do kanonu polityka, spoglądającego na słupek sondaży.

Przy pytaniu o narty trochę od tego uciekłem, ale skoro panowie mnie przyłapali, powiem wprost: nie podoba mi się współczesna polityka, tak poddana efektom medialnym. Gdy myślę o politykach dawnego czasu, kiedy nie było telewizji...

Wspaniałe czasy dla gazet...

Tamci politycy byli chyba szczęśliwsi w sprawowaniu swej powinności. Myślę o tym z nostalgią.

Z drugiej strony ekran daje ogromną moc – można rozmawiać z wielomilionową widownią. Jeśli więc chce się uprawiać politykę skuteczną, trzeba zapomnieć o nostalgii i kierować się nowoczesną regułą – opakowanie jest równie ważne jak zawartość.

Ja jednak bardzo proszę, by nie tracić z oczu zawartości. Proszek do prania może zostać przereklamowany, nic takiego się nie stanie. Polityk nie powinien.

Te narty? To było opakowanie. Ważniejsze jest to, co wtedy zaproponowaliśmy młodym ludziom.

Narty miały chyba ratować przed spadkiem w sondażach. Poparcie dla UW polecało, pan także stracił ostatnio wiele procent. Dlaczego? Jakie błędy popełniła Unia, jakie błędy popełnia pan?

Stara amerykańska zasada głosi: nie mów o swoich błędach, twoi przeciwnicy ci je wypomną. Mów o osiągnięciach, bo o tym nikt inny nie powie.

Staram się nie wpadać w płacziwy nastrój. Tak już bywa, że partie polityczne przeżywają trudności w relacjach z opinią publiczną. A opinia to dama kapryśna. Trzeba ją wciąż na nowo poznawać, stale do siebie przekonywać i dostosowywać się do niej. Bywało już tak, że mieliśmy złe notowania i potrafiłiśmy z tego wyjść.

Mam nadzieję, że Unia przekona swoich wyborców konkretnymi. Na szczęście wybory odbędą się na jesieni, gdy efekt tego całego trzęsienia ziemi po powstaniu Platformy osłabnie. Już tak się dzieje. Ludzie będą mieli dość czasu, by pomyśleć, kto jest kim, kto ma coś do zaproponowania, kto ma osiągnięcia.

Osiągnięcia znamy, ale te trudności?

Weszliśmy w koalicję z AWS, by realizować nasz program. Jak w każdej koalicji, musieliśmy płacić cenę. Byliśmy w rządzie Jerzego Buzka, który dokonał niezwykłego dzieła reform. Ale wśród nich była także reforma służby zdrowia – społecznie nieakceptowana, niestety słusznie.

Później Unia wyszła z rządu, a jeszcze później nie wystawiła kandydata na prezydenta. Obie te decyzje nie zostały przez opinię publiczną zrozumiane. Unia wyciągnęła wnioski z błędów i na grudniowym kongresie przystąpiła do ofensywy. W tym momencie pojawił się nieoczekiwany konkurent w tej samej przestrzeni politycznej, czyli partia panów Olechowskiego, Płażyńskiego i Tuska.

W Platformie jest też pański były protegowany Paweł Piskorski, który okazał się skuteczny w sposób dość szczególny. Nowy szef mazowieckiej UW Michał Boni powiedział „Gazecie”, że wycho-

dząc z Unii, Piskorski zabrał ze sobą wszystko. Dosłownie. Okazało się, że partyjne faksy były rejestrowane na jego nazwisko, na siebie wynajmował lokale. Warszawska Unia została goła i wesoła. Nie żałuje pan, że promował Piskorskiego?

Ja po prostu cenię w ludziach także to, czego sam nie mam – zręczność, elastyczność, umiejętność dostosowania się. Ale muszę wyznać, że w tym przypadku doznałem zawodu. Jeśli skuteczność nie idzie w parze z zasadami, z wewnętrzną treścią moralną, staje się pusta i może być groźna.

Aleksander Smolar mówił o koalicji Unii z AWS: „zamiast obiecanego zwracania państwa obywatelom, dała gorszący obraz jego skrajnego upartyjnienia”. Tadeusz Mazowiecki wzywał, by obsada stanowisk w Radzie Polityki Pieniężnej, Trybunale Konstytucyjnym, w zarządzie TVP, w KRRiTV itd. odbywała się w sposób ponadpartyjny, a Unia powinna stawiać tę sprawę głośno. Nie stawiała. Czy na pewno? W koalicji rządowej Unia nieustannie domagała się wprowadzenia konkursu przy obsadzie stanowisk w administracji państwowej. Upominaliśmy się przez wiele lat o utworzenie służby cywilnej, która by uwolniła administrację publiczną od gry partyjnej.

Tyle że Unia uzyskała w wyborach nie 51, lecz 13 proc. głosów. I, chcąc realizować swój program, musiała wykazywać dużo uporu, zręczności, zdolności do kompromisu. Ale proszę spojrzeć na efekty. Korpus służby cywilnej istnieje, zasada konkursów przy powoływaniu na stanowiska – choć opornie – to jednak się przebijają. Staramy się ją wprowadzać do wszystkich możliwych ustaw.

Studio wyborcze 2001. Wyświetlają się wyniki: SLD – 51 proc., Platforma – 11, AWS – 10, PSL – 9, Unia Wolności – 6, Porozumienie „Silna Polska” braci Kaczyńskich – 6. Co pan wtedy powie? Potwórzy pan swój niezbyt udany komentarz do sukcesu Tymińskiego, że „społeczeństwo nie dojrzało do demokracji”?

Jeśli zobaczą taki wynik, będę go uważał za swoją porażkę, a nawet klęskę. Chodzi o to, żebyśmy tego nie zobaczyli. I to nie dlatego, że odmawiam SLD legitymacji demokratycznej. To nie są w końcu ludzie znikąd, za nimi stoi pewna wizja państwa. Ja tylko uważam, że dla kraju nie byłby to najlepszy wybór i chcę zrobić wszystko, aby ten scenariusz się nie zrealizował.

Sondaże są jednak nieubłagane. To SLD weźmie pulę. „Gazeta” kiedyś proponowała, by „powstrzymać SLD”, zawierając sojusze. W rozsypce klęska jest gwarantowana.

Ciekawe, że ja – polityk – patrzę na to mniej nerwowo niż pan – dziennikarz. Najgroźniejsza rzecz, jaka mogłaby się zdarzyć w tych wyborach, to wysoka absencja i wzrost obojętności ludzi na sprawy publiczne. Trzeba przywrócić szacunek i zaufanie dla polityki. Dlatego przywiązuję duże znaczenie do tego, by ofensywa Unii nie była skierowana przeciw innym partiom. Nie atakujemy PSL, który odsądza nas od czci i wiary, ani SLD, który jest partią tradycji poprzedniego systemu, ani Platformy Obywatelskiej. Zależy nam na jakości życia politycznego.

Wierzę w dobry, sensowny program, bo wierzę w ludzki rozum i rozsądek. Na drugą dekadę polskiej transformacji proponujemy wyborcom nowy model gospodarki, w którym będzie wzrastać przedsiębiorczość i spadać bezrobocie. Wokół takiej idei trzeba stworzyć ponadpartyjne porozumienie.

Chcemy też zapobiegać dramatycznemu podziałowi na bogatych i biednych, Polskę A i Polskę B. Musimy zrobić coś, żeby małe i średnie miasta dostrzegły wreszcie swoje miejsce w transformacji. Stawiamy na rozwój usług, infrastruktury agroturystycznej i agrobiznesu, bo to jest równocześnie programem modernizacji wsi. Polska B musi też tworzyć programy i struktury, które pozwolą jej wykorzystać przyszłe unijne fundusze i kredyty.

Wreszcie, kreśliśmy program edukacyjny, który pozwoli wyrównać szanse dzieci i młodzieży. Zapytają panowie: dlaczego do tej pory tego nie zrobiliście?

Dlaczego kolejne rządy z udziałem Unii cięły w budżetach wydatki na edukację?

Powiem to głośno i wyraźnie: dzięki Unii te kolejne rządy uniknęły wielu głupstw. Dziś powstają nowe wyzwania i trzeba na nie odpowiedzieć. Chcemy to zrobić jeszcze przed wyborami. Zgłaszamy kilkanaście projektów ustaw, nie zabiegając o wyłączność na ich autorstwo. Proponujemy innym partiom: stwórzmy pakt społeczny na podobieństwo tego, który udało się stworzyć przy pierwszym planie Balcerowicza.

Małe szanse, za chwilę rusza kampania. W wywiadzie dla „Naszego Państwa” mówił pan, że Unię zbliża do AWS „ochrona polityki jako sfery życia obywatelskiego”. Dziwna to opinia o Akcji, która tak upartyjniła państwo. Czy chciał pan wykonać gest w stronę AWS?

Gdyby było możliwe porozumienie przedwyborcze z innymi siłami postsolidarnościowymi, jesteśmy gotowi. Stowarzyszenie Forum Dialogu, z Markiem Goliszewskim i Maciejem Jankowskim na czele, zaproponowało Unii, SKL i Platformie Obywatelskiej porozumienie programowe. Odpowiedziała tylko Unia – i do wyborów pójdziemy pewnie z Forum. Przewiduję też sojusze z organizacjami społecznymi, którym chcemy pomóc w nowelizacji prawa – ustawy o rzemiośle, ustawy o organizacjach pozarządowych, ustawy o kinematografii itd. Liczę na poparcie środowisk przedsiębiorców i organizacji twórczych, które organizują polską inteligencję. Opinia publiczna lubi, gdy ludzie różnych orientacji potrafią się porozumieć. To wytwarza klimat zaufania.

Programowo bliżej byłoby Unii do Platformy niż do AWS. Mimo personalnych niechęci...

Te panów postulaty są pod złym adresem, bo Unia jest gotowa do porozumień programowych. Niestety, ani ze strony AWS, ani Platformy nie dostrzegam wystarczającej woli porozumienia. A przecież z Akcją łączy nas wspomnienie dobrej w sumie współpracy w rządzie Buzka. Jeszcze teraz możemy wspólnie przeprowadzić w Sejmie ustawy, których Polska potrzebuje.

Na przykład?

Różne ustawy ułatwiające życie polskiej przedsiębiorczości. W innych obszarach, jak reprivatyzacja, próbowaliśmy uzgodnić stanowisko. Nie udało się z winy AWS. Konkluzja jest na razie taka: idziemy do wyborów jako Unia Wolności, dając możliwość kandydowania z naszych list ludziom z różnych organizacji społecznych.

Gdy mowa o sojuszach, pan wciąż wraca do AWS. W takim razie pytamy: czym Unia się różni od AWS?

Różnice są oczywiste. Najlepszy dowód, że pośród wyborców AWS Unia nie jest popularna i na odwrót. Akcja bywa demagogiczna, również w kwestiach gospodarczych – przypomnijmy choćby ustawę uwłaszczeniową.

AWS ma w swym zapleczu związek zawodowy. Na początku lat 90. „Solidarność” była zdolna współtworzyć „Pakt o przedsiębiorstwie”, co umożliwiło prywatyzację. Wcześniej wręcz osłaniała politykę gospodarczą rządu Mazowieckiego, choć plan Balcerowicza wiązał się z wyrzeczeniami. Dziś jest inaczej – „Solidarność”, będąc klasycznym związkiem zawodowym, myśli o interesach swych członków. Nie o interesie zbiorowym, ani nawet o ludziach, którzy stracili pracę. To wytycza zasadniczą różnicę między Unią i Akcją.

AWS sytuuje się na prawicy, z całym bagażem prawicowych tradycji politycznych, kulturalnych, obyczajowych. Także z tym złym bagażem. Unia jest partią centrum. Chcemy, by Polska kierowała się zasadami państwa demokratycznego, by ład europejski i model europejski określały naszą przyszłość. Wyklucza to nienawiść jako element polityki. Z odrzucenia komunizmu jako systemu Unia nie wyciąga wniosku, że busołą polityczną ma być antykomunizm.

Bywało, że kierunek polityki AWS określało skrajne skrzydło tej formacji. Liderzy Akcji ustawicznie starali się dawać satysfakcję swoim „jastrzębiom”. Paradoksalnie, gdy wyszliśmy z rządu, oka-

zało się, że nasz wpływ na decyzje AWS jest większy. Weźmy budżet. Dopiero w tym roku udało nam się ochronić budżet przed nierozumnym powiększaniem deficytu, udało się zablokować pomysły, by środki potrzebne dla równowagi budżetowej wyciągać z przychodów prywatyzacyjnych. Udało się znaleźć więcej na edukację, o blisko 400 mln złotych. Szkolnictwo wyższe dostało dodatkowo 180 mln złotych. Udało się zwiększyć wydatki na obronę, by Polska była wiarygodnym członkiem NATO. Zwiększono też środki na aktywne formy walki z bezrobociem. Unia może mieć satysfakcję: osiągnięcia są znacznie większe niż nasza siła w Sejmie.

Spora część wyborców Unii głosowała na Kwaśniewskiego. Czy Pańska busola nie wskazuje tego kierunku poszukiwania aliantów?
Moja busola wskazuje właściwy kierunek. Naszymi partnerami są ci, z którymi możemy w sposób rozumny realizować nasz program. Czy moglibyśmy uznać, że taką wspólnotę programową wyznacza zdanie jednego z przywódców SLD, iż Polacy na śmietnikach szukają jedzenia? Czy moglibyśmy dostrzec coś wspólnego z tym, co mówi PSL – że Unia Europejska jest przyczyną wszelkiego zła i biedy w Polsce? Czy to tych partnerów wskazuje dziennikarska busola?

To prawda, ta upiorna teza Leszka Millera o ludziach i śmietnikach nie zachęca do Sojuszu. Ale w kluczowej sprawie Unii Europejskiej UW i SLD mówią jednym głosem.

Stosunku do integracji europejskiej nie wymieniam, bo rzeczywiście tu nasze stanowiska są podobne. Wybory mają jednak taką logikę, że wyborca chce, by wizja tego, za czym i przeciwko czemu jesteśmy, była klarowna.

Sam Pan mówił, że Polacy lubią, kiedy politycy się łączą.

Ale nie tak. Proszę spojrzeć: niechęć do partii politycznych jest powszechna. Wyborca nie upomina się o wyborcze koalicje, lecz o porozumienia, które by przekreślały partyjne partykularyzmy.

Jestem przekonany, że zarówno my, jak i AWS będziemy umieli dowieść, iż to właśnie partie polityczne są w stanie przedstawiać programy porozumień i paktów obywatelskich ponad politycznymi niechęciami. Nie będziemy przy tym udawać, że nie jesteśmy partiami, że nie uprawiamy polityki, bo to obraża ludzką inteligencję.

Gdzie Pan chce szukać wyborców dla Unii?

Po pierwsze, naturalne zaplecze dla Unii może stanowić prezydencki elektorat Olechowskiego – 17 proc. wyborców. Po drugie, elektorat Kwaśniewskiego jest o 20 proc. większy od elektoratu SLD. Dlaczego te dodatkowe 20 proc. ludzi głosowało na kandydata Sojuszu? Bo to są wyborcy, którzy nie chcą wojny politycznej, społecznej, religijnej, którzy chcą, żeby polityka była stabilna, żeby nie tłuc już porcelany, i którzy chcieliby Polski jako pełnoprawnego członka solidarności europejskiej i euroatlantyckiej.

Proszę policzyć: to przecież blisko 40 proc. wyborców. Do tych ludzi się zwracamy. Bo twardy elektorat SLD – pokazują to wszystkie badania – jest niezwykle zwarty. Tam nie mamy czego szukać, tam rybak ryb nie złapie.

Nowe imperium zła

Z prof. Bronisławem Geremkiem
rozmawia Włodzimierz Kalicki

Włodzimierz Kalicki: Po ataku na World Trade Center i Pentagon świat nie może być taki sam jak do tej pory. Jaki będzie ten przyszły świat?

Bronisław Geremek: Świadcami zasadniczej zmiany jesteśmy już dziś. Zniknęło powszechne przekonanie, że po zakończeniu zimnej wojny ład międzynarodowy może być gwarantowany przez jedno mocarstwo. W istocie rzeczy tego fatalnego poranka Stany Zjednoczone przestały być postrzegane jako gwarant stabilizacji na świecie. Przyzwyczailiśmy się do sytuacji, w której zasadniczym odniesieniem politycznym był problem wojny i pokoju. Ta sytuacja najwyraźniej odchodzi w przeszłość. Wraz ze Stanami Zjednoczonymi cały świat zdaje się wydany na to, co nieprzewidywalne, przypadkowe, trudne do określenia. Przyjęcie do wiadomości, że w światowej polityce poszerzy się znacznie margines niepewności, będzie kolejną ważną zmianą, jaką przynosi XXI wiek.

Jeszcze niedawno politolodzy spierali się, czy nowy wiek będzie epoką wygasania sporów ideologicznych, triumfu demokracji, wolnego rynku, prosperity obejmującej coraz odleglejsze, coraz bied-

niejsze zakątki globu, czy też raczej czasem ostatecznego starcia odmiennych cywilizacji. Co do tego sporu wniosła napaść na Stany Zjednoczone?

Nie sprawdza się na razie diagnoza optymistyczna, że u progu XXI wieku wytwarza się nowy ład międzynarodowy, oparty w niespotykanej dotychczas mierze na wartościach etycznych.

Ale też nie sprawdza się diagnoza pesymistyczna, że nieuchronne jest zderzenie cywilizacji. Jeżeli uznać, że atak terrorystów miałby być początkiem starcia odmiennych cywilizacji albo – szerzej – globalnej konfrontacji biednego Południa z bogatą Północą, to wówczas należałoby przypisać jednemu z najgroźniejszych terrorystów świata, Osamie ben Ladenowi, rolę obrońcy i wyraziciela rzeczywistych interesów świata islamu czy krajów skrajnie biednych. Sądzę, że to nieprawda. Terroryzm nie wyraża, nie może wyrażać wartości żadnej cywilizacji i żadnej religii. Terroryzm jest patologią świata i jako taki powinien być tępony.

Coraz więcej śladów wskazuje na powiązania zamachowców z organizacją bin Ladena. Politycy wielu krajów arabskich potępili zamach, zachodni intelektualiści i politycy, w tym prezydent Bush, przestrzegają przed utożsamianiem terrorystów z narodami arabskimi czy społecznością islamu. Co jednak powiedzieć tym Amerykanom i Europejczykom, którzy podkreślają, że otwarta, agresywna niechęć do wartości cywilizacji zachodniej jest powszechna w skrajnych, ale bardzo licznych przecież kręgach islamu, że ataki samobójcze to specjalność terrorystów muzułmańskich?

Nie akceptuję oskarżeń, że w samej cywilizacji islamu tkwi przesłanie nienawiści i fanatyzmu. Nie znam dostatecznie islamu, bym mógł być bezapelacyjnie pewien swego zdania, ale mam wieloletnie doświadczenie historyka. Czytałem Koran i znajdowałem tam rzeczy, które były mi bliskie – przesłanie tolerancji, akceptację innych religii wpisaną w religijną tradycję islamu.

Uważam fenomen terroryzmu za wielkie nadużycie przesłania Koranu, a nie za zjawisko zakorzenione w islamie. Jaka bowiem

religia może być uzasadnieniem terroryzmu? Żadna, choć w każdej można znaleźć pierwiastki, które ekstremistyczni wyznawcy mogą uczynić motorem bezlitosnego fanatyzmu.

Jedno jest oczywiste – nie można akceptować odpowiedzialności zbiorowej państw, narodów czy religii. Odpowiedzialni są wykonawcy zamachów, ci, którzy ich szkolą, ci, którzy stanowią ich zaplecze logistyczne i polityczne, ci, wreszcie, którzy terrorystyczne siatki i metody działania tolerują.

Jak zamach odbije się na stosunkach świata zachodniego z krajami arabskimi?

Konsekwencje polityczne w relacjach z krajami arabskimi będą na pewno daleko idące, nie sądzę jednak, by były długotrwałe. Wiele zależeć będzie od postawy tych państw w ściganiu i karaniu sprawców zamachu i w ogóle w likwidowaniu międzynarodowego terroryzmu. Trzeba pamiętać, że choć niektóre z państw islamskich mniej lub bardziej tolerują terrorystów, to przecież liczne państwa arabskie same mają kłopoty z muzułmańskimi ekstremistami i terrorystami. Jeśli państwa te włączą się do globalnej koalicji mającej na celu niszczenie międzynarodowego terroryzmu, unikną fatalnych dla siebie konsekwencji.

Śledztwo prowadzone przez służby specjalne USA i innych krajów ujawnia coraz szerszy krąg organizatorów wtorkowych zamachów. Część z nich ukryła się w państwach, w których czuje się bezpiecznie. Co powinny zrobić Stany Zjednoczone, jeśli po zidentyfikowaniu miejsc ukrycia zbrodniarzy tradycyjne, akceptowane przez międzynarodowe prawo procedury ekstradycyjne okażą się nieskuteczne?

Nazwijmy rzecz po imieniu – chodzi o pojmanie i osądzenie bin Ladena i jego współpracowników. Wyjściem najlepszym byłoby wydanie ich przez Afganistan międzynarodowemu trybunałowi i osądzenie zgodnie z prawem międzynarodowym. Niestety, na podstawie dotychczasowych doświadczeń można wątpić w real-

ność tego scenariusza. W tej sytuacji uważam, że nie ma innego wyjścia niż możliwie szybkie sięgnięcie do źródeł zła, sięgnięcie skuteczne, także za pomocą siły zbrojnej.

Jeśli Afganistan stanąłby po stronie terroryzmu także w tym wypadku, to wówczas powinien ponieść konsekwencje tej decyzji.

Jakie konsekwencje?

Na przykład takie, że siły zbrojne USA uderzą w kryjówki zamachowców i ośrodki międzynarodowego terroryzmu znajdujące się na terytorium Afganistanu.

A jak sprawić, by w przyszłości inni terroryści trafiali wreszcie przed międzynarodowy trybunał stanu?

Następstwem udzielenia poparcia terroryzmowi lub udzielenia ochrony jakimukolwiek terroryście przez jakiekolwiek państwo winno być wykluczenie tego państwa ze wspólnoty międzynarodowej.

Sądzi Pan, że będzie to skuteczny środek nacisku?

Po zamachu na Amerykę wykluczenie ze wspólnoty cywilizowanych państw podejrzanych o sprzyjanie terroryzmowi lub jego tolerowanie nabierze z pewnością nowych treści. Oznaczać będzie zapewne, co najmniej, polityczną izolację i sankcje ekonomiczne.

A jeśli i to nie poskutkuje? Czy wtedy poszkodowane państwa będą miały przyzwolenie na prowadzenie globalnych akcji policyjnych? Czy w przyszłości takie operacje jak pamiętny atak Ameryki na Libię w roku 1986, kiedy to amerykańskie bombowce i myśliwce bombardujące usiłowały zlikwidować Kadafiego, staną się akceptowaną normą w cywilizowanym świecie?

Atak na WTC i Pentagon w dramatyczny sposób ujawnił niedostosowanie prawa międzynarodowego i praktyki międzynarodowej do obecnych wyzwań. Już wcześniej interwencje humanitarne w Somalii i na Bałkanach nagle postawiły w centrum uwagi wspólnoty międzynarodowej problem wyższości praw człowieka

nad suwerennością polityczną państwa. Sekretarz generalny ONZ, Kofi Annan, stwierdził to z wielką odwagą. Dzisiaj stajemy wobec następnego pytania: czy zwalczanie terroryzmu, który jest gwałtem na prawie międzynarodowym, usprawiedliwia naruszanie tego prawa, w tym zasady suwerenności państw? To jest niesłychanie istotny problem. Prawniczy formalizm może okazać się w istocie tolerowaniem przyszłych zbrodniarzy na niewyobrażalną skalę. Lekceważenie zaś obowiązującego prawa może skutkować osłabieniem cywilizacyjnych podstaw ładu międzynarodowego. Strasznie trudno wyważyć tu racje moralne i polityczne. Sfera polityki w takiej sytuacji automatycznie staje się doradcą, który będzie występował przeciwko respektowaniu obowiązującego prawa międzynarodowego. Każde zaś naruszenie prawa jest wkroczeniem na śliską ścieżkę, na której nagle może pojawić się akceptowanie przez państwa silne prawa do gwałcenia woli państw słabszych.

Nie ma w tej chwili dobrych odpowiedzi na te dylematy. Życie musi wyprzedzać zmiany w prawie międzynarodowym. Jestem jednak przekonany, że jego istotna rewizja jest po wtorkowej tragedii nieuchronna, ale musi to być rewizja zgodna z duchem Karty Narodów Zjednoczonych.

Czy tragedia Ameryki nie jest sygnałem, że anachroniczny stał się także organizacyjny kształt ładu międzynarodowego? Organizacja Narodów Zjednoczonych wydaje się zupełnie nieskuteczna, wręcz bezradna wobec wyzwań terroryzmu i łamania praw człowieka.

ONZ rzeczywiście staje się coraz bardziej anachroniczna i coraz mniej użyteczna. Nie wyobrażam sobie jednak, by mogło dojść do powtórki konferencji w San Francisco, na której ONZ powołano. Nie ma potrzeby stwarzania jakiejś nowej Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jest potrzeba zdefiniowania na nowo i zreorganizowania istniejącej ONZ. Nie wątpię, że to nastąpi. Siła wyzwań stojących przed społecznością międzynarodową wymusi reformy.

U progu XXI wieku, w cieniu tragicznego wtorku, staje pytanie o to, czy powstanie solidarny front wspólnoty demokracji, wspólnoty międzynarodowej przeciw terroryzmowi. W obszarze polityki międzynarodowej niejednokrotnie natykałem się na przejawy szczególnego rodzaju polityki zagranicznej wielu państw, polityki konstruowanej na zasadzie frustracji w obliczu potęgi Stanów Zjednoczonych. Nie było to cechą wyłącznie słabych krajów Trzeciego Świata. Ta oparta na frustracji polityka zagraniczna sprawiała, że nawoływania USA do zbiorowej, solidarnej walki z terroryzmem spotykały się z oporem, a nawet z odmową ze strony wielu państw europejskich.

Przed dwoma laty słuchałem bardzo pięknego, poruszającego przemówienia prezydenta Clintona, który przekonywał, że walka z terroryzmem jest wyzwaniem dla świata, że jedyną odpowiedzią na zagrożenie terroryzmu powinno być stworzenie solidarnego frontu krajów przywiązanych do wolności. To postanie, niestety, padło wtedy w próżnię.

Czy decyzja NATO o uznaniu wtorkowego ataku za napaść na cały Sojusz oznacza radykalną, trwałą zmianę w postawie europejskich partnerów USA? Czy Europa będzie teraz silniej Amerykę popierać? Decyzja Rady Atlantyckiej ma fundamentalne znaczenie dla zrozumienia i interpretacji sławnego artykułu V Traktatu Waszyngtońskiego. Wprawdzie nadal utrzymana jest zasada suwerennej decyzji każdego z państw członkowskich w sprawie uczestnictwa w działaniach wojennych, ale po raz pierwszy z taką siłą wykazano, że NATO nie jest amerykańskim parasolem ochronnym rozpostartym nad Europą, ale wspólnotą Ameryki i Europy. To jest znakomita zapowiedź mądrej solidarności Europy z Ameryką. Tego przecież Polska oczekiwała, o to się upominała.

Czy organizowanie światowej koalicji przeciw terroryzmowi, obejmującej także znakomitą większość krajów Trzeciego Świata, nie wywoła protestów części z nich, że Zachód przy tej okazji narzuca światu swoje standardy etyczne i polityczne?

Przed rokiem w Warszawie podczas konferencji „Wspólnoty demokracji” ponad 120 państw podpisało się pod deklaracją określającą zasady porządku demokratycznego i zasady państwa prawa. Podpisały się kraje europejskie, azjatyckie, afrykańskie, arabskie, południowo-amerykańskie... W deklaracji tej potępiono terroryzm. Dziś nie ma mowy o narzucaniu standardów cywilizacji europejskiej, jesteśmy świadkami uniwersalizacji tych standardów. Europa może być dumna, że jej dorobek w tej dziedzinie stał się elementem porządku uniwersalnego.

Historia ostatnich lat walki krajów demokratycznych w obronie podstawowych praw człowieka, przeciw wszelkim przejawom terroryzmu to tyleż historia sukcesów, co i porażek wynikłych z oportunistyki i zaniechania. Interwencja w Somalii, postawa NATO wobec sytuacji na Bałkanach, zaniechanie – po jednej chybionej próbie – likwidacji bin Ladena i jego organizacji dowodzą braku stanowczości i gotowości ponoszenia przez Zachód ofiar. Dlaczego tragedia Ameryki miała by tę postawę zmienić?

Po pierwsze, ogromna jest dziś determinacja Ameryki, by rozprawić się z terroryzmem. Sądzę, że ofiary w WTC i Pentagonie mogą zmienić postawę Amerykanów w kwestii ponoszenia ofiar w trakcie operacji antyterrorystycznych, a być może i humanitarnych.

Po wtóre, wtorkowy atak może nie być kulminacją działań światowego terroryzmu, lecz wstępem do jeszcze straszniejszych masakr. Mówi się, że na rynku może pojawić się broń atomowa. Nabywcy już są, wkrótce mogą pojawić się i sprzedawcy.

Mam jednak wrażenie, że raczej z całą siłą staje przed światem zagrożenie terrorystycznym użyciem broni chemicznej i bakteriologicznej. Nie należy sugerować się stosunkowo niewielką skutecznością ataku chemicznego dokonanego przed laty przez japońskich terrorystów w tokijskim metrze. W przyszłości dobrze zaopatrzeni, wyszkoleni zbrodniarze mogą za pomocą tego rodzaju broni spowodować prawdziwą apokalipsę. Dlatego bardzo

stanowcza operacja przeciwko winnym ataku na USA i przeciwko innym międzynarodowym terrorystom, póki są jeszcze słabi i nie dysponują bronią chemiczną czy bakteriologiczną, jest wręcz przejawem instynktu samozachowawczego wspólnoty międzynarodowej. Poszukiwanie zaś środków zaradczych na przyszłość wymaga zmian w prawie międzynarodowym i powstania autentycznej, skutecznej koalicji państw, chcących obronić podstawowe wartości cywilizacyjne.

A może właśnie niektóre z tych wartości jako pierwsze zostaną złożone na ołtarzu walki z terroryzmem? Może w imię zwiększenia skuteczności zapobiegania atakom już wkrótce w demokratycznych państwach ograniczeniu ulegnie prawo do tajemnicy korespondencji, do ochrony prywatności?

Uważałbym za zwycięstwo terroryzmu, gdybyśmy teraz zaczęli żyć w strachu i przerażeniu przed przyszłością, gdybyśmy zakwestionowali podstawowe wolności jednostki. Przecież to właśnie jest ostatecznym celem terrorystów! Nie widzę powodów, by uważać, że taki czarny scenariusz musi się zrealizować. Przecież wydawać się mogło, że słabe struktury zachodnioniemieckiej demokracji zbudowane po rozpadzie III Rzeszy nie wytrzymają w latach 70. w starciu z terrorystami z Frakcji Czerwonej Armii, że zgubi je właśnie przywiązanie do zasady państwa prawa. Wydawać się mogło, że Włochy w czasie walki z Czerwonymi Brygadami zagubią wartości porządku demokratycznego. Ani w jednym, ani w drugim przypadku tak się nie stało. Przeciwnie, uważam, że walka z terroryzmem umocniła tam zasady państwa prawa i funkcjonowanie porządku demokratycznego, zmobilizowała opinię publiczną. Nie widzę powodu, dla którego i teraz, w obliczu zagrożenia, miałyby zostać osłabione zasadnicze wartości naszego kręgu cywilizacyjnego.

Atak na Amerykę stanie się zapewne koronnym argumentem antyglobalistów przeciw postępom globalizacji.

Atak na WTC i Pentagon, symboliczne centra światowego ładu i zarazem symbole potęgi USA, pokazują ciemną stronę globalizacji. Trzeba jednak uznać, że globalizacja to nie jest rzecz do lubienia lub nie lubienia, tylko jest to diagnoza sytuacji świata. Trzeba też uznać, że terroryzm jest elementem globalizacji, tak jak jej elementem są na przykład rosnące powiązania rynków finansowych. Tragedia USA nie jest argumentem przeciw globalizacji, lecz argumentem za wytworzeniem w jej ramach skutecznych mechanizmów zwalczania terroryzmu, nielikwidujących przy tym podstawowych wartości etycznych leżących u podstaw ładu międzynarodowego.

Nie dostrzega pan możliwości odgroźdzenia się w przyszłości świata zachodniego od obszaru państw stwarzających potencjalne zagrożenie terroryzmem czymś w rodzaju rzymskich *limes* czy muru chińskiego?

Nie wierzę w filozofię muru chińskiego jako receptę na skuteczną politykę. Teoretycznie taka pokusa istnieje, zwłaszcza w Ameryce, która ma historyczne skłonności do izolacjonizmu. Myślę jednak, że Amerykanie rozumieją, co w istocie oznaczałoby schronienie się za takim murem. Oznaczałoby to oddanie pola terroryzmowi i w efekcie zmniejszenie bezpieczeństwa Ameryki.

Mam także nadzieję, że za oceanem nie pojawią się dążenia, by jedynie Ameryka dysponowała parasolem tarczy antyrakietowej. Jesteśmy świadkami niezwykle ważnej debaty dotyczącej tej tarczy, toczącej się gwałtownie w USA po ataku terrorystów. Przeciwnicy tarczy powiadają, że atak ten unaoczniał jej zbędność – oto bowiem do zadania strasznego ciosu niepotrzebne są drogie rakiety. Jestem przekonany, że zwolennicy tarczy w tej debacie zwyciężą. Mam przy tym nadzieję, że w trakcie tych dyskusji dojdzie do zmiany filozofii tarczy. To nie powinien być puklerz, który chroni tylko najpotężniejsze państwo świata, ale osłona wszystkich państw akceptujących i walczących o cywilizowany ład międzynarodowy. Także Polski.

Ewentualne zabiegi o objęcie Polski parasolem antyrakietowym muszą być poparte aktywnym udziałem w koalicji zwalczającej światowy terroryzm. Groźne byłoby myślenie, że „co nas to wszystko właściwie obchodzi”, przecież jesteśmy z dala od niebezpieczeństw, strach, że zbliżanie się do Zachodu, wypełnianie swych sojuszniczych zobowiązań mogłoby na nas teraz sprowadzić zemstę terrorystów.

Takiej zaściankowej reakcji mentalnej trzeba się ostro przeciwstawić, gdyż byłaby wielkim zagrożeniem dla Polski. Naszą prawdziwą polisą bezpieczeństwa jest Sojusz Atlantycki.

Wczoraj amerykańskie śledztwo ujawniło, że część zamachowców miała stałe oparcie w Niemczech. We Francji pamięta się o fali terroru wywołanej przez mieszkających tam fundamentalistów islamskich podkładających bomby w połowie lat 90. Niedawno w Wielkiej Brytanii wybuchły zamieszki w enklawach niezasymilowanych, sfrustrowanych imigrantów muzułmańskich. Mówiąc o chińskim murze, myślałem raczej o zamknięciu się Zachodu przed wzbierającą falą emigrantów z Trzeciego Świata.

Napływ pozaeuropejskiej ludności do zamożnych krajów Europy jest niebezpieczeństwem tylko w obrębie logistyki strachu. Przecież kraje Zachodu nęka potężny kryzys demograficzny. Europa Zachodnia w ciągu najbliższych 20 lat będzie potrzebowała około 25 milionów emigrantów, by zrekompensować brak rąk do pracy. Zamknięcie przed nimi granic byłoby aktem samobójczym, bo już dziś relacja liczby osób pracujących do liczby emerytów i rencistów jest fatalna. Kraje Zachodu są skazane na nieustanne przyjmowanie imigrantów.

Imigrant nie jest równy imigrantowi. W latach 80. byłem we Francji świadkiem, że czarnoskórych przybyszów z głębi Afryki akceptowano tam chętniej niż Arabów. Dlaczego? Francuzi tłumaczyli to prosto: Afrykanie szybko przyjmują francuski kanon wartości, styl życia, szybko się asymilują, Arabowie zaś trwają w izolujących się,

zachowujących odmiennosc gettach. Może więc ów chiński mur pojawi się tylko przed przybyszami z krajów muzułmańskich?

To byłaby polityka analogiczna do polityki promowanej przez niektóre środowiska w Izraelu, by przyjmować siłę roboczą z Tajlandii, Sri Lanki, antypodów, byle nie Arabów.

No dobrze, spróbujmy więc poszukać rozwiązań radykalnych. Radykalnym rozwiązaniem byłoby niewątpliwie przyjęcie zasady, że kraje europejskie uzupełniałyby deficyt demograficzny wyłącznie imigracją z tego samego, chrześcijańskiego kręgu kulturowego. Tylko, kto jest w stanie realizować taką politykę, kiedy miliony Turków, Kurdów, Albańczyków żyją w Niemczech, miliony muzułmanów z Maghrebu – we Francji, kiedy tak liczna jest społeczność muzułmańska w Wielkiej Brytanii?

Odrzucenie takiego projektu imigracyjnego jest kwestią, nawet nie zasad etycznych, ale elementarnego realizmu politycznego. Nie pozostaje nam zatem nic innego, jak przyjąć optymistyczne założenie, że Europa potrafi jednak dokonać procesu akulturacji przybyszów na tak olbrzymią skalę. Proszę przy tym zauważyć, jak krzepiące jest nasze doświadczenie. Choć Polacy tatarskiego pochodzenia budowali meczety i w meczetach się modlili, nikt nie wątpił w ich lojalność i oddanie Polsce. Potomkowie muzułmańskich Tatarów konspirowali i walczyli z carskim zaborcą, ułani z półksiężycem na buńczuku bili się dzielnie – za Polskę.

Jestem przekonany, że właśnie to doświadczenie będzie naszym kapitałem zakładowym przy wchodzeniu do europejskiej wspólnoty. Gdy skończą się już dyskusje o rozmiarach serów, o zakupie ziemi, o przepływie siły roboczej, debata nad asymilacją emigrantów z innych kręgów kulturowych wysunie się w Europie na pierwszy plan.

Rozważania nad zwalczaniem światowego terroryzmu obracają się w kręgu pojęć wojskowo-politycznych. Na razie jest to zrozumiałe. Kiedyś jednak trzeba będzie zacząć poważną rozmowę o środkach politycznych.

Dotknął pan sprawy fundamentalnej, o której prawie się nie mówi w cieniu rozpadających się wież WTC i płonącego Pentagonu: o roli działań politycznych na rzecz ładu bezpieczeństwa.

Apel, z jakim wystąpiłem wspólnie z Madeleine Albright do wspomnianej już „Wspólnoty demokracji” zainicjowanej w Warszawie, taki ma właśnie cel. Chodzi teraz o trwanie lub nawet przetrwanie ładu demokratycznego, jego zasad i wartości. Czas teraz właśnie na odważne inicjatywy polityczne – tylko one mogą usunąć lub zmniejszyć potrzebę działań wojskowo-policyjnych.

Polityka globalna musi także podjąć z nową siłą problem światowej nędzy. Jeżeli chce się skutecznie podjąć społeczne i polityczne oparcie, jakim terroryści cieszą się w niektórych z najbiedniejszych krajów świata, trzeba uczciwie postawić na forum międzynarodowym problem nędzy. Naturalnym pragnieniem człowieka, niezależnie od jego wiary i kręgu cywilizacyjnego, z którego pochodzi, jest chęć życia godnego, w spokoju, dostatku, szczęścia. Beznadziejna bieda, której nie można przewyciężyć własnymi siłami, rodzi straszliwą frustrację pchającą do tolerowania terroryzmu jako jedyne go dostępnego środka walki. Bogata Północ musi wreszcie pomóc wydobyć się biednemu Południu z zapaści niewyobrażalnej nędzy. Mówiąc po prostu – musi rozumnie podzielić się z biedniejszymi swym bogactwem.

Do tej pory światowe narady nad kwestią nędzy kończyły się w istocie konkluzjami, że konieczne są następne narady. Czy zajęcie się serio problemem światowego ubóstwa po zamachu na Amerykę nie będzie odczytane w Trzecim Świecie jako pośmiertny triumf tych masowych morderców?

Mam nadzieję, że nawet biedni i poniżeni zrozumieją, iż terroryzm jest współczesnym imperium zła. To wielkie zadanie dla społeczności międzynarodowej – przekonać wszystkich ludzi, że terroryzm nie służy niczemu poza czystym złem, że jest sprzeczny z ludzkimi interesami, z marzeniami, że niszczy godność człowieka, nie dając w zamian niczego pozytywnego.

Jako historyk mam przekonanie, że za ogromne zakumulowane zło, które działo się historii, odpowiadają politycy, którzy potrafili w porę określić niebezpieczeństwa, nie podjęli odpowiednich działań, ale nie potrafili też uzyskać społecznego zrozumienia dla swych racji. W świecie globalnym trzeba zabiegać o zrozumienie nawet w najdalszych zakątkach świata. Epoka po amerykańskiej tragedii będzie czasem trudnego uprawiania polityki. Trzeba będzie podejmować trudniejsze niż dotychczas decyzje i dbać przy tym, by zaakceptował je cały cywilizowany świat.

Francja rozczarowana Europą

Z Bronisławem Geremekiem rozmawia Robert Sołtyk

Robert Sołtyk: Był Pan jednym z wielu polityków europejskich – choć nielicznych polskich – którzy we Francji zaangażowali się w kampanię przekonywania obywateli do eurokonstytucji. Jeśli wierzyć sondażom, które przepowiadają, iż „nie” zwycięży większością 53–54 proc. głosów, ta misja się nie powiodła. Jak więc postąpić wobec odrzucenia unijnej konstytucji przez Francję, kluczowy kraj integracji europejskiej?

Bronisław Geremek: Mój udział w kampanii referendalnej we Francji był wypełnieniem powinności. Referendum francuskie ma znaczenie dla całej Europy i kto myśli o Europie z nadzieją, powinien mieć poczucie, że nie popełnił grzechu zaniechania.

Chciałbym bardzo, by opinia publiczna i media w Polsce były świadome, jak bardzo francuskie referendum jest problemem całej Europy, a nie tylko Francji. W tej chwili wiele wskazuje na to, że zwolennicy konstytucji poniosą klęskę. Choć zawsze można liczyć na to, że będzie piękna pogoda i zwolennicy „nie” pójdą się opalać, miast głosować w referendum. A wtedy wygra „tak”.

Jeśli jednak wygra „nie”, to nie ma co szukać drugiego scenariusza, bo go nie ma. Trzeba będzie sobie dać radę z tą sytuacją, jaka

powstanie. Wiele zależy od tego, ile krajów wypowie się tak samo jak Francja. Jeżeli będzie ich sześć, to wówczas rezultat będzie jednoznaczny...

To znaczy?

Nie będzie traktatu konstytucyjnego. Jeśli jednak eurokonstytucji nie ratyfikuje pięć lub mniej krajów, to wtedy Unia Europejska podejmie decyzję.

W każdym przypadku jest możliwość małych reperacji – wprowadzania pewnych rozwiązań inną drogą. Niewiele one jednak dadzą.

Jest też inna możliwość: odczekać i powtórzyć referendum. Jednak to, co było możliwe w przypadku ratyfikacji traktatu z Maastricht przez Danię czy traktatu z Nicei przez Irlandię, jest trudno wyobrażalne w przypadku Francji i eurokonstytucji.

I wreszcie trzecia możliwość: Unia Europejska pozostanie pod rządami traktatu z Nicei. Europa będzie tracić czas i następne pokolenie będzie musiało zrobić to, co i tak zrobić trzeba.

Co powinna zrobić Polska w sytuacji, gdy 1 czerwca Francja, a później także Holandia powiedzą „nie”? Pojawiają się głosy, by w ogóle zawiesić proces ratyfikacji konstytucji europejskiej w naszym kraju. Polska jest poważnym partnerem i powinniśmy wypełnić zobowiązania, które nakłada na nas traktat. Przypominam, że rząd polski podpisał już konstytucję i zgodnie z prawem międzynarodowym zobowiązany jest uczynić wszystko, co może, by została ona ratyfikowana. Taki jest przepis konwencji wiedeńskiej o traktatach.

Nie ma sensu uzależniać naszej decyzji od referendum francuskiego. Polacy tę decyzję powinni podjąć sami, a potem wspólnie z innymi krajami zobaczyć, w jakiej sytuacji znalazła się Europa.

Nie ma Pan wrażenia, że zamiast wielkiej radości z powodu zjednoczenia Europy, na którą liczyliśmy przed rokiem, Unia wchodzi dziś w okres wielkiej smuty i niepewności?

Smuta to nie jest, bo nie organizują się żadne siły, które by anarchizowały Europę. Natomiast jest poczucie rozczarowania wobec Europy. Można je dostrzec we Francji, w Holandii, a nawet w Niemczech, które ratyfikowały już konstytucję. Paradoksalnie, w Polsce jest odmienny trend – ci, którzy sceptycznie patrzyli na Unię, z wolna się do niej przekonują.

Trzeba sobie jasno powiedzieć: nie ma alternatywy dla traktatu konstytucyjnego, jakiegoś planu B czy C. Jeśli nie zostanie on przyjęty we Francji, to prawdopodobnie nie będzie kierował Unią Europejską w najbliższych latach. Nadal będzie obowiązywał traktat nicejski z zapisaną w nim zasadą jednomyślności, która może tworzyć pewne blokady, i z brakiem wymiaru politycznego. Drobne reperacje, o których wspomniałem, mogą usiłować wytworzyć ten wymiar, ale dominować będzie poczucie porażki.

A nie obawia się Pan powrotu do idei tworzenia jakichś małych kręgów integracji europejskiej, a także tego, że w owych kręgach zabraknie miejsca dla takich krajów jak Polska?

To niestety realne zagrożenie. Naszym interesom najlepiej służy wprowadzenie traktatu konstytucyjnego. Jeśli będzie z tym duże opóźnienie, to unijna polityka solidarności na tym ucierpi.

Paradoksalnie, po odrzuceniu konstytucji przez Francuzów sami Francuzi mogą zacząć myśleć o refundowaniu Unii na zasadzie wzmocnionej współpracy, która obejmie kraje najbardziej rozwinięte i najzamożniejsze. W takim układzie może rzeczywiście nie być miejsca dla Polski.

Unia musi być dla ludzi

Z Bronisławem Geremekiem rozmawia
Marcin Bosacki

Marcin Bosacki: Po co Polakom, Niemcom, Hiszpanom zwarta, silna politycznie Europa?

Bronisław Geremek: Idea jedności Europy to idea pokoju. Pierwsze średniowieczne projekty zjednoczenia Europy były motywowane potrzebą jedności w walce o odzyskanie Ziemi Świętej. Potem król Jerzy z Podiebradów mówił o zjednoczeniu monarchów Europy w obliczu zagrożenia ze strony Turcji. Od XVII wieku myśliciele i władcy chcieli budować strukturę pokoju europejskiego. Doświadczenie I wojny było pożywką dla idei paneuropejskiej w latach 20. Wreszcie w połowie XX wieku po raz pierwszy ta idea stała się faktem. Chodziło o to, by usunąć przyczyny konfliktów dzielących Europę i zapewnić pojednanie.

Dziś to wszystko należy już do historii. Pokój stał się rzeczą oczywistą.

Mimo wojen na Bałkanach przed dziesięcioma laty.

Nie należy zbyt wcześnie ogłaszać końca historii. Wojna na Bliskim Wschodzie czy terroryzm międzynarodowy dotykają Europy. To są elementy wojny światowej. Wojna nie znika z horyzontu. Natomiast inną kwestią, w którą wpisany jest los Europy, jest globalizacja i rywalizacja ekonomiczna. Tu Europa staje się co-

raz słabszym partnerem. W dziedzinach, w których przodowała zawsze – produkcji i edukacji – wyrastają potęgi Chin i Indii. Pozostaje strefa trzecia, w której Europa nadal jest potęgą. To sfera usług. Ale i centra księgowości dla całego świata przenoszą się do Indii. To zmusza do postawienia dramatycznego pytania: czy Europa ma stać się świadkiem własnego upadku? Tak się stanie, jeśli Europa nie będzie zjednoczona, spójna.

Na czym by to miało polegać?

Jeśli Unia Europejska pozostanie w takim stanie, w jakim jest obecnie, to może się stać anachroniczna także w stosunku do polskich aspiracji... W świeżo opublikowanej książce premier Belgii Guy Verhofstadt mówi o potrzebie przyjęcia traktatu konstytucyjnego. Nie mówi jednak, że trzeba namówić wszystkie kraje do przyjęcia traktatu. Mówi natomiast: trzeba stworzyć Stany Zjednoczone Europy, które będą oparte na tym traktacie. Owe Stany będą tworzyć te kraje, które zechcą. Natomiast wszystkie pozostałe będą w konstrukcji wielkiej Europy, będą miały struktury współpracy niwelujące niepotrzebną konkurencję. Ale w tych strukturach zasada solidarności straci rację bytu. I dlatego problem, czy w tej nowej sytuacji Unia będzie rzeczywiście wspólnotą polityczną, ekonomiczną i wspólnotą narodów, sprowadza się do pytania: czy ona w ogóle będzie?

Mówi pan: wspólnota narodów. Jednocześnie w swym wykładzie o Europie, który wygłosił pan pół roku temu w Berlinie, mówił pan o konieczności „tworzenia Europejczyków”. Czy projekty stworzenia narodu europejskiego – oczywiście nie w sensie etnicznym, lecz państwowym – to nie mrzonki?

Mój zmarły przyjaciel, znakomity historyk Benedykt Zientara, napisał książkę o świecie narodów europejskich we wczesnym średniowieczu. Pisał w niej, że chciałby, ażeby Europa nigdy nie straciła tego, co jest jej bogactwem – kultur narodowych. Ja też tak uważam. Kiedy mówię o Europejczykach, to odwołuję się nie

do idei państwa łączącego wszystkich, nieco tylko podzielonego przez języki, lecz odwołuję się do idei obywatelskiej zakorzenionej w tradycji europejskiej. A więc, po pierwsze – do *civis Romanus*. Gdy św. Paweł prowadzony przez żołnierzy powiedział: „Ale ja jestem obywatelem rzymskim”, natychmiast zaczął być inaczej traktowany. Odwołuję się do takich tworów w Europie jak imperialne struktury w rodzaju monarchii habsburskiej. Tam było poczucie pewnej wspólnoty prawnej i wspólnoty wartości. To jest to, co Europejczyków łączy.

Natomiast zawsze dzielić nas będzie – ale dzielić niekonfliktowo – przeszłość narodowa, pewne elementy mentalności, kultura, język. Nie sądzę, żeby to było sprzeczne z poczuciem jedności, którego wyrazem jest idea europejska.

Wielu Europejczyków nie uważa za konieczne tworzenie Stanów Zjednoczonych Europy czy w ogóle silnej Europy politycznej. Tony Blair jest wielkim zwolennikiem idei europejskiej. Gdy jednak w niedawnym przemówieniu w Oksfordzie mówił, że w dobie globalizacji Europa powinna być spójniejsza, kładł akcent na konkrety, na sprawy ekonomiczne, a nie – jak Pan – na wielkie wizje polityczne. Moja lektura tekstu Blaira jest odmienna od pańskiej.

Pamiętajmy, że nie tylko brytyjska opinia publiczna jest krytyczna wobec wizji europejskiej. Także Gordon Brown – przyjaciel i przewidywany następca Blaira – w ostatnich trzech miesiącach nie szczędził bardzo krytycznych słów odważnym wizjom UE. Co mówi Brown? Streszczę to niedyplomatycznie, ale prawdziwie. Mówi, że Unia dobrze służyła interesom brytyjskim do początku procesu globalizacji. Dziś natomiast polityka narodowa Zjednoczonego Królestwa lepiej odpowiada wyzwaniom międzynarodowym niż UE. Innymi słowy, nowe wyzwania powodują anachronizm Unii.

I temu myśleniu przeciwstawił się Blair. On nie chce, jak to mówił w przemówieniu w Warszawie w 2000 roku, by Unia stała się superpaństwem, ale chce, by stała się globalnym partnerem

ekonomicznym. Moja konkluzja z przemówień Blaira jest taka: potrzebne jest mądre zarządzanie gospodarką europejską. A kto mówi „mądre zarządzanie”, mówi: rząd ekonomiczny, czyli mówi też o potrzebie nadania Unii wymiaru politycznego.

Jak oddzielić to, co politycznie ma należeć do państwa narodowego, od tego, co ma należeć do Europy?

W jakimś sensie istnienie państwa narodowego bierze się z konieczności zapewnienia narodowi bezpieczeństwa. Ale generał de Gaulle powiedział kiedyś, że sojusze tworzy się nie po to, żeby osłabiać własne państwo, lecz żeby je wzmacniać. Ja też jestem przekonany, że żadne z państw narodowych nie jest w stanie samodzielnie zapewnić bezpieczeństwa – np. bezpieczeństwa w tak delikatnej dziedzinie jak zaopatrzenie energetyczne. Natomiast cała UE może to zrobić.

Myślę, że następuje redefinicja polityki zagranicznej. Sprawy europejskie to już jest polityka wewnętrzna. Minister rolnictwa ułatwia sprawę cukru w Brukseli, i to nie jest sprawa zagraniczna. Polityka zagraniczna to w tej chwili pytania w rodzaju: co robić z Iranem? Widzimy, że każde z wielkich państw europejskich, zwłaszcza Francja, chce mieć własną politykę światową i jest ona nieskuteczna. Natomiast wspólna europejska polityka zagraniczna może być skuteczna.

Oskarża się nas niekiedy – prezydent Francji jest tego przykładem – że Polska w czasie kryzysu w Iraku złamała wspólną politykę zagraniczną UE. Ale Polska nie mogła złamać wspólnej polityki, bo jej nie było. To oznacza, że są potrzebne nowe instytucje. Delikatną sprawą jest kwestia rządzenia ekonomicznego. Potrzebny jest pewien rodzaj centralnego sterowania, i to sterowanie nie może być zlecone instytucjom, które nie noszą charakteru politycznego. Próbowano stworzyć taką protezę, Eco-Fin – spotykają się ministrowie finansów krajów UE i decydują o kierunkach polityki gospodarczej. Ale gdy dwa wielkie kraje – Francja i Niemcy – naruszyły zasadę paktu stabilizacyjnego, to zmieniły

tę zasadę. To świadczy, że taki kraj jak Polska powinien być zainteresowany jak najgłębiej w wytworzeniu wymiaru politycznego Unii, bo wtedy działa zasada równości i nasz głos się liczy.

Jednak nie tylko Brytyjczycy twierdzą – w przeciwieństwie do Pana – że do sprostania wyzwaniom globalizacji wystarczy, by Unia przyjęła pewien zbiór liberalnych rozwiązań ekonomicznych.

Sądzę, że ta argumentacja jest coraz słabsza. Jej promotorzy zdają sobie z tego sprawę. W tej chwili wielkim problemem Unii nie jest to, czy zastosować zasady liberalne w gospodarce, tylko to, czy Europa jest w stanie ochronić swój model społeczny. Jeśli nie będzie polityki europejskiej, jeśli pozostawi się państwom narodowym politykę społeczną, to rzeczywiście ten model się nie utrzyma.

Niektórzy mogą powiedzieć, że głównym problemem nie jest dziś utrzymanie anachronicznych kosztów społecznych, które obciążają pracę, lecz zwalczenie bezrobocia. Ale sam wzrost gospodarczy nie zwalcza bezrobocia. To widać np. w Polsce. Poza wzrostem muszą też być inne instrumenty.

Dziś w Europie politycy muszą przełożyć na język praktyki tę zasadę, której nie wstydzono się głosić w XVIII wieku: władza ma służyć temu, żeby ludzie byli szczęśliwi.

Ale jest też odmienna wizja – władza jest po to, żeby tworzyć warunki, w których ludzie sobie sami zapewnią szczęście. To myślenie przeważa w USA, ale silne jest też w Europie – weźmy choćby twórcę hiszpańskiego cudu gospodarczego José Marię Aznara.

Władza o jednym powinna pamiętać – by było jak najmniej ludzi nieszczęśliwych. Władza jest od tego, by wspomagać tych, którym się nie powiodło. Polityka Aznara to dobry przykład, jak partia nowoczesnej prawicy dokonuje głębokich zmian i tworzy dynamiczną gospodarkę, konkurencyjną na skalę światową. Lecz jednocześnie przyznajmy, że Hiszpania bez UE na pewno by tego nie dokonała. Ekipa Aznara ze swoim programem byłaby śmiesz-

na, gdyby nie miała zaplecza w Unii. Gdy jedzie się wspaniałą siecią hiszpańskich autostrad, wszędzie widać niewielkie tabliczki: „Wybudowano ze środków UE”.

W tym sensie mówię, że Unia jest potrzebna. Ona nie powinna dążyć do wyrównania podatków czy systemów opieki społecznej. Powinna wytwarzać standardy. Jeżeli UE wytwarza standard czystej wody w basenach, to uważam, że powinna także wytworzyć standard minimum mieszkania, minimum warunków życiowych dla tych, którzy sami nie są w stanie sobie ich zapewnić.

Panie profesorze, ale rzeczywistość zgrzyta. Europejczykom brakuje myślenia w kategoriach całości kontynentu. Przejawem tego były referenda we Francji i Holandii w zeszłym roku, przejawem tego jest powtarzanie przez Niemców: już nie chcemy tyle płacić na Europę. Z jednej strony Francuzi mówią: będziemy bronić dotowania wsi jak niepodległości, z drugiej Skandynawowie i Brytyjczycy krzyczą: na śmietnik historii z tym! Jak od tych kłótni, kryzysu, pesymizmu dojść do pańskiego idealnego modelu?

Ja bym rozpoczął od tego, jak jest. Integracja europejska jest niewiarygodnym sukcesem XX wieku. Jest też sukcesem idei solidarności, która rzadko w dziejach bierze górę nad egoizmem. To idea europejska wytworzyła sytuację, w której zamożni Niemcy czy Holendrzy nie wahali się świadczyć na rzecz innych. Dlaczego Polska otrzymuje w tej chwili 2,5 mld euro pomocy, a w najbliższych latach będzie dostawać 10 mld euro rocznie? Dlaczego tamte kraje na nas płacą? Tylko dlatego, że są przekonane, że coś nas wszystkich łączy – i zagrożenia, i szanse.

Gdy w referendum konstytucyjnych we Francji i Holandii społeczeństwa odpowiedziały „nie”, to pokazały, że są niezadowolone ze sposobu, w jaki funkcjonuje Unia, a nie z samej Unii. Są takie momenty europejskiego autokrytycyzmu, gdy Europa pokazuje, że jest sobą zmęczona. To był taki moment.

Jak to zmienić?

Rozminęły się aspiracje i możliwości ich realizacji. Decyzja o rozszerzeniu UE w 2004 roku była niezwykle odważna. Ale Europa nie była do niej przygotowana. Początkowo chciała przyjąć trzy kraje – Węgry, Polskę i Czechy. I nagle dokonano się przyspieszenie – do Unii weszło dziesięć państw. Ale doszło do tego w sytuacji, w której gospodarka europejska znalazła się w stagnacji. Na Zachodzie pojawił się niepokój.

Europejskie elity polityczne nie potrafiły wytłumaczyć, że oto w 2004 roku skończyła się II wojna światowa. Nie ukazano historycznego wymiaru tej decyzji. Po drugie, w wielkich krajach pojawiły się na dużą skalę postawy egoizmu narodowego, np. dla Francji Wspólnota Europejska przez długi czas była głównie instrumentem sprzyjającym polityce francuskiej. Jean Monnet, jeden z ojców założycieli Unii, powiedział w latach 70. w rozmowie z ówczesnym prezydentem Valerym Giscardem d'Estaing: „Mam nadzieję, że pan rozumie, iż Francja jest za mała, żeby stawić czoło wyzwaniom światowym, i potrzebuje Wspólnoty Europejskiej”. Otóż takie traktowanie Wspólnoty sprawiło, że kiedy sytuacja się zmieniła, kiedy zasada równości w rozszerzonej UE zaczyna być przekładana na świat realiów, pojawiło się niezadowolenie.

Trzeba jednak stale odpowiadać sobie na pytanie: czy chcemy, żeby Unia była taką instytucją, jaką stała się Liga Narodów przed II wojną? Czy chcemy, żeby była – jak powiadają niektórzy eseiści – siecią kafeterii podtrzymującą kulturę schyłku wieku europejskiego? Czy też chcemy, żeby odgrywała rolę ważnego partnera w grze gospodarczej i politycznej świata?

Ale jak z tych egoizmów zbudować poczucie wspólnoty i solidarności? Pan proponuje europeizowanie partii politycznych i pisze, że wspólnoty zawsze w historii były tworzone przez „działania elit rządzących”. To teraz elity mają przekonywać narody do idei europejskiej?

W tej chwili główny problem UE bierze się z poczucia, że biurokracja brukselska pracuje tylko dla siebie. Przez półwiecze bu-

dowania struktur Unii nie było w nich miejsca dla obywatela. O wszystkim decydowały elity biurokratyczne. Działał np. trójkąt: przewodniczący komisji Jacques Delors [w latach 1985-95], chrześcijański socjalista, z drugiej strony chrześcijański demokrat Helmut Kohl i z trzeciej – socjalista tradycyjnego chowu François Mitterrand. Oni najlepiej myśleli o sprawach europejskich, niezależnie od swych sympatii politycznych. I to rzeczywiście funkcjonowało, ale to nie tworzyło żadnego miejsca dla obywatela.

Inny przykład – Parlament Europejski. Jakkolwiek patrząc krytycznie na polski Sejm, to z moich 15 lat w nim spędzonych pamiętam, że tam był wiatr historii i poczucie odpowiedzialności przed opinią publiczną. Tego nie ma w Parlamencie Europejskim, bo nie ma europejskiej opinii publicznej. Nie ma tego, co Jürgen Habermas nazywa wspólną przestrzenią publiczną. Kluczowy problem Europy to problem obywatela.

Więc może rację mają eurosceptycy, zwolennicy społeczeństw narodowych? Może Pana wizja jest utopijna?

Mam świadomość, że nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Ale ja bym chciał przekonać obywateli, że w Europie jest dla nich miejsce – to po pierwsze. Po drugie, że projekt europejski odpowiada ludzkim aspiracjom.

Doświadczenie 50 lat integracji europejskiej jest niezwykle pozytywne: niech eurosceptycy pokażą przykład innej drogi, która dałaby takie rezultaty. Zresztą eurosceptycy w rzeczywistości są anty-Europejczykami.

Nie, chcą tylko widzieć Unię jako luźny zespół pewnych praw, głównie ekonomicznych.

To pomysł anachroniczny. To, co było początkiem Wspólnoty Europejskiej, czyli zniesienie barier celnych, w tej chwili jest jedną z zasad polityki światowej.

Europa tylko ekonomiczna oznacza, że taki kraj jak Rumunia – na poziomie 27 proc. średniej prosperity europejskiej – czy nawet

taki kraj jak Polska – na poziomie 47 proc. – są skazane na siebie. W istocie byłoby to skazanie słabszych na to, żeby zawsze pozostali słabsi. Pojmuję, gdy takie rozumowanie pojawia się po stronie zamożnych Holendrów czy Niemców, którzy płacą...

...ale nie rozumie pan Vaclava Klausea.

Ani Klausea, ani rządu mojego kraju i jego prezydenta, którzy formułują swe stanowisko z pozycji obrażenia się na świat i przekonania, że na wyzwania XXI wieku można odpowiedzieć tak, jak odpowiadała Liga Narodów w latach 20.

Panie profesorze, czy wspólnoty nie należy budować wokół korzeni Europy, ideałów Zachodu? Demokracji, praw osoby ludzkiej? Czy w tym kontekście nie było błędem, że w preambule konstytucji europejskiej odrzucono odniesienie do tradycji chrześcijańskich?

W czasie dyskusji konstytucyjnej mówiłem, że we współczesnym świecie zgłoszenie *invocatio Dei* byłoby krokiem fałszywym. Natomiast byłem i wciąż jestem przekonany, że najlepszą rzeczą w preambule byłoby odniesienie do Europy chrześcijańskiej. Europa średniowieczna była Europą chrześcijańską – i to była wspólnota. Wspólnota uniwersytetów i kościołów, języka, sposobu myślenia i wiary.

A potem była druga wspólnota. Wspólnota idei Oświecenia, która także miała poczucie, że Europa jest jednością... Otóż powiedzieć w preambule i jedno, i drugie – to wzbogacić tę konstytucję. Upominałem się, by rozważyć przykład konstytucji polskiej: „My, Naród Polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, zarówno wierzący w Boga będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna, jak i nie podzielający tej wiary...”. Takie sformułowanie nie urażałoby niktych uczuć. Tak się nie stało.

Ale jeżeli spojrzeć na to, co jest w traktacie konstytucyjnym, to jest w nim odniesienie do wartości, u źródeł której stoi tradycja cywilizacji chrześcijańskiej – odniesienie do godności osoby ludzkiej. Tak więc ten traktat określa źródła idei Europy ułomnie,

ale rozbudza poczucie wspólnoty. I tworzy pomost od poczucia wspólnoty do instytucji, która takiej wspólnoty służy.

Po co polityka zagraniczna Europy? Jakie wartości i zadania powinny ją kształtować?

Wisława Szymborska mówiła, że najważniejsze rzeczy to rzeczy najprostsze. Europa ma jasną referencję dla swojej polityki zagranicznej, jeśli uzna, że jej fundamentem jest demokracja, państwo prawa i poszanowanie praw człowieka. Ale Europa nigdy nie praktykowała takiej polityki opartej na wartościach. Pierwszym wyjątkiem było zaangażowanie na Ukrainie w 2004 roku. Nagle UE, jej władze oraz prezydenci Polski i Litwy spełnili rolę medycyną, odwołując się do rzeczy najprostszej – do zasady, że nie wolno fałszować wyborów. To było odwołanie do wspólnoty wartości. Gdy stanęliśmy przed próbą solidarności w kwestii zaopatrzenia w gaz, to dopiero w reakcji na politykę Gazpromu, a w gruncie rzeczy imperialną politykę Rosji, Unia zaczęła rozumieć, że tu nie chodzi tylko o gaz i ropę. Chodzi o to, żeby nie było zależności od krajów, które dostarczają te surowce.

Myszę, że patrząc w taki sposób, Unia powinna budować swą politykę wobec Rosji. Bardzo bym pragnął, żeby Rosja zakończyła wojnę w Czeczenii. Bardzo bym pragnął, żeby demokracja rosyjska, zaledwie pączkująca za czasów Jelcyna, a zduszona w czasach Putina, odzyskała zasadę państwa prawa. Bo tylko wtedy może istnieć sensowna polityka gospodarcza Europy wobec Rosji. Wtedy inwestycje europejskie mogą być bezpieczne.

Ale czy Ukraina to nie był wyjątek od reguły? W stosunkach wielkich państw europejskich z Rosją czy Chinami przeważa nie logika oparta na wartościach, tylko logika kupca: żeby mój kraj więcej tam sprzedał albo zainwestował.

Na krótką metę to skuteczna polityka. Ale przykład Michaiła Chodorkowskiego w Rosji pokazuje, że niefunkcjonowanie zasad państwa prawa prowadzi do tego, że inwestycje są tam stale za-

grożone, że państwo, które postępuje despotycznie, może zrobić wszystko.

Można uznać za prawdziwą tezę, że wolność jest jedna i wcześniej czy później zarazi dyktatury. Ale możliwa jest też i inna hipoteza – że pomoc technologiczna czy gospodarcza, której krajowi despotycznemu udzielają np. Niemcy, zostanie wykorzystana przeciw wolności i przeciw Europie.

Europa do tej pory nie myślała o swoim miejscu w świecie w kategoriach nowoczesnej geostrategii. I póki tego nie będzie, wypadek Ukrainy będzie wyjątkiem. Natomiast ja bym chciał, by ten przykład wyznaczał nową wspólną politykę zagraniczną Europy. Jakie są szanse, że w tej wspólnej polityce będzie przeważać promowanie zasad, a nie małe interesy – choćby takie, które widzieliśmy nie tak dawno w sporze o tzw. korytarz do Kaliningradu, gdy prezydent Chirac poparł Putina ponad głowami Litwinów? Chirac owszem, ale nie Unia. Chciałbym też zwrócić uwagę, że Parlament Europejski zobowiązał ostatnio Komisję Europejską, by w stosunkach z innymi państwami – np. przy udzielaniu pomocy – ważnym kryterium było przestrzeganie fundamentalnych wartości. Coś więc się zmienia.

Czy Europa ma być przeciwważą dla USA w świecie, jak chce część elit europejskich? Czy przeciwnie – ma budować swą tożsamość jako część cywilizacji zachodniej, sojusznik USA?

Myślę, że miał rację amerykański generał, który po napisaniu konstytucji RFN mówił niemieckim rozmówcom: – Chodzi mi o to, żebyśmy nie musieli tu przychodzić po raz trzeci. My też musimy mieć świadomość tego, że rola Ameryki i w I wojnie światowej, i w drugiej, i w zimnej wojnie była absolutnie fundamentalna.

Europejczycy o tym zapominają, to już nie jest ważne.

Ale my w naszej części Europy to pamiętamy. I dlatego nie zgadzam się z tymi, którzy uważają Zachód za zmurzały relikwiny zimnej wojny. Gdy spoglądamy na Stany Zjednoczone, na Kanadę i na

Australię, to mamy poczucie, że jest coś, co nas łączy w myśleniu o świecie. Można mieć różne interesy, różne spojrzenia, ale język mamy wspólny, i to jest bardzo istotne. Chciałbym to podtrzymać. Uważam jednak za iluzję twierdzenie obecnych władz mego kraju, że głównym sojusznikiem Polski mają być Stany Zjednoczone. Polska jest krajem europejskim. Wszystkie nasze interesy mają charakter europejski. Nasza przyszłość zależy od tego, jak Polska będzie istniała w Europie. A jako kraj europejski jesteśmy zainteresowani tym, by Ameryka i ten świat Zachodu, który jest połączony wartościami, a nie interesami, pozostał realnym odniesieniem. Żałuję, że w ostatnich latach elementem kształtującym postawę znacznej części elit europejskich stał się antyamerykanizm.

Rozumiem, że pan by się nie podpisał pod listem Jacques'a Derridy i Jürgena Habermasa, którzy w 2003 roku twierdzili, że na antyamerykańskich manifestacjach wykuwa się nowa tożsamość europejska. W żadnym razie. Miałem okazję powiedzieć Habermasowi, że jego stwierdzenie, iż te manifestacje wytworzyły jedność Europy, jest historyczną nieprawdą. Z doświadczenia polskiego mogę powiedzieć, że tak naprawdę jedność europejską wyrażał stosunek do „Solidarności”, bo to był ruch na poziomie narodów, a nie rządów.

Rządy zachodnie mówiły wówczas co innego: pax sovietica jest lepszy niż brak pokoju...

Natomiast społeczeństwa przysyłały paczki, demonstrowały pod sztandarami „Solidarności”... To był moment jedności europejskiej. Wydaje mi się, że i Derrida, i Habermas byli wrażliwi na ten argument, bo obaj uczestniczyli w ruchu solidarności z Polską.

A czy dziś Europa ma pomysł na to, co zrobić z wielkim problemem współczesnego świata, z terroryzmem islamskim?

Na razie ma poczucie bezradności. Nie mówię tego krytycznie, sam jestem bezradny.

Nie należy mówić o nieuchronnym zderzeniu cywilizacji. Wystarczy przeczytać Koran, by zobaczyć, jakim jest pięknym traktatem poetyckim. Dopiero jego interpretacja uruchamia agresję i fanatyzm. Nie sądzę też, jak niektórzy, że al Kaidę popycha do działania bieda. Al Kaida prowadzona jest przez ludzi niezwykle bogatych – jej siłą jest to, że potrafi wykorzystać owo bogactwo. Potrzebna jest nowa polityka dialogu cywilizacyjnego. Odpowiedzią musi być zmiana systemu Narodów Zjednoczonych. Kiedyś chodziło o to, żeby ONZ była jak najbardziej uniwersalna. Teraz trzeba ustanowić uniwersalne wartości, do których odwoływałyby się ONZ. A to oznacza wyłączenie tych, którzy tych wartości nie praktykują. W rozmowach o tym z niektórymi politykami francuskimi miałem poczucie niezrozumienia. Francja opowiada się za uniwersalizmem ONZ – wszyscy członkowie Organizacji są suwerenni i trzeba uszanować ich prawa.

To znaczy: prawo dyktatur do torturowania więźniów.

To jest problem. Ja uważam, że Karta Narodów Zjednoczonych powinna zostać zreformowana. Ruch praw człowieka stał się ogromnym ruchem politycznym dopiero po ogłoszeniu w 1948 roku Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka. I jeśli się rygoru przestrzegania praw człowieka nie wprowadzi do Deklaracji, to ONZ wciąż będzie pozbawiona wymiaru etycznego.

Jakie powinny być granice Europy? Premier Francji, Dominique de Villepin opowiedział się ostatnio za tym, by Unię po przyjęciu Rumunii, Bułgarii i Chorwacji zamknąć.

Granice Europy są nie tylko geograficzne i historyczne, ale także aksjologiczne, bo Europa jest światem wspólnych wartości. Czy więc z jedności Morza Śródziemnego, tej antycznej, można wyprowadzić uzasadnienie dla przyjęcia Turcji do Unii? Słabo, bo Francuzi wówczas mówią: a Afryka Północna, część dawnego imperium francuskiego i tym samym cywilizacji Zachodu?

Dla przyjęcia Turcji nie ma uzasadnienia cywilizacyjnego. A geopolityczne? Lepiej, żeby Turcja była wewnątrz Unii, niż żeby była

jej sąsiadem. To myślenie pragmatyczne, które jednak oznacza, że decyzja zapadnie za kilkanaście lat. Nie wiemy, jaka będzie Turcja i Unia za 15 lat...

Problem Bałkanów. Wszyscy się boją tego podbrzusza Europy, ale wszyscy mają poczucie, że nie ma rady – i Serbia z Czarnogórą, i Kosowo, i Bośnia, i Albania kiedyś wejdą do UE. To jest dramatyczna decyzja, i też nie na dziś.

W tej sytuacji polski głos o tym, że Ukraina jest kandydatem do członkostwa w UE, jest głosem realistycznym. Ukraina ma w Unii swoje naturalne miejsce. Tyle że większość krajów Unii nie chce tego zaakceptować. Uważają, że to jest polski interes geopolityczny, ażeby nasz sąsiad wszedł do UE.

Dzisiaj nasz horyzont granic Europy winien być realistyczny. Europa rozszerzyła się o dziesięć państw, przyjmie jeszcze trzy w najbliższym dziesięcioleciu. To ogromny wysiłek. Europa jest zmęczona rozszerzeniem. Nie wolno narzucać społeczeństwom kolejnych szybkich decyzji, które zwiększałyby poczucie zagrożenia. Trzeba umieć czekać. I w tej perspektywie pojawi się Ukraina.

Jakie w Europie widzi Pan miejsce i rolę dla Polski?

Po pierwsze, dbać o własne interesy.

To niesprzeczne z tym, co Pan mówił wcześniej?

Dbać o polski interes to promować pogłębianie jedności UE, bo interes Polski nie będzie zrealizowany w Unii słabej, bez wymiaru politycznego. Trzeba stworzyć takie instytucje, które wytworzą możliwość polityki solidarności. To może być tylko taka Unia, którą lepiej czy gorzej określił traktat konstytucyjny.

Po drugie, jest rzeczą ważną, aby Polska wносиła do UE doświadczenie własnej historii. To oznacza podkreślanie, że Unii chodzi o wolność, że jest strukturą antytotitalarną.

I po trzecie, Polska powinna być krajem, który mądrze, bez agresji, będzie określał politykę wschodnią Unii, dlatego że w tej dziedzinie my wiemy, o co chodzi. Niestety, do tej pory nie

potrafilimy przekonać partnerów z Unii, że nasz głos powinien być traktowany jako głos mądrego doświadczenia, a nie krzykliwy głos obolałej ciotki.

Przyszłość Polski w UE zależy będzie od mądrości jej instytucji i elit w debacie europejskiej. Interes europejski nie jest sprzeczny z polskim, przeciwnie – jest z nim związany.

Nasza chata już nie z kraja

Z Bronisławem Geremekiem rozmawia
Konrad Niklewicz

Konrad Niklewicz: Czy burza, jaka się rozpętała po krytycznej dla Polski rezolucji europarlamentu, była dla Pana zaskoczeniem?

Bronisław Geremek: W pewnym sensie tak. Ta fala krytyki, jaka się rozlała, wskazuje na dwie niepokojące rzeczy. Po pierwsze, Polska opinia publiczna chyba nie zdaje sobie sprawy, że odkąd jesteśmy członkiem Unii Europejskiej, to ewentualny wzrost nietolerancji w Polsce nie jest już tylko naszym krajowym problemem, ale stał się wewnętrznym problemem całej Unii. Jest więc rzeczą naturalną, że w demokratycznie wybranej unijnej instytucji – jaką jest Parlament Europejski – pojawił się głos krytyki. Nie możemy mówić „nasza chata z kraja”, bo tak już nie jest. Rezolucja PE nie jest ingerencją obcych w nasze wewnętrzne sprawy. To jest krytyczny głos, przedstawiony we wspólnym domu. Po drugie, polska opinia publiczna powinna zdać sobie sprawę z tego, że dla Polski są szkodliwe nie rezolucje Parlamentu Europejskiego, ale wypowiedzi polskich prominentnych polityków, którzy naruszają zasady panujące w UE.

Zamiast obrażać się na Parlament Europejski, musimy zrobić wszystko, żeby zniknęły podstawy do takich rezolucji. Tym bar-

dziej że to może mieć dla nas ogromne, wymierne znaczenie. Jeżeli od reszty Unii oczekujemy solidarności w wymiarze materialnym, to sami musimy wykazać się solidarnością w przestrzeganiu wspólnych zasad.

Czy jednak rezolucja PE nie była przesadzona? Jednym tchem wymienia się w niej przypadki makabrycznych morderstw z napaścią na rabina Michaela Schudricha, po której to sam poszkodowany oświadczył, że nie ma mowy o wzroście antysemityzmu w Polsce.

Zgadzam się z tymi, którzy mówią, że Polska nie powinna być pokazywana jako przykład kraju, w którym dochodzi do aktów przemocy na tle homofobii, rasizmu czy antysemityzmu. Eurodeputowani PD zdecydowanie upominali się o to, żeby odpowiednia poprawka – wykreślająca Polskę z listy państw, gdzie pojawiła się przemoc – została wprowadzona.

Ale nikt rozsądny nie może zaprzeczyć, że wypowiedzi czołowych polskich polityków naruszają standardy demokracji – tak jak są one postrzegane w innych krajach UE. W tej chwili przestrzeganie praw wszelkich mniejszości staje się w Europie testem na demokrację.

Rezolucja może jednak odnieść efekt odwrotny do zamierzonego. Jeszcze bardziej utwierdzi skrajnych polityków na ich stanowiskach. Europarlament nie jest instytucją, która zapewnia leczenie psychiatryczne, jest instytucją polityczną. Ta rezolucja to był głos polityczny.

Ale poczuli się nią dotknięci zwykli Polacy, nie tylko politycy. Jeżeli ktoś nie chce, by dochodziło do takich wydarzeń jak rezolucja PE krytykująca Polskę, to nie może udzielać wyborczego zaufania ludziom, którzy prowokują takie reakcje. A jeśli już się takich wybiera, to trzeba się liczyć z konsekwencjami.

Postradziecki głos Putina

Z Bronisławem Geremekiem rozmawia
Marcin Wojciechowski

Marcin Wojciechowski: Jak Europa zachowa się wobec Rosji po sobotniej wypowiedzi prezydenta Putina w Monachium?

Bronisław Geremek: Głos prezydenta Putina był głosem postradzieckim w duchu i utrzymanym w języku poprzednich czasów. Putin powiedział, że Rosja gotowa jest przeciwstawić się Stanom Zjednoczonym. Pytanie, jak Putin rozumie te słowa i jak daleko gotów jest się posunąć w ich realizacji. Adresatem tych słów była przede wszystkim amerykańska opinia publiczna oraz kandydaci w przyszłych wyborach prezydenckich w USA. Putin wykorzystał pewien kryzys autorytetu prezydenta Busha.

Drugim adresatem tych słów była Europa. Moskwa nie po raz pierwszy próbuje wpłynąć na europejską politykę wobec Rosji, podzielić kraje UE pod względem stosunku wobec tego państwa. Ale to zamierzenie bardzo krótkowzroczne. Są w Europie środowiska głoszące zasadę *Russia first*, ale wypowiedź Putina raczej odniesie skutek odwrotny do zamierzonego. Oczekuję pewnej konsolidacji w polityce wobec Rosji zarówno w łonie Komisji Europejskiej, w Parlamencie Europejskim, jak i w krajach członkowskich UE.

Czy to dobrze, że Polska nie była reprezentowana w Monachium na szczeblu prezydenta czy rządu?

Talleyrand mawiał, że najgorszą rzeczą jest błąd. Nieobecność prezydenta, premiera ani przedstawicieli rządu w Monachium jest niewybaczalnym błędem. Potwierdza tylko przekonanie Putina, że Polska ma inny stosunek do Rosji niż pozostałe kraje UE, że Warszawa nie uczestniczy w kształtowaniu europejskiej polityki wobec Moskwy.

To przekonanie jest błędem, ale sami je umocniliśmy. Doceniam obecność w Monachium Pawła Zalewskiego, szefa sejmowej komisji spraw zagranicznych, ale to spotkanie ma taką rangę, że nie powinno na nim zabraknąć przedstawicieli władzy wykonawczej odpowiedzialnych za konkretne decyzje w polityce zagranicznej i bezpieczeństwa.

Musiałem być nieposłuszny

Z Bronisławem Geremekiem rozmawiają
Piotr Pacewicz i Marcin Wojciechowski

Piotr Pacewicz, Marcin Wojciechowski: Zauważyliśmy, że w ogóle nie używa pan określenia IV RP, mówi pan wciąż o III RP, jakby pan czegoś nie zauważał.

Bronisław Geremek: Żyję w III RP razem z pozostałymi 40 mln Polaków. Żadne zakłęcia polityków tego nie zmieniają. By przejść do IV RP, trzeba by zmienić konstytucję.

To nie znaczy, że problemu III RP nie ma. Jest. Możemy powtórzyć za pokoleniem budującym niepodległą Rzeczpospolitą po I wojnie światowej, że nie wszystko się udało. Im też nie udało się zrealizować idei szklanych domów. Marzenia zawsze przegrywają w styku z rzeczywistością.

Gorzki bilans?

Czuję wiele goryczy w stosunku do siebie i środowiska, z którym pracowałem w ostatnich latach. Wielu rzeczy nie zdołaliśmy może nie tyle zrobić, ile przedstawić inaczej. Nie utrzymaliśmy tonu Jacka Kuronia, jego umiejętności rozmowy z obywatelem. Poczucie krzywdy obywatelskiej rośnie bowiem wielokrotnie, gdy obywatel ma wrażenie, że nie ma prawa głosu. To mój wielki wyrzut sumienia.

Zarazem nie mam wątpliwości, że pokolenie, które dokonało zmiany ustrojowej, zmieniło gospodarkę, wprowadziło Polskę

na drogę rozwoju wiodącą do NATO i UE, może być dumne. Możemy czuć zbiorową satysfakcję, że taką III RP potrafilismy budować.

Skąd więc ta erupcja populizmu i nacjonalizmu? Jeżeli jest tak dobrze, skąd to oczekiwanie na wielką zmianę, które towarzyszyło trzem ostatnim kampaniom wyborczym?

Proces transformacji jest bolesny, wymaga ofiar, ale, co więcej, zaostrza różnicowanie. Zwiększa się rozpiętość między zarabiającymi średnio a elitami, którym się udało. Statystyka potwierdzi oczywiście, że wszyscy lepiej żyjemy niż kiedyś, ale podziały, gorycze i frustracje rosły niemalże proporcjonalnie do sukcesu transformacji. Głównym zagrożeniem jest populizm, na który cierpi nie tylko Polska, ale cały świat, w tym Unia Europejska. W Polsce przybrał on szczególnie groźny kształt z uwagi na podziały, o których mówiłem. Polski populizm można porównać jedynie z latynoamerykańskim. Potwierdzają to sondaże: społeczeństwo chce przewodnika, zbawcy, kogoś, kto je ocali albo choćby weźmie wszystkich za pysk. Populizm wydobywa najgorsze cechy demokracji. Mądra kultura demokracji zachodniej stara się wydobywać to, co najlepsze.

Sukces PiS to w jakiejś mierze wyraz oczekiwania, że znajdzie się ktoś, kto będzie wreszcie rządził mocną ręką, kto zapanuje nad przestępczością, może nawet przywróci karę śmierci. Takie oczekiwanie nie jest wcale osobliwością Polski.

Jeszcze kilka dekad temu nie było w Europie kraju, w którym w referendum mogłaby zostać zniesiona kara śmierci, bo większość była za nią. W tej chwili jest odwrotnie: nie ma kraju, w którym kara śmierci mogłaby zostać w referendum przywrócona. Znaleźli się politycy, którzy mieli odwagę jej zakazania.

I przekonali społeczeństwo. U nas politycy PiS wracają do tej kwestii, że może by i należało przywrócić karę śmierci, ale Unia nie pozwala...

Mówię to wszystko z ogromną sympatią do obywateli, którzy domagają się proklamowania lepszej IV RP. Ale niebezpieczeństwo polega na tym, że frustracja staje się podstawą życia publicznego.

Takim klasycznym politykiem populistycznym jest minister Zbigniew Ziobro, a zarazem jest na szczytach popularności. Może w Polsce nie ma dziś lekarstwa na populizm?

Demokrację można leczyć wyłącznie demokracją. Gdy ludzie źle wybiorą, to wiedzą, że są za to odpowiedzialni, i następnym razem wybiorą inaczej. Ale potrzebne jest także społeczeństwo obywatelskie. Gdy spoglądam na politykę państwa stanu wyjątkowego proponowaną przez rządzących Polską, to myślę o słowach lorda Actona, że każda władza demoralizuje, ale władza absolutna demoralizuje absolutnie. Trzeba wziąć je dziś wyjątkowo poważnie. Jedynym sposobem na populizm jest mobilizacja społeczeństwa wyrażająca się uczestnictwem w wyborach.

Są politologowie, którzy twierdzą, że niższa frekwencja to wyższy udział ludzi lepiej wykształconych, świadomych obywateli i mniejsze szanse partii populistycznych.

Przeciwnie. We Francji masowe uczestnictwo w ostatnich wyborach prezydenckich było wyrazem tego, że obywatele wzięli odpowiedzialność za losy państwa.

Interpretuje pan fenomen PiS wyłącznie w kategoriach populizmu? Tak jakby nie stały za nim żadne wartości, żadna tradycja?

Dostrzegam ją, owszem, w pojmowaniu roli państwa. Ale to tradycja zagrażająca przyszłości, groźba marginalizacji. Zmora pół tysiąclecia polskiej historii. My będziemy nosili kontusze, gdy cała Europa nałoży fraki. Z drugiej strony PiS eksploatuje populizm posunięty do skrajności. Najwyższy czas, by zapaliło się nam w głowach czerwone światełko.

No tak, ale PiS nie walczy przecież tylko o władzę, co charakteryzuje populizm w czystej postaci. Ta władza to jednak misja, może nieudana, ale z jakimiś wartościami w tle.

Analitycy powiedzą, że są dwa modele populizmu. Istotę pierwszego stanowi oportunizm. Z nim też mamy do czynienia w koalicji rządzącej. Drugi rodzaj populizmu zawiera pewien system wartości. Chodzi o wzmocnienie roli państwa i władzy, zwłaszcza centralnej, połączone z niechęcią do władzy lokalnej, wszelkich instytucji pozarządowych. Takie pojmowanie polityki w pewnym nasileniu zagraża jednak funkcjonowaniu demokracji. Władza pochyła się nad obywatelem, mówiąc: „Ja czuwam nad tobą”, ale jest to pogwałcenie największej wartości demokracji, jaką jest indywidualizm.

Nie chciałbym dostrzegać w PiS wyłącznie cynizmu politycznego i kompleksów, poczucia, że elity polityczne wysiodłały to środowisko z dostępu do życia publicznego, frustracji osobistych. Ale nie można tego ignorować. Polski populizm jest tym groźniejszy, że wyciągnął z zakamarków narodowej psychiki strachy i nienawiści jednocześnie przeciwko Niemcom i Rosji. W naszej historii polska polityka była zwykle antyrosyjska lub antyniemiecka, ale żeby walczyć na obu frontach?! To groźne dla przyszłości kraju.

Czy centrolew, który współtworzy pańska Partia Demokratyczna, w wystarczającym stopniu mobilizuje społeczeństwo, by przeciwstawić się populizmowi?

Dostrzegam szansę, że młode pokolenie sukcesu gospodarczego i edukacyjnego potraktuje wreszcie sferę publiczną jako możliwość realizowania swoich ideałów. Po 1989 roku patrzyłem z przerażeniem, jak najzdolniejsi studenci uciekali do pieniędzy, uciekali od nauki. To się powoli zmienia. To w młodych ludziach widzę szansę na odrodzenie polskiego życia publicznego. Niestety, programu sanacji nie zdołała zaproponować ani centrolewica, ani żadna z różnych prawic. Sytuacja zmieni się wraz ze zmianą generacji.

Końcówka rządów SLD, niestety, rozbiła moralne podstawy naszej sceny politycznej. Po sprawie Rywina korupcja wyszła na jaw, ale część rządzących zareagowała na to jeszcze większym rozpacaniem. Jeśli ma powstać jakiś układ centrolewicowy, to musi on jasno określić wykluczenie patologii. Do tej pory tego nie określił. Jestem człowiekiem Partii Demokratycznej, ale mam świadomość jej słabości. Nie jest obecna w parlamencie, obarczono ją odpowiedzialnością za koszty społeczne liberalnej polityki gospodarczej. W formowaniu centrolewicy obie strony muszą wyjść z krytycznej analizy własnych poczynań. Na razie to nie nastąpiło, ale wierzę, że tak się stanie.

Aleksander Kwaśniewski zdaje się rozumować inaczej: wystarczy pryncypialna krytyka obecnej ekipy plus powrót do haseł europejskich. Nie widać chęci rozliczenia przeszłości.

Nie chodzi mi o mówienie kolejnego „przepraszam”. Przypomina się anegdota o panu, który wciąż przeprasza tancerkę za to, że depcze jej po nogach. „Niech pan ciągle nie przeprasza, ale przestanie mi wreszcie deptać po nogach” – mówi partnerka. Ale w programie trzeba się odbić nie tylko od tego, co jest, ale także od tego, co było.

Czytając europejskie gazety, mamy czasem wrażenie, że Europa jest zniecierpliwiona Polską i całym blokiem postkomunistycznym z tymi naszymi pretensjami i naszym populizmem.

Gdyby dziś miała zostać podjęta decyzja o przyjęciu Polski i innych krajów postkomunistycznych do UE, to by jej nie podjęto. Kryzys europejski jest w pewnym sensie także z tym związany. Słychać głosy, że dokonaliśmy rozszerzenia, które może zagrozić istocie samej Unii. Nie wspominam już o członkostwie Turcji. Europa jest zmęczona światem postkomunistycznym, zwłaszcza Polską, ale także Rumunią, gdzie notorycznie dochodzi do kryzysów pomiędzy prezydentem i premierem. Pojawiają się głosy, że w naszych krajach nie ma kultury politycznej. Że to nie tylko

skutek Jałty, ale że tak było zawsze, bo gdy Europa Zachodnia budowała kapitalizm, instytucje demokratyczne i społeczeństwo obywatelskie, to my budowaliśmy folwarki. Przypomina się też podziały religijne na świat prawosławny i chrześcijaństwo zachodnie, katolicyzm i kraje protestanckie. Najgorszy scenariusz może oznaczać, że zostaniemy wykluczeni z głównego nurtu rozwoju Europy.

Mimo postępu gospodarczego, który jest przecież imponujący i właśnie przyspiesza?

Oczywiście. Spokojne analizy mówią, że koniunktura gospodarcza w nowych krajach członkowskich UE potrwa jeszcze około sześciu lat. Pytanie, co będzie, gdy taki cykl się skończy. Czy nie dojdzie do dramatycznych reakcji społecznych?

Jeśli nie centrolewica, to może liberalizm zdoła porwać Polaków? Nie wiadomo, czy Platforma Obywatelska jest jeszcze partią liberalną, czy już prawicową, ale ostatnie wybory pokazują, że idea liberalna jest dość popularna w Polsce.

W Europie nie ma w tej chwili kraju, który akceptowałby głośno liberalizm, ale który zarazem nie prowadziłby polityki liberalnej. Paradoks polega na tym, że wytwarza się zły klimat wokół słowa „liberalizm”. Zawsze byłem urzeczony liberalizmem. Oznacza dla mnie wolność. Mój nauczyciel Fernand Braudel [francuski historyk] mówił, że najważniejsza jest wolność obywateli, wolność gospodarowania i odrobina liberalizmu. Trzeba było wieloletniej dyskusji, by zaakceptować, że w myśli współczesnej to właśnie liberalizm prezentuje największą troskę o słabego. John Rawls [amerykański filozof polityki] mówi, że każdy system mierzy się tym, jak potrafi pomóc słabym i biednym. Sprzeczność pomiędzy podejściem liberalnym i socjalnym powoli się zaciera. Pojawiają się w Europie ruchy, które wyostrzają te dwa pojęcia, ale są i takie – partie demokratyczne, w tym także polska PD – które powstają z połączenia ognia z wodą. We Włoszech centrolewicę stworzyła

chadecja wraz z postkomunistami. We Francji trwa podobna próba powołania Ruchu Demokratycznego. Paradoksalnie największe konflikty, jakie przed nim stoją, mieszczą się w sferze kulturowej – o model rodziny, tradycyjne więzi. To może podzielić ten ruch. Natomiast w praktyce politycznej nie widzę sprzeczności. Jego podstawą może być tolerancja różnic kulturowych, decentralizacja i liberalny program gospodarczy.

Czy Polacy są gotowi na przyjęcie takiego modelu? Czy latynoamerykańska skłonność do populizmu nie stoi na przeszkodzie?

Nie wiem, choć stale zadaję sobie to pytanie. Intuicja podpowiada mi, że młode pokolenie jest wrażliwe na myślenie liberalne, ale nie znajduje propozycji u żadnej partii. Dlatego trzeba szukać innego dyskursu. Może to być dyskurs europejski, to jak widzimy swoje miejsce w Europie. Mamy wciąż szansę na skok cywilizacyjny. Mało jest krajów, które tak dobrze jak Polska dostosowały się do UE. Jeżeli zatem potrafilibyśmy prowadzić taki dyskurs, dyskurs mądrej perswazji wokół Europy, to wtedy centrolewica ma szansę na sukces.

Stan świadomości Polaków wskazuje jednoznacznie na to, że jesteśmy społeczeństwem europejskim, ale obecna polityka stawia pod ogromnym znakiem zapytania miejsce Polski w Europie. W Europie poszukującej drogi, ale jednak się rozwijającej. Jeśli Polska pozostanie z gniewem na twarzy, będzie wiecznie potrząsać kartką weta, to nic nie ugramy. Prawo weta się ma, ale się go nie używa, podobnie jak broni nuklearnej. Polityka wewnątrz UE to budowanie kompromisów, poszukiwanie porozumienia. Nie ma to nic wspólnego z tzw. polityką asertywności, wzmocnioną polityką historyczną mobilizującą negatywne potencje nienawiści do innych. To zaprzeczenie istoty Europy, która powoli wydobywa się z kryzysu po odrzuceniu przez Francuzów konstytucji europejskiej. Ale żeby mogła się wydobywać z kryzysu, państwa członkowskie muszą pracować na jej rzecz. Jeżeli tak się nie stanie, to wokół krajów euro powstanie rodzaj unii w unii, a my

znajdziemy się poza tym „twardym jądrem”. Znowu dopadnie nas wtedy koszmar peryferyjności. Koszmar nie narzucony, ale wybrany przez nas.

Czy w Parlamencie Europejskim nie patrzą na pana jako na takiego profesora Europejczyka, który nie pasuje do tej zaściankowej Polski? To, jak jestem postrzegany, jest niezależne od moich intencji. Moje życie upłynęło w Polsce, która nie była niepodległa. Różni ludzie zachęcali mnie do wyjazdu, ale to jest mój kraj, moje państwo. Czuję się za nie odpowiedzialny. Nieposłuszeństwo wobec mojego państwa wydawało mi się niewyobrażalne, ale to był także powód mojej decyzji odmowy złożenia oświadczenia lustracyjnego. Właśnie dlatego musiałem uczynić gest, który całkowicie nie leży w moim myśleniu politycznym. Jestem na tyle staroświecki – w Parlamencie Europejskim to wiedzą – że stosuję zasadę: *Wrong or right – my country* [zły czy dobry – to mój kraj]. Ale w pewnym momencie to, co się dokonało, w moim odczuciu zapowiadało bardzo czarny scenariusz dla Polski.

Nie spodziewałem się takiej solidarności zarówno po stronie PE, jak i opinii publicznej. Nie zostało to odebrane jako akt partyjny, ale akt protestu. Polskie społeczeństwo dojrzewa do takiego protestu. Wobec tego, co płynie z ekranu telewizyjnego, co przynosi codzienne gazety. Mam nadzieję, że coś się zmieni po decyzji Trybunału Konstytucyjnego. Postawiła ona kropkę nad „i”. Nie muszę się teraz przemykać w cieniu po korytarzach Parlamentu. Mogę mówić z podniesionym czołem, że mój kraj jest nadal krajem demokratycznym.

Premier Jarosław Kaczyński uważa, że szkodzi pan. I dodaje, że nie wie, czemu pan to robi.

Cała ta poetyka nie była dla mnie zbyt bolesna, bo doskonale ją znam. Pamiętam artykuły w prasie PRL, że szkodzę na forum europejskim własnemu krajowi, że każdy mój kontakt z zagranicznym dziennikarzem jest w zasadzie zdradą. Oskarżano mnie,

że jestem agentem obcego wywiadu. Najwyższy czas, żebyśmy przestali akceptować ten język.

Jest szansa, żeby teraz poprawić obraz Polski. Oddzielić go od postępowania władz. Słowa wicepremiera i ministra edukacji narodowej nie muszą być traktowane jako głos całej Polski.

Czy politycy opozycji nie powinni bardziej mobilizować społeczeństwa do obrony demokracji, wzywać do udziału w pokojowych demonstracjach? Poza wyborami – i to też przy niskiej frekwencji – uczestnictwo Polaków w polityce jest bardzo niske.

Polskie społeczeństwo obywatelskie sprawdziło się w czasach konspiracji. Potem okazało się, że jest wciąż trybutarne wobec państwa. Nie przeszliśmy od postawy poddanego do postawy obywatela. Ale ono się wykluwa. Będzie to dobre zarówno dla społeczeństwa, jak i dla państwa. Tylko jak zmobilizować społeczeństwo, żeby wyraziło swój protest? Bardzo tego chcę, ale jeszcze nie wiem, jak to zrobić.

Będzie pan wzywał ludzi do udziału w demonstracjach? Czy to jest ten czas?

Bezwzględnie tak. Nie jestem człowiekiem manifestacji, ale będę wzywał do udziału w protestach i będę w nich uczestniczył na miarę swoich sił. Są one potrzebne dla zdrowia narodu, który znalazł się w trudnej sytuacji.

Jaki widzi pan najlepszy i najgorszy scenariusz dla Polski oraz Europy na najbliższe pięć lat?

Żyjemy w momencie, w którym następuje całkowita zmiana sceny światowej. Może ona sprawić, że sukces pokoleń, które zmieniły Polskę w ciągu ostatnich 30 lat, zostanie zaprzeczony. Scenariusz czarny to zmarginalizowana Unia Europejska oraz środek ciężkości świata przeniesiony do obszaru Pacyfiku. W Polsce: zamknięcie się na otoczenie, odświeżenie odwiecznej debaty, przeciwko komu będziemy występowali, a nie – z kim jest

nam po drodze. Czarny scenariusz zakłada, że polityka budowana na frustracjach znajdzie poparcie podczas wyborów parlamentarnych za dwa lata.

Scenariusz pozytywny to Polska zakorzeniona w Europie, korzystająca z szansy. Polska z działającymi strukturami państwa prawnego. Możemy się stać jednym z czołowych krajów UE. Nie chodzi tylko o demograficzną siłę, ale usytuowanie geograficzne. Ale Polska musi być krajem europejskim, uprawiać politykę razem z Europą, pogodzić się trwale z Niemcami. Bez pogodzenia Niemców i Francuzów nie byłoby Unii Europejskiej, nie byłoby wielkości tych krajów.

Polska powinna być też rzecznikiem interesów regionu tak jak podczas pomarańczowej rewolucji. Rozmawiałem niedawno z prezydentem Gruzji. Mówił, że jest uczniem „Solidarności”, że z tego doświadczenia zrodziło się jego zaangażowanie polityczne. Taka Polska to nie kraj wielki potencjałem militarnym. Jej siłą jest *soft power*. Taka Polska może mieć znaczenie w świecie, a nam – jej obywatelom – przynosić dumę.

Traktat nie jest martwy

Z Bronisławem Geremekiem rozmawia
Dominika Wielowieyska

Dominika Wielowieyska: Prezydent Kaczyński dał do zrozumienia, że nie podpisze traktatu lizbońskiego, bo traktat jest martwy.

Bronisław Geremek: Prezydent mógł wysłać traktat lizboński do Trybunału Konstytucyjnego. Nie skorzystał z tej możliwości – to zrozumiałe, bo przecież sam uczestniczył w negocjowaniu traktatu. W takim razie powinien niezwłocznie go podpisać. Jest to w interesie Polski, bo traktat wzmacnia Unię politycznie. Daje nadzieję choćby na to, że Unia będzie prowadziła solidarnościową, spójną politykę energetyczną, co jest dla nas korzystne. Traktat nie jest martwy, państwa będą kontynuować proces ratyfikacyjny.

Irlandia odrzuciła go w referendum, a przecież powinien być przyjęty przez wszystkie państwa. Przywódcy Unii zastanawiają się, co zrobić.

Los traktatu nie jest przesądzony. Obowiązuje zasada, że gdy zostanie ratyfikowany przez cztery piąte państw członkowskich, to Rada Europejska zastanawia się, co dalej.

I teraz mamy dwa scenariusze. Pierwszy: Lech Kaczyński podpisuje traktat, ale nie wchodzi on w życie. Prezydent może jest zadowolony, ale Polska nie wycofała się z zobowiązań i umocniła wizerunek poważnego partnera.

Drugi scenariusz: Rada Europejska proponuje procedurę, by traktat jednak wszedł w życie. Wtedy Polska, która go nie ratyfikowała, sama stawia się na marginesie Europy. Bo czy można uznać za wiarygodny kraj, który negocjował ten dokument, zgodził się z jego założeniami, a następnie zmienił zdanie? To uderzenie w wizerunek naszego kraju. Prezydent Kaczyński przeciwstawia się w ten sposób wzmocnieniu Unii.

Prezydent uważa, że nie wolno łamać zasady jednomyślności, że wprowadzenie traktatu w życie mimo protestu Irlandii to niebezpieczny precedens.

W traktacie lizbońskim, który prezydent Kaczyński wynegocjował, przewidziano uchylenie zasady jednomyślności za osiemdziesiąt lat. Dlatego to wyjaśnienie wydaje mi się dziwne. Sprawa jest prosta – zarówno większość parlamentarna, jak i większość polskiego społeczeństwa popierały wzmocnienie polityczne Unii, więc nie ma się nad czym zastanawiać.

Środowisko Radia Maryja i część elektoratu PiS obawiają się, że Unia ograniczy naszą suwerenność. Prezydent nie chce więc ryzykować decyzji, która może się okazać bez znaczenia dla losów UE, za to odbierze mu część wyborców.

Jeżeli taka byłaby motywacja prezydenta, to źle świadczyłoby o jego intencjach. Bo okazałoby się, że gry partyjne i wynik wyborczy ugrupowania brata pana prezydenta byłyby ważniejsze od racji stanu. Urząd prezydenta powinien być ponad takimi rozgrywkami. Dlatego ja takiej wersji nie przyjmuję do wiadomości. Na razie zakładam, że ostateczna decyzja nie zapadła.

Od rana dzwonią do mnie dziennikarze i politycy europejscy zdumieni wypowiedzią prezydenta Kaczyńskiego, a ja tłumaczę im, by nie dramatyzować. Że to normalny spór prezydenta z premierem, że wszystko da się odwrócić i ostatecznie traktat będzie podpisany. Ale w głębi ducha nie jestem takim optymistą. Boję się decyzji Lecha Kaczyńskiego i sam zachodzę w głowę, co zrobić, by zmienił stanowisko.

Nota bibliograficzna

Rozmowy zaprezentowane w książce zostały opracowane na podstawie pierwodruków prasowych, których spis alfabetyczny znajduje się poniżej.

Chcemy mocnej Unii. Rozmowa z prof. Bronisławem Geremkiem, szefem Komisji Spraw Zagranicznych, rozmawiał Edward Krzemień, „Gazeta Wyborcza” nr 212, z dn. 11 września 1996, Kraj, s. 6.

Coś za coś, czyli sztuka kompromisu, rozmawiała Eliza Olczyk, „Rzeczpospolita” 1992, z dn. 10 sierpnia.

Dolina łez. Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Klubu Parlamentarnego Unia Demokratyczna, rozmawia Anna Szymańska, „Dziennik Polski” 1993, z dn. 8 stycznia.

Duch Jałty. Rozmowa z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, rozmawiała Anna Szymańska, „Dziennik Polski” 1993, z dn. 5 listopada.

Dyktatura pod nadzorem. Rozmowa z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Klubu Parlamentarnego Unii Demokratycznej, rozmawiali Bogusław Mazur i Katarzyna Nazarewicz, „Wprost” 1992, z dn. 5 stycznia.

Eksport sukcesów. Rozmowa z prof. Bronisławem Geremkiem, ministrem spraw zagranicznych RP i przewodniczącym OBWE, rozmawiał Juliusz Urbanowicz, „Wprost” 1998, z dn. 5 października.

Euro-Polacy. Rozmowa z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych i Klubu Parlamentarnego Unii Wolności, rozmawiały Maria Graczyk i Zofia Stachura, „Wprost” 1997, z dn. 11 maja.

Francja rozczarowana Europą. Przed referendum we Francji, rozmawiał w Brukseli Robert Sołtyk, „Gazeta Wyborcza” nr 122, z dn. 28 maja 2005, Świąteczna, s. 15.

Historia nie może przekreślić przyszłości. Rozmowa z profesorem Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, rozmawiał Krzysztof Mazur, „Tygodnik Siedlecki” 1995, z dn. 1 października.

Interes państwa i narodu, rozmawiał Jerzy Tepli, „Trybuna Śląska” 1993, z dn. 7 września.

Jaka będzie konstytucja III Rzeczypospolitej. Dla „Gazety Krakowskiej” mówi Bronisław Geremek, przewodniczący Sejmowej Komisji Konstytucyjnej, rozmawiała Katarzyna Kolenda, „Gazeta Krakowska” 1991, z dn. 2–5 maja.

Konstytucja jest sprawą wszystkich Polaków. Czas na publiczną debatę. Rozmowa z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Komisji Konstytucyjnej Sejmu RP, rozmawiał Maciej Urbaniak, „Rzeczpospolita” 1990, z dn. 13–14 czerwca.

Kontrakt był potrzebny. Rozmowa z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, rozmawiał Mieczysław Starkowski, „Wspólnota” 1990, z dn. 19 maja.

Kto udźwignie ten ciężar? Rozmowa z profesorem Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, przewodniczącym Klubu Parlamentarnego Unii Wolności, rozmawiał Andrzej Łapkiewicz, „Kurier Szczeciński” 1997, z dn. 10 stycznia.

- List z Brukseli. Rozmowa z prof. Bronisławem Geremkiem, ministrem spraw zagranicznych*, rozmawiał Piotr Cywiński, „Wprost” 1997, z dn. 7 grudnia.
- Mam poczucie satysfakcji. Z Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Sejmowej Komisji Konstytucyjnej oraz Klubu Parlamentarnej Unia Demokratyczna*, rozmawiają Mariusz Janicki i Stanisław Podemski, „Polityka” 1991, z dn. 9 marca.
- Musiałem być niepostuszny*, wywiad, rozmawiali Piotr Pacewicz i Marcin Wojciechowski, „Gazeta Wyborcza” nr 116, z dn. 19 maja 2007, Świąteczna, s. 16.
- Na lewo od Europy. Rozmowa z prof. Bronisławem Geremkiem*, rozmawiał Jacek Pałasiński, „Po prostu” 1991, z dn. 28 lutego.
- Na progu. Rozmowa z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, przewodniczącym Klubu Parlamentarnej Unii Wolności*, rozmawiał Marek Burczyk, „Dziennik Polski” 1997, z dn. 23 kwietnia.
- Najpierw reformy, potem rząd. Z Bronisławem Geremkiem* rozmawia Eugeniusz Smolar, dyrektor Sekcji Polskiej Serwisu Światowego BBC, z dn. 22 czerwca 1989.
- Nasza chata już nie z kraja*, „Gazeta Wyborcza” nr 144, z dn. 22 czerwca 2006, Opinie, s. 25.
- Niwelowanie barier. Z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych* rozmawia Jan Forowicz, „Polska Zbrojna” 1994, z dn. 31 maja.
- Nowa konstytucja – pierwsze podejście*, rozmawiał Maciej Urbaniak, „Rzeczpospolita” 1990, z dn. 7 lutego.
- Nowe imperium zła, atak na Amerykę*. rozmawiał Włodzimierz Kallicki, „Gazeta Wyborcza” nr 216, z dn. 15 września 2001, Świąteczna, s. 10.

- O koalicji, lustracji, „małej konstytucji”...* Z Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Klubu Parlamentarnego UD rozmawia Katarzyna Kolenda, „Gazeta Krakowska” 1992, z dn. 7 września.
- Obejście twierdzy*, rozmawiała Katarzyna Montgomery, „Gazeta Wyborcza” nr 145, z dn. 23 czerwca 2000, Kraj, s. 4.
- Ostatni dyżur. Z postem ziemi suwalskiej, prof. Bronisławem Geremkiem* rozmawia Grażyna Miklaszewicz, „Krajobrazy” 1991, z dn. 20 października.
- Pakt bez dogadywania się. Wywiad z Bronisławem Geremkiem*, rozmawiał Paweł Hofer [Helena Łuczywo], „Tygodnik Mazowsze” 1988, z dn. 15 czerwca.
- Polityczne zwanie. Z Bronisławem Geremkiem (UD)* rozmawia Małgorzata Subotić, „Rzeczpospolita” 1992, z dn. 25 maja.
- Postradziecki głos Putina*, rozmawiał Marcin Wojciechowski, „Gazeta Wyborcza” nr 37, z dn. 13 lutego 2007, Opinie, s. 15.
- Racje i niebo*, rozmawia Ewa Milewicz; fot. Michał Kwiatek, „Gazeta Wyborcza” nr 268, z dn. 14 listopada 1992, s. 8.
- Rzeczpospolita europejska. Rozmowa z prof. Bronisławem Geremkiem, ministrem spraw zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej*, rozmawiali Piotr Gabryel, Jarosław Giziński, Henryk Suchar, „Wprost” 1998, z dn. 21 czerwca.
- Saper czy uczeń czarnoksiężnika? Prof. Bronisławowi Geremkowi pytania zadały: Ewa Grzybowska-Łukaszek i Anna Raczyńska*, „Dziennik Wieczorny” 1990, z dn. 20 listopada.
- Sejm po roku. Rozmowa z prof. Bronisławem Geremkiem*, rozmawiała Urszula Zyzik-Hauszyld, „Wieczór” 1992, z dn. 29 grudnia.
- „Solidarność” była pierwsza szansą, teraz szansą staje się Polska*, rozmawiał Robert Kamiński, „Obserwator Wielkopolski” 1990, z dn. 10 czerwca.

- Geremek: Traktat nie jest martwy*, rozmawiała Dominika Wielowiejska, „Gazeta Wyborcza” nr 153, z dn. 2 lipca 2008, s. 2.
- Tron dla arbitra. Rozmowa z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Klubu Parlamentarnego Unia Demokratyczna*, rozmawiał Bogusław Mazur, „Wprost” 1991, z dn. 11 sierpnia.
- Tworzymy ramy układu politycznego. Rozmowa „Rzeczpospolitej” z Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego*, rozmawiała Dorota Ciepielewska, „Rzeczpospolita” 1989, z dn. 18 października.
- Unia musi być dla ludzi, Unia Europejska* rozmawiał Marcin Bosacki, „Gazeta Wyborcza” nr 60, z dn. 11 marca 2006, Świąteczna, s. 13.
- Unia nadaje się do spisku jak chomąto do krowy. Z Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Klubu Parlamentarnego Unii Demokratycznej*, rozmawia Piotr Adamowicz, „Gazeta Gdańska” 1992, z dn. 20–22 listopada.
- W rękach kapryśnej damy*. rozmawiali Artur Domośławski, Piotr Pacewicz, „Gazeta Wyborcza” nr 67, z dn. 20 marca 2001, Opinie, s. 16.
- Włosi Północy. Rozmowa z Bronisławem Geremkiem, ministrem spraw zagranicznych*, rozmawiała Anna T. Kowalewska, „Dziennik Polski” 1998, z dn. 30 stycznia.
- Wrota Europy. Rozmowa z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych*, rozmawiali Jarosław Giziński i Roman Strzemiecki, „Wprost” 1994, z dn. 18 grudnia.
- Zakaz zawracania. Rozmowa z prof. Bronisławem Geremkiem, członkiem prezydium Unii Demokratycznej*, rozmawiali Piotr Gabriel, Bogusław Mazur, Marek Zieleniewski, „Wprost” 1993, z dn. 19 września.

Zamknąć ten rozdział. Rozmowa z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, rozmawiała Ewa Czaczkowska, „Sztandar Młodych” 1989, z dn. 8 listopada.

Zatrute jabłko demokracji. Z prof. Bronisławem Geremkiem rozmawia Elżbieta Karasiewicz, „Głos Szczeciński” 1995, z dn. 21–22 stycznia.

Zmiana układu. Z prof. Bronisławem Geremkiem, szefem OKP rozmawia Elżbieta Sadowska, „Tygodnik Kulturalny” 1989, z dn. 29 października.

Znaki intencji. Rozmowa z prof. Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, rozmawiał Jarosław Giziński, „Wprost” 1996, z dn. 1 grudnia.

Indeks osobowy

Indeks nie uwzględnia nazwiska Bronisława Geremka.

- Adamowicz Piotr 156-160
Adenauer Konrad 71, 184, 240
Albright Madeleine 293
Amsterdamski Stefan 25
Annan Kofi 286
Aymard Maurice 17
Aznar José María 302
- Bajer Piotr 76
Balcerowicz Leszek 278, 279
Balińska Marta Aleksandra 19
Bartoszcze Roman 128
Bartoszewski Władysław 188
Bauman Zygmunt 28
Bączkowski Andrzej 221
Bibó István 26
Bielecki Jan Krzysztof 200
bin Laden Osama 283, 284, 288
Blair Tony 300, 301
Bloch Marc 16
Boni Michał 275
Bosacki Marcin 298-312
Braudel Fernand 16, 322
Braunstein Maria 19
Brown Gordon 300
Brzezicki Andrzej 22
Burczyk Marek 223-227
Bush George 63, 283, 315
Buzek Jerzy 241, 258, 275, 278
- Camus Albert 15
Cecuda Dariusz 20
Chirac Jacques 217, 242, 308
Chodorkowski Michaił 307
Chrzanowski Wiesław 149
Ciepielewska Dorota 43-47
Cimoszewicz Włodzimierz 197,
198, 200
Clinton William Jefferson „Bill”
211, 213, 223, 247, 255, 287
Cortès Jacques 16
Cywiński Piotr 237-242
Czackowska Ewa 59-62
Czernomyrdin Wiktor 185
- Dahl Robert A. 25
Dahrendorf Ralf 162, 205, 206
Dalberg-Acton John Emerich
Edward (lord Acton) 319
De Michelis Gianni 205
Delors Jacques 246, 305
Derrida Jacques 309
Dini Lamberto 243
Domaros Marzena (pseud.
Anastazja Potocka) 128
Domosławski Artur 269-281
Duby Georges 18, 24
Dudek Antoni 12

- Fadlallah Anna 17
 Fèbvre Lucien 16
 Fischer Joschka 256
 Forowicz Jan 178-182
 Franco Francisco 206
 Frasyniuk Władysław 148, 149,
 152, 157
 Friszke Andrzej 11, 12, 16

 Gabryel Piotr 129-134, 245-252
 Garlicki Andrzej 20, 23
 Gaulle Charles de 187, 218, 301
 Genscher Hans-Dietrich 70, 241
 Gierek Edward 12
 Gieysztor Aleksander 16
 Giscard d'Estaing Valéry 304
 Giziński Jarosław 197-201, 210-
 215, 245-252
 Głazewski Jacek 11, 26
 Glempl Józef 149
 Goethe Johann Wolfgang von 241
 Goliszewski Marek 278
 Gomułka Władysław 12
 Gorbaczow Michaił 185
 Goryszewski Henryk 161, 163
 Graczyk Maria 228-233
 Grochowska Magdalena 20
 Grzybowska-Łukaszek Ewa 109-
 112

 Habermas Jürgen 305, 309
 Hall Aleksander 27, 121, 158, 163
 Havel Václav 13
 Herzog Roman 240
 Hofer Paweł zob. Łuczywo
 Helena
 Hofmann Günter 27
 Holland Agnieszka 13

 Jagodziński Andrzej S. 13
 Jan Paweł II (właśc. Karol
 Wojtyła) 185
 Janajew Giennadij 254
 Janicki Mariusz 87-95
 Jankowski Maciej 278
 Janowski Jan 54
 Jaruzelski Wojciech 273
 Jedlicki Jerzy 20, 28
 Jelcyn Borys 175, 185, 191, 211,
 214, 223, 224, 307
 Jerzy z Podiebradów 298
 Jonas Andrzej 21

 Kaczyński Jarosław 93, 118, 158,
 324
 Kaczyński Lech 327, 328
 Kaddafi Mu'ammar 285
 Kalicki Włodzimierz 282-294
 Kamiński Robert 105-108
 Karasiewicz Elżbieta 167-170
 Karol I Wielki 245
 Kern Andrzej 128
 Kersten Krystyna 21
 Kissinger Henry 255
 Kiszczak Czesław 56, 273
 Klaus Václav 306
 Kohl Helmut 59, 60, 154, 184,
 239, 240, 242, 257, 305
 Kolenda Katarzyna 96-97, 121-
 124
 Kowalewska Anna T. 243-244
 Kozyriew Andriej 214
 Krasicki Michał 19
 Krasieńska Ewa 28
 Krzemień Edward 216-218
 Krzemiński Adam 27
 Kula Marcin 13, 21
 Kula Witold 13

- Kunicki-Goldfinger Marek 16,
 20, 21
 Kuratowska Zofia 158
 Kuroń Jacek 12, 317
 Kwaśniewski Aleksander 231,
 238, 239, 280, 282, 321
 Kwiatkowski Stanisław 34
- Lamentowicz Wojciech 228
 Le Goff Hanna (z Dunin-
 Wąsowiczów) 17
 Le Goff Jacques 17
 Lebiec Aleksandr 192
 Lewandowski Janusz 158
 Lewinsky Monica 255
 Lipiński Edward 20
- Łapkiewicz Andrzej 219-222
 Łucywo Helena 34-37
 Łukaszenka Aleksandr 225, 231
- Makowski Jarosław 22
 Małowist Marian 16
 Manteuffel Tadeusz 16
 Martinez Miguel 180
 Mazowiecki Tadeusz 53, 69, 70,
 93, 105, 106, 107, 109, 110,
 140, 156, 157, 206, 276, 279
 Mazur Bogusław 129-134, 137-
 141, 142-147
 Mazur Krzysztof 188-195
 Mażewski Lech 158
 Merkel Jacek 133
 Michalski Krzysztof 29
 Michnik Adam 17, 21, 26, 152,
 273
 Mickiewicz Adam 241
 Międzyrzecki Artur 12
 Miklaszewicz Grażyna 72-77
- Milewicz Ewa 148-155
 Miller Leszek 229, 280
 Mitterand François 305
 Mołotow Wiaczesław 62
 Monnet Jean 304
 Montgomery Katarzyna 259-266
 Moscovici Pierre 264
- Najder Zdzisław 93
 Napolitano Giorgio 205, 208
 Nazarewicz Katarzyna 142-147
 Niesiołowski Stefan 122, 151
 Niklewicz Konrad 313-314
- Olczyk Eliza 98-101
 Olechowski Andrzej 131, 176,
 275, 281
 Oleksy Józef 129, 200, 229
 Olszewski Jan 114, 116, 143, 145,
 160, 225
 Orzechowski Kazimierz 52
 Ossowska Maria 16
- Pacewicz Piotr 269-281, 317-326
 Pałasiński Jacek 205-209
 Parys Jan 160
 Paweł z Tarsu, św. 300
 Pawlak Waldemar 124
 Pieronek Tadeusz 232
 Pinque Méryl 15, 20
 Piskorski Paweł 275, 276
 Płażyński Maciej 275
 Podemski Stanisław 87-95
 Pomian Krzysztof 153
 Prodi Romano 243, 244
 Putin Władimir 307, 308, 315, 316
- Raczyńska Anna 109-112
 Rajchman Ludwik 19

- Rapacki Adam 69
 Rawls John 322
 Reiff Ryszard 35
 Ribbentrop Joachim von 62
 Rokita Jan Maria 124, 150
 Rosati Dariusz 199, 229
 Rywin Lew 321
- Sadowska Elżbieta 49-58
 Sadowska Elżbieta Teresa 19
 Sainteny Philippe 19
 Salazar António de Oliveira 206
 Samsonowicz Henryk 26
 Scalfaro Oscar Luigi 243
 Schudrich Michael 314
 Skórzyński Jan 16, 22
 Skubiszewski Krzysztof 68, 69,
 70, 156, 176
 Smolar Aleksander 130, 276
 Smolar Eugeniusz 41-42
 Snopek Jerzy 26
 Solana Javier 241
 Sołtyk Robert 295-297
 Sowińska Magdalena 21
 Sowiński Paweł 16
 Stachura Zofia 228-233
 Starkowski Mieczysław 63-71
 Stelmachowski Andrzej 92
 Stomma Stanisław 149, 152, 157
 Strasz Małgorzata 16, 26
 Strzelecki Jan 20
 Strzemiecki Roman 210-215
 Subotić Małgorzata 113-120
 Suchar Henryk 245-252
 Suchocka Hanna 85, 122, 124,
 131, 148, 151, 159, 162, 166
 Szydłowska Waleria 15
 Szymańska Anna 161-166, 173-
 177
 Szyborska Wisława 307
- Talleyrand-Périgord Charles-
 Maurice de 316
 Targosz Kazimierz 25
 Tepli Jerzy 183-187
 Tester Keith 28
 Thatcher Margaret 42, 162
 Tischner Józef 21
 Trzcziński Janusz 85
 Tusk Donald 275
 Tym Stanisław 73
 Tymiński Stanisław 276
- Urban Jerzy 93, 272
 Urbaniak Maciej 81-83, 84-86
 Urbanowicz Juliusz 253-258
- Verhofstadt Guy 299
 Véron Nicholas 15
 Vetter Reinhold 13, 16
 Vidal Carlos Juan 15
 Villepin Dominique de 310
- Wachowski Mieczysław 113
 Wałęsa Lech 22, 26, 37, 56, 57, 65,
 67, 92, 107, 109, 110, 113, 118,
 139, 141, 142, 217
 Weber Max 69
 Weizsaecker Richard von 63
 Wiatr Jerzy 20
 Wielowiejska Dominika 327-328
 Wojciechowski Marcin 315-316,
 317-326
 Wujec Henryk 25
- Zalewski Paweł 316
 Zaremska Hanna 18
 Zawiślak Andrzej 85
 Zieleniewski Marek 129-134
 Zieliński Tadeusz 221

- Zientara Benedykt 299
Ziobro Zbigniew 319
Zyzik-Hauszyld Urszula 125-128
- Żygulski Witold 21
Żyrinowski Władimir 185, 191,
211
- Żakowski Jacek 12, 21
Żaliński Henryk W. 16

oprac. *Jacek Głazewski*

„Podstawą stylu uprawiania polityki przez Bronisława Geremka było przekonanie o logice wyboru fundamentalnych wartości – wyboru podyktowanego racją odpowiedzialnie podjętej refleksji, która z kolei obejmuje długie pasma skutków działań politycznych a nie ich krótkotrwałe i koniunkturalne odpowiedniki. Istotą takiego podejścia byłoby chyba istnienie pewnej wizji politycznej, stanowiącej praktyczne umocowanie owych wartości w realnym świecie. Bronisław Geremek nie był politykiem anachronicznym, w swych działaniach starał się po prostu odnosić do kanonu myśli politycznej, dla której impulsem była perspektywa moralna. Wydaje się również, że w jakimś sensie współtworzył ów kanon”.

ze Wstępu



College of Europe
Collège d'Europe



Natolin

www.universitas.com.pl

TRINUM IM. PROFF